

Anna Fryczkowska

Starsza pani wnika

Dziękuję

Przede wszystkim mojej córce, Adeli Fryczkowskiej oraz jej przyjaciółce, Neli Grynberg, za pomysł na „emerytki pierwsza klasa”. Marii Giełżyńskiej i Teresie Zuń za podtrzymywanie na duchu i twórcze uwagi. Manuli Kalickiej i Zbigniewowi Zawadzkiemu z Agencji Autorskiej Zetzet za popędzanie, czuwanie i zadawanie pytań. Ani ZgierunŁacinie za wszystkie złośliwości oraz czuwanie nad ciągami przyczynowoskutkowymi w tekście. Agacie Łomako za pomoc przy tym, co zawsze. I Tapczemu - za wszystko.

Z każdym kolejnym schodkiem coraz wolniej stawiał stopy, pewnie dlatego że coraz mniejszą miał ochotę na tę konfrontację. Dotarł jednak wreszcie na trzecie, gdzie stanął na przetartej sznurkowej wycieracze przed mieszkaniem po lewej. Konfiguracja zadrapań i odprysków na przedwojennych drzwiach dawała niejakię pojęcie o upodobaniach kolorystycznych poprzednich lokatorów. Ostatni z malujących wybrał brunatny brąz, ale było to dobrych kilkanaście lat temu.

Nacisnął przycisk dzwonka. Rozległ się terkot, lecz nikt nie zareagował. Przyłożył ucho do drzwi, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Dla porządku wyciągnął komórkę, wyszukał numer. Melodyjka odezwała się ze środka mieszkania. Dziwne.

Nagle w sąsiednich drzwiach szczęknął zamek. Jeszcze jeden. I następny. Zanim Jaro zobaczył kogoś na progu, już miał pewność kto tam mieszka. Starsze osoby, w miarę jak zmniejsza się ich zaufanie do świata, mnożą wątpliwe bariery ochronne. I rzeczywiście: w uchylonych drzwiach pojawiła się siwa głowa.

- A pan co się tak dobija?

Na wszelki wypadek Jaro od razu się uśmiechnął: to działa na kobiety w tym wieku.

- Myślałem, że ktoś jest w domu.

- Umawiał się pan z nim? - Tak.

- Kiedy?

- Trzy dni temu, na dzisiaj. Dlaczego pani pyta? - I kolejny szczerý uśmiech. Szczerý, bo nie musiał udawać, lubił takie panie. Wszystkie. Poza jedną.

Kobieta szerzej uchyliła drzwi i zrobiła krok do przodu. Była mikrej postury, ale spojrzenie szarych oczu miała bystre.

- Nie widziałam go od dwóch dni.

- Wyjechał?

- Nie wiem. Zawsze, gdy wyjeżdżał, zostawiał mi klucze. Żebym karmiła jego

szczura.

- Szczura?

- Dżeka. Ale tym razem nie zostawił kluczy. Gorzej, wcale nie widzę, żeby pan Tymoteusz tu wchodził albo stąd wychodził. Pan Tymoteusz kazał na siebie mówić po prostu Tymoteusz, ale nie przechodzi mi to przez usta, przecież sąsiad to sąsiad. Więc mówię pan Tymoteusz. A on zwraca się do mnie pani Joanno.

Wyciągnęła rękę.

- Joanna Wereda.

Jarkowi chciało się śmiać. W tym geście były i ciekawość, i stanowczość, i lekki wyrzut, że nie on przedstawił się pierwszy.

- Jarosław Trzaskowski. - Uścisnął jej dłoń.

- Pan dobrze zna pana Tymoteusza, panie Trzaskowski?

- Wcale. Miałem się z nim dopiero umówić na lekcje.

- Jeszcze raz nacisnął dzwonek, a potem, dla porządku, klamkę.

I zaraz pożałował, bo drzwi się nieoczekiwanie otworzyły. Jarka ogarnęły złe przecucia. Postąpił krok w stronę schodów, ale zatrzymał go cichy głos Joanny Weredy:

- O nie, drogi panie. Nie możemy tego tak zostawić.

- Pociągnęła nosem. - Chyba dawno nikt Dżekowi nie sprzątał. - Podumała chwilę, przyjrzała mu się jeszcze uważniej.

- Właściwie powinnam poprosić o to dozorcę, ale jemu źle z oczu patrzy. Kiedyś reperował mi kran, a potem nie mogłam się doliczyć dwóch łyżeczek. Platerowanych co prawda, ale wyglądały na srebrne. Więc nie chcę narażać sąsiada. Niech pan posłucha: ja wejdę do mieszkania, muszę sprawdzić, co ze szczurem. Pan będzie świadkiem, że niczego nie wynoszę. Ale najpierw pana dowód, proszę. - Porównała jego twarz ze zdjęciem, po czym wyciągnęła z kieszeni swetra ogryzek ołówka i kartkę, gdzie widniała chyba również lista zakupów, i spisała dokładnie wszystkie dane.

- No dobrze. - Zamknęła na klucz swoje mieszkanie. - Niech pan tutaj poczeka. Nie mam pozwolenia na wpuszczanie nikogo obcego.

Weszła powoli do mieszkania Tymoteusza Maciejki i zniecka zamknęła za sobą drzwi na klucz.

- Dżek, Dżek, nie szalej, już ci sypię, ty niecierpliwcu - dobiegł ze środka jej głos. - Patrzcie go, jaki wygłodzony...

A potem dłuższa cisza i potworny krzyk, który szybko ucichł.

- Proszę otworzyć! - Joanna Wereda waliła w drzwi. - O matko jedyna, o matko! Ile tu

krwi!

Zanim uświadomiła sobie, że to ona musi przekręcić zamek, minęło trochę czasu, bo zapewne trzęsły jej się ręce. Kiedy wyszła, twarz miała tak samo szarą jak tęczęwki.

- Dzwon, dziecko, na policję. - Westchnęła słabo i oparła się o ścianę.

Halina znowu śniła, że ma szesnaście lat. Z przyjemnością patrzyła na swoje umięśnione uda, gładką skórę, cieniutkie, prawie niewidoczne włoski, brzeg szortów i powoli napęlniała ją wiara, że wszystko jest jeszcze możliwe. Wszystko? - zdziwiła się i właśnie wtedy wredny warkot budzika pozbawił ją złudzeń.

Siadła na łóżku. We śnie robiła rozgrzewkę przed treningiem, teraz musiała rozgrzać się przed życiem. No, do roboty, raz i dwa, raz i dwa. Krew powoli przypominała sobie, że ma krążyć. Raz i dwa. Nogi początkowo odporne przestały poboлеwać i posłusznie poniosły ją wydeptanym szlakiem do toalety i umywalki.

Wygodne spodnie, koszulka i polar, potem kurtka na grzbiet, cóż z tego, że wrzesień, skoro o siódmej rano takie zimno, na termometrze pięć stopni. Jeszcze stopy wcisnąć w buty, żadne pantofelki, porządne obuwie sportowe, lekka czapka. Z pokoju Jarcia dochodziło pochrapywanie. Słyszała je, co znaczyło, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie musiała używać aparatu słuchowego. No i że wnuk dzisiaj również nie ma zamiaru zająć się poszukiwaniem pracy.

Dzidka czekała na podwórku. Makijaż na jej pomarszczonej twarzy wyglądał dziwnie o tej porze dnia i w tych okolicznościach.

- Koty będą wdzięczne, że się tak starałaś - odezwała się Halina.

- O co ci znowu chodzi? - Przyjaciółka się najeżyła.

- Uważaj, wylewa się! - krzyknęła Halina i jednocześnie przytrzymały tackę z pojemniczkami pełnymi kociego zarcia.

Z Dzidką rozumiały się w pół słowa, mimo że dzieliło je wiele. Dzidka chadzała do teatrów i filharmonii, Halina wołała kino i amerykańskie seriale. Dzidka ubierała się w jedwabie i welury, Halina w bawełnę i polar. Dzidka kochała buty na słupku i eleganckie kawiarnie, Halina preferowała wygodne półbuty oraz trasę sportową nad Wisłą. Dzidka kierowała się dziesięcioma przykazaniami, Halina wyłącznie własnym poczuciem przyzwoitości. Te różnice przez pół wieku znajomości wyostrzyły się, co jednak nie przeszkadzało kobietom nadal trzymać się razem. Przed laty połączyła je wspólna tajemnica, a potem ich związek scementowało pięćdziesiąt lat jej dochowywania i tysiące spędzanych razem godzin, chociaż nigdy o niej nie rozmawiały.

Życie zrobiło wiele, by je rozdzielić, lecz mimo wszystko trzymały się razem, zawsze,

nie tylko idąc jak co rano w okolice śmietnika, gdzie już czekały wygłodniałe zwierzaki.

- Ksiądz też się ucieszy, gdy cię zobaczy - odezwała się Halina, gdy zebrały puste pojemniczki spod pierwszego śmietnika i przeszły pod kolejny.

- Dowiem się wreszcie, z czego szydzisz? - Na końcu zdania Dzikka ułożyła wargi w elegancki, jej zdaniem, dzióbek. Ależ ona czasem jest śmieszna.

- Sama mówiłaś, że pomarszczonych ust nie powinno się malować, bo szminka się zbiera w bruzdach - wytłumaczyła Halina.

- Bo wtedy jeszcze nie miałam zmarszczek.

- Miałaś. Masz od trzydziestu lat.

- Chyba żartujesz! Przed siedemdziesiątką moja buzia była gładka jak... Jak...

- Tyłek jeża. To po co się malowałaś? Niby katoliczka, a jesteś kompletną relatywistką.

- Przypominam, że Kościół nie wypowiada się na temat użycia szminki po siedemdziesiątce.

- Tak? A ja myślałam, że ten twój Kościół wypowiada się na wszystkie tematy.

- Nie mój, tylko powszechny. Za czasów Jezusa nie było jeszcze szminek w użyciu.

- Nie było też prezerwatyw, a na ten temat księża mają określone zdanie - zauważyła jadownie Halina, ustawiając zestaw pełnych miseczek przy drugim śmietniku. Zebrała puste, wrzuciła je do plastikowej torebki. Ruszyły z powrotem do swojej kamienicy, posapując gniewnie. Halina stawiała duże, sportowe kroki, Dzikka drobila elegancko.

- Przypominam, że dzisiaj gotujemy u ciebie - odezwała się Halina, gdy znalazły się przy klatce schodowej Dzikki.

-

- Tylko się znowu nie spóźnij - rzuciła przyjaciółka i zniknęła w drzwiach.

Halina wiedziała, że Dzikka, włożywszy wrzosowy kapelusz i dopasowane do figury fioletowe krótkie paletko, za parę minut dołączy do szeleszczącego strumienia kobiet w beretach, kapeluszach i burych praktycznych płaszczach, który sunął ku żoliborskiemu kościołowi parafialnemu Świętego Stanisława Kostki. Co z tego, że dzisiaj wtorek, ona na poranną mszę chadzała prawie codziennie, niezależnie od pogody czy nastroju. Halina, natomiast, niezależnie od pogody czy nastroju, zabierała z mieszkania kijki i ruszała wzdłuż ich kamienicy, potem w dół, przez plac Lelewela i dalej, Bohomolca, by dotrzeć na trasę po Kępie Potockiej, gdzie co rano pokonywała szybkim marszem co najmniej trzy kilometry.

Jarcio wciąż chrapał za swoimi drzwiami. Zajmie się nim po powrocie ze spaceru, jeśli wnuk znowu jej nie umknie. Ostatnimi dniami zniknął gdzieś na całe godziny i z

pewnością nie prowadził wówczas rozmów związanych z pracą - jego marynarka wisiała w szafie nieużywana.

Doktor Ilona Maciejko wpatrywała się w powiększające lustro, część stałego wyposażenia gabinetu. Wyszło nie najgorzej. Zastrzyki z kwasu hialuronowego zrobiły swoje: już nie opadają kąciki ust i zniknęła dodająca wieku linia marionetki przy ustach, której tak naprawdę nie powinna jeszcze mieć w wieku lat trzydziestu ośmiu. W ampulce zostało trochę substancji, starczy akurat na wygładzenie policzków i wymodelowanie kości policzkowych. Tylko trzeba uważać, żeby nie wkluć się w naczynko krwionośne i nie zrobić sobie siniaka, bo zamiast amantki będzie wyglądać na ofiarę przemocy domowej. Uff, udało się. Ślady po wkluciach niedługo znikną, a na obrzmienie i rumień pomoże chłodzącojąca maseczka z alg. Za godzinę będzie mogła pokazać się światu młodsza o dziesięć lat. No dobrze, o siedem. Dziesięć sobie ujmie, gdy zlikwiduje worki pod oczami, ale to nie dzisiaj, bo tam siniaki powstają wyjątkowo chętnie, lepiej nie ryzykować tuż przed randką.

Jaką randką, spotkaniem rozpoznawczym, powtórzyła sobie. Raz lub dwa razy w miesiącu umawiała się z kolejną osobą z internetowego serwisu randkowego, żeby dać szansę losowi. Los jednak uparcie odwracał się do niej zadkiem. Nic to, będzie próbować, choćby po to, żeby całkiem nie zdziczeć. Uśmiechnęła się do lusterka. Cóż, lepiej niż przed zabiegiem, ale jednak siedem lat temu jej uśmiech wyglądał zupełnie inaczej. Nie było w nim tyle rozczarowania.

W kawiarni całe ściany zastawiono książkami. Po kątach siedziało mnóstwo samotnych ludzi i przewracało strony, popijając herbatę. Jak knajpa może się z tego utrzymać? Każdy kupi herbatę, a książkę przeczyta na miejscu. Osiem złotych zarobku za stolik zajęty przez dwie godziny. Razy dwanaście stolików...

Znajomy z Internetu już czekał, siorbiąc dyskretnie herbatę z cytryną. Pokażny brzusek, tonsura, pelikan

-(pod szyją. Jego niekorzystna fotografia nic a nic nie kłamała. Cóż, miało się wprawę w internetowych śledztwach i przewidywaniach. Nauczona doświadczeniem przystojnych skreślała od razu. Albo dawali stare zdjęcie, albo nie swoje, albo mieli po dwadzieścia lat i szukali kobiety, która chciałaby ich utrzymywać w zamian za daninę z młodego ciała. Facet w tym wieku nie miał prawa dobrze wyglądać, chyba że mieszkał w Hollywood. Temu dała plus na wejście: był prawdomówny.

Wpatrzył się w nią zmrużonymi oczami, przez chwilę studiował jej twarz, spojrzenie przesunęło się na sylwetkę, po czym umknęło gdzieś pod stół, skąd szybko zabrał teczkę i już w ogóle na Ilonę nie patrząc, czmychnął z sali. Na stoliku jeszcze parowała jego herbata,

białały rozsypane kryształki cukru jak ogryzione kosteczki bardzo drobnego ptaszka.

O co może chodzić, przecież ona też przesłała mu uczciwe zdjęcie, więc czego się spodziewał? Angeliny Jolie? Poszła do toalety, by sprawdzić, czy po zastrzykach nie pojawił się jakiś rumień czy siniak. Nic z tych rzeczy. Z bardzo bliska było widać kilka śladów wkłuc, ale w przyćmionym świetle knajpki nikt nie mógł ich zauważyć.

Wyszła z toalety i podeszła do lady. Niech przynajmniej coś z tego ma, przecież dzieci nie spodziewały jej się tak wcześnie.

- Świeży ten sernik?

Jadła ciasto, czytała kretyńską powiastkę o miłości, którą wypatrzyła na regale, i zastanawiała się, czy ów czterdziestokilkuletni siorbący grubasek naprawdę był jej potrzebny do szczęścia. Czy na tym wózku, który ciągnie samotnie, potrzebny jej jeszcze jakiś facet?

Spodziewała się, że w uniwersyteckiej knajpie miejsca będą okupować sami studenci, ale siedziało ich tu tylko kilku, przeważali starsi klienci. Na przykład tamten zwałisty misio, chyba już za poważny na studenta, choć ze zmarszczonym czołem, studiował jakąś książczykę, coś notował.

Czas iść, postanowiła, kiedy nadziała na widelczyk ostatnią rodzynekę. Włożyła kurtkę, zarzuciła chustę i ruszyła do drzwi, lawirując między ciasno ustawionymi stolikami.

- O, przepraszam. - Ciężka chusta przesunęła się po blacie obok zwałistego misia, na szczęście nie ruszyła filiżanki z herbatą, tylko zamknęła książkę, którą studiował. Rzuciła okiem na okładkę „Jak być prawdziwym twardzielem”. Parsknęła śmiechem. Spojrzał urażony. Światło lampy zaśniło na jego skórze. Coś ją zaniepokoiło.

- Przepraszam. To znamię barwnikowe na pana czole. Był pan z tym u lekarza?

- Ale o co chodzi?

- Wygląda podejrzanie. Przepraszam. - Sięgnęła po portfel, wyjęła wizytówkę. - Jestem lekarką, dermatologiem. Uważam, że powinien pan się zgłosić z tym do przychodni dermatologicznej.

- Nie do pani?

- Przyjmuję prywatnie.

- Myśli pani, że mnie nie stać?

- Nic nie myślę. Informuję. Nie zaczęłam pana dlatego, że mam za mało pacjentów, tylko dlatego że chcę panu pomóc, okej?

- Przepraszam.

- Badania można zrobić i na NFZ, i prywatnie. Ale niech pan nie zwleka.

- To rak?

- Zmiana, która może zezłościwieć, o ile dobrze widzę w tym świetle.

Wziął do ręki lampkę z czerwonym frędzlastym abażurem, która stała na stoliku, i zbliżył do czoła.

- Dermatolodzy mają lepsze lampy.

Już następnego dnia stał przed nią w samych slipach zawstydzony, że się musiał rozebrać. Osłaniał brzuch rękami. Choć młody, dorobił się już oponki, ale nie raziło to przy jego zwalistym, dużym ciele. Na bladej skórze miał dużo znamion, na szczęście żadne, poza tym na czole, nie wyglądało niepokojąco, nawet przez dermoskop.

- Może pan już się ubrać - powiedziała, co przyjął z widoczną ulgą.

W ubraniu odzyskał nieco animuszu. Stanął za jej plecami i spojrzął na monitor.

- Robiła mi pani zdjęcia?

- Mam tu fotografie wszystkich pana znamion. Przegram na płytkę, dostanie ją pan. Jeżeli pan przyjdzie do mnie za rok, porównamy, czy żadne nie urosło.

- Mam przyjść za rok?

- Zobaczymy się chyba wcześniej. Jest dużo znamion, powinien pokazywać się pan u dermatologa lub onkologa raz w roku. Natomiast zmianę na czole bym dla pewności od razu wycięła i sprawdziła, co to za diabeł.

- Teraz? - Zadrzał.

- A czemu nie?

- Ale... Ja się muszę przygotować.

- Potrwa to ledwie parę minut. I zrobię panu zabieg w cenie wizyty - namawiała, bo знаła ten typ: jeśli się raz przestraszy, to nigdy nie wróci. A z takich strachów wzięła się niejedna tragedia. - Tylko badanie histopatologiczne będzie dodatkowo kosztować. W laboratorium sprawdzą pod mikroskopem, czy komórki nie są złośliwe.

Lekko pchnęła go na fotel. Jęknął przy zastrzyku znieczulającym, rozluźnił się odrobinę, gdy rozmasowywała skórę, żeby znieczulenie szybciej zadziało, po czym zamknął oczy, gdy wzięła do ręki skalpel. Zacisnął usta i czekał na najgorsze.

- Kiedy pani zacznie? - spytał po dłuższej chwili.

- Już skończyłam.

- Naprawdę? - Dotknął z niedowierzaniem czoła.

- Ostrożnie!

Cofnął rękę. Zdezynfekowała ranę i zakleiła plastrem.

- Na razie zostawiłabym to miejsce w spokoju.

- Dużo mi pani wycięła?

- Samą zmianę. Z niewielkim marginesem.

- To to? - Wskazał na pojemniczek, w którym pływał krwawy strzępek. Zbladł.

- Tylko niech mi pan nie mdleje. Proszę sięść na fotelu, ja go zaraz opuszczę, nogi wyżej...

- Nie mam zamiaru mdleć - obruszył się.

- To nic wstydliwego, naprawdę. Chcę pana zobaczyć za pięć dni. Obejrzę, zdejmę szwy, popatrzymy na wynik badania. Następna wizyta w cenie zabiegu.

- Znaczący jesteśmy umówieni? - Spojrzał na nią z wahaniem.

Przyszedł po pięciu dniach jako pierwszy pacjent. Wypachniony, w miarę elegancki, ale z wypchaną reklamówką. Dopiero, gdy znaleźli się w gabinecie, wyciągnął z niej bukiet.

- Z podziękowaniem - wymamrotał zza kwiatów.

- Panie Jarosławie, mnie tu płacą. I to wcale nie najgorzej.

- Wiem. Ale gdyby mnie pani nie wypatrzyła w kawiarni...

Przyjęła kwiaty.

- Nie spyta pan nawet o wynik badania? Prawidłowy. Zmiana nie była złośliwa.

Patrzył na nią oszołomiony.

- Zapraszam za rok. Chyba że któreś znamię zacznie swędzieć, łuszczyć się, krwawić albo coś się z niego będzie sączyć, wtedy od razu. No i nie powinien się pan opalać. A wiosną, latem i jesienią smarować się dobrymi kremami z filtrem, najlepiej pięćdziesiątką.

Uścisnął jej rękę.

- Dziękuję. Naprawdę bardzo pani dziękuję. Uśmiechnął się. Miał nieoczekiwanie piękne zęby w tej misiowatej twarzy.

Kiedy Ilona wychodziła z pracy, zobaczyła go pod przychodnią.

- Tak sobie pomyślałem... - wymamrotał, gapiąc się w ziemię. - Bo pani lubi tę kawiarnię, Tarabuk... i ja też... - Przełknął ślinę i wyrzucił z siebie cicho: - Może byśmy razem się tam wybrali?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Doceniam to jako próbę komplementu. Ale po pierwsze, z zasady nie umawiam się z pacjentami. Po drugie, jest pan młodszy ode mnie o całe dziewięć lat. Po trzecie, Tarabuk źle mi się kojarzy.

Mina mu zrzędła, ale starał się trzymać.

- Nie musimy iść akurat do Tarabuka.

- Dzięki, jest pan bardzo miły. Ale spieszę się do domu.

Pozwoliła mu przejść z sobą jeden przystanek.

- Czym się pan właściwie zajmuje? Nastroszył się, przez co wyglądał już zupełnie jak niedźwiedź na Krupówkach.

- Jestem... Tak naprawdę... Może dam wizytówkę. Będzie prościej.

Nosił je w stosiku spiętym gumką, ledwie się mieściły w kieszeni. Przeczytała, co tam kazał wypisać, siłą się powstrzymała, by nie parsknąć śmiechem. Zauważył i najwyraźniej zrobiło mu się przykro. Żeby poczuł się lepiej, zleciła mu sprawę.

A potem z ulgą ruszyła do domu.

Jaro Trzaskowski cieszył się, że zdążył z odbiorem wizytówek przed badaniem lekarskim. Przynajmniej miał się czym pochwalić. Kosztowały grosze, więc kiedy wreszcie wpadł na pomysł, czym chciałby się zajmować, od razu zamówił sto sztuk.

Były zresztą jedyną rzeczą, którą mógł się pochwalić, bo przecież nie miał jeszcze żadnej agencji detektywistycznej. Agencja detektywistyczna! Ten pomysł wydał mu się idiotyczny już w momencie odbierania cholernych kartoników, a co dopiero, gdy lekarka spojrzała na niego z kpiną w ciemnych oczach. Były nauczyciel wuefu, gruby i uzależniony ekonomicznie od babci, bez stosunków, biura i siły przebicia, ma prowadzić jakieś śledztwa i jeszcze na tym zarabiać? A wydawało się, że pójdzie łatwo, tak myślał po artykule, który czytał parę dni temu w „Polityce”.

Doktor Ilona Maciejko onieśmiałała go, była starsza od niego o dziewięć lat - za mało, by umiał z nią swobodnie rozmawiać. Czuł się bezpiecznie dopiero przy różnicy wieku przekraczającej lat trzydzieści - panie po sześćdziesiątce umiał sobie owijać wokół palca, bez trudu, a nawet z rodzajem przyjemności, którą czują wirtuozi. Wiedział, co budzi ich zaufanie, szybko zgadywał, co lubią, wyczuwał najlżejsze drgnienie opadającej powieki i zaciśnięcie zwiędłych ust. Wtedy wiedział, że panuje nad sytuacją. Wszystko wymykało mu się z rąk tylko w towarzystwie dwóch wyjątków od reguły: przy babci i jej przyjaciółce Dwidce. Przy nich nie panował nad niczym, nawet nad własnym życiem, nawet nad własnym ciałem. Niechcący wywracał krzesła, tłukł wazoniki, zawadzał łokciem o książki, coś bąkał bez sensu. Dwidka już nawet nie komentowała, tylko wzdychała, wznosiła oczy do sufitu, natomiast babcia wygłaszała fałszywie uspokajające zdania. Jaro nie był pewien, co go bardziej drażni. Tak samo fałszywie babcia pocieszała go, gdy popadał w chandrę po kolejnych życiowych klęskach. Powtarzała: „życie przed tobą, następnym razem się uda” i „ależ oczywiście, że dasz radę!”. Jej pełne troski spojrzenie jednak nie kłamało - wcale w to nie wierzyła.

On też nie wierzył. W połowie każdego działania zatrzymywały go wątpliwości: czy podołam? Ponieważ odpowiedź na ogół brzmiała: „nie”, zostawiał wyzwania innym i wracał

przed swój bezpieczny komputer, gdzie najbardziej lubił się wdawać w dyskusje na forach internetowych. Tam mógł tłumaczyć innym: masz za mało wiary w siebie. Zapomnij o wątpliwościach, działaj. Sobie już nie musiał tego powtarzać. Wiedział.

A może nie powinien od razu zrezygnować? Przecież ta kobieta, lekarka o czujnych oczach, zaufała mu, zleciła osobistą i ważną dla niej sprawę. I zaledwie w parę godzin od momentu, gdy zdecydował, że chce być detektywem. Może to jakiś znak? A drugi znak: zadanie wcale nie jest trudne. Nie będzie nawet musiał nigdzie chodzić ani z nikim rozmawiać, żeby odnaleźć mężczyznę o nazwisku Tymoteusz Maciejko, który uczył angielskiego w prywatnej szkole i dwa lata temu rozstał się z żoną, doktor Iloną Maciejko. Prosta sprawa. Wyprostował się i ruszył do autobusu. W świecie z Internetem ludzie nie giną. Da radę. Zrobi to jeszcze dzisiaj wieczorem. Założy folder, zatytułuje go MOJE ŚLEDZTWA albo coś w tym guście, wpisze wszystko, co wie o sprawie, a potem znajdzie faceta. Porządek musi być.

A jutro, z rana, pójdzie do marnotrawnego męża i tam się dowie, co, do cholery, facet zrobił z obrazem Malczewskiego, który pani doktor odziedziczyła po rodzicach, a były mąż wyniósł z domu bez jej wiedzy.

Na myśl o konfrontacji Jarka aż ścisnęło w brzuchu. Zwolnił kroku i skulił się jak wtedy, gdy musiał prowadzić zajęcia w sali gimnastycznej z ponad dwudziestką zięjących agresją podrostków. Przecież nie wydobędzie od obcego faceta ani informacji, ani tym bardziej obrazu. No bo jak? Nigdy w życiu nie użył siły, co inni błyskawicznie wyczuwali, na przykład, jego uczniowie z gimnazjum.

Już nigdy nie zobaczy tej lekarki. Trudno. Nie był aż tak żaloszny, żeby się napraszać o zainteresowanie. Zresztą taka kobieta na pewno kogoś ma. Założyłby się, że wielu podoba się jej zaangażowanie w pracę, głos i pewność siebie, celowe ruchy rąk, ciepło palców. Kiedy stał w slipkach, na środku gabinetu lekarskiego, starał się myśleć intensywnie o surowym mięsie, o przejechanych kotach, o śmierci dziadka, byle tylko nie poddać się nastrojowi chwili oraz przyjemności, która mimo strachu przed rakiem pojawiała się, gdy jej gładkie dłonie dotykały pieprzyków.

Miał już ze trzy mokre sny z doktor Maciejko w roli głównej, więc rano szybko musiał namaczać pizamę, żeby babcia nie zauważyła; jednak spojrzenie, którym obrzucała jego namoczone w misce spodnie, świadczyło, że starsza pani, jak zwykle wie wszystko.

Halina lubiła komputer wnuka, bo pasjans na nim lepszy - nie można było oszukiwać - od układanego prawdziwymi kartami. I o tyle samo gorszy. Stawiała pasjansa na to, czy Jarcio wreszcie się usamodzielni. Karty nie chciały się ułożyć już od paru tygodni, ale nie

dawała za wygraną. Musi próbować. Zresztą jednocześnie uczy się posługiwać myszką, tłumaczyła sobie.

Zauważyła, że na pulpicie pojawił się nowy folder: MOJE ŚLEDZTWA. Coś takiego! Kliknęła dwa razy, tak jak się uczyła na kursie, po czym wczytała się w to, co Jarcio tam nawypisywał. Sprawa Ilony Maciejko, która poszukiwała męża, a tak naprawdę obrazu Malczewskiego, poruszyła ją do głębi. Raz, że faceci to jednak są dranie, dwa - że przecież chłopak nie da sobie rady z żadnym śledztwem. On i agencja detektywistyczna? Bzdura. On, z tą swoją szczerą twarzą, ma udawać jakiegoś Marlowe'a zdobywającego informacje siłą lub podstępem? On, jej pocciwy i prostoduszny (tak go wychowywała) Jarcio?

Przepisała kilka informacji z monitora i wyłączyła maszynę. Dość pasjansa, nadszedł czas na działanie.

- Agencja detektywistyczna? Zwariował? Nie da sobie rady. Przecież on jest zupełnie niesamodzielny. - Dzidka znowu zaczęła swoje.

- Przesadzasz. Od lat sam sobie radzi.

- Tyle że nie zarabia.

- Rozstał się z pracą ledwie dwa miesiące temu.

- Prawie trzy. I przez prawie trzy miesiące emerytka utrzymuje starego konia - skontrolowała z satysfakcją Dzidka.

- Raz on mnie, raz ja jego. Tak to jest z dziećmi. Ale co ty możesz o tym wiedzieć...

Halina jeszcze nie skończyła tego zdania, gdy zreflektowała się - przesadziła. Bezdzielnosc Dzidki była stanem nieodwracalnym, bo w tym wieku nie dało się odwrócić wielu rzeczy. Dzidka jednak, na szczęście, nie wyglądała na zranioną. Właśnie otwierała starannie wymalowane usta, żeby wypuścić kolejną jadowitą strzałę.

- Z jakimi dziećmi? Chłop ma dwadzieścia dziewięć lat. Halina, nie widzisz, że go krzywdzisz? Jemu zupełnie brak pewności siebie.

- A mnie się wydaje, że akurat o tym nic nie możesz wiedzieć.

- Chcę tylko powiedzieć, że jeśli będziesz wymagać opieki, on się tobą nie zajmie. On nawet sobą nie umie się zająć.

- Tobą też nikt się nie zajmie. Bo nikogo nie masz.

- Ale ja przynajmniej nie utrzymuję złudzeń za połowę emerytury.

Dzidka umilkła. Zamieszała kawę w filiżance tak, by łyżeczka nie zadzwoniła o ścianki. Wypiła łyżeczek, ściągnęła wargi w dzióbek. Wytarła dyskretnie palcem wskazującym ślad szminki z brzegu filiżanki. Spojrzała poważnie na Halinę.

- Właściwie dlaczego on zrezygnował z pracy w szkole? - spytała.

- Bo dzieciaki były tam strasznie rozbrykane.

- Jako nauczyciel wuefu miał chyba możliwość skierowania ich energii we właściwą stronę?

Niby miał, pomyślała Halina. Miałby, gdyby to były zwykłe nastolatki, jakich każdy by się spodziewał w gimnazjum rejonowym, a nie młodociani przestępcy, którzy napisali mu na plecach dresu WIELKI MASTURBATOR, z którym to napisem nieświadomy Jarcio chodził po szkole przez dobrych kilka godzin.

- Zresztą pensję miał marną.

- A teraz nie ma żadnej - przygwoździła ją Dzikka.

- Co on za pracę może znaleźć po tym AWFie?

- Może robić cokolwiek. Tak jak ja. Przypominam, że też jestem po AWFie. Przestań już.

- Co mam przestać?

- Mówić, że go źle wychowuję. Nie masz pojęcia o wychowaniu.

- Mam prawo mówić różne rzeczy, bo łamię mnie w kościach.

Dzikka zaczęła bębnić wypielęgnowanymi paznokciami w bok filiżanki.

- Jeśli stłuczysz filiżankę, będziesz ją odkupywać.

- Nic nie irytowało Haliny bardziej niż takie bębnienie.

- Jesteś ślepa, ot co - stwierdziła Dzikka.

- Skończmy już ten temat, proszę.

- Znowu tabu? Przyjaźń jest niemożliwa, gdy jest tyle tematów tabu. - Dzikka wsadziła ostatni sztych i znowu zabębniła.

Halina powstrzymała się od riposty, wpadła bowiem na nowy pomysł. Już jej głowa w tym, żeby wnukowi wreszcie coś się udało.

Na drobną starszą panią stojącą pod ścianą nikt nie zwracał uwagi. Kobieta w pewnym wieku robi się dla większości populacji niewidzialna, po czym w ślad za tym zaczyna zajmować coraz mniej przestrzeni - garbi się, przygina do ziemi, nawet jej oczy omiatają tylko skrawek podłogi przy stopach. Gdyby recepcjonistka nie potknęła się o nią, idąc do toalety, Halina mogłaby w szkole językowej Josephus spędzić niezauważona cały dzień.

- Pracuje u państwa taki nauczyciel... - zaczęła.

- Chwileczkę. - Dziewczyna nawet się nie zatrzymała. Kiedy wróciła, miała przypudrowany nos i usta pomalowane błyszczkiem.

- To o co chodzi? - przypomniała sobie.

- Otóż, proszę pani - Halina odezwała się słabym głosem - ten pan udzielił mi pomocy

i chciałam mu podziękować.

- Pan? Jaki pan? - spytała nieuważnie recepcjonistka. Halina wyjęła z torebki karteczkę i przesyłabizowała niezgrabnie: Tymoteusz Maciejko.

- Niech pani pokaże. - Recepcjonistce błysnęły oczy. - A, Tymoteusz. Co pani mówiła?

- Że ten pan udzielił mi pomocy parę dni temu i że chciałabym podziękować - powtórzyła cierpliwie.

- Tymoteusz? Pomocy? A niby jak?

Halina nie znosiła, kiedy ktoś mówił „niby jak”.

- Poratował mnie paroma groszami, gdy mi zabrakło pieniędzy w sklepie.

- Tymoteusz? Dał pani pieniądze?

Halina zaczynała rozumieć, że Tymoteusz nie był typem mężczyzny, który by poratował emerytkę w spożywczym.

- Tę panią, która z nim była, też to zachwydziło - wybrnęła szybko.

- A, w towarzystwie kobiety. - Recepcjonistka jakby się uspokoiła. - Jak wyglądała?

- Wie pani, mam krótki wzrok. - Czasem dobrze być starą, bo ma się mnóstwo usprawiedliwień. - No i czułam się zażenowana, że mi nie starcza na zakupy. Więc nie zwróciłam uwagi. To co? O której pan Tymoteusz kończy pracę? Zwrócę mu pieniądze i podziękuję...

- Problem jest taki, że on już tutaj nie pracuje.

- Pan Tymoteusz? Nie pracuje?

Sekretarka nieoczekiwanie położyła palec na ustach i spojrzała w głąb korytarza. Zbliżała się tamtędy kobieta w ciąży, podkreślonej jeszcze bluzką tak obcisłą, że wyraźnie uwydatniał się guziczek pępka. Cóż, kiedy Halina nosiła dziecko, ciężę się raczej ukrywało, niż podkreślało. Choć oczywiście od pewnego momentu tak całkiem się tego ukryć nie da.

- Przepraszam, czy ja dobrze słyszę? Mowa o Tymoteuszu? - odezwała się ciężarna.

- No i masz, jaka czujna - mruknęła sekretarka.

- Pani jest jego krewną? Znajomą? - Ciężarna przejechała spojrzeniem po Halinie, jakby szukała ukrytej broni.

- Dłużniczką - wyjaśniła Halina. Miała jak najgorsze przecucia co do charakteru związku łączącego ciężarną z niewidzialnym anglistą.

- Znaczy że Tymoteusz komuś coś pożyczył? - Dziewczyna zdziwiła się, jak przedtem recepcjonistka.

Halina czuła, że coraz bardziej nie lubi Tymoteusza Maciejki.

- Był w towarzystwie. - Recepcjonistka uniosła oczy ku niebu.

- A gdzie go pani widziała? - drążyła ciężarna.

- W sklepie Carrefour - wyjaśniła Halina. - W domu handlowym Arkadia.

- Dawno?

- Kurde mania, przestań, bo zachowujesz się jak jakiś pieprzony żaloszny detektyw - skomentowała recepcjonistka. Ciężarna nawet na nią nie spojrzała.

- W zeszły piątek. - Halina gorączkowo kalkulowała, czy nie popełnia właśnie błędu, bo za chwilę okaże się, że właśnie wtedy Tymoteusz był w delegacji. - Chyba w zeszły piątek. W każdym razie zanim otrzymałam emeryturę za wrzesień.

- O której?

- Jakoś z rana - odpowiedziała po chwili namysłu. Większość lekcji angielskiego odbywała się tutaj wieczorami, co stwierdziła, badając wcześniej plan zajęć.

- I od rana chodził z kobietą po sklepach? Kolacja ze śniadaniem, niech go cholera weźmie. Ciekawe, kto płacił za zakupy...

- Skoro ten pan już nie pracuje, może znają panie jego obecne miejsce pracy? Telefon? Adres? Cokolwiek? Panie rozumieją, dług wypada spłacić.

- Gdybym znała jego adres, to już bym siedziała w więzieniu - rzuciła ponuro ciężarna. - Za zabójstwo. Idę, bo nie powinnam się denerwować. A ty masz nie mówić, że jestem żaloszna - warknęła do recepcjonistki.

- Żaloszna - stwierdziła recepcjonistka, gdy ciężarna oddaliła się o parę metrów. - Nie wiem, na co ona liczyła. Tymoteusz nie jest facetem, który by chciał mieć dzieci. Jak człowiek wie, że jemu chodzi tylko o zabawę, to wszystko jest okej. - Nagle posmutniała.

- Skoro pani nie ma do niego kontaktu, zostawię numer do mnie, na wypadek gdyby pan Maciejko jednak się pojawił.

- Chwileczkę. - Recepcjonistka rozejrzała się po korytarzu. - Mam jego numer telefonu. Ale top secret, bo tylko mnie go podał, więc jeśli pani komuś wygada, będzie wiedział, że wyszło ode mnie. Ale jemu niech pani powie, że to ode mnie, okej?

Halina przepisała numer do notesu, włożyła beret, element charakteryzacji na mocno starszą panią, i skierowała się w stronę drzwi wyjściowych.

W głębi korytarza oparta o ścianę stała ciężarna. Wyglądała na bardzo smutną. Halina jednak wiedziała, co ją może ucieszyć.

- Przepraszam, pokazałaby mi pani drogę do wyjścia? - poprosiła.

Ciężarna oderwała się od ściany, a Halina wzięła ją pod rękę. Gdy tylko znikną z zasięgu wzroku recepcjonistki, da dziewczynie telefon do tego drania.

Kiedy Jarcio trawił, zawsze stawał się trochę ociężały. A dzisiaj miał prawo być ociężały podwójnie, bo po sprawdzeniu, czy numer do Tymoteusza odpowiada prawdzie, Halina nagotowała górę kopytek z gulaszem wołowym.

- Jaruś, chciałeś się uczyć angielskiego, prawda?

- Oj, babciu, ale ci się przypomniało...

- Znalazłam nauczyciela.

- Przedtem muszę na to zarobić. - Zupełnie nie wydawał się zainteresowany. I nie był to wyłącznie wpływ kopytek.

- Pieniądze może i by się znalazły. Moja znajoma od kotów - i tak nie będzie wiedział, o kogo chodzi

- ma córkę, którą uczył. Podobno przystępnie tłumaczy

- zmyślała na całego. - Zadzwoń do niego, co ci szkodzi.

- Nienawidzę, jeśli coś załatwiasz za moimi plecami. Nie mam teraz czasu na żadne lekcje - burknął, ale wziął kartkę z jej wyciągniętej dłoni. Przyjrzał się nieuważnie zapisanemu nazwisku, po czym skamieniał.

- Babciu, skąd to masz? Aha!

- Zupełnie mnie nie słuchałeś, prawda? Już przecież tłumaczyłam. Ta pani od kotów ma córkę... - Wiedziała, że kotami błyskawicznie go zniechęci do drążenia tematu. I rzeczywiście, Jarcio tylko pokręcił niedowierzająco głową i zniknął w swoim pokoju.

Podarowała mu Tymoteusza na tacy, a teraz żywiła nadzieję, że z resztą poradzi sobie sam.

Siwy filował zza okna z nadzieją na lepszą zabawę. Większość staruch od kotów wlokła się noga za nogą, ta jednak szła sprężystym krokiem amerykańskiego koszykarza. Miała zresztą na nogach sportowe buty, co wyglądało dziwacznie. Stara baba chyba nie planowała joggingu? Zwłaszcza że ręce miała wypełnione pojemnikami, z których wyciekały brunatne syfy. Ustawiała je przy domkach dla kotów (te cholerne kociary przegłosowały na zebraniu lokatorów, że przy śmietniku mają stanąć trzy budy dla smrodliwych sierściuchów). Siwy z niecierpliwością czekał, aż baba się odezwie.

- Kiciuś? Gdzie jesteś? Śniadanie! Kiciuś, ty kocie przekłety! - Nie na próżno czekał na tę nutę niepokoju w jej głosie.

Widział, jak sportowe buty pojawiają się z lewej strony śmietnika, potem z prawej. Niech szuka. On już od poprzedniego wieczoru wiedział, że Kiciuś się nie pojawi.

- Kiciuś, zostawiam ci jedzenie na talerzyku. A wy mu nie zjedzcie, paskudy, wam już dawałam.

Babina wyłączyła tryb nawoływania i włączyła tryb skanowania - jej niebieskie oczy przeczesywały okolicę. Zatrzymały się na dłużej na jego oknie, jakby wiedziały, że ktoś czai się za firanką. Cofnął się w głąb pokoju, ale nie był pewien, czy błękitne przeczesywacze nie zdołały go przedtem namierzyć.

To nie jest dobry dzień, myślała Halina. Jarcio ciągle nie wracał. Martwiła się, że nie poradził sobie z Tymoteuszem Maciejką, albo że coś mu się stało, niepokoiła się, tym bardziej że nie odbierał komórki. Może wyładowana, pocieszała się, ale złe przeczucia kiełkowały. A jeśli próbował odebrać ten obraz siłą? I facet go skrzywdził?

Na domiar złego Kiciuś się nie pojawił, nie widziała go od śniadania, więc po raz kolejny wyszła obejść podwórko. Koty są terytorialne, rzadko wypuszczają się poza swój obszar, chyba że mają na celu podbój świata, ale to raczej nie leżało w charakterze Kiciusia, wojowniczości miał w sobie niewiele. Gdyby jego losy potoczyły się inaczej, mógłby - po wykastrowaniu i obcięciu pazurów - stać się ozdobą jakiejś kanapy. Ponieważ jednak los chciał, by został na podwórku, Kiciuś leżał całymi dniami na budce transformatora pod krzewem tamaryszku i z góry patrzył na to, co się dzieje dookoła. Dzisiaj jednak daszek budki był boleśnie pusty.

Halina rozejrzała się po włościach Kiciusia. Śmietnik przepełniony, mieli wywozić dopiero jutro rano, tam więc z powodów oczywistych raczej nikt miejscowy nie ładowałby zwłok. A poza tym wszystko wyglądało jak poprzednio. No, może poza stosem liści zgrabionych w kącie podwórza. Stos wydawał się wyższy niż wczoraj, a nie podejrzewała dozorca, by kiwnął palcem ponad normę nakazującą mu grabić raz na dwa dni. I rzeczywiście. Trąciła kupkę liści, osypały się trochę, akurat na tyle, by odsłonić pasiaste futerko. To był Kiciuś, zeszywniały, z pętlą drutu zadzierzgniętą wokół cienkiej szyjki. Płakać jej się chciało nad młodym życiem, tak raptownie zdmuchniętym, i nad tym, że są ludzie zdolni do uduszenia kota, do patrzenia jak kona w męce.

Niecierpliwie czekała, aż się ściemni, cały czas przy oknie, popatrując to na niebo, to na chodnik, gdzie spodziewała się zobaczyć wreszcie Jarcia. Dzidka gdzieś zniknęła, pewnie znowu na cmentarzu. Halinę denerwowało, że przyjaciółka tak dokładnie wpasowała się w stereotyp: z rana do kościoła, po południu na cmentarz. I jeszcze ta ohydna szminka...

Jaruś pokazał się dopiero, gdy Halina zeszła już na dół i wbiła saperkę w ziemię pod tamaryszkiem. Tu Kiciuś najbardziej lubił rezydować, więc tego miejsca popilnuje po śmierci. Tylko trzeba go zakopać głęboko, żeby psy nie wywęszyły.

- Dlaczego babcia nie powiedziała, że znów trzeba pochować kota? - odezwał się Jarcio. Zgarbiony jakiś, przybity, ale o ile mogła ocenić, cały. Pewnie mu nie poszło. Dostał

faceta na tacy, lecz po raz kolejny nie umiał skorzystać z okazji. I jak tu zachować cierpliwość?

- Bo ty się w ogóle tym nie interesujesz! - wypaliła. - Następny kot otruty, a ty nic z tym nie robisz!

- A co mam robić?

Wcisnęła mu w rękę saperkę, na którą spojrzął jak na ciało obce. Strasznie ją denerwowało to jego bierne rozmamłanie.

- Kopżeż, bo dozorca znowu będzie chciał wzywać sanepid.

- Sanepid? - spytał Jaruś leniwie. Znowu przestał się ruszać. Miała ochotę puknąć go w czoło.

- Skoro tak często przesiadujesz w domu - nie mogła sobie darować - mógłbyś czasem spojrzeć przez okno, na koci domek i okolice, czy nikt podejrzany się nie kręci. Taka mała robota detektywistyczna.

Nareszcie przebudził się z tego stuporu.

- Detektywistyczna? Babciu, znowu zaglądałaś do mojego komputera?

- Ja? Nic podobnego. - Co jak co, ale kłamała perfekcyjnie. Miała w tym pięćdziesiąt lat praktyki.

- Na pewno?

- Jarcu, a na co mi komputer? W moim wieku?

Patrząc na nią podejrzliwie, pomógł jej złożyć do małego grobu sztywne kocie ciało owinięte połową prześcieradła. Zakopali dół, obłożyli darnią, żeby miejsce wyglądało jak wcześniej, i nie lubiąc siebie nawzajem, poszli do domu.

Siadła w salonie przed telewizorem, żeby obejrzeć serial o sfrustrowanych gospodyniach domowych, kobietach pięknych, zgrabnych i podłych do szpiku kości, które zawsze potrafiły dopiąć swego. Trudno jej było jednak się skupić, bo Jarcio buszował po kuchni, wykonywał nerwowe telefony, otwierał i zamykał lodówkę, odkręcał i zakręcał słoik z ogórkami oraz stukał pokrywą chlebaka, co znaczyło, że metodycznie wyjadał cały chleb i całą wędlinę, jaka była w domu. Przetrzywała to. Kiedy jednak zaskwierczał tłuszcz na patelni, a po domu rozniósł się zapach kotletów, które zostawiła na jutro, nie wytrzymała i wtargnęła do kuchni.

- No, jak tam nauczyciel? Zapisaleś się na lekcje?

- Nie - warknął Jarcio i odwrócił kotlety.

Już się szykowała, żeby zwrócić mu uwagę na to, kto jutro robi obiad, skoro dzisiaj ma on zniknąć w jego coraz bardziej przepastnym brzuchu, kiedy wnuk nagle wybuchnął:

- Jeśli chcesz wiedzieć, to on nie żyje! Ja go znalazłem! I właśnie byłem przesłuchiwany!

Nagle znowu wyglądał jak biedne, grube, bliskie płaczu porzucone dziecko. A ją zalała fala poczucia winy: proszę, co narobiła. Ciągany po posterunkach, przesłuchiwany, podejrzany, z widokiem trupa pod powiekami. Ale by się Dzikka z niej śmiała, gdyby wiedziała, że Halina wpakowała Jarcia w śledztwo w sprawie zabójstwa.

Nie miała jednak zamiaru jej o tym mówić.

Podejrzany, jej wnuk. Biedny dzieciak. Biedny. Przytuliła tę jego wielką głowę, kiedy się schylił, i stali tak, aż do głosu doszły kotlety, objawiając smrodem spalenizny rozczarowanie, że zupełnie przestali się nimi interesować.

Halina, dzisiaj bez Dzikki, która pognała gdzieś w swoich makijazach i fioletach, szła jak zwykle poranną trasą do śmietnika, gdzie miała zebrać puste kocie miseczki i postawić nowe. Jarcio zawsze zrzędził, że zawała kuchnię pustymi pojemniczkami po jogurcie; to prawda, piętrzyły się w stosach na wszystkich blatach i w większości szafek. Jarcio... Z jakim zaufaniem przytulił się wczoraj do niej. Dawno tego nie robił, dopiero teraz zrozumiała, jak za tym tęskniła.

Szła szybko, starając się nie patrzeć na grób Kiciusia, by nie wzbudzać w sobie żalu po zabitym zwierzaku. Dawała długie kroki, jak zwykła robić od siedemdziesięciu lat, czyli od czasu, gdy nauczyła się chodzić. Młody chłopak przed nią leniwie szurał stopami. Nienawidziła szurania. Co za pokolenie?

Dość! - skarciła siebie, wymijając szuracza. Żadnego narzekania na młodzież! To jedna z oznak starości, które wpisały z Dzikką na czarną listę (kolejną była szminka na pomarszczone usta, o czym Dzikka zdawała się nie pamiętać). A młodzież szura, bo nikt jej uwagi nie zwrócił. Ona Jarciovi zwracała i co? Szura? Nie szura. Wczoraj tylko trochę, gdy wracał z przesłuchania.

Za to się garbi. I bez przerwy coś je. Martwiła się tym bardzo. Jako dziecko szczupły nie był, kiedy jednak wyrósł, zaczął wyglądać całkiem całkiem: duży, wysportowany chłopak. Potem jednak nabrał zwyczaju zajadania stresów pracy w gimnazjum, a gdy rzucił szkołę, jadł już właściwie przez cały dzień: co chwila wstawał od komputera, żeby sobie zrobić kanapkę, aż nie nadażała z zakupami.

Dobrze Dzikce mówić, że to Jarcio powinien chodzić do sklepu. Halina wiedziała, że wnuk od razu powrzucałby do koszyka same batony i napoje energetyczne. Sama takich trucizn nie kupowała. No i proszę, nawet teraz może poszczycić się niezłą figurą. Miała na to swój sposób: jeść zdrowe rzeczy, do syta, o stałych godzinach i dużo się ruszać. Wiadomo że

po osiemnastej już nic, ale to przecież oczywistość. Rano i wieczorem oblatywała wszystkie kocie stanowiska na osiedlu, nie tylko w ich kamienicy, ale i w dwóch innych przy Cieszkowskiego, zaglądała nawet na podwórko przy Krechowickiej. Przed południem szła na godzinę na kijki, potem po zakupy na bazarek, a przed spaniem robiła jeszcze pięćdziesiąt brzuszków. Nie umiała bez tego zasnąć, tak się przyzwyczaiła od czasu studiów na AWFie.

Kiedyś robili brzuski razem z Jarcim. Kiedyś, zanim się pogrążył w degrengoladzie.

Co gorsza, wydarzenia dnia wczorajszego wcale mu nie pomogą w nabraniu chęci do życia. Z trudem wydusiła z niego opowieść, jak, czekając na policję, wtargnęli z niejaką Joanną Weredą do mieszkania Tymoteusza Maciejki. Szczur szalał w klatce, głodny i zły, a nauczyciel angielskiego ciasno skrępowany taśmą klejącą siedział w kuchni, przymocowany do krzesła i martwym, pełnym męki wzrokiem wpatrywał się w kałużę krwi, która pokrywała prawie pół podłogi.

Przesłuchujący Jarusia policjant od razu zaczął go traktować jako podejrzanego. Halina miała pokusę, żeby zadzwonić na komendę i zrugać policjanta za złe traktowanie wnuka, ale szybko ją odpędziła, bo już sobie wyobraziła jadowite komentarze Dzidki. Mogła natomiast zrobić coś innego.

Spojrzała w górę. Ładny był ten wrzesień, na niebie ciągle błękit i kłębiaste chmurki dla ozdoby. Kichnęła od nadmiaru słońca, zerknęła na zegarek i przyspieszyła kroku.

Jarkowi wcale nie chciało się wstawać. Ale i spać nie mógł, bo co zamknął oczy, przypominała mu się zastygła w grymasie męki twarz nauczyciela angielskiego, jego oczy powleczone mgiełką, jakby odbijał się w nich brudny sufit, brązowe bryzgi krwi na twarzy, na koszuli, jak promienie koła namazane grubym pędzlem. Potworny środek koła tworzył skrzep, który przykrywał dziurkę w szyi, na przeciętej tętnicy, jak skojarzył Jaro, tyle jeszcze pamiętał ze studiów. Krwi było dość, żeby zalać brzuch i spodnie oraz utworzyć kałużę na podłodze. Nad kałużą widniały sine stopy z ponacinanymi podeszwami. Jaro pamiętał szarawe dłonie, najpewniej krew przestała dopływać do rąk wkrótce po tym, gdy ktoś skrępował je taśmą klejącą i przytwierdził do poręczy krzesła. Od czasu śmierci Maciejki musiało upłynąć już trochę czasu, bo jego twarz pod plamami krwi nabrała dziwnych kolorów, o czym Jaro bezskutecznie starał się zapomnieć. Jak i o strasznym zapachu, który wypełniał szczelnie mieszkanie, aż trudno było nabrać powietrza.

Kiedy stwierdził, że Tymoteusz nie żyje, szybko wyszedł z kuchni i - mimo że w szoku - poszedł rozejrzeć się po jednopokojowym mieszkaniu. Obrazu Malczewskiego nigdzie nie było, gwóźdź nad kanapą sterczał żałośnie nad plamą zacieku. Jaro zdążył nawet zerknąć za szafę, zanim, wraz z podejrzliwą sąsiadką denata, wyszli na klatkę schodową,

gdzie w milczeniu czekali na policję.

Przesłuchujący go policjant drążył i drążył, jakby miał przed sobą głównego podejrzanego. Może dlatego, że z nerwów Jaro wygadywał brednie na temat tego, co robił wieczorem dwa dni wcześniej. No bo co robił? Po południu zadzwonił do Tymoteusza, żeby się umówić na spotkanie. Tyle konkretów. Ale poza tym co miał opowiadać? Że jadł kopytka? Oglądał pornosy w Internecie? Udawał, że szuka pracy na portalach internetowych? Babcia też nie byłaby żadnym świadkiem jego alibi, bo przecież biegała po sąsiadkach, karmiła koty i chodziła po zakupy. Milczał więc i czekał, aż ten koszmar się skończy.

Halina stała na klatce schodowej w kamienicy Tymoteusza Maciejki przed obliczem kruchej starszej pani (musiała to być Joanna Wereda, o której wspominał Jarcio) i zastanawiała się, jak zacząć rozmowę. Przymknęła oczy, wzięła głęboki oddech i jak zwykle dała się prowadzić intuicji.

- Chciałam zapisać wnusia na angielski do tego pana, ale widzę, że nic z tego. - Machnęła ręką w stronę zaplombowanych przez policję drzwi mieszkania nauczyciela angielskiego.

- Ano nic z tego - przyznała pani Wereda. Głos miała cichy, drżący ukrytym tremolo. - Świętej pamięci on już jest. Taki młody człowiek... Taki sympatyczny... I nową bluzkę zawsze zauważył, i fryzurę skomplementował.

- Nie żyje? Jakiś wypadek?

- Powiem pani prawdę: ktoś go załatwił.

- Załatwił?!

- Przepraszam za język potoczny, ale chciałam uniknąć poważnych określeń. Chyba niesłusznie, gdyż sprawa jest poważna. - Pani Wereda zmarszczyła czoło. - Zwłoki ledwo widziałam, nie lubię zwłok, od wojny staram się na nie nie patrzeć. Jest tyle przyjemniejszych widoków, prawda?

- Święta prawda - zgodziła się chętnie Halina.

- Siedział w kałuży krwi, cały oklejony taśmą, tyle zauważyłam i musiałam zaraz wyjść, słabo mi się zrobiło... - Joanna Wereda zamilkła.

- Nic dziwnego - wtrąciła Halina. - Spokojny dom, porządna klatka schodowa... Śmiała to przecież dobra ulica, jeszcze przedwojenna. A tu nagle morderstwo?

- Na mój gust mogły to być jakieś porachunki mafijne. Ale policjanci najbardziej się skupili na byłej żonie.

- Skąd pani wie?

- Huczą głośno ci funkcjonariusze, słyhać było na całej klatce, kiedy rozmawiali w

mieszkańcu pana Tymoteusza. - Znaczyło to prawdopodobnie, że Joanna Wereda przesiadywała przy uchylonych drzwiach swojego mieszkania, żeby nic nie uronić z policyjnych rozmów. Halina w każdym razie tak by zrobiła. - A potem pokazali mi zdjęcie i spytali, czy ta osoba tutaj przychodziła. Zadałam pytanie, czyja to fotografia, bo - powiedziałam - jeśli się nie dowiem, nie powiem ani słowa. I żeby grzecznie mi wszystko wytłumaczyli, złapałam się za serce, o tak, to zawsze robi wrażenie na młodych ludziach.

- Ico?

- I zrobiło wrażenie. Prawdę mówiąc, nigdy nie miałam kłopotów z sercem. Za to ten policjant aż się o nie prosi, ja pani mówię, jaki on miał brzuch...

- Ale co z tym zdjęciem?

- To była ekszona pana Tymoteusza. Taka sobie pani, nic specjalnego. Starsza chyba od niego. Zawsze zresztą miałam wrażenie, że on lubi starsze...

- Żona odwiedzała go tutaj?

- Czy ja cały czas przy drzwiach urzęduję i wszystkich gości sąsiada oglądam?!

Halina tak właśnie myślała, ale nie powiedziała tego głośno. Podobała jej się rezolutna kobieta ze zdrowym sercem, pomyślała nawet, że powinna się z nią bliżej poznać i zaprosić ją na kijki. Bo też Dzikka nigdy nie dawała się na te ćwiczenia namówić. „Kijki? Bez nart?” - Krzywiła nos, a Halina miała wtedy ochotę ją udusić.

Joanna Wereda również patrzyła na Halinę z sympatią. Swoją swego zawsze pozna, a już w tym wieku na pewno, oto co znaczy doświadczenie i znajomość ludzkiej duszy. Halina mogłaby się założyć, że jedyne radio, którego słucha pani Wereda, to dwójka z muzyką klasyczną. Schludna, elegancko ubrana, z ładnym srebrem na smukłych nadgarstkach i na szyi. I... Nie, to muszą być halucynacje. Niemożliwe, żeby komuś ruszała się kieszeń swetra. Halina przetarła oczy. I wtedy z kieszeni wychynęła wąsata szurza mordka.

Pani Joanna pogłaskała gryzonia, po czym podsunęła go do pogłaskania Halinie. Ta mogła się cofnąć niestety tylko o krok, bo ograniczała ją ściana.

- Wabi się Dżek - oznajmiła Joanna Wereda. Halina pożegnała się z nią szybko, bez podawania dłoni i bez odrywania pleców od ściany, po czym ruszyła ku schodom. Niestety, ze wspólnych kijków chyba nici. Nienawidziła szurów jeszcze bardziej niż bohater powieści „Rok” Orwella.

Jaro, wbrew oczekiwaniom Ilony, okazał się cholernie skuteczny; natomiast życie, zgodnie z przewidywaniami, po raz kolejny cholernie niesprawiedliwe. Nie chodziło o to, że Tymoteusz nie żyje. Z tym już się pogodziła. Tak naprawdę prawie poczuła ulgę, że zrzuciła z pleców kłopotliwy balast oczekiwań - już nigdy nie będzie się łudzić, że może liczyć na

byłego męża. Koniec. Zamknięte. Facet, któremu pozwoliła kiedyś zrobić sobie dwójkę dzieci, leży teraz w szufladzie policyjnej kostnicy, a jego zbyt figlarny kutasek, który im obojgu przysporzył niemałych kłopotów, spoczywa bez życia na martwym udzie. Gorzej, że ulgę zdominowały żal i gniew: eksmąż przepuścił jedyny majątek, jaki swoim wnukom zostawili jej rodzice - obraz Jacka Malczewskiego. To było jedyne dobro, które dodawało jej otuchy, dzięki niemu czuła się czasem bezpieczna.

Przesłuchanie na policji doprowadziło ją do szewskiej pasji. Od razu na początku wygarnęła im wszystko, jak leci. Że kiedy prosiła, by go odszukali, bo nie płacił ani grosza alimentów, a jeszcze obrabował swoje dzieci, to gównem znaleźli, a, gdy wykitował, znalezienie jej, byłej żony, nikomu nie sprawiło problemów. Że są skuteczni tylko kiedy idzie o męskie sprawy. Chciała dalej wylewać żale do świata, ale policjanci popatrzyli po sobie, któryś mruknął: „cholerna feministka” i zaczęli ją maglować. A gdzie była, a co robiła, a kiedy się z Tymoteuszem ostatnio widzieli i tak dalej. Więc oznajmiła:

- Naprawdę myślicie, że go zabiłam? Niby po co? Gdy żył, przynajmniej miałam nadzieję, że kiedyś mi zacznie płacić na dzieci. I że zwróci mi obraz, który po rozwodzie ukradł z domu. Co miałyby mi dać jego śmierć?

Ktoś burknął, że kobiety nie kierują się logiką. Natomiast wieść o obrazie Malczewskiego szybko pozwoliła policjantom wpisać do akt „przypuszczalny motyw rabunkowy zabójstwa”.

Ilona była wściekła. Na policjantów, którzy w swojej bezmyślności wyciągnęli najłatwiejszy wniosek; na pracodawców Tymoteusza, bo kryli go przed nią; ale najbardziej na siebie, że zaufała byłemu mężowi na tyle, by zostawić go samego w mieszkaniu, gdy po rozwodzie przyszedł z wielkimi torbami spakować swoje rzeczy. Minęły już dwa lata, a ją ciągle trzęsła stara wściekłość.

Do tłumu osób, które musiała przyjąć, gdy po przesłuchaniu dotarła wreszcie do pracy, recepcjonistka dopisała jej wszystkich pacjentów Kamili Stec, drugiej dermatolożki z ich prywatnej przychodni. Doktor Stec bowiem zniemacka poprosiła, żeby dać jej dzień wolny z przyczyn rodzinnych. Ilona zacisnęła zęby i starała się jak najszybciej zredukować w poczekalni kolejkę z zakrętasem, kolejkę burzącą i gotową do awantury. Każdy następny pacjent był bardziej wkurzony od poprzedniego i wypominał, że nie dość, iż płaci za wizytę, to jeszcze musi na nią czekać, jak w państwowej służbie zdrowia. Ilona starała się nad sobą panować, nie wypowiedzieć ani słowa za dużo. Zresztą - pomijając wszystko inne - dyskusja na ten temat zabrałaby jej kolejne minuty cennego czasu. Bliska erupcji, trzy godziny po czasie, wkroczyła do pokoju lekarskiego, by przebrać się i ruszyć do domu. I wtedy trafił ją

szlag.

W lekarskim za komputerem siedziała bowiem doktor Kamila Stec. Ze skupionego spojrzenia oraz ruchów myszą Ilona wywnioskowała błyskawicznie: Kamila gra w rzymskie puzzle. Albo w tetrisa. W każdym razie w jakąś grę, gdzie trzeba jak najciaśniej coś poukładać - Kama była niezła w pedantycznych czynnościach.

- Dobry cholerny wieczór - warknęła Ilona. - Widzę, że się relaksujesz.

Kamila odwróciła wzrok od monitora. To musiały być jednak puzzle. Od tetrisa nie oderwałaby wzroku ani na chwilę, bo mogłoby to grozić katastrofą.

- Jak tam ważne sprawy rodzinne? - Wulkan we wnętrzu Ilony tętnił przed wybuchem.
- Właśnie przyjąłem dwunastu twoich pacjentów. Dziewięciu miało pretensje, że nie jestem tobą. Trzech twoich i dwudziestu moich wrzeszczało, że musieli czekać po kilkadziesiąt minut na wizytę.

Koleżanka spojrzała na nią, nabrała powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, po czym z oczu puściły jej się dwa strumienie łez.

- Zły adres - szczeknęła Ilona. - Na mnie nie działają durne babskie sposoby.

- Moja mama zaginęła - załkała Kamila.

Przez Ilonę przetaczały się burze, jedna za drugą. Wrzeszczeć? Współczuć? Wierzyć? Karcić?

- Jak to? - wykrztusiła.

- Wyszła z domu i nie wróciła. Czekałam na ciebie, żebyś mi dała namiar do tego swojego pacjenta detektywa. Może on coś wymyśli. Bo ja - nic.

Od jak dawna nikt go nie odwiedzał w domu? Teraz też Jaro wcale nie miał na to ochoty, wolałby kawiarnię, ale kobieta zaznaczyła: chcę się spotkać u pana w biurze. Spanikował i zaczął jej wyjaśniać, że przecież nie ma biura, ale po paru słowach przerwał: postara się udawać profesjonalistę. Trudniejszym zadaniem niż kolejna robota detektywistyczna stało się teraz nakłonienie babci, by opuściła dom na parę godzin, a on dyskretnie przyjmie interesantkę. Sondowanie starszej pani o plan dnia przy śniadaniu (kajzerki, jajecznica i ogórki kiszona) doprowadziło jednak do tego, że pełna podejrzeń zaczęła studiować gazetę, popatrując na niego zza artykułów. Cała jej postawa wyrażała niezłomne „za nic nie wyjdę z domu, bo planujesz coś nabroić”. W panice rozważał inne możliwości. Od razu skreślił spotkanie w parku czy w świetlicy osiedlowej, relikcie, który przetrwał do dzisiaj w suterenie ich kamienicy. Mógł co najwyżej poprosić kumpla o udostępnienie mieszkania. Kurde, zupełnie jakby nadal był nastolatkiem i bał się ujawnić przed babcią, że chce przelecieć panienkę w łóżku rodziców.

Poszedł do toalety, siadł na sedesie, przy czym zawsze upierała się babcia, i gapiąc się na rysy na drzwiach, komponował przemowę, licząc, że uda mu się uniknąć nieprzewidzianych zwrotów akcji. Umył ręce i wrócił do kuchni.

- Kawy? - Wyjął z szafki włoską maszynkę.

- Ja zrobię. - Babcia się poderwała. - Gdy ostatnio zakręciłeś kafetierę, musiałam iść do pana Musiała, żeby mi ją rozkręcił.

Fatalny początek.

- Cóż, ma się tę krzepę. - Uśmiechnął się. Babcia lubiła, gdy się uśmiechał, ale tym razem szczerzenie zębów trafiło w próżnię, bo właśnie skupiała się na dziubaniu wykałaczką w ubitej w pojemniczku kawie, wyznawała bowiem teorię, że wtedy napój zyskuje dodatkową głębię smaku. Nie polemizował.

- Co byś powiedziała, gdybym został prywatnym detektywem? - Poczul się, jakby skoczył na główkę do akwenu pełnego zdradliwych wirów.

Babcia odstawiła kafetierę i spojrzała na niego. Już nie miał odwagi się uśmiechać.

- Powiedziałabym, że jestem zaskoczona. Myślałam, że po AWFie będziesz raczej prowadzić toernngi indywidualne. Albo lekcje pływania. Albo zajęcia w klubie fitness.

Nie wytrzymał nerwowo, sięgnął po ostatnią, tak samo jak on samotną kajzerkę.

- Fitness? Byłbym niewiarygodny. Jestem za gruby. Babcia przeniosła wzrok z jego twarzy na kajzerkę.

Odłożył bułkę.

- A co byś powiedziała, gdybym miał już wizytówkę agencji detektywistycznej? I biuro?

- Spytałabym, gdzie to biuro.

- Wygląda, że tutaj. - Chciał rzucić lekko, ale raczej wyjąkał.

- Twój pokój czy salon?

- Chyba lepiej salon. Tak przy okazji, zaraz przyjdzie klientka.

- W takim razie bierz się do odkurzania. I pokaż wizytówkę.

To było owocne spotkanie, zwłaszcza że babcia szczęśliwie nie opuściła kuchni. Jaro najpierw był spięty, podchodził nawet kilka razy do drzwi, by ku zdziwieniu klientki, otworzyć je znieacka, ale po kilkunastu minutach uwierzył, że babcia jednak da mu spokój. Rozluźnił się, wypytywał Kamilę Stec o zaginioną matkę jak fachowy prywatny łaps - znał takie rozmowy z filmów. Zgnębiona kobieta patrzyła na niego z bezgranicznym zaufaniem, co sprawiło, że wszedł w rolę opiekuńczego samca. Kiedy zaczęła płakać, podsunął jej nawet pudełko z chusteczkami. Nie był onieśmielony, może dlatego, że szczupła, bezbarwna Kamila

o podkrążonych oczach i nerwowych ruchach w ogóle nie jawiła mu się jako obiekt seksualny.

Teraz stał przy oknie i z półuśmiechem patrzył, jak klientka, złożywszy swoje problemy na jego barki, odchodzi w stronę samochodu. Urósł w sobie, gdy pomyślał, że główna bohaterka jego mokrych snów, doktor Ilona, uwierzyła w niego na tyle, by polecać koleżankom. To znaczy... To znaczy, że mu się udało.

Kiedy Kamila zniknęła mu z oczu, włączył komputer i wziął się do roboty. On nie da rady? Pewnie, że da, zwłaszcza że na jego umiejętności zdała się już druga kobieta. Wstukał do wyszukiwarki nazwisko poszukiwanej, czując się jak wirtuoz. Geniusz klawiatury, król hakerów, demon informacji, które zdobywa bez wysiłku, bez konfrontacji (wchodząc w starcia co najwyżej z firewallami]. Jeszcze im wszystkim pokaże. W spodniach zrobiło mu się ciasno. Jednak do pożądanego niepotrzebny obiekt, zdziwił się, wystarczy samozadowolenie.

Zajrzał do koperty ze zdjęciem matki Kamili Stec. Twarz całkiem do rzeczy, szczupła, bystre oczy, całość postarzały tylko krótkie kręcone włosy, czyli fryzura na rudego pudła popularna wśród starszych pań.

Kamila Stec po raz ostatni widziała matkę rano, we wtorek, piętnastego września. Lekarka poszła do pracy, a Agnieszka Zaufał odprowadziła wnuczkę do przedszkola. Miała po nią zająć około szesnastej, jak zwykle, ale nie pojawiła się w przedszkolu aż do siedemnastej trzydzieści, do godziny zamknięcia. Za dziesięć szósta wściekła wychowawczyni zadzwoniła do Kamili, żeby wreszcie zabrała bachora i pozwoliła jej iść do domu.

Nikt więcej Agnieszki Zaufał nie widział. Nie przyszła do pracy (miała pół etatu w prywatnej spółce obsługi księgowej), nie wróciła na noc do domu (do dzisiaj minęły już dwie noce). Z domu zabrała pieniądze na drobne wydatki, płaszcz, beret i torebkę, to co zwykle. Mogła zasłabnąć? Stracić przytomność, co sugerowano Kamili na policji? Mogła, ale to mało prawdopodobne - pani Zaufał była w świetnej formie, i umysłowej, i fizycznej - chodziła nawet na gimnastykę rehabilitacyjną. Jej córka już drugi dzień obdzwaniała szpitale i komisariaty, ale ślad po starszej pani zginął.

Niestety, Agnieszka Zaufał była nieobecna również w Internecie. Jaro już jakiś czas temu zauważył, że o starszych osobach w necie rzadko się pisze, to raczej młodym nie udaje się prześlizgnąć przez życie bez zostawienia śladu w sieci.

Co zatem miał robić? Wywiesić ogłoszenia, jak o zaginionym kocie? Należałoby chyba pochodzić i popytać

- sąsiadki, współpracowników... Na samą myśl o takim działaniu robiło mu się

niedobrze ze strachu. Żeby jeszcze ktoś mógł mu zagwarantować, że w trakcie poszukiwań napotka same starsze panie. Niestety, trzeba będzie rozmawiać nie tylko z kobietami w wieku sześćdziesiąt plus, ale i z tymi młodymi, atrakcyjnymi. No i z mężczyznami. Ręka sama mu się wyciągała do jego ulubionej gry Mario, kiedy zatrzymał się w pół ruchu. Ilona wierzy w niego. Nie może jej zawieść. Choć na razie - ciasnota w spodniach stawała się zbyt dotkliwa

- na razie obejrzy sobie króciutki film o masażu w wykonaniu pewnej zgrabnej Azjatki.

Halina uważała, że należy działać szybko. Tyle że Jarcio wcale nie chciał opuścić swojego pokoju. Po wyjściu klientki stukał w komputer, przerywał, znowu stukał, tak zajęty, że nawet nie wchodził do kuchni po herbatę.

Wreszcie ona wtargnęła do niego. Zamknął laptopa i spojrzał na nią, jakby mu przeszkadzała.

- Woda oligoceńska się skończyła.
- Przecież wczoraj przyniosłem pięć litrów.
- Oj, przynieś, Jarcu, bo nie mam jak gotować.
- Teraz? - spytał męczeńskim tonem. Podała mu pusty baniak.

Odczekała, aż trzasną drzwi wejściowe, wnuk nigdy nie umiał ich cicho zamknąć, i otworzyła jego komputer. Czytała, co napisał w folderze MOJE ŚLEDZTWA, walcząc z pokusą, by poprawiać błędy ortograficzne.

Śpieszyła się, bo przejście na Hozjusza do ujęcia wody przy kościele, napełnienie baniaka i powrót nie zajmowały mu na ogół więcej niż piętnaście minut, a minęło już pięć. Rozległ się dzwonek do drzwi, ale postanowiła nie reagować, choć warczał jak młot pneumatyczny. Jarcio specjalnie taki zainstalował, zakładając, że jeśli babcia jeszcze nie jest głucha, to zapewne niedługo ogłuchnie. Nie protestowała zadowolona, że wykazał jakąkolwiek inicjatywę. Dzwonek uparcie gwałcił ciszę, a ona czytała kolejne dane, wyciągnęła kartkę z ryzy, by zanotować ważniejsze informacje, nie było czasu, by iść po własny notes. Intruz za drzwiami jednak nie ustawał. Zrobiło jej się głupio: ktoś wie, że ona jest w domu, a ona udaje, że jej nie ma. Jak rozkapryszona nastolatka. Pobieгла do drzwi.

Na wycieracze stała Teresa, sąsiadka z klatki obok, jedna z tak zwanych babć od kotów (Halina sama używała tej degradującej nazwy, bo była najprostsza) z wypchaną reklamówką. Twarz kobiety była przepelniona rozpaczą.

- Siądź w kuchni i poczekaj - zlitowała się Halina. - Muszę skończyć coś bardzo pilnego. - Wyciągnęła rękę, by wprowadzić sąsiadkę do kuchni. Wtedy w jej dłoni wylądowała reklamówka. Ciężkawa, tak ze trzy kilo.

- Zajrzyj tam. - Głos Teresie drżał.

Halina zobaczyła w torbie tylko czern. Wyciągnęła rękę, dotknęła zawartości. Zwój ciemnego futra? Zrozumiała.

- Znowu uduślił kota - oznajmiła sąsiadka. - Kto?

- Dusiciel. Halinko, nie możemy tego tak zostawiać. Proponuję dyżury obywatelskie przy kocich domkach. Złapiemy kanałkę.

- Lepiej przy oknie z widokiem na kocie domki. Przez całą dobę. Bo moim zdaniem on uderza w nocy.

Siedzieli roztrzęsione w kuchni przy tragicznej reklamówce.

I tak zastał je Jarcio, przydźwigawszy dwa baniaki wody oligoceńskiej.

Halina na zgrzyt klucza zerwała się i pobiegła w popłochu do jego pokoju, by zatrześć ślady zbrodni. Niestety, Jaruś wparował tam w chwilę po niej, akurat na czas, by ujrzeć, jak spłoszona Halina podrywa się zza biurka. Z miną prokuratora spojrział w monitor.

A tam zobaczył otwartą w googlu stronę z wpisanym w nagłówek hasłem „Jak znaleźć mordercę kotów”. Z osłupieniem wpatrywał się w wyszukiwarke.

- Nie chciałeś mi pomóc, a ja już jestem bezradna, w kuchni mamy kolejnego zabitego kota, zresztą sam mówiłeś, że w googlu można znaleźć wszystko - paplała, żeby odwrócić jego uwagę od paska na dole ekranu, gdzie było widać tytuły pootwieranych dokumentów.

- Zdechły kot? - zainteresował się i poszedł do kuchni.

- Nie zdechły, zamordowany - krzyknęła, szybko zamykając na pulpicie komputera dokumenty, w których grzebała. - I powiedz pani sąsiadce „dzień dobry”.

Weszła tam wkrótce po nim.

- Teresko - zagadała - Teresko, jestem pewna, że mój wnuk nam pomoże. Sama zobacz, czym się teraz zajął. - Położyła na stole wizytówkę.

Jarcio posłał jej urażone spojrzenie. Ale - nie myliła się chyba - jednocześnie wypiął pierś, jakby czekał na udekorowanie medalem.

Sąsiadka wyciągnęła z kieszeni okulary, włożyła na nos i przestudiowała kartonik.

- Jaro Trzaskowski, agencja detektywistyczna Jarex

- przeczytała. - No no! Jarku, przepraszam, panie Jaro, nie wiedziałam, że pan jest taki dobry w śledztwach. Cieszę się, że pan pomoże babci i znajdzie drania, który dusi koty. To ważna sprawa, niech pan sam zobaczy.

- Wyciągnęła przed siebie reklamówkę z makabryczną zawartością.

Jarcio zajrzał do środka i się skrzywił.

- Babciu, myślałam, że żartowałaś.

- Nigdy nie żartuję, jeśli chodzi o koty - odparła Halina. - W każdym razie, jeśli chodzi o martwe koty. To co, czujesz się zaangażowany?

Nie mógł wyjść z oszołomienia.

- Pro bono oczywiście - dodała szybko Halina.

- To znaczy za darmo? - uściślił Jarcio. Halina spojrzała na niego groźnie.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy - zapewnił i okrążając reklamówkę, wycofał się do siebie.

- Udał ci się chłopak - skomentowała Teresa. - To co? Wieczorem? Z łopatkami? Proponuję ten trawnik przy parkingu.

Halina zamiatała w przedpokoju, słuchając Jarkowego chrapania. Nie budziła wnuka, wiedziała, że wczoraj, po drugim przesłuchaniu, na które go wezwano, nie mógł zasnąć. Do późnej nocy kręcił się po domu, stukał kubkami, trząsał drzwiami lodówki. Była pewna, że nieźle go przycisnęli, choć nie udało jej się wydobyć z Jarcia żadnych konkretów. Niech się wyśpi, może będzie żwawszy.

Podłogę zaścielała ziemia, która wczoraj w nocy osypała się z saperki po pogrzebie kota, a którą wnuk skwapliwie rozniósł po całym domu. Kto się uwziął na te nieszczęsne zwierzaki? Jarcio obiecał, że się tym zajmie, ale nie wierzyła, że cokolwiek wskóra. Zresztą zanim się do tego zabierze... To ona powinna podyżurować przy oknie, może zastawić pułapkę przy kocich domkach, ale uznała na razie, że pilniejsza jest pomoc w Jarciovym śledztwie. Przecież ze znalezieniem Tymoteusza poszło im całkiem nieźle, poza końcówką oczywiście. Teraz powinna skupić się nie tylko na poszukiwaniach mordercy (żeby oszczędzić Jarusiowi wykańczających przesłuchań), ale i na zlokalizowaniu miejsca pobytu Agnieszki Zaufał, żywej bądź umarłej.

Miała oczywiście wątpliwości, czy brnąć dalej w tę fikcję. Jeśli będzie mu pomagać, Jarcio uwierzy, że podoła pracy detektywa, po czym może nawet, wyprowadzi się z domu, i dopiero wtedy stanie w obliczu prawdy, a rozczarowanie będzie dla niego bardzo bolesne. Jeśli natomiast Halina zostawi sprawy swojemu biegowi, agencja niebawem padnie, a chłopak nie wyprowadzi się, bo nie będzie miał za co, i do reszty straci wiarę w siebie. Będzie leżał, wyjadał chleb i wędlinę, siedział przy komputerze i hodował coraz większe brzuszysko, a ona zamartwi się, widząc, jak wnuk ostatecznie marnieje. Przypatrywała się obu możliwościom, analizowała je, aż wreszcie uznała, że jednak lepiej będzie pomóc mu w śledztwach.

Bała się powiedzieć o wszystkim Dzidce, nie miała siły, by znieść następną porcję wyśmiewania, rad i pouczeń oraz krytyki jej sposobu wychowania. Zwłaszcza że od jakiegoś czasu nie miała przekonania co do efektu swoich wychowawczych zabiegów.

Jarcio, poziewując, drapał się pod pizamą; zasiadł nad jajami sadzonymi. Nie wyglądało, by planował dzisiaj jakiegokolwiek śledztwa. I wtedy w kieszeni jego pizamy zadzwonił telefon. Spał z telefonem? - zdziwiła się Halina. Co za czasy, i zaraz ofuknęła się w myślach - przecież zwrot „co za czasy” umieściły z Dzidką na liście wyrażen zakazanych. Wnuk drgnął, zerknął na ekranik, wyprostował się, powiedział głębokim głosem „Haaalooo”, po czym wybiegł z kuchni, by zamknąć się w swojej sypialni. Przemawiał jednak donośnie, więc Halina nie uroniła ani słowa. Zwłaszcza że właśnie zobaczyła tuż pod jego drzwiami jeszcze odrobinę ziemi do zmiecienia.

- Tak, dzień dobry... Jakie kłopoty?... Dobrze, zaraz będę.

Halina chwyciła śmietniczkę z ziemią w obie dłonie, żeby ostrożnie donieść ją do kuchennego kubelka. Wróciła do przedpokoju po szczotkę, akurat na czas, by wywąchać, że Jarcio po raz pierwszy użył wody kolońskiej, którą dała mu na Gwiazdkę. Po chwili wyszedł z łazienki, już ubrany, i wziął się do czyszczenia butów. Zasznurował je, włożył kurtkę, zerknął jeszcze w lustro, przyczesał włosy.

- Skończę jeść śniadanie, kiedy wrócę. - I wyszedł z domu.

Spojrzał w lustro?! Halina szybko sięgnęła po buty.

Oczy miała podkrążone prawie jak Kamila Stec, ale to co w Kamili go raziło, w Ilonie Jarkowi się podobało. Jego zdaniem wszystko miała ładne. I okrągłą twarz, i okrągłe piersi, i przedramiona bez śladu mięśni, sama falująca miękkość.

Stał teraz przed witryną kawiarni, w której się umówili, i patrzył, jak Ilona pochłania ciastko. Szybko i zachłannie, jakby to miał być jej ostatni posiłek w życiu. Dopiero gdy wyskrobała talerzyk i oblizała łyżeczkę, podniosła wzrok znad blatu i zobaczyła Jarcia wpatzonego w nią przez szybę. Na twarz i szyję wylał jej się rumieniec. Miło, kiedy kobieta tak reaguje na widok mężczyzny.

- Nie zdążyłam zjeść śniadania... - zaczęła się tłumaczyć, kiedy podszedł do stolika.

- Ja też nie, bo zaniepokoił mnie pani telefon...

- Co im pan o mnie nagadał? - przerwała mu. - Dlaczego zostałam wezwana po raz drugi na policję? Skąd wzięli nowe dane na temat mojego udziału w sprawie? Słucham, niech się pan wytłumaczy.

Na oskarżycielsko wysuniętej dolnej wardze wisiał okruszek. Od kiedy Jarcio go zauważył, nie umiał się skupić na niczym innym. Spuścił wzrok na stolik.

- Bo kiedy mnie wczoraj wezwali po raz drugi, uznałem, że jednak im powiem prawdę.

- Prawdę? - zdziwiła się.

- Na temat pani udziału w sprawie. - Zrozumiał, iż nie są to właściwe słowa, bo okruszek zadrżał oskarżycielsko. - Na pierwszym przesłuchaniu przemilczałem, że to na pani polecenie szukałem Tymoteusza Maciejki. Powiedziałem im po prostu, że chciałem się umówić na lekcje.

- Zwariował pan! Dlaczego pan skłamał?

- Żeby panią ochronić.

- Niby przed czym?

- Bałem się, że to panią obciążą - tłumaczył gorączkowo. - Ale gdy wezwali mnie po raz drugi, powiedziałem już wszystko. Wtedy zaczęli wypytywać, w jakim my pozostajemy związku i tak dalej - zaczerwienił się - i dlaczego panią najpierw kryję, a potem przestaję...

- Teraz wszystko rozumiem. Ładny mi prywatny detektyw, który wkopuje swoje klientki!

- Pani Ilono, ale... powiedziałem im, że nie znała pani adresu Tymoteusza Maciejki.

- Tak im pan powiedział?

- Szczerą prawdę przecież. Że wołałem najpierw sam zorientować się w sytuacji, wy badać co z obrazem i dopiero pani dać znać, gdzie mieszka Maciejko. Jak pani mogła go zabić, nie znając adresu? Więc jeśli jest pani niewinna...

- Jeśli? - warknęła i zacisnęła usta, aż zbieleły. Okruszek spadł wreszcie na blat stołu.

Wstała, włożyła płaszcz, wzięła torebkę i wyszła.

Odprowadził spojrzeniem jej mocne łydki w czarnych rajstopach. Poślinił palec i dotknął drobiny ciasta. Przylepiła się. Patrzył na nią przez chwilę, po czym włożył do ust. Była zachęcająco słodka.

Już z daleka widziała, że Jarcio popadł w kłopoty. Harpia miała głodne oczy, chociaż pożarła ciastko, a on i tak patrzył na nią jak w tęczę. Halina najpierw zaglądała przez szybę, wreszcie odważyła się wejść do środka. Naciągnęła beret na oczy (nigdy nie nosiła beretu), podniosła kołnierz bardzo starej kurtki, której Jarcio nie mógł pamiętać, i od razu siadła za kolumną. Środki ostrożności okazały się jednak zbyt słabe - wnuk nie miał szansy jej rozpoznać, bo nie odrywał psiego spojrzenia od twarzy kobiety. Cóż, na pewno nie była ona osobą, dla której powinien się perfumować. Po pierwsze, miała chyba z pięć lat więcej od niego. Wyglądało też, że nie uprawiała sportu, a stesy leczyła słodyczami. Halina skuliła się za filarem, skąd doskonale słyszała, że harpia mówi do Jarcia podniesionym głosem. Szkoda, że tak trudno było rozróżnić słowa.

Co to za kobieta? Gdzie ją poznał? Prawda, Jarcio ostatnio ciągle zniknął, ale przecież nie perfumował się ani nie czyścił butów przed wyjściem, jak dzisiaj. Wyglądało więc, że

sprawa jest świeża. Ale skoro świeża, dlaczego kobieta na niego krzyczy? Na krzyki nadchodzi czas w dalszym etapie trwania związku, ale wtedy człowiek już się tak ochoczo nie perfumuje przed randką. Nic się nie zgadzało.

Harpia syknęła, poderwała się z miejsca, narzuciła kurtkę i poszła, a Jarcio został z idiotyczną miną, po czym wsadził palec do ust. W pierwszym odruchu Halina chciała go w ten palec klepnąć, ale w drugim naciągnęła beret na oczy i wyślizgnęła się z kawiarni, nie dopijając tego koszmarnie drogiego czegoś w papierowym kubelku, co tu nazywali caffè latte.

Harpia, należy przyznać na jej korzyść, szła szybko, dużymi krokami. Pierwsza pozytywna cecha. Doszła do czteropiętrowego budynku i zniknęła w środku. A co to za szyldzik wisi nad wejściem? Zespół lekarzy dermatologów? Czyżby leczyła tu jakąś brzydką chorobę?

Halina wparowała do przychodni. Kobiety już nie widziała. W holu przy ladzie recepcyjnej siedziała znudzona sekretarka. Starsza pani w berecie przyciągnęła jej uwagę ledwie na jedną setną sekundy, co Halinę trochę rozbawiło, bo śmiesznie być niewidzialną, a trochę zdenerwowało, bo niemiło być lekceważoną. Po chwili powróciła harpia, tym razem w fartuchu lekarskim. Zaraz, czy pierwsza klientka Jarcia nie była przypadkiem lekarką dermatologiem?

Zdenerwowana po przesłuchaniu i też irytującej rozmowie z Jarosławem Trzaskowskim Ilona dotarła wreszcie do pracy. Ciekawe, czy Kamila znowu wrobi ją w podwójną szychę, którą trzeba będzie odwalić w pośpiechu i nerwach, czego wcale nie wynagradzają pieniądze - sześćdziesiąt pięć złotych za pacjenta, co bO stanowiło pięćdziesiąt procent kwoty, którą pacjent płacił przychodni.

Na szczęście Kamila pojawiła się w pracy o właściwej porze, a nawet chwilę wcześniej. Nieuważnie dopinała guziki dopasowanej fartuchosukienki w kolorze bladozielonkawym. Twarz miała dzisiaj podobnej barwy, z ciemnymi workami pod oczami, bo najwidoczniej zapomniała nie tylko o śnie, ale i o makijażu. Z cerą nieprzyjemnie kontrastowały czerwone oczy.

- Mama nie znalazła się jeszcze? - wywnioskowała Ilona.

Kamila pokręciła głową. Miały chwilę do pierwszego pacjenta, więc Ilona zaparzyła kawę dla nich obu.

- Kto odbierze małą z przedszkola?

- Sąsiadka. Ale muszę jej zapłacić.

- Jak ten detektyw? Trzaskowski? Co powiedział?

- Nie wiem - Kamili napłynęły do oczu łzy - nie wiem, czy on da radę. Wydaje się

taki... łagodny. Tylko udaje twardziela. Jakby się naoglądał „CSI Miami”.

- Co to jest?

- Serial o glinach. A on nie wygląda na glinę.

- No nie - zgodziła się Ilona. - Raczej na Misia Puchatka.

Parsknęły śmiechem. Dobra nasza, Kamila się śmieje.

- Właśnie - odezwała się, już trochę mniej zielonkawa - co taki misio może zrobić, skoro cała policja szuka mamy i nic?

- Po pierwsze, nie cała. Myślisz, że oni się bardzo przejmują zniknięciem jakiejś starszej pani?

Kamili zaszkliły się oczy, więc Ilona szybko dodała:

- Na pewno jej szukają, ale jeśli ktoś ma ją znaleźć, to prędzej on. Nie mogłam namierzyć Tymoteusza przez prawie dwa lata, a Jaro wyszukał go w trzy dni. Sama widzisz. No nie bucz, nie bucz, znajdzie ci mamę. - I wbrew sobie, bo nie lubiła takich czułości, przytuliła łkającą Kamilę.

Ilona zajęła się dermatologią, by się nie stykać bezpośrednio ze śmiercią, niemniej kilka godzin obcowania z cudzymi problemami i tak przygniotło ją do ziemi. Było tego trochę: jedna hipochondria (widywała tę panią nie rzadziej niż raz na dwa tygodnie, ciągle z nowo wykrytą dolegliwością), jedna pacjentka ze zmarszczkami (twierdziła, że właśnie z powodu zmarszczek zdradza ją mąż, a w oczach miała rozpacz), dwie opryszczki, atopowe zapalenie skóry, trzy trądziki (nastoletni właściciel jednego z nich był bliski samobójstwa - nic dziwnego: wyglądał, jakby wpadł pod kosiarkę), dwa powakacyjne czerniaki (na szczęście nieduże, a więc dobrze rokujące) i jakaś koszmarna łuszczycza brodawkująca. Onkolog na pewno miewa gorzej, ale wcale jej to nie pocieszało. Przeciwnie.

Ruszyła pieszo do domu. Miała nadzieję wypocić z siebie ten zalew ludzkiego nieszczęścia oraz współczucie, jakim napełniła ją bezradność Kamili. No i wściekłość, którą czuła, gdy myślała o beztroskiej postawie policji. Co prawda spacer opóźnił dotarcie do domu o mniej więcej pół godziny, lecz skutkowało obniżeniem napięcia o jakieś pięćdziesiąt procent, więc

- czyniąc w duszy matczynej rachunek sumienia - doszła do wniosku, że jednak dzieci na tym zyskają.

Od paru już lat próbowała radzić sobie z gniewem z dala od domu. Wściekłość narodziła się w niej chyba wtedy, gdy Ilona zrozumiała, że źle wybrała męża i już za późno, by wymazać go z życiorysu, skoro zdążył zmałstrować jej dziecko. Musiała brnąć dalej w związek z facetem, który nie umiał przejść obojętnie obok żadnej kobiety między szesnastym

a sześćdziesiątym rokiem życia. W zamian za to, że dał jej dziecko i status mężatki, wymagał, by co rano czekały na niego w szafie wyprasowane koszule, które wieczorem po zdjęciu z siebie rzucał na pralkę, skąd je podnosiła, starając się nie zauważać śladów szminki i nie czuć damskich perfum, które nic a nic nie przypominały CK One używanego przez nią. Co jakiś czas Tymoteusz nalegał, by w łóżku czekało na niego jej chętne ciało, niezależnie od tego, ile innych danego dnia zdążył zaliczyć. Ten ostatni mało rozrywkowy obowiązek najbardziej unaocznił jej potworny błąd, jaki popełniła. By przetrwać, zamykała oczy i starała się myśleć nie o Tymoteuszu, który nieuważnie dotykał jej piersi, lecz o doktorze Pniewskim, koledze z pracy. Sympatyczny Krzysztof Pniewski co rano witał ją w przychodni kawą i pamiętał nawet, że Ilona lubi dużo mleka i zero cukru. Z wdzięczności zatem myślała o doktorze wtedy, gdy mąż myślał o seksie. Miała nawet pokusę, by spróbować, czy doktor Pniewski tak samo dobrze sprawdza się w łóżku, jak przy ekspresie, ale wstydziła się zaproponować mu cokolwiek. Zresztą szczeniackie byłoby łamanie przysięgi małżeńskiej, tylko dlatego że rozpaczliwie potrzebowała odrobiny ludzkiego ciepła.

Pozwalała sobie natomiast na szaleństwa w wyobraźni. Mąż pochrapywał, a ona myślała o delikatnych dłoniach doktora Pniewskiego i zastanawiała się, gdzie się kończy linia włosów porastających jego nadgarstki. Wyobrażała sobie, że się z nim kocha, snuła scenariusze długiej i czulej gry wstępnej, dynamicznej kontynuacji oraz poruszającego ziemie spełnienia. Tak ją te wizje czasem podniecały, że nie mogła potem zasnąć. Kiedyś nawet obudziła męża, żeby w jej myślach odegrał rolę doktora. Zamknęła oczy i fantazjowała o wymyślanym kochanku, gdy Tymoteusz robił swoje. Zaskoczyła go wykazaniem inicjatywy i siebie również, bo pod wpływem namiętności zapomniała odgrodzić się od Tymoteusza prezerwatywą, czego logiczną konsekwencją było drugie dziecko. Przez chwilę liczyła, że ciąża spowoduje renesans związku, ale Tymoteusz ani na jotę nie zmienił swoich zwyczajów.

Po rozwodzie miała poczuć się wolna, ale poczuła się jeszcze bardziej wściekła. Wściekłość poruszała jej stopy, napędzała wypowiedzi i płonęła w brzuchu jak ogień pod pokładem parostatku. Od gniewu na męża, który złamał jej życie i ukradł obraz, niedaleko już było do gniewu na siebie, że źle go wybrała i pozwoliła mu zrobić sobie dwójkę dzieci, co będzie ich niestety łączyć do końca życia, tak jak cholerne jego nazwisko. A kiedy już strasznie pogniwiała się na siebie, zaczynało ją wściekać wszystko dookoła. Zżymała się więc na źle zaparkowane samochody, przez które nie można normalnie przejść ulicą; na za krótko działające zielone światło, przez które trzeba podbiegać na pasach; drażniła ją szefowa, która nie rozumiała, co to znaczy mieć w domu dwójkę dzieci czekających na

mamę, i ciągle dorzucała jej pacjentów po godzinach.

Wściekła szła zatem piechotą do pracy, z Powiśla na Żoliborz, wściekła wracała. Chodziła na spacer, gdy inni chodzili na papierosa, i wracała nachodzona po wręby, co pomagało jej uporać się z gniewem aż do końca dnia w przychodni, gdy szła wychodzić sobie wieczorny zapas chodzenia, by znieść przebywanie w mieszkaniu, gdzie jeszcze wisiały szafki krzywo zamocowane przez jej męża i siedziały dzieci, patrzące na nią oczami swojego ojca.

Teraz też wyszła z kliniki i ruszyła piechotą do domu, a rytm kroków wprowadzał trochę porządku i spokoju w jej wstrząsany nieustającymi nawałnicami mózg.

Na doktora Pniewskiego na początku się nie wściekała, co więcej, miała wrażenie, że jego obecność ją uskrzydla, lubiła ten zadowolony wzrok, który parkował na różnych miejscach jej ciała. Potem jednak zaczęło ją drażnić, że Pniewski powtarza w kółko te same frazy, jakby jego mowa była układanką z ośmiu części, taką dla młodszych przedszkolaków. Chciało jej się wyć i drapać, kiedy po raz kolejny słyszała, jak opisuje kogoś jako osobę miłą i sympatyczną; jak znowu szepcze, że ich szefowa jest cwaną gapą; no i jak po raz setny komplementuje ją, Ilonę, że jest gorącą trzydziestką.

- Temperaturę mam trzydzieści sześć i sześć - odpysknęła kiedyś i odstawiła z hukiem do kuchennego zlewu nienaruszoną kawę, którą jej zrobił.

Potem musiała jeszcze częściej chodzić nad Wisłą, bo ilekroć pomyślała o Pniewskim, to się wkurzała. Teraz dopiero rzuciło jej się w oczy, że jej niedawna sympatia nieustannie ociera palcem wilgotną górną wargę, że siorbie, popijając kawę, że non stop ciamka gumę, zupełnie jakby był sam we wspólnym pokoju lekarskim, a przecież przesiadywali w kilka osób, co też ją drażniło, to nagromadzenie ludzi, nieustanny hałas, dźwięki cudzych rozmów telefonicznych, flirtów i przekomarzań oraz zmęczone westchnienia w drugiej połowie dnia pracy, które przetaczały się przez pomieszczenie jak huragan Katrina.

Nie tylko Ilona przemierzała trasę nad Wisłą, gdy wracała z pracy do domu. Nadrzeczny szlak upodobało sobie wielu, nie tylko młodzież, ale i starsze panie z kijkami do nordic walkingu oraz truchtający czterdziesto - i pięćdziesięciolatekowie. Oni gonili umykającą młodość, a ona uciekała przed naporem furii.

Spocona, ale już prawie spokojna, dotarła wreszcie do domu. Kiedy otworzyła drzwi, zaskoczyła ją cisza. Wyglądało, że wcale nie musiała się śpieszyć. Wero przechowywała się u koleżanki, a Jaśka ukrywała się u siebie, gdzie zapewne buszowała po Internecie. Ilona miała nadzieję, że nie po stronach sklepów z dopalaczami. Mogła oczywiście założyć blokadę, ale taka blokada, jaką ona umiałaby założyć, nie stanowiłaby problemu dla Jaśki.

- Cześć, córko!

Szurumburum, zabrzmiało z pokoju po dłuższej chwili.

Cóż, ktoś może by to nazwał życiem rodzinnym.

Musiała ugotować zupę, zrobić sałatkę, odmrozić kotlety i iść po Wero, więc kompletnie nie miała czasu się martwić o swoją nastolatkę. Ani też niczym denerwować, choć puste miejsce po Malczewskim aż kłuło w oczy. Że też kierowana idiotyczną nadzieją na odzyskanie dzieła jeszcze nie powiesiła tam nic innego. Przejdzie się po młodą, na pewno jej się polepszy. Narzuciła kurtkę i zbiegła ze schodów.

Zaraz po wyjściu z klatki schodowej napatoczyła się koleżanka z bardzo dawnej pracy, która wbrew oczekiwaniom Ilony, wcale nie wykrzyknęła: Jak wspaniale wyglądasz, kochana! Odmłodniałaś czy co? W zamian zauważyła:

- Musisz być bardzo zmęczona.

Pewnie, że czuła się zmęczona. A kto by nie był, po przyjęciu dwudziestu pacjentów, ostatecznej utracie spadku w postaci obrazu oraz po dwóch przesłuchaniach, gdzie ciągle sugerowano, że to ona zabiła eksmęża. Ale tego już koleżance nie powiedziała.

Zamiast trumny na podwyższeniu stała zielonkawa urna z tabliczką Tymoteusz Maciejko, -.

Pogrzeby starców zawsze skłaniały Halinę do niewesołych refleksji matematycznych. Ile mi brakuje do ich wieku? Ile czasu będę jeszcze igrać z kostuchą? Natomiast pogrzeby młodych ludzi dawały jej przewrotne poczucie, że po raz kolejny przechytrzyła los. Teraz jednak samozadowolenie gdzieś zniknęło, gdyż urna ze sproszkowanym Tymoteuszem wcale nie kojarzyła się jej z chwilowym zwycięstwem nad losem, lecz symbolizowała sprawę do załatwienia. Stawało się to coraz bardziej naglące, odkąd Halina zobaczyła, że Jarcio siedzi tuż za lekarką, wpatrzony wzrokiem wiernego jamnika w jej plecy. Co jakiś czas Ilona odwracała się do niego i coś szeptała. Na pogrzebie własnego męża, no, no. Halina żałowała, że nie usiadła bliżej, może dotarłoby do niej jakieś słówko, a wnuk i tak by jej pewnie nie rozpoznał wpatrzony w plecy ukochanej. Zresztą Halina dzisiaj również przyodziła się w strój maskujący: pół twarzy zasłaniał jej puchaty szary beret, pożyczony od Teresy, drugie pół szalik w kratę, jeden z tych, które Władysław wręczał jej na Gwiazdkę, a ona dziękowała i odkładała na pawlacz. Jej bury płaszcz pamiętał jeszcze czasy Gierka, sprzedawano wtedy taką naftalinę, że żaden mól go nie tknął do dzisiaj. Gdy usiadła, najbliższe sąsiadki z ławki zaraz się odsunęły, pewnie z powodu naftaliny, a ona rozejrzała się dookoła.

Dom pogrzebowy na warszawskiej Wólce Węglowej był kwadratową białą salą z podwyższeniem z przodu i czymś w rodzaju mównicy z boku. Ścianę za podwyższeniem

ozdabiała abstrakcyjna mozaika, która pewnie miała wywoływać metafizyczne nastroje, Halinie jednak niebezpiecznie kojarzyła się z potłuczonymi talerzami dekorującymi ściany domów na polskiej prowincji. Ciekawa rzecz, ateistyczny pogrzeb, pierwszy raz na taki trafiła. Po śmierci nawet ci, którzy błyszczeli na przyjęciach opowiadaniem antyklerykalnych dowcipów, a ostatni raz pojawili się w kościele na ślubie kolegi, lądowali w trumnie przed ołtarzem. A tutaj ktoś wykazał konsekwencję aż do końca. Pewnie raczej żona denata niż on sam - Halina spojrzała z uznaniem na lekarkę. Kobieta czoło miała zmarszczone, a usta zaciśnięte, ale to nie były wyrzuty sumienia, lecz raczej mina: jeśli mi się ktoś narazi, to i jego zabiję. Ciekawe, ciekawe.

Obok lekarzki stały dwie dziewczynki. Młodsza miała diabluki w oczach, bez przerwy się wierciła. Jakby nie czuła się szczególnie związana z Tymoteuszem, bardziej ją interesowali ludzie zebrani w domu pogrzebowym. Ta starsza chyba lepiej pamiętała ojca. Nie chciała patrzeć na urnę, nawet nie omijała ją wzrokiem, lecz wlepiła go w podłogę obok swoich stóp. Biedactwo - w starszej pani wezbrała dziwna chęć, by ją przytulić, zwłaszcza że Ilona najwidoczniej nie miała zamiaru tego zrobić.

Halina spodziewała się więcej po tym pogrzebie, ale poza kuriozalną przemową kumpla Tymoteusza nie zdarzyło się nic interesującego. Jamnicznych spojrzeń Jarcia bowiem nie zaliczałyby do rzeczy ciekawych, były bowiem żenujące. Wstydziła się za wnuka, że adoruje kobietę, której wcale na nim nie zależy.

Po pogrzebie Halina zsunęła nieco берет z czoła i opuściła szalik, by przywitać się z Joanną Weredą. Nie porozmawiały jednak długo, bo sąsiadkę Tymoteusza zaraz otoczyło liczne grono starszych pań. Znajome Maciejki? Rodzina? Raczej nie, skoro poza kondolencjami nie zamieniły z Iloną ani słowa. Wszystkie ubrały się na pogrzeb bardzo starannie - a to obcas, a to kapelusz, a to szminka, co od razu nasunęło Halinie na myśl Dzikę. Też lubiła wyglądać, jak to określała, „seksownie”, choć Halina powtarzała jej do znudzenia, że najseksowniejsza jest gładka cera i młodzieńcza energia, obie rzeczy już poza ich zasięgiem. Przyjaciółka jednak nie zgadzała się z tym i robiła makijaż nawet wtedy, gdy wybierała się z kubelkiem do śmietnika. Po co? - pytała Halina, a ona tłumaczyła obłudnie, że dla własnego dobrego samopoczucia. Akurat. Przecież gdy w pobliżu Dzikki znalazł się mężczyzna, zawsze się prostowała, wypinała pierś, zaczynała chichotać, czarować i trzepotać rękami, po czym zagadywała jak umiała, na najidiotyczniejsze tematy, robiąc ten swój dzióbek, oraz ustawiała się do rozmówcy lewym profilem, który podobno miała lepszy. Halinę drażniła ta strategia - panowie z pewnością nie mieli ochoty zagłębiać się w porównywanie Dzikkowych profili, wszak ulice były pełne kobiet o połowę młodszych, które

nie robiły dzióbka, a oba profile miały nieskazitelne. Ale na głupie gadki Dzikki składające się głównie z mniej lub bardziej zawołanych komplementów pod ich adresem reagowali nie najgorzej, zapraszali Dzikę a to do kawiarni, a to do filharmonii, a to do teatru.

Halina знаła kilku mężczyzn, czasem nawet poszła z jakimś na wódeczkę, ale tak naprawdę rozmowy z nimi prawie zawsze okazywały się nużące - za mało interesowali się zmieniającym się światem, za bardzo natomiast zajmowali się polerowaniem pucharów swoich przeszłych, a niekiedy obecnych, zasług i sukcesów, a bez miarowo aplikowanych komplementów marnieli jak nienawożone trawniki. Pośmiać się z tego mogła, ale częściej się nudziła. Żałowała swojego kurczącego się czasu na podziwianie wyleniałych pawich ogonów. No i panowie umierali jeden po drugim, podczas gdy kobiety na emeryturze rozkwitały, szukając nowych zajęć i sensów. Podobało się jej, że kina przed południem są pełne starszych pań, że zasuwa one z kijkami po ulicach i parkach, że to one nadają ton spotkaniom autorskim i wykładom na uniwersytetach otwartych. Tak, Halinę bardziej interesowały kobiety, zwłaszcza takie w jej wieku.

Joanna Wereda i jej towarzyszkami przyciszonymi głosami umawiały się na herbatę popogrzebową, w ogóle nie biorąc Haliny pod uwagę. Cóż, nie pierwszy to cios, który powinna znieść z godnością. Opuściła więc beret na czoło, powiedziała „do widzenia” i poszła w stronę przystanku, rozglądając się uważnie, by nie wpaść gdzieś na Jarcia.

Jaro schronił się po pogrzebie w kawiarni Tarabuk, gdzie w pomieszczeniu uczuć kończył zgłębiać dzieło o silnych mężczyznach. Kiedy koło dwudziestej zaczął rozważać powrót do domu, odezwała się komórka.

- Mam ochotę wypić coś mocniejszego - powiedziała Ilona. - Dołączysz?

Aż go zamurowało. Wiedział z różnych lektur, że takie zaproszenie jest równoznaczne z propozycją seksualną.

?

- Dzieci, znaczy Jaśka i Wero, nie będą nam przeszkadzać, właśnie idą do łóżek - ciągnęła lekarka. Zaraz jednak dodała: - Przyjdzie też Kamila.

Sam nie wiedział, czy czuje większe rozczarowanie, czy większą ulgę.

- Przyjadę.

- Za jakieś pół godziny, żebyś zdążyła odgruzować kuchnię. I weź flaszkę, coś co lubisz. Nie zniosę tego wszystkiego na trzeźwo.

Rzeczywiście, rano, podczas ceremonii, radziła sobie marnie.

- To ja musiałam zorganizować mu ten cholerny pogrzeb - szeptała mu wtedy do ucha, z takim cierpieniem na twarzy, że walczył z sobą, by jej nie przytulić. - Ja, rozumiesz? - Po

raz pierwszy nie bawiła się w mówienie mu per pan. - Nie dałam ani grosza więcej na te żalodne popisy, tylko tyle, ile zwraca za pogrzeb ZUS. Ale najgorsze, że musiałam się tym zająć... Zorganizować tę pierdoloną imprezę, na którą przyłazły wszystkie jego kochanki.

Rozejrzał się. Kochanki. Aha. Kolejne miejsca w sali domu pogrzebowego zajmowały stare i młode kobiety, jedna nawet w zaawansowanej ciąży. Jaro zobaczył panią Weredę i skłonił głowę. Odkłoniła się. W ciemnym kapeluszu wyglądała dostojnie. Mężczyzn reprezentowała dość hałaśliwa, mimo okoliczności, grupa Brytyjczyków i Polaków w średnim wieku, którzy z upodobaniem rozglądali się po pomieszczeniu, zatrzymując wzrok na co przystojniejszych żałobniczkach. Rodziny, poza Iloną i córkami, nie było raczej widać, chyba żeby - Jaro się zawahał - zaliczyć do niej starsze panie okupujące tylne ławki.

- Zmarły miał wielu przyjaciół... - przemawiał mistrz ceremonii pogrzebowej w solennym garniturze.

-...i tłumy bab chętnych do łóżka - syknęła Ilona, odwróciwszy się do Jarka. Skulił się, speszony jej zachowaniem. Pogrzeb to pogrzeb, twierdziła jego babcia, nie jest to na pewno czas na wyciąganie żalów do zmarłego. Ciągle pamiętał szarą z brązowymi bryzgami twarz trupa, którego znalazł w kuchni mieszkanka na Górnym Mokotowie. Dziwnie było pomyśleć, że już nikt nigdy tej twarzy nie zobaczy.

-...urodziły mu się dwie córki - Janina i Weronika...

-...które okradł ze wszystkiego, co miały... - Ilona znowu odwróciła się do niego.

Starsza dziewczynka, dziewczyna właściwie, trąciła matkę w rękaw, ta jednak nie zwróciła na to uwagi. Jaro wreszcie pojął: na twarzy lekarki wcale nie malował się ból po stracie. Ilona ewidentnie cierpiała, że nie może sobie pozwolić, by wybuchnąć słusznym gniewem.

- Zmarły lubił muzykę. - Urzędnik pogrzebowy ciągnął swoją groteskową parodię kazania. - Posłuchajmy teraz jego ulubionego utworu, który dedykują mu przyjaciele. - Objął wzrokiem grupę mężczyzn.

Z głośników ryknęło Red Hot Chilli Peppers, Californication. Prowadzący szybko ściszył dźwięk. Część zebranych zaczęła lekko podrygiwać w rytm, starsze panie natomiast rozglądały się, jakby nie mogły uwierzyć własnym oczom ani uszom.

Wraz z końcem utworu zakończyła się część bardziej oficjalna. Teraz na mównicę wszedł jeden z brytyjskich kumpli Tymoteusza, który łamaną polszczyzną chciał wygłosić coś jednocześnie godnego okazji i zarazem dowcipnego, ale jakoś nikt się nie śmiał, poza jego kumplami.

- Może ktoś jeszcze chce powiedzieć parę słów o zmarłym - zaproponował urzędnik.

Nikt się jednak nie kwapił. Starsze panie siedziały sztywno, kobieta w ciąży pochlipywała, młode ani drgnęły, mężczyźni podśmiewali się nerwowo.

Jaro stracił nadzieję, że pobyt na pogrzebie coś wniesie do jego śledztwa w sprawie Tymoteusza. Nawet jeśli wśród zebranych znajdował się winowajca (raczej winowajczyni, w tym zdominowanym przez kobiety pomieszczeniu), to jak miałby go odkryć? Po płaczu? Spojrzał na ciężarną. Po zuchowatej minie? Taką prezentowała światu większość obecnych tu panów. Po potwornym gniewie, który kipiał pod zastygłą twarzą, czekając, aż będzie mógł znaleźć ujście? Starał się nie patrzeć na Ilonę. Nie, takie szukanie mordercy przypomina raczej wróżenie z ręki. To na nic. Nie pójdę na cmentarz, postanowił Jaro, wystarczy tego. Parodia śledztwa, oto czym się zajmuję, pomyślał i poczuł się jeszcze bardziej żaloszny niż zwykle. Ale wtedy Ilona spojrzała na niego wzrokiem zranionej sarny i już wiedział, że chce jej towarzyszyć. Starsza dziewczyna znowu trąciła matkę w ramię, wskazując jej brodą, żeby na urnę, a nie ciągle zerkala w tył.

Na cmentarzu stał u boku lekarki, nie zwracając uwagi na zdziwioną (starsze panie) czy niezadowolone

(córki Ilony) spojrzenia żałobników. W pewnym momencie wzięła go nawet pod rękę i trzymała mocno, tak samo mocno, jak zaciskała usta, żeby się z nich nie wyrwało coś nieodwołalnego. Starsza córka stanęła gdzieś dalej i popatrywała na niego spode łba. Całym sobą chciał jej pokazać, że jest sympatyczny, nawet uśmiechnął się do niej krzepiąco, ale odwróciła się pełna niesmaku, jakby próbował pedofilskiego podrywu. Spuścił głowę i cieszył się ciepłem ramienia kobiety, podczas gdy chowano urnę we wnęce wysokiej cmentarnej ściany.

Gdy wybierał w sklepie trunek dla Ilony na wieczór, czuł tremę. Długo się zastanawiał, co kupić, zanim postawił na półsłodkie czerwone wino, które doradził mu sprzedawca.

- Trunek dla panienek, nie spodziewałam się tego po tobie - skomentowała Ilona. Odstawiła z rozczarowaniem butelkę i sięgnęła do zamrażalnika po wódkę. - Otwórz, bo ja nie bardzo radzę sobie z korkociągiem.

Zaraz też zjawiała się Kamila, z drugim półsłodkim merlotem, ucieszona, że Jaro tak trafił w jej gust. Ilona samotnie sączyła mrożoną wódkę, a oni popijali wino, przy czym Jaro niechętnie, bo tak naprawdę wolałby wytrawne.

- Właściwie powinnam być zadowolona - opowiadała Ilona. - Jestem wolna. Po prostu wolna. Bez faceta. Bez kuli u nogi. Ale jakoś wcale się nie cieszę.

- Nic dziwnego - wtrąciła Kamila. - Był twoim mężem.

- Wcale nie o to chodzi. Żałuję, że nawet nie zdążył się mocno przestraszyć przed śmiercią. A ja bym chciała, żeby poczuł przerażenie. I żeby go to zabolalo, tak porządnie... - Ilona mówiła trochę za głośno, co najlepiej świadczyło, ile promili krąży w jej krwiobiegu.

- Cierpiał. - Jarkowi przeszedł dreszcz po plecach.

- Po jego twarzy było widać, że i cierpiał, i się bał.

- Dobrze mu tak - skomentowała Ilona tak zdecydowanie, że aż się wzdrygnął.

- Miał chyba jakieś zalety - zauważyła Kamila.

- Przecież wyszłaś za niego.

- Nawet jeśli miał, to już zapomniałam.

Jaro podniósł się i poszedł szukać toalety. Mnogość drzwi w przedpokoju oszołomiła go. Na dodatek wyglądały tak samo. Żadnej plakietki z dziewczynką na nocniczku, żadnego napisu WC. Żeby tylko nie trafić do pokoju starszej córki, powtarzał sobie, na wszelki wypadek pukając cicho we wszystkie drzwi, zanim je otworzył. Za pierwszymi znajdował się pokój z telewizorem i niezaścieloną kanapą. Za drugimi - ciasny pokoik, w którym od razu uderzyła go duchota i zapach potu, co przypomniało mu wonie w szatni dziewczęcej po wuefie. Niebieskawa pościła pochodziła od włączonego laptopa. Znad niego niezyczliwe, zimne spojrzenie posłała mu starsza córka Ilony.

- Chcesz tutaj nocować? - syknęła.

Speszył się nieludzko, zaczął coś bąkać o toalecie, na co Jasia stwierdziła, że do toalety wchodzi się z kuchni, więc pretekst wybrał kiepski. I żeby spadał.

Czmychnął czym prędzej do kuchni, skąd wchodziło się do małego przedśionka, a stamtąd do łazienki i toalety, gdzie zabawił dłuższą chwilę. Kiedy wyszedł, usłyszał, jak Ilona ciągnie przyciszonym głosem:

-...uznał, że mnie spoił, rzucił mnie na kanapę i zaczął się do mnie dobierać. Śmiałam się trochę, bo przecież przedtem mówił, i to ile razy, że jestem fatalna w łóżku, że fajniej byłoby z trupem niż ze mną, i że w ogóle nie czuje do mnie pociągu, więc nie miałam wrażenia, że coś mi grozi, a on to wziął za przyzwolenie, ten mój śmiech...

Jaro starał się wtopić w futrynę i nie słyszeć tego, co z miejsca wywołało w nim chęć zatkania uszu. Ale słyszał wszystko.

- Nie chciałam krzyżeć ani za bardzo rozrabiać, rozumiesz, żeby dzieci nie pobudzić...

Ilona go zauważyła. Wyciągnęła w jego stronę palec wskazujący i potrząsała nim jak różdżką, jakby chciała Jarka wymazać z pomieszczenia.

-...O jak ja go nienawidzę... O jak ja go... - Walnęła w stół, co miało być zapewne

głośnym i dobitnym wyrażeniem gniewu, ale z powodu alkoholu zamieniło się w bezpłciowe plaśnięcie.

- Ilona, dajże spokój, pobudzisz dziewczynki. - Kamila zareagowała zadziwiająco przytomnie.

Godzinę później odzeglowała jednak w świat pijackich snów. Natomiast Ilona trzymała się zastanawiająco dobrze, choć menisk wódki chybotął się już całkiem blisko dna butelki. Siedziała prosto, patrzyła w ścianę, jej wielkie oczy ocienione długimi rzęsami były bardzo błyszczące. Jaro miał ochotę objąć ją i pocałować. Albo choćby wtulić się w jej okazały biust. Siedział jednak z rękami wyciągniętymi przed siebie tak, że prawie dotykały jej dłoni również ułożonych na stole równoległe do siebie. Co jakiś czas Ilona podnosiła szklankę z drinkiem do ust i odstawiała ją z głośnym stuknięciem.

- On mi wieszał te szafki, wiesz? Tymoteusz. - Machnęła głową w stronę kuchennej ściany. - Wiem, krzywo. Ale taki był wtedy z siebie dumny... - Mówiła głośno i wyraźnie, dobitnie akcentując każde słowo, jakby bała się, że język pod wpływem alkoholu przestanie jej słuchać. - Często bywał żaloszny... Na przykład kiedy byłam u niego po raz ostatni... Nie poszłam towarzysko, rzygać mi się chciało, jak tam wchodziłam, do tej obrzydliwej kawalerki...

I nagle spojrzała na niego spłoszona. Zmarszczyła czoło, zaczęła się rozglądać, jakby szukała ucieczki z tej sytuacji.

- Byłaś u niego? - zdziwił się. - Kiedy?

- Ja tylko... Ja tylko chciałam wyciągnąć Malczewskiego... Przecież mam prawo walczyć o swoje. Może nie mam?

- Kiedy? Kiedy tam byłaś? - Poczul gniew. - Przecież mówiłaś, że nie znasz jego adresu? Przecież to ja miałem go znaleźć?

Z korytarza dobiegło westchnienie. Jarcio odwrócił się. W głębi stała Jasia, która, patrząc na matkę, położyła ostrzegawczo palec na ustach. Ilona jednak ciągnęła:

- No bo kiedy już cię o to poprosiłam, ktoś nagle przysłał mi mejlem namiary na niego. Mejlem, rozumiesz. Nie wiem, kto. Niewidzialna ręka. Zdziwiłam się. Miałam nie spróbować? Zadzwoiłam, odebrał, nic nie mówiłam, odłożyłam słuchawkę. A potem poszłam tam. Przecież nie miałam żadnej pewności, że i ty go znajdziesz. Nie wyglądałeś na takiego, który... - przerwała nagle, jakby ktoś ją kopnął pod stołem.

- Przestań - odezwała się nieoczekiwanie Kamila. Ilona wzruszyła ramionami.

- Dałabym ci znać, gdybym wiedziała, że coś znalazłeś. Ale ty wolałeś sam iść do niego.

- Chciałem od razu wrócić do ciebie z obrazem.

- Biedaku... - Pogłaskała go po głowie. - Mój mały... Z obrazem!

Podniosła się i przez stół pocałowała go w czoło. Buchało od niej wódką. Miał dość. Ilona wyprostowała się, zachwiała i opadła na krzesło.

- A on nie miał tego cholernego obrazu. Nie chciał powiedzieć, gdzie go schował. Ani gdzie go sprzedał. Mówił: bądź dla mnie miła, to ci pokażę.

- Aha! To ty zabiłaś Tymoteusza - ucieszyła się Kamila. - Dzielna dziewczyna. - Wybuchła pijackim chichotem.

- Co tak na mnie patrzysz, Jarku? - odezwała się znowu Ilona. - Niby masz dwadzieścia dziewięć lat, a dziecko z ciebie. Wielkie dziecko.

- Wielkie i piękne - dorzuciła Kamila.

Jaro nagle poczuł się zupełnie nie na miejscu, między tymi dwiema pijanymi kobietami, które kpili z niego w żywe oczy. Co on tu robił, o tej godzinie? Ani on im brat, ani swat, po prostu facet, któremu jedna z nich zapłaciła za coś, co wcześniej dostała mejlem, a druga nie zapłaciła, bo nic nie wskórał.

Z przedpokoju cholerna Jasia kłuła go spojrzeniem w plecy, wiedział o tym, bo mrowiło go między łopatkami. Była zupełnie jak jego uczennice z gimnazjum - podstępna, pełna nienawiści i wiedząca, gdzie najłatwiej wsadzić szpilę.

Znowu schronił się w toalecie i tam, przysiadłszy na sedesie, usiłował uspokoić świat, który poruszał się wokół niego w zawrotnym tempie - wirowały ręczniki, mydła, głosy kobiet z kuchni, papier toaletowy i jego dłonie, którymi próbował złapać się za głowę, by zatrzymać obraz. Wyszedł z toalety. Już nie siadał, chciał stąd wyjść.

Wtedy i Kamila podniosła się z krzesła. Wstała, odwróciła się i nieoczekiwanie podeszła do niego, po czym zamknęła oczy i ledwo trafiając ustami, wycisnęła na jego ustach mokry pocałunek pachnący winem. Odsunęła się i spojrzała na Ilonę, która podniosła w górę kciuk. Jaro jeszcze przez chwilę stał jak wmurowany, po czym przeszedł do przedpokoju, wziął swoją kurtkę i wyszedł z mieszkania.

Jaro stanął przed drzwiami szkoły językowej Josephus, tej samej, w której do niedawna pracował Tymoteusz Maciejko. W szybie odbijała się znajoma, zwalista sylwetka, na której poprzedniej nocy pijane kobiety wyciskały mokre pocałunki. Żalność, żalność i tyle. Ale on jej jeszcze pokaże, cholernej Ilonie. Znajdzie mordercę jej byłego męża, znajdzie obraz i nigdy już nie pozwoli mówić do siebie „biedaku”.

Najgorsze, że po wczorajszym poniżającym wieczorze Ilona pojawiła się jeszcze we śnie. Rano obudził się rozgorączkowany, szukał jej przez chwilę w łóżku. Teraz bolała go nie

tylko głowa, jeszcze bardziej bolała go dusza, i to tak dotkliwie, że ledwie trzymał się na nogach. Nigdy nie zdobędzie kobiety, której pożąda, dostaną mu się najwyżej takie nieszczęsne odrzuty jak Kamila z wargami cuchnącymi winem. Przez chwilę myślał, że zwymiotuje, ale powstrzymał odruch. Wygrzebał w kieszeni aspirynę, popił wodą z butelki i otworzył drzwi.

Z klas dobiegało a to monotonne angielskie dukanie, a to zapalone dyskusje, po korytarzach wyłożonych szarą wykładziną kręciło się kilka nauczycielek, wśród nich jedna ciężarna. Pamiętał ją z pogrzebu. Bez płaszcza wydawała się znacznie większa.

Zaciekawiona recepcjonistka wpatrywała się w niego zza kontuaru. Opanowując mdłości, podszedł do niej i bez słowa podał wizytówkę. Dziewczyna rzuciła na nią okiem.

- Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Tymoteusza Maciejki.

- Dla kogo?

- Pani wybaczy, tajemnica zawodowa.

- Ale konkurencja już z nami rozmawiała.

- Konkurencja?

- Policja. - Recepcjonistka puściła do niego oko. - Taki gruby facet, z wąsami, spocony. Czy Maciejko miał wrogów, czy się czegoś bał, kiedy go ostatni raz widziałam, takie tam, jak w kryminałach.

- I miał wrogów?

- Każdy ma, no nie? - prychnęła. To wszystko było bez sensu.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni? - kontynuował bez przekonania.

Spojrzała w sufit, po czym przeniosła wzrok za jego plecy i nagle lekko się usztywniała. Jaro też się obejrzał. Korytarzem nadciągała kobieta w najbardziej obcisłej garsonce i na najwyższych obcasach ze wszystkich, które tu dotychczas widział.

- Gośka, wyślij mi zaraz te faksy - rozkazała, spojrzała na Jarcia najpierw ciekawie, potem jakby się rozczarowała, odwróciła, po chwili zniknęła w głębi korytarza.

- Szeffowa. Jaka ważna - syknęła recepcjonistka.

- To kiedy go widziała pani po raz ostatni?

- A bo ja wiem? - Zaczęła skubać skórę przy paznokciu. - Tak szczerze, to raczej w pracy. Zaraz - przyjrzała się Jarkowi - ja pana przecież widziałam wczoraj na pogrzebie. Z jego byłą żoną. Ona zleciła panu to śledztwo, prawda?

- Bez komentarza. - Jaro zawsze marzył, żeby użyć tego zwrotu, ale teraz wcale go to nie ucieszyło.

Na korytarzu znowu pojawiła się ciężarna.

- A ta co chwila lata do kibla - skomentowała recepcjonistka. - Wzięła grupę po Maciejce, ale zaraz idzie rodić, no i szefowa musi szukać zastępstwa. Nawet alimentów od niego nie wyrwie, bo jak.

- Ja wszystko słyszę - warknęła ciężarna.

- Oj, dobra. - Recepcjonistka się spieszyła. - Sorry. Ciężarna ją zlekceważyła, za to wpatrzyła się w twarz

Jarka.

- Widziałam cię na jego pogrzebie - zagadała. - Kumpel?

- Nie całkiem. Ja właśnie...

- Mańka, to jest detektyw, więc uważaj, co przy nim mówisz - odezwała się Gośka zza kontuaru. - Szuka tego, kto zabił Maciejkę. Więc nie pieprz głupot, bo się zrobisz jeszcze bardziej podejrzana.

- Ja? Podejrzana? Zwariowałaś?

- No to dlaczego policja z tobą gadała?

- Z tobą też gadała - broniła się Mańka.

- Ze wszystkimi gadała.

- Nie, tylko z tymi, na które doniosłaś, że z nim spały.

- Tylko nie doniosłaś, dobrze? - oburzyła się Gośka.

- A poza tym z tobą gadali najdłużej.

Mańka zlekceważyła ją. Odezwała się tylko do Jarka:

- Wybacz jej, ona jest specyficzna.

- To znaczy jaka?! To znaczy jaka, może mi powiesz?

- zaperzyła się Gośka.

- Siądźmy tam dalej, żeby nie słyszała. Ona jest naprawdę trudna do zniesienia. Szefowa też ma już jej dosyć! - dodała podniesionym głosem.

- A to niby skąd wiesz? - zaniepokoiła się recepcjonistka.

Ciężarna uśmiechnęła się triumfalnie i poprowadziła Jarka za zakręt korytarza, gdzie przy stoliczku jamniku stały dwa fotele.

- Muszę usiąść - jęknęła. Z trudem opuściła baniaste ciało na niskie siedzenie, po czym wpatrzyła się łączywie w twarz Jarka. - Masz jakieś tropy? Kto to zrobił?

- Bez komentarza - zaryzykował powtórnie Jaro. - Wiesz może, czy Tymoteusz miał jakichś wrogów?

Odchyliła głowę do tyłu, jęknęła, po czym nabrała ze świstem powietrza i wydała z siebie coś między czkawką a gdakaniem. Poczzerwieniała. Przeraził się i dopiero po dłuższej

chwili zrozumiał, że dziewczyna się śmieje.

- Wrogów - wyjąkała przez łzy. - Czy miał wrogów? On miał samych wrogów. Nie, źle mówię. Jaka jest żeńska forma od słowa wróg?

- Wróżka? - palnął Jaro i ciężarna znów odchyliła głowę, powtarzając numer z gdakaniem.

- Dobrze. Tak, on miał dużo wrózek. Dziwisz się? Poczynając ode mnie. Kochał, rozumiesz, mówił o wspólnym życiu, o wspólnych podróżach, że zawiezie mnie do swoich rodziców, bo koniecznie muszę ich poznać. A potem okazało się, że nie ma dla mnie czasu, bo właśnie opowiada to samo następnej. Więc wszystkie coś do niego miały. Nawet szefowa, uwierz mi.

- Chodził z szefową?

- Póki chodził, była do rany przyłoż. A potem on wyleciał, a ona zrobiła się jeszcze większą żołą.

- Naprawdę był aż tak atrakcyjny?

- Niby nie, na pierwszy rzut oka. Taki sobie zwykły facet. Ale jeśli się uparł, żadna nie umiała mu się oprzeć. Przecież było wiadomo, ile zaliczył przedtem kobiet, ale każda myślała, że będzie tą jedyną. Ostatnią. On mi, rozumiesz, mówił, że dopiero przy mnie czuje się sobą. Że przy mnie rozkwita. Że tylko przy mnie oddycha, a to, jak żył przedtem, trudno nazwać życiem. I że czuje, że ze mną jest tak samo. I było, uwierz mi.

Miała łzy w oczach.

- Tamta - machnęła podbródkiem w stronę recepcji - tamta mówi, że zgłupiałam. Nie wiem. Czy głupotą jest komuś zaufać? Komuś, kto się zwierza, patrząc w oczy?

Jaro pokręcił głową. Mańka wydmuchała nos, pomasaowała sobie plecy.

- Ta ciąża jest gorsza niż myślałam. A dziewczyny mówią, że potem będzie jeszcze trudniej. Wiesz, karmienie, zero spania. Nie to, że teraz śpię, rozumiesz. Też nie śpię, bo ciągle siusiam.

Co miał jej odpowiedzieć? Poprawił się na fotelu, spojrzął w szarą wykładzinę, w podwieszany sufit.

- Łapię. Niepotrzebnie o tym wszystkim mówię, co cię to obchodzi. Nie masz dzieci, prawda? Jakbyś miał, to byś mnie do tego jeszcze porodem straszył, jak laski z pracy. Wystarczy, że każda opowie, jak rodziła, i już się boję, rozumiesz.

Jaro skrępowany wodził wzrokiem po wszystkim, starając się nie patrzeć na jej brzuch, który wydawał się ruszać pod obcisłym sweterkiem.

- Sorry, panie detektywie. Wracając do Tymoteusza, on nie zostawiał zwyczajnie,

typu: nie pasujemy do siebie albo coś takiego, tylko nagle przestawał mieć czas, nie odbierał telefonów, nie odpowiadał na esemesy, ale w oczy kręcił, że ma dużo spraw, że kiedy się wszystko uspokoi, musimy gdzieś razem jechać na weekend. I tak człowiek miał nadzieję.

Biedna była ta Mania. Przez chwilę się zastanawiał, czy jej nie pogłaskać po rękę, tak, po prostu, żeby wyrazić jakieś wsparcie, pokazać, że współczuje i że nie wszyscy mężczyźni są tacy.

- Nie zdawałam sobie sprawy, ile tych bab miał, do momentu, gdy go szefowa zwolniła. Nie pokazał się więcej, nie zostawił adresu, nie odbierał komórki. A tu zaczęły przychodzić kobiety. Stare, młode... Nie masz pojęcia, jakie tłumy. Wypytywały jak go znaleźć, zaczepiały Gośkę, inne dziewczyny, mnie. Ale przecież nawet ja nie wiedziałam, gdzie on się podziewa. Mejlę odbijało, pewnie zamknął konto, komórki nie odbierał. Ze dwa razy do mnie zadzwonił z numeru zastrzeżonego i upewniał się, czy problem sam się nie rozwiązał. Problem... - chlipnęła. - A teraz urodzi się pogrobowiec. Tak się mówi, wiesz, jeśli ojciec umrze, zanim dziecko się urodzi. - Wytarła nos, wiercąc chusteczką w obu dziurkach po kolei.

Jaro kiwnął głową. Ale się wpackował: kilkadziesiąt podejrzanych z silnym motywem.

- Może jakaś z tych, które go szukały, szczególnie wpadła ci w oko? Bardziej zdeterminowana czy coś?

- Zdeterminowane były wszystkie, podobno nawet pożyczał od nich pieniądze. Ode mnie nie, taka głupia nie jestem. Ale mówię ci, starsze panie przychodziły, dzieci.

- Dzieci?

- To znaczy później się okazało, że jednak ta nastolatka nie była jego kochanką, tylko córką. Gadała tu ze wszystkimi, ze mną też, taka ponura. Bała się spytać, czy to - wskazała na brzuch - jest Tymoteusza. Trochę mi ulżyło, że córka, znaczy, że jednak nie był zbrojcem. Chociaż chyba nie do końca, bo rozumiesz, te wszystkie staruszki... Sam zresztą widziałeś na Wólce. Było ich trochę, nie?

- Kiedy przysłała jego córka?

- Nie pamiętam, tak jakoś na parę dni zanim umarł. Szukała namiarów na niego. Widzisz, nawet córka nie wiedziała, gdzie on mieszka. - Z gardła wydarł się Mańce szloch.

Jednak ją pogłaskał po rękę. Drgnęła.

- Sorry, ja normalnie tyle nie płaczę. To hormony. Cofnął dłoń.

- Po co go szukała?

- A po co szuka się ojca? Nie płaci alimentów, powiedziała. Od razu pomyślałam: biedny robaczku ty mój. - Pogłaskała się po brzuchu.

- I co? Znalazła ten adres?

- Co będę dziecku żalować, sama jej powiedziałam. - Co?

- No, gdzie mieszka Tymoteusz.

- Przecież mówiłaś, że nie wiesz.

Mańka zamilkła speszona, jakby uznała, że za dużo zdradziła. Po czym sapnęła i zdecydowała się:

- Bo była tu taka babcia, rozumiesz, berecik, te klimaty, jakiś dług miała u Tymoteusza, niby że jej pożyczył kasę w spożywczym, jak zabrakło na zakupy. Wszyscy się zdziwili, że on coś komuś pożyczył, a ja pomyślałam, że jednak nie jest najgorszy z niego człowiek. I ta babcia, rozumiesz, jakoś zdobyła namiary na niego. Może od szefowej, nie wiem. A potem mnie zahaczyła i powiedziała mi wszystko, i adres, i nowy telefon, rozumiesz? - Poklepała się po brzuchu, a zaraz potem, skrzywiona, po krzyżu. - Żeby domagała się swego od tego drania. - I co? Poszłaś do niego?

- Nnno tak. Przecież miał zostać ojcem, to nie była tylko moja sprawa, ale i dziecka. Musiałam się domagać jakichś zabezpieczeń. - Uśmiechnęła się smutno. - Chciałam coś ustalić. Nazwisko, alimenty.

- Ico?

- Zbył mnie. Nie chciał dzieci i nie bierze ich pod uwagę na tym etapie swojego życia, nie ma pracy i jak ja to sobie wyobrażam, on się pilnował i zawsze była prezerwatywa, więc nie wiadomo czy to jego i skąd mam taką pewność. To ja mu mówię, że wiem, że on już ma dwójkę dzieci i niech nie udaje takiego wolnego elektronu, tylko szuka roboty, akurat angiści nie mają z tym problemu, bo będzie miał trzecie na utrzymaniu, i że ja nie pozwolę mu olewać alimentów, jak na to pozwala mu jego była żona. Wtedy obiecał, że da mi znać, gdy znajdzie pracę i że coś ustalimy, niekoniecznie przez sąd. No i że mi odpali parę groszy, kiedy znajdzie już kupca na jakiś tam obraz.

- Jaki obraz?

- Nie wchodził w szczegóły. Nie wiem. - Kiedy u niego byłaś... Widziałaś takie płótno: dziewczyna z kosą siedząca na tle krajobrazu?

- Coś tam wisiało, ale się nie rozglądałam, bo płakałam. Myślisz, że jemu właśnie o ten obraz chodziło?

Znowu zaczęła kręcić się na fotelu, wyprostowała się, złapała za krzyż i stęknęła, jak mężczyzna w siłowni podnoszący najcięższą sztangę.

- Co tak hałasujesz, Mańka - dobiegło ich ze strony recepcji. - Zajęcia trwają, weź to pod uwagę.

- Strasznie mnie dzisiaj plecy bolą. - Z trudem wypowiadała słowa. - Pomóż mi wstać, pochodzę sobie.

Chwytał ją za rękę i pomógł wywindować potężne ciało do góry. Stała, ale wcale nie puszczała jego ramienia.

- Auuu! - dobyło się z głębi jej trzewi.

- Rodzisz? - zainteresowała się Gośka.

- Chciałabyś, co? - odpyskowała Mańka. - Detektywie, koniec przesłuchania, ja na razie pójdę do kibelka.

On też powinien stąd pójść. Na wszelki wypadek jak najszybciej.

W połowie korytarza ciężarna stanęła i znowu pomasowała sobie krzyż. Po czym nagle wrzasnęła i polało się z niej parę litrów wody. Stała w rozkroku, a woda lała się i lała, na co Mańka patrzyła zaskoczona i speszona. Jaro doskonale wiedział z filmów, co to znaczy, Gośka, która wyskoczyła zza kontuaru i wpatrywała się w tę scenę, pewnie też. Sięgnął po komórkę i wystukał.

- Proszę pana, tak szybko idzie tylko w filmach - pouczyła go dyspozytorka pogotowia. - Niech pan wsadza żonę do samochodu i ją tu przywiezie.

- To nie jest moja żona.

- A kto?

- Koleżanka. Ja nie mam samochodu. I nie chcę odbierać porodu w taksówce.

- Co ile ma skurcze?

- Skąd ja mam wiedzieć?

- Niech pan zmierzy i wtedy dzwoni.

Jaro wrócił do ciężarnej, która to go ścisnęła za rękę i jęczała, to milkła. Zaprowadził ją z powrotem w stronę foteli. Wyjął komórkę i włączył stoper, modląc się, by nie musiał odbierać porodu sam, bo na nikogo innego Mańka raczej liczyć by nie mogła - recepcjonistka siedziała, gapiąc się w swoje paznokcie, sprzątaczką wycierała z wykładziny rozlane wody płodowe, a z klas o pełnej godzinie wysypali się kursanci. Znowu wystukał.

- Skurcze co osiemdziesiąt sekund - zaraportował dyspozytorce.

- To dlaczego pan od razu nie mówi?! - zdenerwowała się kobieta. - Niech pan czeka na karetkę.

- Do tego rodzenia przejdźcie w bardziej dyskretne miejsce - zarządziła Gośka, oderwawszy wzrok od swoich dłoni. - Ludzie patrzą.

Zbesztął ją, że każe rodzącej chodzić, ale Marysia podparła się rękami i sama wstała, w połowie korytarza przejęczała przy ścianie skurcz, nic a nic nie przejmując się obecnością

kursantów, po czym dotarła do pokoju nauczycielskiego, gdzie podążył za nią coraz bardziej przerażony Jaro. Dał ścisnąć sobie rękę, masował krzyż i patrzył z nadzieją w stronę drzwi, aż usłyszał głos wybawiciela w stroju ratownika medycznego:

- Gdzie rodząca?

Jaro wyszedł z firmy zaraz za Marysią na noszach. Był wykończony.

Bolały go plecy od siedzenia przy komputerze. Rył w necie i rył, usiłował zapomnieć o jęczącej Mańce i kaskadzie wód płodowych, próbował się skupić na Jasi oraz tajemniczej staruszce w berecie. Dał już ogłoszenie, że kupi obraz Malczewskiego, dał kolejne, że sprzeda, i opis, bez zdjęcia, by w ten sposób wyciąć zainteresowane osoby. Najchętniej cwaniaczków - ci pomyślą, że ofertę bez zdjęcia dała jakaś starsza pani, którą można naciąć na cenie. Potem przeszukał Allegro i serwisy aukcyjne, zorientował się co do cen obrazów ze szczególnym uwzględnieniem Malczewskiego i zrozumiał, że jest się o co bić.

Nagle kieszeń bluzy zaczęła wibrować, po czym buchnęła piosenką Rihanny. Jaro wyszarpnął telefon i spojrzął na ekranik. Kamila! Stał z dzwoniącym telefonem w ręce, nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Skupił się na śledztwie w sprawie Malczewskiego, śniąc o Ilonie, podczas gdy kobieta, która mu zaufała, na próżno czekała na wiadomość o zaginionej matce.

Telefon wreszcie przestał dzwonić. Odruchową ulgę zastąpiła fala beznadziei: po raz kolejny okazało się, że nie nadaje się do pracy, którą sobie wymyślił. Już się podnosił, by zajrzeć do lodówki, gdy Rihanna odezwała się ponownie.

- Dzień dobry, Kamilo. Właśnie miałem do ciebie dzwonić - skłamał.

- Znalazłeś ją?!

- Wiem już to i owo, jednak jeszcze nie wszystko.

- Ale to nie jest tak, że coś przede mną ukrywasz, żeby mnie nie zranić? Że się dowiedziałeś czegoś strasznego, a przez delikatność nie chcesz nic mówić?

Im bardziej kręcił, tym bardziej rósł jej niepokój, aż wreszcie obiecał (żeby przestała go wreszcie przyciskać do muru), iż w najbliższym czasie napisze raport z tego, czego się dowiedział.

Babcia jak zwykle szurała szczotką do zamiatania pod jego drzwiami. Drażniło go to i najchętniej od razu wyszedłby z domu, przedtem jednak coś musiał napisać w tym cholernym raporcie. Ale co?

Włączył Azjatkę, żeby rozładować napięcie, ale tak go denerwowała kretyńskimi jękami, które sączyła w jego słuchawki, że najpierw odebrał jej głos, a potem ją całkiem wyłączył. Oparł głowę na blacie biurka i zastanawiał się, co też najlepszego zrobił, że założył

tę pieprzoną agencję.

Halina jeszcze nawet nie zdążyła pozmywać, kiedy zjawiała się Dzikka z torbą pełną wiktuałów. Śmietana. Kurze skrzydełka. Koperek. Włoszczyzna, ale kupowana osobno: cztery marchewki, trzy pietruszki, pół selera i por wypadały taniej, niż gdy się kupiło cały zestaw w pomarańczowej siateczce. I można też było wybrać dorodniejsze warzywa.

Na koniec z torby wynurzyło się kilka ziemniaków.

- Nie wiem, czy wystarczy dla twojego żarłoka - zaznaczyła od razu Dzikka.

Kaszę jęczmienną Halina miała w szafce, Jarcio jakoś ją oszczędził. Będzie krupnik z wkładką mięsną. Drugiego dania już nie ma co gotować, zresztą wnuk i tak za dużo dzisiaj zjadł.

Znowu wszedł do kuchni, ale kiedy zobaczył Dzikkę, cofnął się. Halina bez problemu wyczytała w jego twarzy, że po telefonie od klientki życie wydaje mu się zbyt trudne, a on zbyt słaby na jakiegokolwiek zmagania. Ciche „dzień dobry” jak nieśmiałe piórko przyzeglowało do kuchni z jego pokoju.

Zamknęły drzwi, by pogadać swobodnie. Od ilu to już lat gotowały razem obiady?

- Jarciovi udało się wykonać pierwsze zlecenie - zagaiła z dumą Halina, obierając marchew. - Znalazł męża pewnej kobiety, który uchylał się od alimentów.

- I jaki był w tym twój udział?

- Podpowiedziałam mu, gdzie szukać.

- Ile zarobił?

- Wystarczająco. Teraz dostał kolejne zlecenie. Klientka poprosiła go o odnalezienie zaginionej matki.

Dzikka siedziała przy stole i wyciągnąwszy przed siebie nogi, napinała i rozluźniała mięśnie, szykując się do szarży.

- Dobrze by było, gdyby Jarek wreszcie zaczął zarabiać na czymś konkretnym, nie na detektywistycznych bzdurach. Może kiedy nie będziesz musiała go utrzymywać, starczy nam na wyjazd do Ziemi Świętej.

- Już ci mówiłam, nie pojedę na żadną wycieczkę do Izraela ze starymi dewotkami. Ale pójdę tam na piechotę, jeśli on się naprawdę usamodzielni.

- Jak się usamodzielni? Przecież ta agencja to dziecinada - prychnęła Dzikka.

- Z moją niewielką pomocą jest w stanie rozkręcić interes i wyjść na prostą.

- Niewielka pomoc? Dasz mu pieniądze? Znowu?

- Nic podobnego! Podsunę mu czasem jakiś trop.

- Przez ile czasu chcesz kontynuować tę fikcję?

- Aż uwierzy w siebie - odparowała Halina. Dzidka wzięła się z pasją do płukania skrzydełek.

Wrzuciła je do garnka, zalała wodą i postawiła na małym ogniu. Dorzuciła liście laurowe, trochę zmiążdżonego pieprzu, ziarenko ziela angielskiego. Opłukała obrane marchewki i zaczęła je siekać. Ciach, ciach, ciach, plasterek za plasterkiem opadał na deskę.

- W kosteczkę, zapomniałaś? Zawsze kroimy w kosteczkę - dodała z uśmiechem Halina.

- Dzisiaj wolę plasterki.

- Ale Jarcio...

- Ale Jarcio - przedrzeźniała ją Dzidka. - Jarcio zje, co mu dasz. I czego mu nie dasz, też zje. Co to ma za znaczenie?

- Jeśli są duże kawałki, to on wydłubuje marchewkę - wybąkała zawstydzona Halina.

Dzidka bez słowa wrzuciła marchew w plasterkach do krupniku, dosypała kaszy. Opłukała deskę i nóż, umyła ręce i siadła obok przyjaciółki, patrząc na nią ze współczuciem. Halina wytrzymała tylko chwilę, zerwała się, przyniosła ze zlewu umyte kartofle, wysypała je na tacę i zaczęła obierać, skupiona jak nigdy. Wszystko, tylko nie współczucie.

- Mam parę pomysłów, jak mu pomóc w tym śledztwie. Potrzebne mi jednak wsparcie - odezwała się wreszcie.

- Nic z tego. - Dzidka ułożyła wargi w zbuntowany dzióbek.

Halina zacięła się w palec. Jasny gwint! Odłożyła kartofel i włożyła palec do ust. Dzidka wyciągnęła plaster z kuchennej szuflady. Chciała zakleić przyjaciółce ranek, ale ta zabrała plaster i sama zaczęła się z nim mocować. Kropla krwi spadła na kafelki. Dzidka urwała kawałek kuchennego ręcznika, osuszyła palec Haliny i pomogła jej z przylepcem.

- Kiedy zaginęła ta kobieta? - westchnęła.

- Trzy dni temu. - Halina się ożywiła. - Nagle. Tak nagle, że nie zdążyła nawet odebrać wnuczki z przedszkola.

- Co wiemy o zaginionej?

- Sześćdziesiąt lat Pracowała jeszcze na pół etatu jako księgowa. Zdrowa, w pełni sił, przytomna. Żadnych przewlekłych chorób. Widzisz, Jarcio spytał o taką ważną rzecz. O te choroby. Jakiś rok temu złamała nogę, chodziła na gimnastykę rehabilitacyjną. Przed paroma miesiącami sprzedała swoją kawalerkę i zamieszkała z córką i wnuczką.

- Mam wrażenie, że teraz na świecie są same samotne matki - nie odmówiła sobie Dzidka.

Kiedy Halina skończyła, chwilę milczały, po czym Dzidka wysunęła pierwszą

hipotezę:

- Porwanie?
- A po co? Przecież nie dla pieniędzy - skontrolowała Halina.
- Była księgową.
- Ale przed emeryturą. I na pół etatu. Zarabiała przeciętnie i pomagała córce.
- Szantaż? - zastanawiała się Dzikka.
- Też nie wiem po co.
- Ucieczka?
- Ale przed czym?
- Miłość?
- Spakowałyby przynajmniej szczoteczkę do zębów.
- No to zostają nam kosmici. Jarcio zdobył jakieś namiary?
- Oczywiście - odparła Halina z dumą. - W jego dossier znalazłam adres zakładu pracy zaginionej, jej mieszkania i przedszkola wnuczki.

- A kontakty do koleżanek? Dalszej rodziny? Ewentualnych narzeczonych? Do lekarza lub rehabilitanta? Do byłego męża, zakładając, że żyje? - Dzikka się rozpędzała.

Halina milczała.

- Nie wypytał, co? - domyśliła się Dzikka, ale nie z satysfakcją, raczej ze smutkiem. - I tak to on nadaje się do tej roboty.

Dzikka umknęła do siebie, nabrawszy krupniku do termosu. Nie lubiła jeść w towarzystwie rozmamłanego Jarcia, a on nie znosił jadać z nią, tu się akurat zgadzali.

Halina nalala zupę na talerze i zawołała wnuka na obiad. Zajrzał ostrożnie do kuchni, upewniając się, że Dzikka poszła, po czym przeciągnął się i ziewnął. Rzeczywiście, można by go nazwać rozmamłanym. Gdyby się jej wnuka nie znało tak dobrze jak ona.

Zawsze wiedziała, że powinna bronić Jarcia przed niezyczliwymi uwagami oraz usuwać przeszkody z jego drogi, bo przecież nie umiał być samodzielny. Kiedy jeszcze chodził do szkoły, wymagał stałego nadzoru. Jeśli przez dłuższy czas nie sprawdzała mu lekcji, szybko powstawały zaległości, a w dzienniku mnożyły się niedostateczne. Gdy pozwoliła mu wybrać uczelnię, oczywiście się nie dostał. Namówiła go na AWF, gdzie na egzaminie poszło mu nie najlepiej, ale przynajmniej zdał, więc uruchomiła bardzo stare znajomości i wpisano chłopaka na listę studentów z puli rezerwowej.

- Jeślibym tym się nie zajęła, nie skończyłby żadnych studiów - tłumaczyła Dzikce.
- Córka się tak nie przejmowałaś.
- Hania tego nie potrzebowała.

- Nadal cię nie potrzebuje. - Dzidka umiała trafić w sedno. - A tego nieszczęśnika chcesz od siebie uzależnić. Żeby nie być sama.

A jednak Halinie ciążyła odpowiedzialność za coraz bardziej dorosłego człowieka. Znała go przecież jak nikt i wiedziała: potrzebny mu dyskretny dozór, by mógł być dumny ze swoich sukcesów. By w ogóle je miał. Na tym polegała mądra miłość. A Hania? Hania radziła sobie doskonale, i w szkole, i towarzysko; zawsze umiała się ustawić, zaplanować życie i dopiąć swego. Nawet gdy zaszła w niespodziewaną ciążę, po krótkim okresie załamania znowu stanęła na nogi. Nie bez udziału Haliny, która się zobowiązała, że będzie pomagać przy dziecku. I tym sposobem po czterech latach stała się jego wyłączną matką, gdy Hania na swój sposób poradziła sobie z polską szarością wczesnych lat osiemdziesiątych i po prostu wyjechała do Stanów. Jarcio radził sobie z tym opuszczeniem fatalnie, zaczął się moczyć i płakać po nocach.

Teraz już się nie moczył, o ile wiedziała, ale często w jego oczach widziała rozpacz zranionego dziecka. Wtedy czuła, że powinna dla niego zrobić wszystko.

- Nadinterpretujesz - nakrzyczała na nią Dzidka, gdy Halinie kiedyś się wyrwało takie zwierzenie. Ale nie przejmowała się tą uwagą: wiedziała, że Dzidka uwielbia wypowiadać się w tematach, o których nie ma zielonego pojęcia.

Przedszkole śmierdziało pastą do podłóg, kapuśniakiem i wilgotnymi ubraniami, gdyż na dworze mżyło. Dzidka miała rację, że nie chciała tutaj przyjść. Cóż, w ich dwuosobowym zespole to Halina była specjalistką od dzieci. Siadła więc wygodniej na ławce obok szatni i kontynuowała rozmowę z panią przedszkolanką, która przed chwilą pomagała rozebrać się przedszkolakom po powrocie z podwórka.

- Ale gdyby moja córka nie zdążyła odebrać wnusia na czas z przedszkola, to co się z nim stanie? - drążyła Halina.

- Zawsze to pani może przyjść po dziecko, jeśli córka zostawi upoważnienie.

- A gdybym i ja nie mogła przyjść? To znaczy gdyby nikt z rodziny ani ze znajomych nie mógł? - dodała szybko, bo przedszkolanka już nabierała powietrza, żeby mnożyć opcje odbierających.

- Nie lubimy takich sytuacji. Wtedy jedna z nauczycielek musi czekać z dzieckiem, aż ktoś po nie przyjdzie. Nikt nam za to nie płaci.

- Często miewają panie takie sytuacje?

- Oj, powiem pani, że parę dni temu pewna babcia w ogóle nie zjawiała się po dziecko, siedziała z tą małą Florcią moja koleżanka.

Florcia! - ucieszyła się Halina. Tak według Jarciowego dossier miała na imię wnuczka

Agnieszki Zaufał.

- I koleżanka, niech pani sobie wyobrazi, musiała siedzieć z małą do osiemnastej dwadzieścia, aż przyjechała matka, a i tak musiałyśmy do niej zadzwonić. Przedszkole mamy otwarte do siedemnastej trzydzieści.

- Potworne. - Halina westchnęła.

- Ja pani powiem, że tak. A jeszcze bardziej skandaliczne jest, wie pani, że ja tę babcię wcześniej widziałam, kiedy wychodziłam po pracy, z przedszkola.

- O której? - wtrąciła półgłosem Halina.

- W czwartki kończę o szesnastej. I wtedy widziałam, że idzie sobie ta pani z mężczyzną! Babcia randkuje, matka nie wiadomo co robi, a my cierpimy. No i dziecko też - zreflektowała się przedszkolanka.

- Zamiast odbierać dziecko, spotkała się z jakimś panem?

- I to jeszcze z młodszym! O kilkanaście lat przynajmniej. Dlatego zwróciłam uwagę, bo to przecież nieczęste - westchnęła. - Ale pani przecież taka by nie była?

- Żeby randkować z młodszym? - nie odmówiła sobie Halina. ee

- Żeby dziecko zostawić w przedszkolu tyle po czasie.

- Ja? Nigdy w życiu. Coś bym zorganizowała. Szkoda dziecka.

Przedszkolanka spojrzała na nią twardo.

- No i wychowawczyni też szkoda - dorzuciła szybko Halina.

- Właśnie! O nas się nie myśli. A to nie jest lekka praca, o nie...

- Wiem coś o tym. Sama z wnusiem siedzę.

- A my takich mamy naraz piętnaścioro.

- Ciężka praca. Doceniam. Bardzo ciężka. - Halina westchnęła, z trudem skrywając entuzjazm. Rysował się przed nią nowy trop.

Była bowiem prawie pewna, że żadna odpowiedzialna babcia nie zostawiłaby dziecka w przedszkolu po godzinach. Nawet gdyby się zakochała po uszy i postanowiła rozpocząć nowe życie, jakiś odbiór by przecież zorganizowała, nie ma siły. A z informacji spisanych przez Jarcia i z intuicji Haliny wynikało, że zaginiona Agnieszka Zaufał, księgowa, lat sześćdziesiąt, wychowująca dziecko córki, była osobą odpowiedzialną.

Coś tu więc śmierdziało.

Fryzjerka, ubrana w zielony nylonowy fartuch, lekko pachniała papierosami i mocniej tanimi perfumami. Wyglądała, jakby życie solidnie ją doświadczało przez ostatnich czterdzieści lat. Tylko biust nie poddawał się rozczarowaniom i wojowniczo sterczał do przodu.

Dzidka od razu zapytała, czy na pewno trafiła do zakładu, w którym czesze się jej znajoma, Agnieszka Zaufał. To był dopiero drugi zakład fryzjerski w pobliżu mieszkania zaginionej, który odwiedziła, i proszę - trafiła. Cóż, wiadomo że większość pań w okolicach sześćdziesiątki woli oswojone osiedlowe fryzjerki, nie wchodzi więc nawet do modnych salonów sieciowych, gdzie na starszą klientkę patrzą, jakby się dziwili, że jeszcze żyje, a potem długo tłumaczą, że trwała jest już dawno niemodna.

- Chciałam się umówić, może nawet na farbę. Pani Agnieszka taki ładny kolor sobie ostatnio kładła... - zablefowała Dzidka.

- Ale który? Bo najpierw robiłyśmy jesienną oberżynę, jak zawsze, a parę dni później wpadła bez umawiania się i poprosiła o złoty piasek.

Dzidka się zagubiła.

- Złoty piasek?

Fryzjerka pogrzebała w stosie przy fotelach i wyciągnęła tekturową tablicę z zestawem kosmyków w różnych kolorach. Bodnęła palcem w jadownicę żółtą próbkę.

- A jesienna oberżyna? - dociekała Dzidka.

Tym razem chodziło o rudy przechodzący w fiolet.

- Mówi pani, że Agnieszka nie jest już ruda, tylko przefarbowała się na blond? - drążyła Dzidka.

- A co, nie widziała jej pani ostatnio? Należało chyba przejść do rzeczy.

- Nie, kochana. Kilka dni temu Agnieszka Zaufał wyszła z domu i nie wróciła.

Fryzjerce zaświeciły się oczy. Nachyliła się do Dzidki i spytała cicho:

- Nie żyje?

- Nikt nie wie.

- Wypadek może. Albo amnezja?

- Na razie nic nie wiadomo - ucięła spekulacje Dzidka.

- Zniknęła kilka dni temu? Kiedy?

- We wtorek, piętnastego września. - Niemożliwe - stwierdziła przejęta fryzjerka.

- We wtorek wpadła tutaj bez umawiania się i poprosiła, żeby zrobić jej szybko nowy kolor. Blond, wszystko jedno jaki. Wkurzyła mnie, powinna wiedzieć, że u mnie lepiej się umawiać. Normalnie bym ją poprosiła na następny dzień, tylko że jakaś nerwowa była... Zresztą to stała klientka, no i starsza osoba ma prawo trochę podziwaczyć... O Jezu, przepraszam panią. Ale pani to całkiem młoda jak na swój wiek - wybrnęła niezdarnie. - No to zrobiłam, co chciała, reszta klientek musiała poczekać. A pani Agnieszka nawet się dobrze nie obejrzała w lustrze, tylko wyleciała jak oparzona, ledwo zapłaciła. A loczki całkiem fajnie

jej ścięłam.

- Ścięła loczki?

- No ścięła. - Co to za idiotyczna moda z tym „no”?

- Całą trwała. Sporo krócej, jak chciała, ale naprawdę mi dobrze wyszło. Ale nic nie powiedziała, nie pochwaliła. A ja lubię, kiedy klientka doceni moją pracę.

- Mówiła, o co chodzi? Dokąd się spieszy?

- E, nie. Pani Agnieszka to z tych nierozmawiających jest - skomentowała z dezaprobatą fryzjerka. - A teraz by się przydało, żeby coś wiedziała.

-

- O której była u pani?

- Po południu. O siedemnastej może? Nie do końca jej pasował ten blond... No ale chciała, to ma.

Dzidka wyszła z zakładu z lekkim niesmakiem. Zdobyła co prawda istotną informację, lecz nie pochwalała metody, dzięki której ją uzyskała. Z kobietami lubiła rozmawiać szczerze, gierki i zmyłki rezerwowała wyłącznie do rozmów z mężczyznami. Ze wszystkimi, poza jednym. Poza tym, który poznał ją najlepiej.

Nie, dość, bo znowu jej się tusz rozmaże. Dość sentymentalnych wspomnień, śledztwo czeka. Musi pomóc Halinie. Jest jej to winna.

Do pokoju Jarka wparowała babcia ze szczotką. Wyprostował się szybko, lepiej, by nie zauważyła, że jest załamany, by nie rozpoczęła przesłuchania i pouczenia. Ale ona zniecka zaatakowała go z innej strony.

- Jarcu, a jak tam śledztwo w sprawie mordercy kotów? - Przeszła go błękitnym spojrzeniem. Nie musiał odpowiadać, był pewien, że prześwietliła go na wylot i wie, że nie zrobił nic. Spiał się, pewien, że zaraz zacznie go upominać i upokarzać, ale zaskoczyła go:

- Bo jeśli nie jesteś zbyt zajęty, chciałam ci jeszcze coś zlecić.

Obracał w głowie to zdanie, analizując je dźwięk po dźwięku. Naprawdę dobrze usłyszał? „Chciałam ci jeszcze coś zlecić?” To możliwe, żeby babcia naprawdę wierzyła w powodzenie któregośkolwiek jego śledztwa?

-

- Właściwie jedna pani od kotów, Jadwiga, ona ma problem, ale przecież sąsiadka, trzeba kobiecie pomóc, więc postanowiłam, że cię zapytam, czybyś się tego nie podjął.

Nie kojarzył żadnej pani Jadwigi, ale nie kojarzył większości starszych pań przewijających się przez ten dom i podwórko.

- Ale babciu...

- Nie przerywaj, jak kobieta mówi. Otóż pani Jadwidze zaginęła koleżanka. Ta zaginiona nazywa się Agnieszka Zaufał.

Jarcia przeszył prąd. - Jak?

- Tyle razy ci mówiłam, że nie mówi się jak.

- Słucham? - poprawił się od razu.

- Ale co mam powtórzyć?

- Kto zaginał?

- Agnieszka Zaufał, dziwne nazwisko, wiem. Znajoma pani Jadwigi. - Babcia zamilkła, jakby chciała, żeby wszystko spokojnie dotarło do niego. I słusznie, musiał bowiem przetrwać fakt, że Agnieszka Zaufał okazywała się nieoczekiwanie tak bardzo popularna: wszyscy jej szukali.

- Pani Jadwiga pytała o tę swoją koleżankę. - Mówiła powoli i wyraźnie, jakby tłumaczyła dziecku. - Najpierw zaszła do przedszkola, do którego chodziła jej wnuczka, i tam się okazało...

Jaro spijał słowa z jej ust. Uratowany! Miał tyle nowych danych! I młody człowiek, i pośpiech po południu, i radykalna zmiana wyglądu u fryzjerki. Kolejne śledztwo w tej samej sprawie, więc można będzie zarobić podwójnie? - pomyślał i zaraz się zawstydził, bo po pierwsze, chodziło o zaniepokojone zaginięciem przyjaciółki emerytki, a po drugie, właśnie przypomniały mu się przepełnione rozpaczą oczy Kamili. Ale przynajmniej miał co napisać w raporcie.

Jaro wszedł do kliniki dermatologicznej i spytał o Kamilę. Pokazała się wreszcie, zdejmując w biegu fartuch i wpychając go do torby. Była jeszcze bardziej mizerna niż poprzednio.

Stanęli przed kliniką, gdzie Kamila łączywie przeczytała raport wręczony jej przez Jarka, po czym podniosła na niego podkrążone oczy.

- Myślisz, że ją porwali? Czy że uciekła?

- Jeszcze za wcześnie, by wysnuwać tak daleko idące wnioski.

- Ale przecież coś myślisz na ten temat. Jaką masz koncepcję? - Usiłowała być ostra i stanowcza, ale zauważył, że jest bliska płaczu.

Sam często tak się czuł.

- Jeśli mam spekulować, co zaznaczam, robię tylko dla ciebie - spojrzał jej w oczy - więc jeśli mam spekulować, to mnie się wydaje, że twoja mama bardzo się kogoś bała. Z tego powodu postanowiła zmienić wygląd, by się temu komuś wymknąć. Teraz pewnie gdzieś się ukrywa.

- Boże! Kogo mogła się tak przestraszyć, żeby zniknąć bez słowa? Kogo może się tak bać, żeby do mnie nawet nie zadzwonić?

- Może nie chce ciebie narażać? Więc pytam: kogo się mogła bać? I dlaczego?

- Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. - Łzy już drżały na krawędzi rzęs. Z dużą przyjemnością podał jej chusteczkę. - Moja mama nie miała przecież żadnych wrogów. To była spokojna, dobra kobieta. Boże, dlaczego mówię o niej: była... - Rozryczała się na dobre.

Plakała tak, z pochyloną głową, żeby nie było widać twarzy. Jakoś niepostrzeżenie dała krok i drugi w stronę Jarcia, by się wtulić się w jego kurtkę i oblać ją łzami. Jaro - po raz pierwszy znalazł się w sytuacji znanej głównie z filmów - zachował się tak, jak robili to mężczyźni w filmach, pogładził kobietę po głowie, mając nadzieję, że zahamuje w ten sposób potok łez. Jednak Kamila dopiero wtedy pozwoliła sobie na donośne łkanie. Tak donośne, że aż z okna przychodni wychyliła się Ilona. Pomachała do Jara, a ten się spieszył, usztywnił i delikatnie zsunął zasmarkaną Kamilę ze swojego ramienia. Podał jej kolejną chusteczkę.

- A jeśli ją dopadli? - Głos miała nieco spokojniejszy.

- Nie da się tego wykluczyć ani potwierdzić. Na razie mam jej zdjęcie. Według opisu fryzjerki może teraz wyglądać tak. - Podał jej przerobione w Photoshopie zdjęcie Agnieszki Zaufał, które spreparował według wskazówek babci Halinki.

Kamila westchnęła.

- Boże, to ja jeszcze raz muszę obdzwonić szpitala i... i kostnice. Wszędzie pytałam o panią z ciemnorudymi loczkami...

Począł na Kamilę przed posterunkiem, gdzie zostawiła nowe zdjęcie matki, potem odprowadził ją do domu.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się do nich sąsiadka, plus minus w wieku jego babci; ciągnęła torbę na kółkach wypchaną zakupami.

- To pan detektyw, który pomaga mi szukać mamy - wyjaśniła szybko Kamila.

- Jarosław Trzaskowski. - Nie wyciągał ręki, czekał, aż zrobi to sąsiadka.

- Miło mi - powiedziała. - Jolanta Kuczkowska. Włosy miała myszowate, przystrzyżone w kształt krótkiej fryzurki modnej pod koniec lat sześćdziesiątych. Oczy też pomalowała jak dziewczyny z tamtych czasów. Szczupła sylwetka pewnie pozwoliłaby wziąć ją od tyłu za kobietę sporo młodszą, gdyby nie jej ostrożne ruchy, jakby się bała, że sobie coś połamie.

Podeszli we trójkę do klatki schodowej. Windy nie było. Starsza pani uniosła torbę i stęknęła. Jaro podskoczył do niej, wyjął jej wózek z ręki i spytał po dżentelmeńsku:

- Które piętro?

- Czwarte, jeśli pan tak miły.

Kamila na pożegnanie spojrzała na niego oczami królika zagonionego w głąb klatki. Miałoby to pewnie więcej uroku, gdyby jej oczy były mniej czerwone.

- Nieszczęśliwa kobieta - komentowała pani Jolanta, wdrapując się na kolejne stopnie.

- Nie ma szczęścia do mężczyzn, a teraz taki kłopot z matką...

Jaro wtaszczył wózek z zakupami na czwarte piętro. Widać było, że sąsiadka nie kwapi się wyjmować kluczy przy nim, ale wyraźnie coś ją męczyło.

- Powiem panu coś jeszcze. - Podeszła do niego tak blisko, że poczuł zapach jej oddechu. - Jej nie mówiłam, znaczy pani Kamili, ale panu powiem. Detektyw, poważna sprawa, więc powinien pan to wszystko wiedzieć. Tego dnia kiedy zaginęła, pani Agnieszka poprosiła mnie, żebym odebrała z przedszkola tę małą Florcię. Wpadła do mnie na górę i poprosiła. I od razu zbiegła ze schodów, gdy tylko powiedziałam, że dobrze, odbiorę. Potem przypomniałam sobie, że przecież nawet nie wiem, do którego przedszkola to dziecko chodzi. No i że potrzebne jest upoważnienie. Ale poszłam. Tylko że my tu mamy trzy przedszkola, a ja chodzę jak chodzę, znaczy powoli. Więc poszłam do pierwszego, do drugiego, i kiedy wreszcie dotarłam do trzeciego, wszystko już zamknęli, a małej nie było. Zmartwiłam się, ale zobaczyłam, że pani Kamila wraca z córką do domu, więc mi ulżyło. Nie mówiłam jej tego. Bo i po co.

- Która była godzina, gdy Agnieszka Zaufał przyszła do pani?

- A tak jakoś przed siedemnastą.

- Wtedy widziała pani ją po raz ostatni?

- Owszem.

- Miała już nową fryzurę?

- Nową fryzurę?

Wyciągnął przerobioną fotografię Agnieszki Zaufał.

- To tak się teraz zrobiła? I słusznie, zawsze jej mówiłam, że powinna ściąć te loki, bo postarzają. - Pani

Jolanta pogładziła swoje króciutkie włosy. - I, jak widać, dała się namówić.

- Rozumiem, że u pani była jeszcze z lokami?

- Ano z lokami. - Pani Jolanta westchnęła. - Parę dni wcześniej nakręciła ich sobie całkiem dużo, gdyż miała jakiś zjazd rocznicowy na uczelni, była absolwentką SGH. Chciała wyglądać pięknie. Ale nie wypada nikogo obmawiać. No, dziękuję panu za pomoc - zakończyła rozmowę.

Pochylił się do jej dłoni, bez całowania jednak, i zbiegł ze schodów, słysząc, jak

mocuje się z zamkiem.

- Czego się dowiedziałeś? - Babcia napadła na niego już od progu. Pociągnął nosem: na obiad zapowiadało się chyba coś lepszego niż wczorajszy krupnik z cholerną marchewką. Zaburczało mu w brzuchu.

- Żurek - oznajmiła babcia. - Za pół godziny. Wszedł za nią do kuchni, mając nadzieję, że zanim dojdzie zupa, uda mu się skubnąć trochę kielbasy, ale zobaczył Dzikę, więc się cofnął. Ta przywołała go jednak królewskim ruchem dłoni. Nie śmiał nie posłuchać.

Opowiedział o sąsiadce, którą Zaufał poprosiła o odebranie dziecka, i o zjeździe uczelnianym.

Babcia pokiwała z uznaniem głową.

- Ciekawe - powiedziała. - Zjazd uczelniany, a ona w parę dni potem znika. Lub ucieka.

- Może na tym zjeździe kogoś poznała? - spekulował Jaro na fali chwilowego sukcesu.
- Może odezwały się sprawy z przeszłości? Ktoś kobiecie zagroził lub ją zaszantażował?

Dzidka jednak od razu przeszła do kontry.

- Wydaje mi się, że myślisz stereotypami. Zbiła go z tropu.

- To znaczy?

- Bo ty to widzisz tak: zniknęła starsza pani, więc na pewno ktoś jej zrobił krzywdę. Porwał. Zagroził. Oszukał. A skąd wiesz, że to nie ona kogoś skrzywdziła, a teraz ucieka przed odpowiedzialnością?

- A kogo miała skrzywdzić? I dlaczego? - zdziwił się Jaro.

- Czy to ja jestem detektywem? - Dzidka odbiła piłeczkę. - Apeluję tylko o większą swobodę w myśleniu. Młody jeszcze jesteś, za wcześnie na podpieranie się stereotypami.

Bez słowa wyszedł z kuchni i zaraz wrócił z laptopem.

- Po prostu nie wierzę, żeby ta pani mogła komuś zrobić krzywdę. - Pokazał im zdjęcie starszej blondynki z króciutkimi włosami. Wyglądała jak wcielenie myszowatej babci. Jak idealna księżowa. Jak trudna do zapamiętania sąsiadka. Kliknął zdjęcie i powiększył je, by im jeszcze bardziej uzmysłwić, że Agnieszka Zaufał nie mogłaby nikomu wyrządzić zła. Był to jednak chybiony zabieg, bo w powiększeniu ciemne oczy myszowatej paniusi nabrały nagle nowego wyrazu - stały się nieżyczliwe, żeby nie powiedzieć - demoniczne, które to wrażenie wzmagała ramka z jasnożółtych włosów.

Ilona odłożyła czekoladki. Na dnie pudełka kołatała się ostatnia - trufelka. Jak dobrze, że nie lubi trufli, przynajmniej jej nie kusi. Najgorzej, że nawet mleczne pralinki niespecjalnie jej smakowały, a zjadła ich z ćwierć kilo. Niech będą przekłęci pacjenci, którzy przynoszą w

prezencie słodycze!

Odpięła guzik w dzinsach. Zastanawiające: cztery kilogramy, których zgubienie zajęło jej całe trzy miesiące, bez problemu odzyskała w trzy tygodnie. Stała przed lustrem i wpatrzyła się w swoje policzki. Chomik, po prostu chomik.

Jarek dzwonił dzisiaj już kilkanaście razy, namolny jak mucha, najwidoczniej nie wyciągnął żadnych wniosków z faktu, że ona nie odbiera. Nie był facetem dla niej, misio i niezgraba. Te cechy zdawały się jednak nie przeszkadzać Kamili, której na dźwięk imienia „Jaro” zapalały się w oczach marzycielskie iskierki. I super: niech żyją razem długo i szczęśliwie, Ilona nie zamierzała im wchodzić w paradę.

Znowu. Nawet jej się nie chciało patrzeć na wyświetlacz. O co mu chodzi? O wizytę lekarską? Niech dzwoni do recepcji. O Tymoteusza? Za jego znalezienie zapłaciła tyle, ile chciał, dwieście złotych. Sprawa zamknięta. Trochę wstyd jej było za tamten wieczór po pogrzebie, kiedy zarzuciła Jarka kretyńskimi zwierzeniami. Ale zawsze można zwalić na wypite morze wódki, nie była do końca sobą.

Wzięła kolejną kartę pacjenta - podczas wizyt lekarskich nie miała czasu, by je porządnie wypełnić. Przy pacjencie bazgrała w pośpiechu jakieś skrót, teraz należało to wpisać porządnie.

Do pokoju lekarskiego wtargnęła Kamila. I właśnie wtedy Jaro po raz kolejny przypomniał o sobie.

- Nie odbierasz? - Kamila spojrzała na wyświetlacz.

- To on tak ciągle dzwoni? Słysząc na całym korytarzu.

- Sorry, zaraz przełączę na wibracje.

- A do mnie się nawet nie odezwie. - Udawała dziarską, ale oczy jej się zaszkliły. -

Dlaczego nie chcesz odebrać?

- Bo wolę, żeby dzwonił do ciebie.

I rzeczywiście, tym razem odezwała się komórka Kamili. Kobieta podskoczyła, wyrwała telefon z kieszeni fartucha, zarumieniła się, spojrzawszy na wyświetlacz, i wyemitowała z siebie tak zmysłowe „Halo”, że Ilona siłą powstrzymała się, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Co tam u ciebie? - zagadywała Kamila. - Ja przecież nie dlatego, nie popędzam... Naprawdę? Ten zjazd już się odbył? Jakoś nie skojarzyłam.

Słuchała dłuższą chwilę, kiwając głową, jakby Jaro mógł ją zobaczyć. Potem twarz jej zmartwiała.

- Tak. Siedzi obok mnie - powiedziała prawie bez tchu. - W pokoju lekarskim.

- Nie ma mnie - mówiła bezgłośnie Ilona. - Wyszłam.

Ale Kamila już zdążyła jej przekazać słuchawkę.

- Przepraszam, Jarku, ale ja pracuję. Oddzwonię, jeśli znajdę czas. - Odłożyła telefon.

- Naprawdę on ci się w ogóle nie podoba?

- Zawsze wołałam mężczyzn mniej atletycznych

- wybrnęła Ilona. - No i starszych ode mnie.

- Ode mnie też jest młodszy.

- Ale mniej niż ode mnie, no nie?

- Niby tak. - Kamila zadumała się na smutno. - Nigdy nie miałam szczęścia do facetów.

- Ja też nie.

- Masz jeszcze czekoladki?

Ostatnią przekroiły sprawiedliwie na pół. Ilona wsadziła swoją część do ust. Słodkogorka, jak wszystko ostatnio. Przełknęła i przez chwilę było jej lepiej na świecie.

- Ale tam nie wolno wchodzić, proszę pana - protestowała recepcjonistka.

Jaro jednak wtargnął do pokoju lekarskiego, stanął krok za progiem i wpatrzył się w Ilonę wiernym spojrzeniem. Buły jego policzków drżały Ilona przeniosła wzrok na Kamilę, która w podobny sposób wpatrywała się w dzielnego detektywa, z tym że zamiast buł (na to miała za szczupłą twarz) drżały jej usta.

Szkoda, że to wszystko nie może być prostsze.

- Przepraszam panie doktor, ten pan... - tłumaczyła się recepcjonistka.

- W porządku - stwierdziła Kamila. - Byliśmy umówieni.

Dziewczyna się wycofała.

- Ja już muszę iść. - Ilona wstała, zbierając karty pacjentów. Zaszyje się gdzieś na tyłach i poczeka, aż misiówaty amant opuści przychodnię. Najchętniej z Kamilą.

- Ilona, zaczekaj - powiedział poważnie Jaro. - Dzwoniłem tyle razy nie dlatego, żeby przeszkadzać ci w pracy. Mam nowe tropy w sprawie Tymoteusza.

- Nie prosiłam cię o to.

- Posłuchaj. To ważne. Poczula ukłucie niepokoju.

- Byłem u niego w pracy - zaczął ostrożnie Jaro.

- Kiedy go zwolniono, zaczęło tam przychodzić mnóstwo kobiet. Wszystkie go szukały.

- Czy ja muszę tego słuchać? - zdenerwowała się.

- Mnie jego kochanki nie dotyczą.

Kamila włączyła czajnik.

- No więc tych kobiet było mnóstwo... - Jaro kręcił się niezdarnie wokół tematu.

- To już wiem - warknęła Ilona.

Speszył się. I wcale mu nie pomógł kubek z kawą, który postawiła przed nim Kamila. Zwariowała, pomyślała Ilona. Ze wszystkich dostępnych naczyń wybrała akurat to z serduszkami. Jaro jednak nawet nie spojrzał na kubek, bo wpatrywał się w twarz Ilony. Odchrząknął.

- Powiesz wreszcie czy nie?! - Ilona eksplodowała.

- Była tam też twoja córka.

- Słucham?

- Jasia. Szukała go. I... znalazła. - Co?!

- Adres podała jej jedna z nauczycielek.

Na pewno kochanka, Ilona nie miała złudzeń.

- Kiedy?

- Parę dni przed jego śmiercią. Informatorka nie umiała podać dokładnej daty.

Ilona przetrawiała informację. Córka nie powiedziała jej o tej wizycie ani słowa.

- I co z tego wynika? - natarła na Jarka. - Uważasz, że jest podejrzana? Przecież to dziecko.

Kłamstwo, Jasia od dobrego roku wcale nie była dzieckiem, tylko jakimś półproduktem kroczącym meandrami ku dorosłości.

- Przecież jej o nic nie oskarżam - bronił się Jaro. - Chciałem tylko powiedzieć, że moim zdaniem to ona wysłała ci mejla z zamiarami na Tymoteusza.

- Tak? Dzięki, za informację. Ile płacę? - spytała, żeby go ostatecznie zrazić.

Kamila spojrzała na nią z wyrzutem.

- Gratis - odparł zarumieniony Jaro.

- To lecę. - Ilona zabrała karty pacjentów i czmychnęła z pokoju lekarskiego.

- Ale... - dotarł do niej głos Jarka, nie czekała jednak na dokończenie zdania. Na dzisiaj miała dosyć agencji Jarex i jej rewelacji.

Odkąd na Żoliborz dociągnięto metro, Jaro właściwie nie poruszał się po Warszawie niczym innym. Podjechać metrem i dojść piechotą było dużo szybszym sposobem na przemieszczanie się po mieście niż podróż autobusem, taksówką, a nawet tramwajem. Metro było ciepłe zimą, chłodne latem, bezpieczne i kursowało do bardzo, bardzo późna, a do tego stacja, Plac Wilsona, została jakiś czas temu uznana przez zagranicznych architektów za najpiękniejszą na świecie. Przyznawał im rację, schodząc do podziemi i patrząc na kolorowe

światła

MS u sufitu holu głównego, które zmieniały barwę w zależności od pory dnia.

Miał dość wysłuchiwanie impertynencji od Ilony, więc zupełnie odpuścił śledztwo w sprawie obrazu i Tymoteusza, na dobre zajął się natomiast sprawą Agnieszki Zaufał. I od razu sukces: po wejściu na Naszą Klasę szybko udało mu się namierzyć jedną z uczestniczek owego zjazdu uczelnianego. Cóż, widać profesorki wyższych uczelni łatwiej znaleźć w Internecie niż księgowie w wieku przedemerytalnym.

Po wyjściu z metra doszedł do zwalistów gmachów SGH, jakże odmiennych od białych budynków jego macierzystego AWFu rozrzuconych po ogromnym, zadrzewionym terenie. Znajoma Agnieszki Zaufał, profesor Urszula Dominiak, mimo wieku pracowała jeszcze na uczelni. W weekendy miała zajęcia z zaocznymi, więc umówiła się z Jarkiem w przerwie między wykładami.

- Pewnie nie ma życia prywatnego poza pracą - skomentowała babcia Halinka. Jaro zirytował się, że te potencjalne babcine komentarze bez przerwy pobrzmiwają mu w głowie.

Profesor Dominiak mocno uściśniła mu dłoń, przeczytała wizytówkę, wypowiedziawszy półgłosem słowo „Jaro” wzniosła brwi ku górze, po czym spojrzała na niego wyczekująco.

- Przez telefon powiedziała mi pani, że była na spotkaniu rocznicowym na SGH - zaczął Jarek. - Tym w sobotę, dwunastego września.

- Byłam, choć nie zostałam długo. Chciał pan spytać, czy rozmawiałam z Agnieszką Zaufał?

Mówiła szybko i niecierpliwie. Nie czekając na jego potwierdzenia, ciągnęła:

- Rozmawialiśmy. Ale nie było to szczególnie fascynujące. Wnuczka, córka, księgowość, emerytura. A potem Agnieszka zobaczyła Basieńkę i już zupełnie przestała się skupiać nawet na tej banalnej rozmowie.

- Kim jest Basieńka?

- Naszą koleżanką z roku. Czterdzieści lat temu zrobiła Agnieszce wielką krzywdę. Więc kiedy tylko Agnieszka zobaczyła Basieńkę z mężem, zamarła. Wyglądało, jakby chciała wyjść. Nie zdążyła, bo tamci szybko do nas podeszli.

I profesor Dominiak opowiedziała historię sprzed czterdziestu lat. Agnieszka Zaufał miała podczas studiów narzeczonego z tego samego roku, Zygmunta Pęczka. Chodzili kilkanaście miesięcy, mieli się pobrać tuż po dyplomie. I wtedy w sprawę wmieszała się owa Basieńka, która lubiła podobać się wszystkim panom, a jeśli się któremuś nie spodobała, robiła wszystko, by zmienił zdanie. Zygmunt opierał się wyjątkowo długo, próbując

dochować wierności Agnieszce, więc Basieńka pracowała nad nim z tym większym zapalem. Kiedy dopięła swego, szybko wyszła za niego za mąż, tym szybciej, że Zygmunt odziedziczył właśnie naprawdę duże mieszkanie.

Agnieszka bardzo przeżyła niewierność narzeczonego. Na szczęście wszystko zdarzyło się na ostatnim roku, więc nie musiała długo oglądać zdradzieckiej parki. Nikt nie dawał temu związkowi dużych szans, a już najbardziej niecierpliwie na jego rozpad czekała Agnieszka.

Czy chciała, by skruszony Zygmunt wrócił do niej, czy też myślała raczej o sprawiedliwej karze za odbijanie narzeczonego, nie wiadomo. Nie doczekała się jednak. Nic więc dziwnego, że tak przeżywała, gdy na rocznicowej uroczystości ujrzała Basieńkę z Zygmuntem w najlepszej zgodzie. Na domiar złego Basia była nadal piękna i na oko młodsza o piętnaście lat niż one wszystkie. Baby gadały, że musiała sobie robić twarz, ale jakkolwiek uzyskała ten efekt, było na co popatrzeć.

- Z pewnym wysiłkiem umiałabym sobie zrekonstruować uczucia Agnieszki - mówiła pani profesor.

Basieńka wesoło zagadywała Agnieszkę, wyglądało, że bawi ją zgryzota na twarzy koleżanki. Zygmunt natomiast siedział sztywnawy. Usiedli obok Agnieszki za stołem. Kiedy pani profesor wychodziła z imprezy, Agnieszka wciąż tkwiła jak wyrzut sumienia obok tej pary. Potem wszyscy uczestnicy imprezy zachodzili w głowę, co tak naprawdę stało się między nimi tego wieczoru, bo w trzy dni potem wydarzyła się tragedia - Zygmunt wpadł w morderczy szal.

- Złapał nóż i wbił go żonie w klatkę piersiową. Nie umarła, leży teraz nieprzytomna w szpitalu. Basieńka zatem ledwo żyje, Zygmunt siedzi w areszcie, syn w rozpaczce. Jeśli umie pan to powiązać ze zniknięciem Agnieszki, moje gratulacje, bo ja bałabym się nawet spekulować na ten temat - zniżyła głos, jakby kończyła wykład, i wstała z miejsca, od razu podając mu rękę. Jarkowi podobało się, że jest taka konkretna.

Niemrawa Kamila na pewno się ucieszy, że pchnął sprawę naprzód, może mu nawet podziękuje mokrym m cmoknięciem w policzek. Wzdrygnął się. Nie, żadnych całusków, czuł jednak jakąś mściwą satysfakcję, że jeszcze tym wszystkim babom coś udowodni. Zadzwoił do Kamili i zaraz po jej „halo” oznajmił, że jest przełom w śledztwie.

Kiedy Kamila otworzyła mu drzwi, zaczerwieniła się strasznie, co zupełnie odmieniło wygląd jej twarzy, na ogół zielonkawobiałej. Aż mu się jej szkoda zrobiło.

Ukrywając zmieszanie, zaprosiła go do środka. Usiadł i nie słuchał jej niezdarnych zagadywań, czy się czegoś napije, tylko od razu przeszedł do rzeczy.

- Trzy dni po zjeździe były ukochany twojej matki próbował zadźgać swoją żonę nożem. Trzy dni po zjeździe twoja matka zniknęła. Zbieżność oczywiście może być przypadkowa, ale na mojego czuja, nie jest. Zrobiłem błąd, że od razu nie przeszukałem jej pokoju.

- Nie sądzę, że to błąd. - Z twarzy Kamili powoli odpływał rumieniec. - Sam zobacz.

Starsza pani bowiem parę miesięcy temu przeniosła się do świeżo rozwiedzionej córki, żeby pomóc przy dziecku. Sprzedała swoją kawalerkę, nie rezygnując jednak z niczego, co w niej trzymała. Jej niewielki pokój u Kamili był szczelnie wypełniony drobiazgami, pamiąteczkami, bibelotami, filizankami, zdjęciami, stosami gazet, powycinanymi przepisami, skrawkami materiałów, guzikami, koralami, broszkami, książkami - głównie romansami, pomyślał ze współczuciem Jaro.

W gęstwie, poupychanej na regale, półkach, stolikach, szafeczkach, witrynkach, komódkach i pudełeczkach oklejonych kolorowymi papierami, Kamila bobrowała podobno od paru dni, ale na razie z ciekawych rzeczy dokopała się jedynie do pudełka po sykim pudrze Pollena, w którym grzechotały jej mleczne zęby, oraz do torby z zapasem wacianych podpasek z lat głębokiego kryzysu lat osiemdziesiątych. Nie znalazła żadnych listów od nieznanych ukochanych, od znanych też nie. Żadnych mściwych anonimów, napisanych ani otrzymanych. Żadnego pamiętnika, jedynie kolekcję pocztówek typu „najlepsze życzenia znad morza zasyłają Węclawscy”. Życie Agnieszki Zaufał z tej perspektywy wydawało się dramatycznie puste. Puste, bo kiedyś niejaka Basieńka odbiła jej niejakiego Zygmunta. Kamila też pewnie za jakieś trzydzieści - czterdzieści lat wyląduje w podobnym pokoju w mieszkaniu swojej córki, pomyślał Jaro, patrząc na jej chude, żalosne plecy pochylone nad kolejną szufladą matczynej komódki.

Nie mógł jednak długo o tym dumać, bo do pokoju wpadła córka Kamili, Florca, która właśnie skończyła popołudniową drzemkę, i od razu zrobiła kipisz wśród tematycznie poukładanych przez nich stosików z przejrzanymi rzeczami. Oficjalna do tej pory Kamila przy małej wyraźnie się rozluźniła, natomiast Jaro wprost przeciwnie. Przerazały go takie energiczne kilkulatki, nie widział innego sposobu, by przestały się ruszać, niż kajdanki albo i dyby. Kamila jednak poradziła sobie z dziewczynką błyskawicznie: wygospodarowała kawałek podłogi, wciągnęła tam pudło na kółkach z klockami

Lego i kazała małej odnaleźć jak najwięcej czerwonych klocków. Florcia miała potem sprawdzić, czy uda się z nich zbudować wieżę aż do sufitu. Pracowała nad tym sumiennie, sapała i wyciągała język, a oni przeglądali kolejne szuflady i szafki, w wyniku czego zyskali właściwie tylko jedną, mało istotną informację: Agnieszka Zaufał była osobą, która nigdy

niczego nie wyrzuca.

Kiedy koło osiemnastej Jarkowi zaburczało w brzuchu, gospodyni zaprosiła go do kuchni, choć wymawiał się, że nie chce robić kłopotu. Kamila jednak zapowiedziała, że mają jeszcze do przeszukania ostatnią komódkę, więc niech siedzi cicho i czeka na kolację. Jej stanowczość podobała mu się bardziej niż męzczeńskopłaczliwa pokora, którą prezentowała do tej pory. Po kuchni krzątała się pewnie i z wprawą. Najpierw wsadziła młodą do krzeselka z zestawem plastikowych naczyń, w których Florka zaczęła gotować alternatywny plastikowy obiad, potem sama przygotowała coś z niczego dla nich trojga. Wrzuciła do wrzątku makaron, zmiksowała suszone pomidory z hojną ilością oliwy, w miseczce obok postawiła tarty ser grana padano. Jaro generalnie gardził posiłkami, w których nie znajdował się kawałek mięsa, ale po pierwszym widelcu makaronu unurzanego w czerwonej pacce postanowił na jakiś czas pożegnać się z tą pogardą. Są różne drogi, by osiągnąć nasycenie, myślał, pozwalając nałożyć sobie dokładkę, a potem rozparł się na krześle i wyciągnął nogi przed siebie, by sprawniej trawić. Kamila krzątała się wokół niego, wkładała naczynia do zmywarki i ścierała ze stołu. Po miksowaniu sosu została jej malutka czerwona plamka na lewej piersi. Patrzył z przyjemnością na jej szybkie i celowe ruchy, na twarz zarumienioną od posiłku. I nagle poczuł, jakby byli parą od lat: nasycenie, bezpieczeństwo, niewielkie emocje. Taka była pewnie idea małżeństw z rozsądku - na pewnym etapie życia ważniejsze jest, by nie być samemu, niż żeby być dokładnie z tą osobą, której się pragnie.

- Herbaty? - spytała Kamila.

I właśnie wtedy musiała zadzwonić babcia. Była w nastroju wyraźnie inkwizytorskim, strzelała licznymi pytaniami, gdzie on znowu się podziewa i kiedy wreszcie pojawi się w domu. Zirytowała go.

- Mówiłem przecież, że późno wrócę. Nie czekaj z kolacją, już jadłem. Dobranoc. - I po prostu wyłączył telefon.

- Żona? - zainteresowała się Kamila w pół drogi do czajnika.

- Babcia - odparł odruchowo. - Mieszkamy razem, opiekuję się nią - dodał, by nie wypaść na kompletnego frajera.

Kamila poweselała. Musnęła jego dłoń przy podawaniu kubka i oboje przeciągnęli tę chwilę akurat o tyle sekund, by nie poczuli się skrępowani. Palce miała gładkie, chłodne i suche, i właśnie na nich skupiły się jego erotyczne sny, gdy tej nocy znalazł się w swoim łóżku.

Zrobiło się już dobrze po północy, a Jarcio jeszcze się nie pojawił. Kiedyś wracał wcześniej, nie przepadał za nocnymi autobusami, gdzie łatwo można było oberwać. Teraz

jednak metro dawało mu większą swobodę manewru, pociągi kursowały do drugiej nad ranem, pełne kamer i straży miejskiej. Gdzie on przesiaduje do późna, tak dzień po dniu, no no. Nie balował chyba w żadnym lokalu, bo niby za co? A więc raczej u kogoś w domu. U harpii? Żeby tylko nie wpadł w jakieś kłopoty, bo doktor Maciejko na pewno nie była kobietą, której Halina chciałaby powierzać wychowanie swojego ewentualnego prawnuka lub prawnuczki.

Stała przy oknie, nie spuszczała oka z podwórka. Nie, nie czekała na Jarcia, już z tego wyrosła, ale postanowiła zwrócić uwagę, kto kręci się przy kotach. Nocny ruch na podwórku był nieduży. Niewielu mieszkało tu młodych, więc kiedy do dwudziestej trzeciej przetoczyła się fala osób wyprowadzających psy na ostatni przed snem spacer (przyglądała się im dokładnie, czy nie przejawiają zachowań podejrzanych), zrobiło się pusto aż do dwudziestej czwartej dwadzieścia cztery, kiedy w bramie pojawił się wreszcie Jarcio. W pierwszej chwili go nie poznała, na podwórze wszedł bowiem sprężystym krokiem wyprostowany młody człowiek; to nie był zgarbiony, powoli sunący Jarcio, którego znała. Gdy spojrział w ich okno, cofnęła się za firankę. Wystukał kod w domofonie, więc szybko pobiegła do przedpokoju, by tam zapalić światło, i wróciła na posterunek w swoim pokoju.

Wybiła wczoraj nad ranem okienko w jednej z piwnic (właścicielka i tak tam nigdy nie wchodziła), koty musiały się przecież gdzieś schronić. Widziała to

- okienko ze swojego stanowiska, wokół niego kręciły się zgrabne czworonożne sylwetki, niezrażone niedawnymi tragediami towarzyszy.

Jarek potłukł się chwilę po kuchni, jakby nie dostał jeść tam, gdzie spędził pół nocy (a przecież podobno jadł kolację), potem pochłupał, postukał i pospuszczał wodę w łazience, na koniec trzasnął drzwiami do swojego pokoju. Zaskrzypiało łóżko. Odczekała chwilę i wymknęła się do przedpokoju, gdzie obwąchała jego kurtkę. Nic szczególnego, ani perfum, ani papierosów. W kieszeniach parę biletów skasowanych w metrze o różnych godzinach. W portfelu dowód, trochę pieniędzy i wytarte opakowanie z prezerwatywą, którą nosił ze sobą od dłuższego czasu. Gdzie ty się podziewałeś, wnuku?

Halina już po raz drugi znalazła się w tej kamienicy przy Śmiałej, natomiast po raz pierwszy w tym mieszkaniu. Gdy pokonała zamek i policyjne taśmy (ile będą tutaj tkwić?), wślizgnęła się do przedpokoju, zamknęła cicho drzwi za sobą i... pożałowała. W powietrzu wisiało coś dziwnego. Usiłowała zrationalizować zgrozę, która ją ogarnęła - ciało Tymoteusza tkwiło tu prawie dwie doby. Ale nie chodziło tylko o zapach. Zerknęła do kuchni. Kałuży krwi już nie było. Zastanowiła się, kto ją zmył. Policja ma specjalnych sprzątaczy, którzy się tym zajmują?

Na środku leżało przewrócone krzesło. Ciekawe, czy to właśnie to krzesło. Nie patrząc już w tamtą stronę, weszła do pokoju. Ział smutkiem wynajmowanych wewnątrz - październikowa meblościanka z lat osiemdziesiątych nie pasowała do szlachetnych murów z połowy XX wieku ani do solidnej, choć nieco odrapanej z farby, stolarki okien i drzwi. Pod oknem stała wytarta kanapa przykryta burym kocem, na ścianach wisiały reprodukcje marnych pejzaży, na parapecie dogorywała zeschnięta paprotka. Anglista najwidoczniej nie wkładał wiele serca w dekorowanie wnętrza, nie dbał też o porządek - wszędzie piętrzyły się stosy czasopism i płyt. Malczewskiego za to widać nie było.

Halina nie wiedziała, od czego zacząć. Tak naprawdę chętnie by stąd wyszła, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Miała bowiem dziwne przeczucie, że za śmiercią Tymoteusza stała jego pełna tłumionej furii była żona, w której miał nieszczęście zakochać się Jarcio i u której zapewne spędzał ostatnio mnóstwo czasu, w tym wczorajsze pół nocy. Zanim połączą ich jakieś ściślejsze więzy, Halina chciała wykluczyć lub potwierdzić jej udział w zbrodni.

I wtedy usłyszała skrzypnięcie drzwi: ktoś wchodził do mieszkania. Skoczyła w stronę szafy, żeby się tam ukryć, ale nie zdążyła jej otworzyć, bo w przedpokoju pojawił się policjant.

- Co pani tu robi?!

- O, jak dobrze, że pan przyszedł! - zaszcebiotała. - A ja myślałam, że wy już w ogóle się nie interesujecie tym śledztwem.

- Widziała pani taśmy na drzwiach?

- Ależ proszę pana, ja tu nic nie nabroję... Przecież wiem, nie można nic dotykać i wcale nie zostawiłabym odcisków palców... - Wysunęła przed siebie dłonie w skórzanych rękawiczkach.

- Dowód, proszę - warknął, choć miała wrażenie, że chce mu się śmiać.

- Panie władzo, jaki dowód, jestem sąsiadką, pożyczyłam panu Tymoteuszowi książkę i on nie oddał. Czekałam na policję i czekałam pod drzwiami, ciągle nikogo nie było, więc postanowiłam tak cichutko jak myszka...

- Chce pani stanąć przed sądem za utrudnianie śledztwa?!

Powiedziała, że nie chce, i że przeprasza, i że już nigdy, zatrzęsła głową i wysmyknęła się z mieszkania denata, by zaraz na klatce schodowej wpaść na Joannę Weredę. Halina rzuciła „dzień dobry” i chciała zmykać, kiedy zatrzymał ją cichy głos:

- I znowu panią spotykam.

Jeszcze przez chwilę chciała udawać niewidzialną, ale wiedziała, że z równolatką jej to nie wyjdzie. Nie, zaraz, z jaką równolatką? Z tej odległości dało się zauważyć, że Joanna

Wereda musi być od niej o jakieś dziesięć lat starsza. Osiemdziesiątka, jak nic. Ale zadbana osiemdziesiątka.

Halina zrobiła krok w tył, na wypadek, gdyby Wereda znowu miała szczura w kieszeni, i odezwała się:

- Dzień dobry. Mnie również miło panią widzieć.

- Jaką to książkę pożyczyła pani Tymoteuszowi Maciejce?

- „Żywoty świętych” - zablefowała Halina. - Po angielsku.

Policjant, opuszczający mieszkanie denata, obrzucił je uważnym spojrzeniem.

- Pani Wereda? Dziękuję za czujność obywatelską. Ale widzi pani, nie było się czym niepokoić. Przecież to tylko sąsiadka. A panią jeszcze raz ostrzegam. - Spojrzał surowo na Halinę i zbiegł po schodach.

- Sąsiadka?! - Głos pani Weredzie zadrżał.

- To pani zadzwoniła na policję?

- Od razu, gdy zobaczyłam, że ktoś wkrada się do mieszkania pana Tymoteusza. Zawsze mu mówiłam, że taki zamek diabła wart. Czym pani otworzyła te drzwi?

I uważne spojrzenie szarych oczu. Halina wyciągnęła przed siebie drucianą wsuwkę.

- Kiedyś, gdy jeszcze uprawiałam sport, zawsze zapominałam kluczyka do swojej szafki w szatni. Jeszcze pamiętam, jak to się robi.

- A taśmy?

- Żyletka.

Pani Wereda oskarżycielsko zasznurowała wargi. Czekwała.

- No to już powiem wszystko - odważyła się Halina. - Liczę, że nie będzie mnie pani osądzać, zanim nie skończę.

Zeszły na podwórko i odgarnawszy liście, siadły na ławce pod klonem. Popłynęła opowieść o Jarciu, dorosłym, acz niezbyt samodzielny wnuku, który zakochał się w starszej od siebie kobiecie, podejrzanej o morderstwo byłego męża. Halina przyznała się: nie wie, jak obrzydzić ukochaną wnukowi. Gdyby wykazała jej winę, byłoby to najlepszym sposobem na rozdzielenie tej niedobranej pary. A intuicja mówiła jej głośno i wyraźnie, że doktor Ilona Maciejko nie jest bez winy.

- Myśli pani, że starszej osobie uda się w mieszkaniu denata odkryć więcej niż policji?

- Wereda posłała Halinie kpiące spojrzenie. - Pani wybaczy, ale to naiwność rodem z kryminalnych powiastek dla młodzieży.

- A ja myślę - skontrowała Halina - że warto, po pierwsze, dopilnować wszystkiego samej, a po drugie, czy nigdy nie zdarzyło się pani zauważyć rzeczy, które przeoczyli inni?

Mężczyźni z policji zwracają uwagę na inne rzeczy niż starsze panie.

Wereda nie wydała się do końca przekonana, niemniej złagodniała.

- Wie pani, ja też muszę przeprosić - wyznała. - Poprzednio nie powiedziałam całej prawdy. Jeśli chodzi o byłą żonę pana Tymoteusza, to przyznaję rację. Również bym jej dla wnuka nie chciała. Gdybym oczywiście miała wnuka. Wcale mi się nie spodobała, kiedy ją tutaj widziałam...

Specjalnie zawiesiła głos. Spojrzała na Halinę, która o mało nie eksplodowała z ciekawości, i uśmiechnęła się lekko, zadowolona z chwilowej władzy zdobytej nad rozmówczynią.

- Tak, ona tutaj przysła. Na trzy dni przedtem, zanim znalazłam pana Tymoteusza martwego, niech pani sobie wyobrazi. A wrzeszczeli, a wypominali sobie. Najwięcej ona wrzeszczała, bo on się śmiał, zresztą był człowiekiem pogodnym z natury. W niej aż buzowała wściekłość.

- O co się kłócili?

- Chodziło chyba o pieniądze, ale niewiele usłyszałam. Wychodząc, zagroziła, że ona tak tego nie zostawi. Choćby go miała zabić.

- Mówiła to pani policji?

- Oczywiście. Policji należy mówić całą prawdę. Ale paniom, które przychodzą na przesłuchania z niezbyt prawdopodobnymi wymówkami, niekoniecznie, prawda?

- Przepraszam za tamto. - Halinie było naprawdę głupio.

- Przebaczone. - Joanna Wereda wyciągnęła do niej dłoń. Drobne kostki w futeraliku z suchej skóry budziły raczej odruchy opiekuńcze niż kumplowskie.

Uśmiechnęły się do siebie. W oczach Weredy nie było już widać ani odrobiny tej zajadłości, jak wówczas, gdy przesłuchiwała Halinę na schodach.

Halina i Joanna rozglądały się po salonie Tymoteusza Maciejki.

- Policja w ogóle tutaj nie przychodzi, nie wiem, po co na drzwiach nakleili taśmy - narzekła Joanna Wereda. - Zdążyła pani coś znaleźć, zanim wszedł policjant?

- Nie miałam wiele czasu.

- Co przeszukujemy? Salon czy kuchnię? - Pani Joanna przeszła do rzeczy.

- Może ja salon, a pani kuchnię?

- Nie, nie chcę być tam sama.

Zabrały się więc do wspólnego przetrząsania kuchni; starały się nie patrzeć na tamto krzesło, które bezradnie rozkładało drewniane nogi, leżąc na szarym linoleum, niedawno jeszcze zapewne pokrytym krwią.

Szuflady były brudnawe, pełne okruchów, sztućców z różnych kompletów, plastikowych woreczków, porozdzieranych torebek z przyprawami. Tymoteusz raczej nie wyglądał na kulinarnego demona. Bardziej na amatora słodczy, co Halina stwierdziła, otworzywszy szufladę z obfitym zapasem czekolad i żelków. Kolorowych opakowań było tyle, że prawie przegapiła czarny kabel pod spodem. Odgarnęła szeleszczące stopy i zobaczyła niewielkiego laptopa. Eureka! Wyjęła go i podłączyła do prądu.

- A po co to nam? - zdziwiła się Joanna Wereda. Dziesięć lat różnicy wieku, a taka przepaść cywilizacyjna, pomyślała Halina.

- W serialach policyjnych zawsze zaczynają od przejrzania zawartości komputera denata - wyjaśniła. Ostatnio zrezygnowała z „Gotowych na wszystko” na rzecz filmów o detektywach.

- Cóż, skoro pani tak twierdzi... - zgodziła się niepewnie pani Wereda. - To dlaczego tego nie zabrali?

- Mówiłam: starsze panie zwracają uwagę na inne rzeczy niż młodzi mężczyźni. Bo kto trzyma komputer w kuchennej szufladzie, sama pani przyzna.

- Z pana Tymoteusza był bałaganiarz. - Joanna Wereda się wzruszyła. - Nigdy nie mógł niczego znaleźć. Może rzeczywiście wetknął tutaj maszynę, często zresztą z nią przesiadywał w kuchni. I kiedy tu siedział, zapraszał mnie czasem na drugie śniadanie... Miał takie angielskie ciasteczka maślane... - Zamilkła, ale zaraz się pozbierała.

Na monitorze laptopa pokazała się tapeta ze zdjęciem czarnego motocykla i mnóstwem ikon. Halina włożyła okulary i przysunęła sobie taboret, ignorując przewrócone krzesło.

- Niech pani siądzie, przeszukamy to razem - zachęciła.

- Cóż ja tu mogę... - przeraziła się tamta, ale przyniosła sobie krzesło z pokoju.

Na pulpicie komputera widniały dziesiątki ikon: gadu gadu, poczta, Skype, cokolwiek to jest, dziesiątki dokumentów. Najlepiej byłoby zabrać sprzęt do domu i tam przejrzeć wszystko. Ale wynoszenie laptopa z miejsca zbrodni to już przestępstwo, Halina zdawała sobie z tego sprawę.

Choć włamywanie się do zaplombowanego mieszkania denata również jest przestępstwem, to również wiedziała. Będzie musiała sobie poradzić na miejscu. Może zacznie od gadu gadu? Strasznie głupia nazwa, Halina miała zresztą tylko niewielkie pojęcie, jak to działa. Żywiła jednak nadzieję, że nazwa Archiwum, która się wyświetliła u góry paska, nie jest zmyłkowa. Kliknęła i oczom obu pań ukazała się pisemna pogawędka Tymoteusza z jakimiś paniami.

- Poziomkę? Wylizę ci poziomkę? - zdziwiła się Joanna Wereda, po czym zaczerwieniła się i zamilkła.

Skrepowana Halina przeglądała kolejne wpisy. Poza malinką pojawiła się również brzoskwinka i pierożek, natomiast rozmówczynie Tymoteusza specjalizowały się raczej w zoologii (dominował wąż, ale pojawiał się również kogut i dziwo - jaszczur).

- Dużo miał tych kobiet - zauważyła Halina. Urażona Joanna wzruszyła ramionami.

- E, takie tam męskie głupoty. On nie był taki. Halina zainteresowała się pocztą, do której skrót

Tymoteusz umieścił na pulpicie. Hasło było już szczęśliwie wpisane, więc tylko kliknęła przycisk Wejść. W odebranych miał ponad sto listów.

Najwięcej pochodziło z Facebooka. Halina co nieco słyszała o tym serwisie, ale nie miała pojęcia, jak się nim posługiwać. Zjrzy tam z Jarciego komputera, teraz nie było na to czasu.

Rzucił jej się w oczy mejl wysłany z adresu wsciekłazona. Bardzo obiecujące, bardzo. Otworzyła go. Bez wstępu, bez nagłówka, od razu do rzeczy. „Znalazłam na Facebooku profil jakiegoś flirtującego palanta pod nickiem Smutny Pan. Jeśli to ty, oznajmiam, że zanotowałam: właśnie spędziłeś weekend w Barcelonie. A twoje dzieci nie mają na podręczniki, bo od dwóch lat nie oglądamy alimentów od kochanego tatusia. Już kieruję sprawę do sądu, smutny palancie. Ilona”. Smutny Pan? Facebook? Tak, trzeba się będzie tym zająć.

Znudzona Wereda poszła przetrząsnąć resztę mieszkania, a Halina przeglądała folder Odebrane. Poza reklamami serwisów erotycznych, banków oraz komisów samochodowych, komunikatami domów aukcyjnych i sklepów ze sprzętem fotograficznym - było tutaj wiele listów od wierzycieli. Niektóre pełne godności („Oznajmiam, że jeśli pan nie zwróci pożyczonego lipca tysiąca złotych, roześlę tę wiadomość do wszystkich pana znajomych i nikt panu nie pożyczy już nic”), inne godności pozbawione („Oddawaj kasę, pizdo, bo ci jebnę w ciemnej ulicy”). Poza tym i tutaj znalazła korespondencję od pań. Trochę miłosnej, ale więcej wyrzutów. Były też listy międzygatunkowe, które łączyły wyznania uczuć z wyrzutami w sprawie niezwróconych pieniędzy. Tymoteusz nie odpowiadał, o czym świadczyła narastająca irytacja lub rozpacz korespondentek. W listach, które wysyłał sam Tymoteusz, panowała również zadziwiająca monotonia: znajdowały się tu niemal wyłącznie prośby o przełożenie terminu spłaty długu, wszystkie pisane według tego samego szablonu, wklejał tylko nowe sumy, daty i imiona wierzycieli. Halina nie znalazła ani jednego bardziej prywatnego mejla. O czym to mogło świadczyć? O tym, że anglista posiadał jeszcze jedno

konto pocztowe albo nie posiadał życia bardziej prywatnego, albo że - jak Halina - prowadził je pozainternetowo.

Wyszła z poczty elektronicznej, żeby przejrzeć dokumenty. Znalazła tu głównie kiepskie zdjęcia przyrody i skrypty na lekcje angielskiego. Nieciekawa postać, stwierdziła. Zadłużony flirciarz, który nie płacił na swoje dzieci. Takich motylków nie lubiła najbardziej.

Zajrzała do pokoju, gdzie Wereda przeglądała zawartość regału.

- Niezręcznie grzebać w rzeczach pana Tymoteusza. Trochę nie wypada - tłumaczyła się, z zażenowaniem otwierając kolejne szafki, w żadnej jednak nie było rewelacji, może poza odrobiną suszonych ziółek o dziwnym zapachu upchanych w skarpetce. Na komodzie przy kanapie, która służyła Tymoteuszowi za łóżko, leżało hurtowe opakowanie prezerwatyw, opróżnione do połowy, oraz amerykańskie kryminały z jaskrawymi okładkami. Skłębiona pościel w kanapie lekko pachniała czosnkiem, zupełnie jakby Tymoteusz masowo pochłaniał tutaj kanapki z kielbasą. Halina współczuła kobietom, które musiały się kłaść pod tą kołdrą.

Niewielkie biuro księgowo w suterenie bloku mieszkalnego wydało się Jarkowi strasznie przygnębiającym miejscem, zwłaszcza gdy wyobraził sobie, że musiałby wchodzić tutaj, jak matka Kamili, dzień w dzień przez kilkanaście lat. Krępował się opowiadać sekretarce, że prowadzi śledztwo, więc zełgał po prostu, że jego niewielka firma potrzebuje obsługi księgowej, i to najlepiej u pani Agnieszki Zaufał, o której słyszał same dobre rzeczy od znajomych. Tym sposobem trafił do pokoiku, w którym jeszcze do niedawna siadywała za biurkiem matka Kamili. Drugie stanowisko pracy okupowała zasadnicza pani z bruzdami przy ustach. Na szczęście zbliżała się do sześćdziesiątki, toteż Jaro nie miał żadnych oporów, żeby włączyć tryb czarowania.

- Dzień dobry. - Uśmiechnął się najpiękniej, jak umiał, ale poszło w próżnię, bo kobieta zaraz po swoim „witam” przeniosła wzrok na stos papierów przed sobą.

Jaro rozejrzał się po ciemnym, zagraconym wnętrzu. Regał trzeszczał od nadmiaru skoroszytów, papiery zawałyły biurko oraz było krzesło Agnieszki Zaufał, piętrzyły się na parapecie okna, za którym raz po raz ukazywały się nogi przechodniów. Na odgruzowanym kawałku przy oknie stał wybujały kwiat w doniczce, jedyny dekoracyjny element wnętrza.

- Piękna roślina - zagaił, nasycając głos ciepłem.

- To orchidea?

- Koleżanka ją tu przywlokła, a teraz ja muszę podlewać. - Księgowa nawet nie podniosła wzroku znad papierów. - Pan z akwizycji? Niczego nie potrzebuję.

Ups.

- Nie jestem akwizytorem. Ja właściwie do pani Agnieszki Zaufał.
- Nie ma jej. Musiałam przejąć wszystkie jej sprawy. Nazwa firmy? - Znużonym ruchem odwróciła się do zastępów skoroszytów na regale.
- Ja dopiero szukam obsługi księgowej. Znajomi polecili mi panią Zaufał.
- To się pan spóźnił. Teraz jestem tylko ja.
- Może nawet i lepiej? - Uśmiechnął się. - Wygląda mi pani na osobę konkretną i zorganizowaną.
- Tak? A na jakiej podstawie pan tak sądzi? I znowu jak kulą w płot.
- Ogólne wrażenie - starał się wybrnąć. - Pani Zaufał wzięła urlop?
- Jej nie ma i na razie nie będzie. Decyduje się pan mimo to? Do dwudziestu faktur miesięcznie najniższa stawka.
- Dawno nie szło mu tak marnie.
- Chciałbym wiedzieć, jak mam wytłumaczyć znajomym, że zdecydowałem się na obsługę innej księgowej
- powiedział sztywno.
- A może w takim razie ci znajomi wiedzą, gdzie ona jest?
- Słucham?
- Może pan im powiedzieć, że pani Zaufał pewnego dnia po prostu nie pojawiła się w pracy. Musiałam szybko przejąć jej klientów, a myśli pan, że dostałam za to dodatkowe pieniądze? - Monotonny głos na chwilę przybrał na sile. - Szefowa jeszcze upomniała mnie, że nie wiem, co się z koleżanką dzieje. Dopiero potem zadzwoniła córka Agnieszki z wiadomością, że mama zaginęła, a wtedy szefowa kazała mi napisać za nią podanie o urlop bezpłatny. Nie przypuszczałam, że to sprytny manewr, żebym pracowała za dwie. Niby do czasu aż sytuacja się wyjaśni. To co, może znajomi pomogą ją wyjaśnić?
- Nie wiedziałem...
- Widzę. - Sięgnęła po formularz. - Nazwisko i nazwa firmy?
- Jarosław Trzaskowski. Agencja Jarex.
- Rodzaj działalności?
- Nie wiem, czy w takiej sytuacji powinienem pani dodatkowo przysparzać pracy.
- Ja też nie wiem. To pan musi wiedzieć. - Spojrzała na niego chłodno.
- Zajmuję się działalnością detektywistyczną - wybąkał i czekał na wybuch śmiechu.
- Mam tu kilku takich, ale żaden nie umiał mi pomóc w sprawie Agnieszki. Pan umie?
- Słucham?
- Tak, niech pan słucha.

I opowiedziała zwięźle, że siedziały z Agnieszką Zaufał plecy w plecy przez kilkanaście lat. Koleżanka pracowała solidnie, nawet gdy złamała nogę, nie było jej tylko przez trzy dni, potem wróciła, o kulach i z nogą w gipsie, tyle że trzy razy w tygodniu wychodziła o godzinę wcześniej na rehabilitację. Niestety jakiś czas temu zmienił się jej stosunek do służbowych obowiązków, nabrała bowiem zwyczaju wychodzenia z pracy wcześniej oraz konsekwentnie odmawiała zostawania po godzinach. Pewnie chodziło o opiekę nad wnuczką, pomyślał od razu Jaro, choć jego rozmówczyni dodała od razu, że Agnieszka przeżywała trzecią młodość i nawet zapisała się na studia. Studia? Jakie studia? Księgowa z bruzdami nie znała szczegółów, dodała jednak, że z powodu tych studiów oraz prawdopodobnie zbliżającej się emerytury pani Zaufał tak się rozluźniła, tak rozkwitła, że aż po twarzy było jej widać.

- Schudła, wyładniała - opowiadała księgowa z wyraźną zazdrością. - A mnie brakuje do emerytury aż pięciu lat.

- Nigdy bym nie pomyślał! - skomplementował ją odruchowo Jaro, ale znowu wyszło niezręcznie, bo księgowa stwierdziła gorzko:

- Wiem. Całe życie wyglądałam poważnie.

- Wręcz przeciwnie! Miałem wrażenie, że emerytura to dla pani odległa pieśń przyszłości.

- Odległa. Zdecydowanie zbyt odległa - westchnęła, a bruzdy jej się pogłębiły. - Jak pan myśli? Co się mogło z nią stać? Zależy mi, żeby do niej dotrzeć, sam pan rozumie.

- Rozumiem.

- Nie mogę zapłacić, ale jeśli ją pan znajdzie, dam ulgę w rozliczeniach za pierwszy miesiąc. No, za dwa. Może być? Trzydzieści procent?

To było już trzecie zlecenie na poszukiwanie Agnieszki Zaufał, jakie otrzymał.

Umówili się na telefon, gdy tylko Jaro się czegoś dowie („choć ja już od dawna nie wierzę w cuda” - nie odmówiła sobie księgowa). Miał też wpaść z dokumentami firmy. Ciekawe z jakimi, bo na swojej działalności detektywistycznej zarobił na razie dwieście złotych, które Ilona wypłaciła mu na czarno.

Nie mógł się doczekać, aż podzieli się z Kamilą najnowszymi wynikami śledztwa.

- Dowiedziałem się czegoś o twojej mamie - oznajmił jej z dumą.

Florce przyniósł lizaka, ciamkała go teraz pochłonięta oglądaniem kreskówek w salonie, a oni siedzieli za stołem w kuchni, popijając wino półsłodkie.

- Pamiętam, że lubisz - powiedziała Kamila, gdy wyciągała je z kredensu, a potem od razu się zaczerwieniła. Co do jedzenia: wyglądało, że poprzestaną na orzeszkach. Tym

bardziej że Kamila po wysłuchaniu jego opowieści trwała w szoku.

- Studia? Przecież bym wiedziała. Bywało, że kiedy wracałam, jej ciągle nie było z Florką w domu, ale myślałam, że chodziły na spacer.

- Brała dziecko na zajęcia?

- Nie wiem. Coś tam mi obie opowiadały z babcią, ale szczerze mówiąc... Ja to chyba puszczałam mimo uszu - wyznała Kamila i nagle zalała się łzami. - Nawet matką się nie umiałam zająć. Nic dziwnego, że ode mnie uciekła.

Z drugiego pokoju przybiegła przerażona Florka i posłała Jarkowi spojrzenie pełne wyrzutu.

- Ja nie... - zaczął płatać się Jaro. Kamila otarła oczy.

- Córciu, kiedy jeszcze była u nas babcia, gdzie chodziłyście razem?

- Na spacerki. I na zakupy. I do różnych pań na wizytki.

- Do szkoły z babcią nie chodziłaś?

- Do szkoły? Mamo, ja chodzę do przedszkola.

- A wiesz, że babcia chodziła na studia? Florka wyglądała na zaskoczoną.

- A nie było tak, że babcia czasem musiała wyjść, a ciebie gdzieś zostawiała? - odważył się Jaro.

- Czasem siedziałam u pani Joli. Na górze domu. Dawała mi herbatniki i oglądałyśmy razem bajki w telewizji. Ona woli bajki niż seriale. I czekałyśmy na babcię.

- A gdzie wtedy była babcia?

- Miała swoje sprawy - stwierdziła Florka, sznurując usta jak starsza pani.

Kamila patrzyła na córkę zszokowana.

- Dlaczego ja tego wszystkiego nie wiedziałam?

- Nie wiem - odparła dziewczynka.

- Na jakie wizytki chodziłaś z babcią? - spróbował znowu Jaro.

- Do takiej staruszki, były tam inne staruszki. Musiałam siedzieć w kuchni i kolorować obrazki z Maryją. I z Jezusem.

Kółko różańcowe?

- I raz z Hallo Kitty - wygrzebała w pamięci Florka. - Nudziłam się. A w telewizji ta pani miała tylko pięć kanałów.

- Jaka pani?

- Siwa - rzuciła Florka.

- Nazywała się jakoś?

- Każdy się jakoś nazywa - oznajmiła młoda. Wszystko razem wydawało mu się

zupełnie nieprawdopodobne. Można żyć tak blisko kogoś i tak niewiele o nim wiedzieć, jak Kamila o swojej matce? Studia (jakie studia? Podyplomowe chyba) starszej pani mnożyły krąg znajomych, dodawały nowych motywów, na dobrą sprawę należałoby rozpocząć śledztwo od początku: zajrzeć do sąsiadki z góry, przejść się (gdzie?) do tej szkoły. Kamila patrzyła na niego z rozpaczą. Podniósł się więc i poszedł zapukać do drzwi na czwartym piętrze.

Rozmowa z Jolantą Kuczkowską nic nie wniosła. Pani Zaufał raz na jakiś czas prosiła ją o posiedzenie z wnuczką. Pani Jola, jako osoba dyskretna, nie wnikała, o co chodzi. Podejrzewała jakiś romans, a że ona wspiera takie porywy serca, zwłaszcza u kobiet w swoim wieku, więc nie protestowała. Jarkowi głupio było pytać, czy Agnieszka jej za to płaciła, ale nic to nie wносиło do sprawy. Jakies daty? Nie pamięta. Jak często? Raz, może dwa razy na tydzień.

- Czy Agnieszka Zaufał wydawała się pani jakoś szczególnie wtedy wystrojona?

- No stroszyła te swoje loki, ale ona zawsze stroszyła. I nadużywała perfum, głupio tak o niej mówić, ale to szczerza prawda. Zapewne temu panu to nie przeszkadzało.

- Jest pani pewna, że chodziło o mężczyznę?

- A o co mogło chodzić?

- Szkoda, że nie powiedziała mi pani tego wszystkiego przedtem. Kamila bardzo się martwi, że ciągle nie ma żadnych wieści o matce.

- Cóż, myślę, że skoro ona kryła się z tym przed córką, pewnie nie zależałoby jej, żebym o tym opowiadała na prawo i lewo.

Kryła się przed córką ze wszystkim, sąsiadka miała świętą rację.

- O jej studiach nic pani nie wiedziała?

- Studia? W tym wieku?! No i tyle się dowiedział.

Szurający młodzieniec znowu sunął leniwie po podwórku. Mieszkał tu od niedawna, z nerwową matką i dorastającą siostrą o urodzie wielkookiej sarenki. Halina zaczęła mówić mu „dzień dobry” jak wszystkim sąsiadom, zgodnie z zasadą, że pierwszy mówi grzeczniejszy, a młody na ogół odpowiadał, chyba że zbyt głęboko zatopił się w myślach. Tego akurat nie brała mu za złe, natomiast na szuranie miała uczulenie.

- Dzień dobry. - Wbrew jej intencjom zabrzmiało to karcąco.

Drgnął, jakby dźgnęła go ostrogą, i nawet przystanął. Twarz miał całkiem inteligentną, oczy myślące, tylko to rozmamłanie... Nie znali się na tyle, by miała prawo zwracać mu uwagę; w ogóle zresztą niewiele się znali, jego matka bowiem unikała kontaktów z sąsiadami, przemykała po podwórku ze spuszczoną głową, jakby chciała stać się jak najmniej widoczna.

Cała ta rodzina stanowiła dla Haliny intrygującą zagadkę.

- Chłopcze...

Nie wziął tego do siebie.

- Młodzińcze... Masz w domu komputer?

- Co? Pewnie że mam.

Wyjął nawet rękę z kieszeni. Nie było tak źle.

- A czy mógłbyś, tak po sąsiedzku, sprawdzić mi kilka rzeczy na Facebooku?

- Na Facebooku?

- Ja sobie z tym nie radzę, a potrzebuję pilnie paru informacji. To co, pomożesz?

Wzruszył ramionami.

- Czemu nie.

Nie wiedział, czy już może odejść.

- A miałbyś czas teraz? Aż się wyprostował.

- Muszę lekcje robić.

- Nie zajmę ci dużo czasu. To co, pójdziemy? Mama w domu, mam nadzieję?

Wzruszył ramionami.

- Powinna być.

Zadzwoił do drzwi na parterze i czekał oparty o futrynę, wreszcie wygrzebał klucz w kieszeni i otworzył. Wszedł przodem, widać nowe pokolenie nie zwracało uwagi na takie ceregiele jak przepuszczanie przodem starszych pań.

- Mama! - wrzasnął. - Mama, ktoś do ciebie! Pochylił się, by rozsznurować tenisówki. Halina bardzo była ciekawa, jak mieszkają. Już na wejściu policzyła im pierwszy plus: nie zastąpili tradycyjnej stolarki nowoczesnym fornirem, a przedwojennego parkietu lśniącymi panelami. Tu wszystko przypominało jej własne mieszkanie parę klatek dalej: takie same malowane na biało, solidne drewniane drzwi z mosiężnymi klamkami, taki sam parkiet układany w jodełkę, taki sam lekko nierówny tynk na grubych ścianach - tu niepotrzebne było żadne ocieplenie styropianem. Porządna, przedwojenna robota, urok, który się nie starzeje, tylko z wiekiem nabiera wyrazu. To samo mogłaby powiedzieć o sobie. No i o Dzidce.

Z głębi mieszkania wyszła nerwowa kobieta z głową owiniętą ręcznikiem, w starym dresie powyciąganym na kolanach. Na widok Haliny lekko się spieszyła.

- Dzień dobry, Halina Baładanowicz, sąsiadka z klatki siedemnastej. Mam do pani syna nietypową prośbę.

- Miło mi, Hanna Cudny. Co się stało? - Spojrzała groźnie na nastolatka, który właśnie próbował czmychnąć do swojego pokoju, w czym bardzo przypominał Halinie Jarcia.

- Wiem, że niekulturalnie przychodzić bez uprzedzenia, ale zobaczyłam na podwórku tego młodego człowieka i od razu pomyślałam: ktoś w tym wieku na pewno zna się na Facebooku.

Na twarzy pani Hanny odmalowała się ulga.

- Ja też się znam na Facebooku.

Jej palce śmigały po klawiaturze, aż furczało. Szybko założyła Halinie coś, co nazwała profilem, a nawet zaproponowała, by zostały Facebookowymi znajomymi. Halina nie wiedziała, po co te ceregiele, skoro już zdążyły poznać się osobiście, ale widać nie do końca pojmowała zasady nowoczesnego savoir vivre'u. Następnie poprosiła sąsiadkę, by pomogła jej odnaleźć kilku internetowych znajomych na Facebooku. Najpierw wpisały w wyszukiwarce Ilonę Maciejko, ale okazało się, że lekarka miała utajnione wszystkie informacje poza zdjęciem (sprzed ładnych paru lat, uznała złośliwie Halina). Potem, pod okiem sąsiadki wpisała Tymoteusza Maciejkę, a kiedy to nie dało spodziewanego rezultatu, zaryzykowała wpisanie pseudonimu „Smutny Pan”.

- Mało kto używa pseudonimów - zaczęła protestować pani Cudny, ale zaraz umilkła, bo pokazała się strona Smutnego Pana. W miejscu zdjęcia widniał portret Marcowego Zająca z „Alicji w Krainie Czarów” z filiżanką w łapce.

- Smutny, ale sympatyczny. - Kobieta uśmiechnęła się i zostawiła Halinę, by sama przejrzała stronę.

W odróżnieniu od Ilony, Smutny Pan wiele wystawiał na widok publiczny. „Urodzony: Warsaw, Mieszka: Warsaw Religia: Boga nie ma Poglądy polityczne: mam Praca: uczę tego, co umiem najlepiej Życiorys: ratuj mnie! Szuka: związku, kobiet, przyjaźni”

Pod spodem jego wpisy, w dziwnym szyku, do którego Halinie trudno było przywyknąć - u góry strony znajdowały się te najnowsze, niżej starsze, na kształt warstw geologicznych. To nie był porządek, do jakiego przywykła, ale dzięki niemu od razu zauważyła, że ostatnia wzmianka nosi datę trzynasty września, dnia śmierci Tymoteusza Maciejki. Słowa, które nauczyciel zapisał o osiemnastej trzydzieści siedem, brzmiały: „Zaraz przyjdzie nowy uczeń, w tym roku zgłaszają się głównie mężczyźni. Może to i lepiej:-)”. Nowy uczeń?!

Więcej nie napisał już nic.

Każdy wpis autora profilu można komentować, pouczyła Halinę pani Cudny. I rzeczywiście, pod słowami Smutnego Pana widniało kilkadziesiąt komentarzy, tym razem w tradycyjnym porządku, od najstarszego do najnowszego. Halina była zmęczona tymi zmianami szyków oraz nowymi nazwami. „Stronę główną” była jeszcze w stanie

zaakceptować, ale „Profil”? „Konto”? „Tablica”? „Status”? Każde od lat oswojone słowo zyskiwało niepokojące drugie dno. Czy osoba urodzona przed rokiem tysiąc dziewięćset czterdziestym i wychowana na tradycyjnych lekturach jest w stanie poruszać się w tym dziwnym świecie, gdzie pod twarzą właściciela wyświetlają się rzędy znajomych, a czas płynie do tyłu? Przecież niedawno skończyła kurs komputerowy, myślała, że starczy jej wiedzy na jakiś czas, a okazuje się, że znowu odstaje, nie jest nawet w stanie patrzeć na ten monitor, pełen dziesiątków zdjęć wielkości znaczka pocztowego, dziwnych symboli oraz liter w różnych kolorach.

Zamknęła oczy, wzięła parę głębszych oddechów, rozluźniła mięśnie szyi.

Pod ostatnimi słowami Tymoteusza Maciejki znajdowały się żarty na temat nowych, zapewne bogatych uczniów, z czasem rozpaczliwe pytania: „Smutny, gdzie jesteś?” albo „Czy ktoś widział Tymoteusza?”. Wreszcie odpowiedź kogoś lepiej poinformowanego: „Smutny nie żyje” i podana data oraz miejsce pogrzebu. Pod spodem widniał komentarz Ilony Maciejko: „Czy ktoś widział u Tymoteusza taki obraz: dziewczyna z kosą w polu? Ten obraz należał do mnie, jeśli ktoś zna jego losy, wpisujcie się”. I odpowiedzi: „W takiej chwili myślisz o obrazie? Tymoteusz nie żyje!”. Ilona od razu skontrowała: „Wpisywałam się często, ale do tej pory Tymoteusz kasował moje komentarze”. Jakaś erudytką odezwała się: „Dziewczyna z kosą? Całkiem adekwatne”, a potem postawiła dziwny znaczek [*], który w następnych komentarzach pojawiał się jako jedyna ich zawartość.

[*] - jak się Halina potem dowiedziała od sąsiadki

- oznaczało wirtualny znicz, w którym gwiazdka symbolizowała płomyk.

- Czy gwiazdka zawsze oznacza płomyk? - upewniała się Halina, wyciągnąwszy swój notesik do notatek komputerowych.

- Zależy od kontekstu. Może również oznaczać całuska. A czasami - tu Hanna Cudny się uśmiechnęła

- a czasami tak się zapisuje dziurę w tyłku. Zależy kto co chce przekazać.

Halina postanowiła tego nie notować. Zapamięta.

Przeszukiwała wcześniejsze wpisy Smutnego Pana zamieszczane na tak zwanej tablicy. Smutny prowadził liczne dyskusje związane głównie - a jakże - ze smutkiem, pocieszaniem, pogodą i piciem kawy. Żadnej z twarzy komentatorek Halina nie знаła.

Wpisy Smutnego tak banalne, że aż oczy bolały. „Kobieta jest wiosną... Przychodzi po jesieni i zimie... przynosi świeżość i ciepło... i jeszcze przynosi nadzieję... Miłego dnia życzę, wypełnionego nadzieją!!!!”. „A ja pięknej wiosny życzę!” - odpisywały wielbicielki. Stawiały też wiele dwukropków, myślników, nawiasików i - ciekawe, które znaczenie miały na myśli -

gwiazdek.

„Pierwszy śnieg. Pierwsza miłość” - „Oj, czy na pewno pierwsza?” - zagadywały komentatorki.

„Niebo płacze” - „Przytulam wirtualnie” - deklarowały. „Co się stało?” usiłowały dociec, ale dowiadywały się tylko, że „Napiszę na priva”.

„Powrót z podróży: Barcelona jest piękna” - to pewnie właśnie z tego galopującego banału Ilona Maciejko wysnuła wniosek o zagranicznym weekendzie eksmęża.

Jarkowego profilu na Facebooku Halina nie znalazła. Albo go nie miał, albo - co bardziej prawdopodobne - i on posługiwał się pseudonimem, jakby coś złego było w dźwięcznym, nieco szeleszczącym mianie Jarosław Trzaskowski.

Sąsiadka zaglądała parę razy do pokoju z komputerem, coraz bardziej nerwowo proponując herbatę, więc Halina uznała, że pora iść. Dwie godziny z Facebookiem okazały się jednak owocne. Po pierwsze, zyskała ostateczne potwierdzenie, że Tymoteusz był naprawdę żalną postacią i tylko idiotka mogła zdecydować się na poślubienie go, co fatalnie świadczyło o doktor Ilonie. Po drugie, tego wieczoru, gdy umarł, czekał w swoim mieszkaniu na nowego ucznia.

Halinie było miło, że Joanna Wereda tak się dla niej postarała: zrobiła sobie dzisiaj nie tylko nienaganną fryzurę z niebieskawych loczków, ale i pokryła skórę fluidem. Tylko z bliska, to było doprawdy rozczulające, dawało się zauważyć, że przy nosie położyła za grubą warstwę kosmetyku. Gospodyni zaprosiła do pokoju, całe szczęście, w kuchni bowiem rezydował szczur Dżek w swojej klatce. Myśl o jego małych, pracowicie drobiących łapkach przyprawiała Halinę o dreszcze obrzydzenia, ponieważ paskudny gryzoń, gdy tylko usłyszał głos gościa, od razu ruszył w gonitwę w kółku do biegania, turkocząc, aż go było słycać w przedpokoju. Halinie od razu nasunęły się banalne refleksje na temat daremności wszelkiego działania, ale powstrzymała się przed ich wygłoszeniem do momentu, aż Wereda poda herbatę.

Kiedy starsza pani weszła z pierniczkami i przysiadła na chwilę w oczekiwaniu, aż zagotuje się woda, Halina zaczęła wypytywać ją o uczniów odwiedzających Tymoteusza. Interesowali ją zwłaszcza ci, którzy mogli się pojawić w dniu jego ostatniego wpisu.

- Policja mnie w tej sprawie nieźle wymaglowała - mówiła Wereda. - Nie mogłam jednak im pomóc, ponieważ tamten wieczór spędziłam z koleżankami. Widziała je pani na pogrzebie. Poszliśmy do Bliklego na placu Wilsona mniej więcej o siedemnastej i wyszliśmy tuż przed zamknięciem. I potem jeszcze gawędziłyśmy przez jakiś czas. Gdybym wiedziała, że powinnam była wtedy siedzieć w domu... - westchnęła i poszła wyłączyć czajnik.

Jej salon był zarazem sypialnią - obite pąsowym pluszem łóżko z czeczotkową półką z tyłu udanie udawało kanapę. Przy jednej ścianie stał potężny kredens, przy drugiej serwantka z kryształowymi szymbami, wypełniona książkami i bibelotami. Filiżanki, figurynki, lichtarzyki. Bardziej jednak niż ozdoby zainteresowały Halinę zdjęcia. Jakiś mężczyzna z wąsami (mąż?). Wyraźny retusz świadczył, że widział się z fotografem na wiele lat przed wynalezieniem Photoshopa. Artystyczny portret pani Joanny z połową twarzy w cieniu, z lisem na ramionach. Piękna była z niej kobieta, bez dwóch zdań. Starzała się też nie najgorzej, czego dowodziły kolejne zdjęcia, rysy jej się zaostrzały, drobniały, usta wciągały, policzki pokrywały siateczką zmarszczek, ale dało się dostrzec ślady urody. Co do fryzury - Wereda była konsekwentna: krótkie loki z falką nad czołem z biegiem lat zmieniały tylko kolor. Portrety jakichś kobiet w średnim lub starszym wieku. Twarz jednej powtarzała się na kilku zdjęciach, jej ciemne włosy w miarę upływu lat stawały się szpakowate, a owal delikatnej twarzy tracił ostrość.

Halina zajrzała do kuchni - pani Joanna układała herbatniki na talerzu - wyjęła z serwantki jedną z fotografii. „Asi - Nina, na zawsze” głosiła dedykacja wypisana z tyłu. „Na zawsze”? Halina poczuła zażenowanie. Ani ona, ani Dzidka nigdy by się nie zdobyły na taką egzaltację.

Za portretem Niny ukrywało się zdjęcie bez ramki, oparte o książki w głębi. Widniała na nim grupa roześmianych starszych pań mrużących oczy w pełnym słońcu. Niziuotka Wereda stała w pierwszym rzędzie, elegancka jak zwykle, w szarym kostiumiku, na jego tle jej delikatne dłonie wyglądały jak pąki lilii. Obok niej stała owa Nina, która zamiast w obiektyw spoglądała na Joannę.

Halina skądś pamiętała również twarze pozostałych kobiet. Może z pogrzebu? Znajome wydawało jej się zwłaszcza oblicze po lewej stronie Joanny Weredy - pani o rudych loczkach, szczupłej twarzy i przesywających, lekko podkrążonych oczach. Tak, gdzieś widziała tę twarz, męczyło ją jednak gdzie. Coraz częściej zdarzało się, że szukane informacje nie pojawiały się od razu, tylko stały na progu świadomości, jakby niezdecydowane: wejść czy nie wejść. To irytowało, bardziej niż swędzenie w miejscu, w którym nie można się podrapać.

- Patrzy pani na moje koleżanki z uniwersytetu trzeciego wieku - odezwała się zza jej pleców Joanna Wereda z tacą w dłoniach.

Halina odwróciła się, skrępowana.

- Z uniwersytetu?

- Chodzę tam od paru lat, żeby mi mózg nie zardzewiał. Zajęcia ciekawe, a te

dziewczyny są świetne. - Uśmiechnęła się.

Halina odwróciła fotografię. Z tyłu widniało kilkanaście podpisów i dedykacji, jak na zdjęciu klasowym. „Kochanej Joasi, koleżanka studentka, Iza Gajda”. „Joannie - Nina”. Kolejna narysowała myszkę, inna jamniczka. A jeszcze inna napisała: „Miłej Joasi na pamiątkę wspólnych zajęć - Agnieszka Zaufał”. Tak! Nic dziwnego, że ruda wydawała się Halinie znajoma.

Wereda postawiła tacę na stoliku, wyjęła obie fotografie z rąk Haliny, odstawiła je do serwantki i z uśmiechem zamknęła oszklone drzwiczki. Halina poczuła się nieswojo: sama również nade wszystko nienawidziła wścibskich bab przeszukujących cudze szafki.

Kamera od dłuższego czasu stała w kącie pokoju Siwego i jakby się z niego naśmiewała: masz stracha? Masz? Nie miał. Nie chciał tylko wchodzić z nimi, staruchami, w bliższy kontakt. Czuł jednak, jak gromadzi się w nim zła energia, która nie pozwalała mu ani spać, ani skupić się na niczym, powodowała, że nocami wędrował dookoła pokoju, pokonując całe kilometry. Co poszedł wyrzucić śmieci, widział dziesiątki opapranych syfami miseczek porozstawianych wokół kocich bud, a w dodatku wczoraj jakiś smrodliwy miaukot połaścił się o jego nogi. Do tego przy kontenerze leżał rybi kręgosłup; rozciągnięty na asfalcie wyglądał jak szyderczy, szczerbaty uśmiech.

Tak, to wszystko były znaki ewidentnie wskazujące, że czas znowu zacząć działać. Miał już nawet pewien pomysł, który powinien podgrzać atmosferę na podwórku.

Można sobie oczywiście robić listy stwierdzeń zakazanych, takich, które świadczą, że ktoś zdziałał. Halina z Dzidką tworzyły długie, wiecznie uzupełniane spisy wyrażań, i obiecały ich się wystrzegać. Na pierwszym miejscu wpisały: „Za moich czasów...”, na drugim: „Kiedyś bywało lepiej”. Można codziennie, świątek i piątek, chodzić na kijki, niezależnie od pogody, chyba że jest minus dziesięć, bo wtedy łatwo się przeziębic, zbyt intensywnie wdychając mroźne powietrze. Można ćwiczyć brzuszki co wieczór i uczyć się obsługi komputera na kursach dla starszych pań, ale nic się nie poradzi, że starość jednak nadchodzi, w najobrzydliwszy i najbardziej podstępny sposób.

Dla Haliny starość nie nadeszła wcale wraz z pierwszym siwym włosem (trzydzieści osiem lat) czy pierwszą większą zmarszczką (czterdzieści dwa lata), ani nawet z menopauzą (pięćdziesiąt trzy lata). Dla Haliny starość nadeszła właśnie dzisiaj, w wieku lat siedemdziesięciu jeden, w dniu, w którym rano stwierdziła, że mimo zdrowego trybu życia jakimś sposobem złapała katar. U Weredy? Wstała, wydmuchała nos, zrobiła rozgrzewkę, ubrała się ciepło, po czym kichnęła donośnie, i wtedy poczuła coś dziwnego. Nie, to niemożliwe. Sprawdziła. Jednak się nie myliła: kichając, popuściła kropelkę moczu. I drugą,

za kolejnym kichnięciem.

Kichnęła i kap. Kichnęła i kap. Ten kap nie był zbyt obfity, kropla lub dwie, ale się zdarzył. Nie, nie da się tej pladze, muszą być na to jakieś ćwiczenia. Na wszystko są ćwiczenia, myślała przy śniadaniu, a ona z całą pewnością nie ma zamiaru ani żyć, ani umrzeć zasikana.

To gorsze od niechcianej ciąży, desperowała, sprząając kuchnię, a przecież i w ciąży miała pokusę, by się zabić.

Podmyła się, zmieniła majtki i rajstopy nieprzekonana, że musi to robić, zabezpieczyła się kawałkiem waty i stanęła przed lustrem, gdzie patrząc sobie w oczy, takie same jak jej oczy z wczoraj, powiedziała:

- Masz siedemdziesiąt jeden lat, ale to wcale nie znaczy, że nadajesz się tylko na złom. Masz siedemdziesiąt jeden lat i wielu nowych rzeczy już nie rozumiesz, wielu jednak się nauczyłaś. Masz siedemdziesiąt jeden lat i popracujesz nad swoim zwieraczem, co jest na pewno łatwiejsze niż poruszanie się po Facebooku, a to przecież ci się udało.

Tym razem zanim kichnęła, zdążyła dobiec do toalety. Płakać jej się chciało, ale nie był to czas na łzy i załamania, gdyż czekało ją dzisiaj wiele ważnych zajęć. W niedzielę nie chodziła na kijki, a kotami podwórkowymi zajmowała się Dzidka, przed mszą, więc Halina miała chwilę dla siebie. Jaruś chrapał donośnie w swoim pokoju. Pomyślała z nadzieją, że zanim przyjdą do niej panie od kotów, wnuk zwlecze się jednak z łóżka. Wolałaby, żeby doprowadził się do porządku, przed ich przyjściem, i nie włączył po domu w rozciągniętej piżamie z komórką w kieszeni, ziewając donośnie i bez zasłaniania ust. Wciąż nie udało jej się z nim porozmawiać, a przecież pojawiło się tyle palących tematów. Sytuacja ewidentnie wymykała jej się z rąk, bo przecież powinna wiedzieć na bieżąco, dlaczego tak późno ostatnio wraca, jak posunęły się śledztwa i czy nadal jest zafascynowany żarłoczną lekarką.

Ułożyła kruche ciastka na paterze, niestety musiała odłożyć kilka z orzechami, które przez pomyłkę zapakowano jej w cukierni. Orzechy to zły pomysł na spotkaniu pań w jej wieku - stare zęby mogą nie wytrzymać, a nowe sztuczne też miewają z nimi kłopoty. Potem wyparzyła mały czajnik, wsypała pięć łyżeczek herbaty (po jednej na osobę i jedną dodatkowo), zalała wrzątkiem, po czym włożyła rękawicę, by nie poparzyć dłoni, i zdjęła pokrywkę z czajnika, w którym buzował wrzątek. Wstawiła tam imbryczek z esencją. Będzie potrzebowała paru minut, by porządnie naciągnąć. Stary dobry sposób, który nawet z najtańszych liściastych herbat wydobywał to, co najlepsze. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wciągnąć na zakazaną listę wyrażenia „stary dobry sposób”, ale postanowiła przedyskutować to jeszcze z Dzidką.

Pierwsza zjawiała się Celina. Zawsze przychodziła pierwsza, bo miała trudności z poruszaniem się, więc wychodziła z domu nieprzyzwoicie wcześnie. Jej obecność na tym zebraniu była pożądana z jednego względu: Celina rzadko opuszczała mieszkanie, a z okna swojej kuchni miała świetny widok na podwórkowy śmietnik, a zatem i na kocie domki.

Sąsiadka ucałowała Halinę na mokro. Jak zawsze pachniała syropem z cebuli. Spod syropu przebijał lekki zapach perfum, tych samych od lat. Mówić zaczęła niemal od razu, a robiła to umiejętniej od niejednego radiowego spikera, gdyż mogła ciągnąć opowieść bez przerw na muzykę. Opowiadała, że ona się nikomu nie żali, mimo że źle się czuje, fatalnie znosi tę pogodę (raz gorąco, raz zimno, a rano nawet przymrozki) i że generalnie kiedyś to były jesienie, ale teraz jesienie to nie są prawdziwe jesienie, w ogóle nic nie jest takie jak kiedyś bywało. Opowieść o chorobie stanowiła kręgosłup tej wypowiedzi, ale Celina zapuszczała macki na różne inne tereny, by zawsze jednak wrócić do swojego marnego samopoczucia oraz chorób, które kogo innego by pewnie zabiły, ale ona jest dzielna i na nic się nie żali. Owszem, myślała Halina, sąsiadka była dzielna, kuśtykała o lasce i wypatrywała wszystko jedynym widzącym okiem, jakie jej zostało, drugie bowiem pokrywała mgła uszkodzonej rogówki. Była dzielna, to się dawało stwierdzić obiektywnie, natomiast subiektywnie - Halina nie przepadała za jej towarzystwem. Raz - bo nie znosiła rozmów o chorobach, dwa - nie lubiła, jeśli ją ktoś ścisnął przy powitaniu, a Celina nawet gdy się spotkały w samie w kolejce do kasy, musiała ją ucałować i uścisnąć, a trzy - bo sąsiadka wszelkie wiadomości o życiu czerpała z programów telewizyjnych, które traktowała jako najbardziej wiarygodne źródło wiedzy na świecie.

Przez to wszystko Celina wydawała się potwornie sędziwa, choć metrykalnie była starsza od nich jedynie o dwa lata. Halina chciała kiedyś dopuścić ją, dla jej własnego dobra, do listy wyrażań i myśli zakazanych, tej stworzonej razem z Dziką, ale Celina zupełnie nie zrozumiała tego pomysłu.

- Ale czemu to ma służyć? - wybuchła. - Mam udawać, że używam młodzieżowego języka? Dziwne te wasze zasady...

Czemu to ma służyć? - zżymała się w ciszy Halina. - Czemu? A temu, żebyś nie zmieniła się w starego grzyba. Żeby twoje dzieci chciały z tobą jeszcze rozmawiać, a nie żeby pobłażliwie kiwały głową, udając, że cię słuchają, a potem biegły do swoich spraw. Żebyś nie stała tak zupełnie z tyłu autobusu zwanego życiem.

Była więc skazana głównie na Dzikę. Obie zatrzymały się w rozkroku między wschodem a zachodem, między mądrą starością a energiczną młodością. Obu im się jeszcze chciało. Tak, Dzikka potrafiła ją zaskakiwać pozytywnie.

Kichnęła. Będzie musiała zmienić watę.

Ledwo jej się udało głodną kontaktu fizycznego Celinę usadzić na najtwardszym krześle (musiało być twarde ze względu na jej kręgosłup), gdy do drzwi zadzwoniła kolejna osoba. Celina ciągnęła dalej przemowę, podnosząc tylko głos, gdy Halina przeszła do przedpokoju.

Za drzwiami stała Teresa, z którą niedawno pochowały obok parkingu kolejnego kota. Halina lubiła jej towarzystwo. Konkretna osoba: mówiła prawdę w oczy, ale zawsze też starała się znaleźć w tej prawdzie coś dobrego i miłego. Można było na niej polegać i zawierzyć, co się chciało. Ona też na pewno będzie umiała uciszyć Celinę, gdy już nadejdzie czas na przejście do rzeczy.

Teresa, wysoka kobieta, niegdyś miała figurę w kształcie klepsydry - duży biust, duże biodra i wąska talia. Teraz jednak, gdy kręgosłup wygiął się pod naporem lat, a biust miękko spłynął w stronę brzucha, długie ciało było jak zgarbiona gruszka. Halina musiała się powstrzymać, by nie klepnąć jej w plecy ze słowami

„Nie garb się”, co często praktykowała na Jarcu, ale Teresa, w odróżnieniu od Jarcia i Celiny, ewidentnie czuła się dobrze w swoim ciele. Przy licznych zaletach miała jedną wadę: paliła papierosa za papierosem. Teraz też wzięła filiżankę i udała się na balkon na dymka. Halina szczelnie zamknęła za nią drzwi, by dym nie przedostawał się do środka, podczas gdy Celina zastanawiała się, jakim cudem kopnącej Teresy jeszcze nie trafił szlag.

To niejedyny cud, który dotyczył gruszkowatej sąsiadki, kolejny stanowiło jej życie intymne. Halina kiedyś wpadła do niej zaniepokojona, że Teresa nie odbiera telefonu. Zadzwoniła do drzwi, sąsiadka otworzyła nieco zarumieniona, odziana w szlafrok, spod cienkiej materii prześwitywały piersi, które majtały się jeszcze niżej niż wtedy, gdy wciął je stanik. Stała w progu, jakby nie miała zamiaru wpuszczać Haliny do środka. Po chwili za jej plecami przemknął w stronę toalety półnagi młody osiłek ozdobiony gdzieś tam tatuażami, który bez żenady uklonił się stojącej w drzwiach Halinie. Był w wieku Jarcia, może odrobinę starszy.

Wiele tygodni później, gdy przy pogrzebie kolejnego kota rozmawiały o zaletach wdowieństwa, Teresie zebrało się na zwierzenia. Wyznała, bez specjalnego skrępowania, że dopiero po śmierci męża odkryła uroki seksu. Umięśniony mężczyzna z tatuażami nie był jedynym, który korzystał z jej nowo odkrytej pasji. Wśród beneficjentów rozpasanej erotycznie sześćdziesięcioośmiolatki o figurze gruszki znajdowało się wielu panów w różnym wieku. Wszyscy sobie cenili jej nieustającą gotowość, entuzjazm, dyskrecję oraz wciąż wzbogacane doświadczenie. A Teresa nałogowo zażywała przyjemności, którą odkryła tak

późno. To oraz koty i papierosy stanowiło obecnie główną treść jej życia.

Zaraz po Teresie zjawiała się Dzikka. Były zatem w komplecie, choć nie nadeszła nawet jedenasta, godzina ich spotkania. Tak to już jednak jest w pewnym wieku: ludzie przestają się spóźniać, bo wiedzą, jak cenna jest każda minuta.

Dzikka najpierw rozplątała futrzany szaliczek farbowany na fioletowo, rozpięła dopasowaną kurtkę i zdjęła dobrany do niej, ciemniejszy o dwa tony, kapelusz. Chwilę poprawiała fryzurę przed lustrem. Potem wygładziła błękitny bliźniak, ułożyła równiej granatowe koraliki, spojrzała w dół. Granatowe buty do kostek na niewielkich słupkach błyszcząły, starannie natarte pastą i wypolerowane.

- Ciekawe kazanie dzisiaj było? - zagadnęła Halina. W salonie Celina kontynuowała przemowę, Teresa natomiast bujała myślami daleko stąd, może w okolicach jakiegoś wytatuowanego torsu.

- List Episkopatu - jęknęła Dzikka.

- O czym?

- Prawie nie słuchałam - wyznała. - O środkach masowego przekazu. Że rozprzestrzeniają w ludzkich umysłach cywilizację śmierci.

- Chodzi o to, że media robią nam wodę z mózgu? - uściśliła Halina.

- Z grubsza. Długo chcesz mnie jeszcze trzymać w przedpokoju?

- Aż sobie wytrzesz tutaj. - Halina bodnęła ją palcem pod okiem. - Tusz ci się rozmazał.

Dzikka pospiesznie wyjęła z torebki futerał, a z niego okulary i włożywszy je na nos, zbliżyła twarz do lustra.

- Prawie nie widać - stwierdziła z ulgą. - Wzruszyłam się, kiedy taka mała dziewczynka śpiewała psalm na ambonie.

- Od kiedy wzruszają cię małe dziewczynki?

- Po prostu ucieszyłam się, że istota płci żeńskiej stoi na ambonie.

- Z tego co wiem, mogą stawać tam od lat. - Tyle Halina wiedziała z kościelnych ślubów.

- Ale ja jeszcze pamiętam czasy, gdy nie mogły wejść do prezbiterium. Wcale nie tak dawno. W latach sześćdziesiątych, przed soborem.

- Można powiedzieć, że zmiany w Kościele następują błyskawicznie. - Halina uśmiechnęła się. - Może za następnych pięćdziesiąt lat ta dziewczynka zawędruje nawet za ołtarz.

- A po co? - zaprotestowała gorąco Dzikka. - Tylko jakieś niespełnione zasuszone

samiczki upatrują rozwiązania swoich frustracji w odgrywaniu ról do tej pory zarezerwowanych dla mężczyzn.

- Ta zasuszona i niespełniona to ja? - obruszyła się Halina.

- Zawsze mnie zadziwia, jak bardzo bierzesz wszystko do siebie.

- A ty zawsze się strasznie zacietrzewiasz, kiedy rozmawiamy o kościele.

- Bo dyskutujesz, a nie masz o tym zielonego pojęcia.

- Przyjdziecie tu wreszcie? - zawołała z salonu Teresa. - Jeszcze wam się nie znudziły te awantury kościelnokobiece?

- Bo ona nie widzi oczywistości - drążyła Dzidka, której z irytacji wykwitły rumieńce na policzkach.

- A ona nie widzi, że każdy może mieć swoją oczywistość - mruknęła Halina.

- Relatywizm - syknęła jeszcze Dzidka i obie weszły do salonu w nastroju polemicznym.

Teresa wysunęła w ich stronę paterę z ciasteczkami, przypuszczalnie po to, by zatkać im wreszcie usta.

Dzidka siadła wyprostowana na fotelu. Jej rumieńce stopniowo bladły. Teresa podała jej filiżankę z herbatą. Celina kontynuowała przemowę, której nie przerwała nawet na czas ich polemiki w przedpokoju.

-...Musicie wiedzieć, że w taką pogodę wirusy uaktywniają się ze zdwojoną siłą. Kiedy jest mróz, szybko giną, a przy szaleństwach pogody, nie wiem, czy zauważyliście, że dzisiaj rano było zero stopni, a teraz już dwanaście, stają się jeszcze bardziej jadowite. Teraz w ogóle nie otwieram okien, żeby nie wpuszczać drani do środka.

- A drzwiami ci nie wejdą? - zakpiła Dzidka.

- Tośmy pogawędziły, a teraz, żeby Celinka nie narażała się za długo na działanie wirusów, przejdźmy wreszcie do rzeczy - skwitowała Teresa.

- Mamy poważny problem - zagaiła Dzidka. - W ostatnim czasie ktoś zabił trzy koty. Technika jest zawsze taka sama: wszystkie zostały uduszone drutem.

Nie możemy dopuścić do dalszych takich przypadków. Raz, bo każdy ma prawo żyć...

- Poza mordercami - udało się wtrącić Celinie.

-...dwa, bo brak działania to przyzwolenie na szerzenie się zła. Trzy, bo koty są nam potrzebne, przypominam, że pod blokiem na Szajnochy widziano ostatnio szczura.

- Pod którym blokiem? - zdenerwowała się Celina.

- Tym nowym, obok Merkurego - uściśliła Dzidka. Jego nowość była problematyczna, miał już pewnie z osiem lat, jednak w ich perspektywie to zaledwie dłuższa chwila.

Z przedpokoju rozległo się szuranie. Jaruś. Halina włączyła muzykę.

- Ścisz to, Halinko, trudno mi się skupić, kiedy otacza mnie tyle źródeł dźwięku - jęknęła Celina.

Jaro przeszedł do łazienki, skąd rychło dobiegło donośne bulgotanie towarzyszące płukaniu gardła. Czyżby i jego dopadło zaziębienie? - zaniepokoiła się Halina, po czym kichnęła. Celina w obronie przed wirusami zasłoniła dół twarzy chusteczką. Kap - przypomniała o sobie ponura rzeczywistość.

- Musimy, po pierwsze, przygotować listę podejrzanych, czyli ustalić, kto narzekał na koty na podwórku

- ciągnęła Dzikka. - Po drugie, listę motywów, czyli dlaczego ludziom te koty przeszkadzają. Po trzecie, zastanowić się, kiedy dochodzi do tych zbrodni.

- W nocy, a kiedy? - stwierdziła stanowczo Celina.

- Musicie wiedzieć, że do większości zbrodni dochodzi po ciemku.

Halina była pewna, że i ta informacja pochodzi z telewizji. Ciekawe, czy można ją jakoś zweryfikować. Spojrzała w okno: słońce robiło, co mogło, z październikowym zachmurzeniem. Świat to pogrążał się w ołowianej aurze, to złocił światłem odbijającym się w oknach naprzeciwko.

Nagle z podwórza dobiegł przeraźliwy wrzask, cienki i raptownie urwany. Umilkł, po czym rozległ się znowu, tym razem nie ustawał, wiercił w mózgu, budził przerażenie. Halina, Dzikka i Teresa poderwały się, podbiegły do okna. Przy śmietniku stał słup ognia: płonęły kocie domki. Kolejny słup ognia przesuwiał się po podwórku i straszliwie wrzeszczał w prawie nieludzki sposób. Dziecko? Nie, nie ma takich maleńkich dzieci.

Halina, Dzikka i Teresa rzuciły się do drzwi, Celina o lasce gramoliła się z krzesła. Tamte pobiegły na dół, Halina jeszcze wparowała do łazienki. Jarcio drgnął i skaleczył się nożyczkami w nos: właśnie wycinał sobie włoski.

- Dzwonź szybko do straży pożarnej. Podwórko się pali! - rzuciła Halina i też pobiegła na dół, wymijając w przedpokoju Celinę.

Zbrodnia doskonała wymaga dużej wiedzy i niezbędnego przygotowania - o tym Siwy wiedział od dawna. Warunek pierwszy, nie mieć motywu. W każdym razie szeroko znanego. Warunek drugi, nie mieć sposobności, w każdym razie ewidentnej. Warunek trzeci, nie mieć powiązania z ofiarami. Warunek czwarty, nie czerpać żadnej korzyści ze zbrodni, w każdym razie korzyści rzucającej się w oczy.

Stał przy oknie i zza firanek podziwiał swoje dzieło. W zaciemnionym pokoju był niewidoczny dla osób stojących na rozświetlonym słońcem i pożarem podwórku. Kocie

domki pięknie płonęły, nie na darmo wczoraj w nocy rozlał na ich dachy trochę benzyny. Wysypał też dokoła domków ścieżkę z piasku, żeby pożar się nie rozprzestrzenił, nie chodziło przecież o spalenie całego bloku, tylko o wspaniałe przedstawienie z udziałem wszystkich kotów. Rozczarowało go, że koty najwidoczniej wcale dzisiaj nie siedziały w domkach, może dlatego, że poczuły benzynę. Zapłonął tylko ten jeden brudas. Czy to ten, którego wczoraj udało się ochlapać benzyną? Zajebście wyglądał, gdy biegał wkoło i krzyczał zupełnie jak dziwka, której się trzyma przy twarzy żyletkę.

Siwy planował kocie fajerwerki na okolice dziewiętnastej, po ciemku widok byłby lepszy. Trochę jednak przyspieszył akcję, kiedy zobaczył, że staruchy od kotów właśnie się schodzą na jakieś tajne narady. Podpalony kot rozdarł się, a babska zaczęły wypadać z klatki jedna za drugą, jak bobki z koziego tyłka. Ostatnia wytoczyła się grubaska o lasce. Na podwórku pojawiali się ludzie, zorganizowali transport piachu z piaskownicy, by zasypać resztki domków, natomiast staruchy niezdarnie ścigały wrzeszczącego brudas. Kiedy go dopadły, zarzuciły na niego kurtkę jednej z nich i przycisnęły go do ziemi. Ogień pod kurtką zgasł, a one zaczęły oglądać futrzaka (teraz już pewnie łysego - Siwy zachichotał) i lamentować do wtóru wrzaskowi kota. Miał dosyć tych dźwięków, więc włączył Metallicę. Teraz wyglądało, jakby babcie poruszały się w rytm perkusji. Uciecha nieziemską. Życie jednak miało jeszcze trochę smaku.

Kiedy Jaro się obudził, starsze panie już rezydowały w salonie - dochodził do niego dyskretny szmer głosów, z dobitnie wybijającym się jednym z nich, i stukanie porcelany. Jakoś udało mu się przemknąć do łazienki. Siusiał po ścianie sedesu, potem umył zęby i zabrał się do wycinania włosów z nosa babcinymi nożyczkami do manikiuru.

Kiedy wpadła do łazienki, strasznie się przestraszył. Wybiegła, zostawiając otwarte drzwi, więc dopiero wtedy usłyszał wrzask z podwórka.

- Śmietnik płonie. I okolice. Chyba ktoś podpalił - raportował do telefonu, wykręciwszy. Niedługo potem dobiegł go odgłos syreny strażackiej; z bazy na Potockiej mieli do ich kamienicy ledwie kilkaset metrów.

Zakleił sobie plasterkiem zraniony nożyczkami nos i ubrał się szybko. Strażacy polewali resztki żarzących się kocich domków. Przez okno widział babcię Halinkę w samym niedzielnym swetrze - jej nadpalona kurtka leżała na trawniku obok kupki czegoś dziwnego, zapewne nieszczęsnego kota. Jaro zbiegł szybko na dół i zarzucił płaszcz na ramiona starszej pani. Prawie tego nie zauważyła, zajęta agonią zwierzęcia.

- Do weterynarza dzwoniłeś? - zaatakowała go Dzidka. - Musi go uśpić, im szybciej, tym lepiej.

Na szczęście miał w kieszeni komórkę.

- Darujcie sobie - powiedziała, nachyliwszy się nad kotem pani Teresa. - Właśnie skonał.

Łzy jej napłynęły do oczu. Babci też. Dzidka i pani Celina nie płakały, ale twarze miały zacięte. Babcia zarzuciła resztki kurtki na zwłoki kota, a Dzidka rozglądała się po podwórku jak kowboj.

- Pogrzebem zajmiemy się wieczorem, na placu Lelewela jest taki kawałek ziemi pod krzakami, tam będzie dobrze - zarządziła pani Teresa. - Pan nam pomoże, panie Jarku? Trzeba będzie zakopać go głębiej, bo tam chodzi luzem dużo psów.

- Na razie zanieś go do domu. - Babcia wskazała na nieszczęsne truchełko. - Niech w przedpokoju poczeka na pogrzeb. Tylko folię podłóż.

Jaro złapał przez kurtkę trzy kilo niedawnej męki i nie zważając na smród spalenizny, wszedł do klatki schodowej.

Gdy zbliżał się do drzwi mieszkania, zauważył starszego pana w płaszczu do kolan i czapce z daszkiem. Stał przy dzwonku i to wyciągał do niego rękę, to ją cofał.

- Dzień dobry - odezwał się Jaro. - Pan do nas? Starszy pan spłoszył się, po czym kiwnął głową i wpatrzył się w Jarka dziwnym wzrokiem.

- A pan kim jest? - spytał gość, po czym przeprosił za obcesowość. - Czy zastałem może Halinę?

- Babci nie ma w domu, i przez jakiś czas nie będzie.

- Proszę? - Starszy pan przyłożył dłoń do ucha.

- Babci nie ma - powtórzył głośniejszym głosem Jaro. - I na razie nie będzie.

- Ale mieszka tutaj?

- Tak - potwierdził Jaro i dodatkowo pokiwał głową. Niedobrze mu było od smrodu palonej sierści i mięsa. - Muszę pana przeprosić, mam coś pilnego do załatwienia.

- Proszę? - spytał starszy pan, któremu kokieteria, ubóstwo lub niechlujstwo nie pozwalały na noszenie aparatu słuchowego.

Jaro odłożył makabryczny pakunek na podłogę klatki schodowej i wygrzebawszy klucz z kieszeni, wsadził go do dziurki w drzwiach. Potem kolejny zamek i kolejny. Facet nie spuszczał z niego łapczywego wzroku, co było wyjątkowo krępujące.

- Niech pan zadzwoni i się z nią umówi - zaproponował Jaro tonem podsumowującym. - Trudno ją zastać, gdy się przychodzi bez uprzedzenia.

- Proszę?

- Proszę zadzwonić! Zanim pan przyjdzie!

- Przepraszam - odpowiedział lekko od rzeczy niedoszły gość. - To był tylko taki... niedzielny impuls. Proszę babci powiedzieć, że był Henryk. Henryk Bielecki.

Zszedł szybko po schodach, jeszcze się oglądając, a jego spojrzenie paliło Jarka w plecy.

Jaro z ulgą wszedł do mieszkania. Pobiegł do kuchni po plastikową torbę, wrzucił do niej to, co zostało z kota, oraz to, co zostało z babcinej kurtki, i szczelnie zawiązał. W przedpokoju nadal jednak było czuć przykry zapach. Wietrzenie nie dałoby rezultatów, w ich zamkniętym podwórku na pewno również unosiła się teraz nieprzyjemna woń, popsikał więc w przedpokoju ibb odświeżaczem do toalety. Usmolona babcia weszła akurat na ostatnie psiknięcie.

- Jarcu, musimy dopaść tego drania. Takie zło nie może zostać bezkarne. Boże, jeszcze mam w uszach wycie tego zwierzaka.

Przytulił ją. Drobną jak kurczaczek, sięgała mu ledwie do ramienia. Chwilę trwała przytulona do niego, aż się rozpląkała.

- Nie rozumiem, skąd w ludziach bierze się to zło - szlochała. - Komu mogło zależeć, żeby inna żyjąca istota tak się męczyła? Czy ten człowiek patrzył na to? Słuchał?

Jaro głaskał babcie po plecach, a ona stopniowo cichła, aż wyplątała się z jego ramion i wytarła nos chusteczką, którą miała w kieszeni swetra.

- Mnie się wydaje, że on musiał patrzeć na to wszystko - stwierdził Jaro. - Wiesz, babciu, ten cały pożar wyglądał z okna bardzo efektownie. Sądzę, że nie zrezygnowałby z czegoś takiego.

Kiwnęła głową.

- Chyba masz rację: nikt nie odpala fajerwerków, żeby potem nie podziwiać pokazu. Tak, on musi mieszkać w naszej kamienicy. Może nawet mówimy sobie „dzień dobry”.

I poszła do toalety. Potem siadła bez siły na krześle w kuchni, gdzie wkrótce dołączyły do niej pozostałe panie, które zapobiegliwie, jakby się umówiły, przynosiły z domów a to orzechówkę, a to wiśniówkę dla podniesienia ducha. Dzidka postawiła na stole czerwone wino, a Jaro wstawił wodę na herbatę.

Wspólnie wyrysowali diagram, ile osób i z jakich miejsc przyglądało się pożarowi oraz jak kto na niego reagował. Wyznaczyli te okna w bloku, z których widać kocie domki, zakładając, że zbrodniarz (lub zbrodniarka, choć jak zauważyła Celina, sprawcami prawie dziewięćdziesięciu procent przestępstw są mężczyźni) chciał się przyglądać widowisku, które wyreżyserował. Podejrzanych było trzydzieści osiem lokali oraz ponad dwadzieścia osób - nie mogli się jakoś dogadać co do liczby sąsiadów, którzy wylegli na podwórko, choć Jaro

uważał, że to on ma rację - niemal potrafił policzyć w pamięci głowy widziane z okna. Wychodziło mu dwadzieścia dwie.

Pani Teresa właśnie wkładała płaszcz, żeby w bramie spisać mieszkańców podejrzanych lokali (jeśli oczywiście będą wyszczególnieni na liście lokatorów), kiedy ta marudna Celina powiedziała z westchnieniem:

- Ten, kto to zrobił, chyba w Boga nie wierzy.

- Dlaczego tak myślisz? - zaperzyła się babcia. - Ja nie wierzę i co?

- Spokój, Halina, spokój - łagodziła Dzidka, ale babcia już uniosła się honorem przedstawicielki dyskryminowanej mniejszości.

- Może jeszcze powinniśmy wykreślić z list wszystkich chrześcijan i muzułmanów?

- Dlaczego muzułmanów? - zdziwiła się Celina.

Kiedy panie zajęły się dyskusją, Jarkowi udało się zamknąć w swoim pokoju i nasmarować na kartce A petycję, która jego zdaniem nie miała większego sensu, ale wpisywała się w nurt licznych petycji pisanych przez lokatorki ich bloku. Z najbardziej kuriozalnych pamiętał protest przeciw budowie metra („Na Żoliborz tradycyjnie jeździło się zawsze tramwajem ewentualnie autobusami i komu to przeszkadzało? Metro powoduje wstrząsy, które osłabiają stare mury naszych domów, gdyż popękają. Zwracamy się z uprzejmą prośbą o puszczenie metra inną trasą”. Tej petycji nawet babcia nie chciała podpisać, choć na ogół popierała wszelkie inicjatywy obywatelskie, zwłaszcza wymyślone przez emerytki z podwórka).

Jaro wymodził coś takiego: „Zwracam się z uprzejmą prośbą do administracji o umożliwienie zamykania śmietników na klucz oraz wydanie kluczy wyłącznie lokatorom, gdyż inaczej w altankach sikają bezdomni”. Najpierw zebrał podpisy od pań w salonie. Przyczepił kartkę do twardej podkładki, wziął długopis i ruszył. Z domofonem poradził sobie, dzwonił pod wszystkie numery i basował słowo „poczta”.

- Miała być poczta, a jest petycja - odezwała się z wyrzutem siwa pani z trzeciego.

- Poczta? W niedzielę? - Uśmiechnął się do niej.

Zaśmiała się i podpisała całkiem chętnie. Nie wyglądała na podejrzaną, ale spytał ją, czy widziała dzisiaj kocią tragedię na podwórku. Rozemocjonowała się. Tak, krzyk męczonego zwierzaka był potworny, ale lepiej, żeby koty nie przeczekiwały zimy w piwnicach, bo strasznie tam smrodzą. Wolałaby, żeby przeniosły się do schroniska.

Schodził w dół, obserwując pewną prawidłowość: starsi ludzie i matki dzieciom po dłuższej analizie parafowali petycję, młodszym nie chciało się jej nawet czytać, a co dopiero podpisywać. Kocią tragedią wszyscy byli zbulwersowani.

- Czy mieszka tutaj ktoś jeszcze? Zależy nam na jak największej liczbie podpisów - dopytywał i oglądał kolejnych lokatorów, z których najbardziej podejrzany wydał mu się właściciel bulteriera z drugiego (Stary, ja się nie nadaję do takich rzeczy - wytłumaczył i nie podpisał, wrzasku kota nie słyszał); dziwny, ubrany na czarno młodzieniec z parteru (na petycji podpisała się jego matka, Hanna Cudny) oraz Ukrainiec z kolejnej klatki, który rozmawiał z Jarkiem przez zamknięte drzwi.

No i co z tego wynika? - zastanowił się Jaro. Wrócił do domu z poczuciem klęski, którego nie starł nawet entuzjazm pani Celiny zachwyconej, że udało mu się zebrać aż tyle podpisów. Jeszcze kilka klatek i będzie można składać rzecz do administracji. Jaro zaprotestował, że on zbiera podpisy w celu wyłącznie śledczym i nie będzie łąził po klatkach, które nijak się mają do śledztwa. Pani Celina zgromiła go, że nie myśli o dobru społecznym, ale wtedy pani Teresa zaproponowała, że to ona przejdzie się po pozostałych mieszkaniach. Z ulgą zostawił jej petycję i zmył się do swojego pokoju. Miał dość.

Starsza pani okazała się bardziej wydajna niż on. Wpadła do nich wieczorkiem, już po pogrzebie kota, zostawiła Jarkowi podpisane liczne kartki i zobowiązała do złożenia dokumentu w administracji, bo „zawsze bardziej zwracają uwagę, gdy robi to młody człowiek”. Kiedy wyszła, zaczął liczyć podpisy. On zebrał dziewięć, ona - czterdzieści osiem. Nagle - zatrzymał się, zaalarmowany. Jeden z podpisów, gdzieś wciśnięty między pozostałe, zawierał zamiast nazwiska frazę: „Precz z kotami”. Numer mieszkania? Sześćset sześćdziesiąt sześć.

W ich bloku nie było takiego numeru.

Chwycił więc petycję i pognął do mieszkania pani Teresy. Otworzyła mu od razu. Zaczął wypytywać, czy pamięta, kto złożył ten dziwny podpis, z zaskoczeniem odnotowując, że na jej twarz i dekolt wypełza rumieniec. Uświadomił sobie, że pani Teresa wygląda inaczej niż zazwyczaj, a jej dekolt jest dziwnie duży. Duży i tylko trochę osłonięty koronkowym szlafrokiem. Rumieniec był już niewiele mniej czerwony niż szminka, która pokrywała jej usta, a rzęsy, oblepione czymś czarnym, trzepotały bezradnie. Speszył się tak bardzo, że wyjąkał tylko: Przyjdę później - i umknął z petycją w garści, niepewny, o co chodziło.

Z tego wszystkiego dopiero wieczorem przypomniał sobie o dziwacznej wizycie.

- Babciu, był tu dzisiaj jakiś Henryk Bielecki, pytał o ciebie.

Babcia zbladła.

- Bielecki, jesteś pewien?

- Znasz go?

- Dawne czasy - odpowiedziała bardzo zmieszana. - Wchodził do domu?

- Nie wpuściłem go przez całe to zamieszanie z kotem... Ale powiedział, że zadzwoni. Wyglądała na wstrząśniętą.

O co chodzi, zastanawiał się Jaro. Dawny ukochany? Musiała kiedyś nieźle narozrabiać, na to wygląda. Dziwnie mu było tak o niej myśleć.

Halina zdenerwowała się. Nie do końca chodziło o problemy z pęcherzem, przeczytała bowiem w Internecie, że sytuację powinno polepszyć ćwiczenie mięśni Kegla znajdujących się w kroczu. Ćwiczyła więc z nadzieją, że być może uda jej się o parę lat odroczyć występowanie kapiącego problemu. Nie chodziło nawet o sprawę mordowanych kotów, bardzo pilną, ale na szczęście nie ona jedna się nią zajmowała. Natomiast ciężkim kamieniem na sercu leżała jej sprawa Henryka, który po tych wszystkich latach wychynął jak upiór z przeszłości.

Kiedy się poznali, mieli po osiemnaście lat, oboje trenowali w AZS-ie, ona była najlepszą płotkarką w żeńskiej drużynie, a on najprzystojniejszym płotkarzem w męskiej, choć wtedy nie zwracała uwagi na ładnych chłopaków, ponieważ skupiała się na sporcie. I ona, i wszyscy dookoła mieli pewność, że rysuje się przed nią co najmniej kilka lat pełnych sukcesów. Pierwszy poważny medal zamierzała zdobyć na Letniej Uniwersjadzie w Turynie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku i do dziś wierzyła, że gdyby to ona pobiegła, a nie tamta, drużyna zdobyłaby złoto, a nie brąz.

Dlatego postanowiła nie zwracać uwagi na cholerny ból. Zaciskała zęby i ćwiczyła, brała pabialginę i co popadło, żeby dalej biegać. Ani słowa trenerowi. Ból znikał podczas treningu i wracał zaraz potem, coraz bardziej intensywny. Dopiero koleżanka z drużyny doniosła trenerowi, że Halina utyka. Od razu wezwał lekarza sportowego, ten kazał jechać na ortopedię, gdzie ostatecznie dowiedziała się, że przechodziła (a właściwie przebiegała) częściowe zerwanie ścięgna Achillesa i może się ze sportem pożegnać. Na długo, jeśli nie na zawsze. Nie uwierzyła w to, w szpitalu popędzała lekarzy, żeby pospieszyli się z leczeniem, bo ona musi zdążyć na Uniwersjadę w magicznym Turynie. Jest przecież młoda i zawsze goiła się błyskawicznie. Uwierzyła dopiero trenerowi, który przyszedł do niej pewnego wieczoru, siadł na skraju szpitalnego łóżka i wytłumaczył, jaką krzywdę sobie zrobiła, i że do Turynu nie pojedzie na pewno, a co potem, trudno przewidzieć, na razie powinna przyłożyć się do rehabilitacji.

Koleżanki i koledzy z drużyny pocieszali ją, coraz rzadziej zresztą, bo treningi przed Uniwersjadą stały się bardzo intensywne. Przyszła nawet ta zołza, która na nią doniosła.

- Przecież ja to zrobiłam dla twojego dobra - tłumaczyła, ale Halina wtulona w poduszkę nawet się nie odwróciła. Skuteczniej pocieszał ją natomiast ów przystojny Heniek,

ulubieniec dziewczyn z drużyny, który najwidoczniej lubił smutne plotkarki. Odwiedzał ją w szpitalu, potem w domu. A ona, o ile przedtem nie zwracała uwagi na jego adorację, skoncentrowana

- na sporcie i dążeniu do medalu, w przeddzień ich wyjazdu na Uniwersjadę dała się wreszcie pocieszyć. I to był ostateczny koniec jej dawnego życia.

- Wyskoczyłem na czas, to nie może być moje - protestował Heniek, kiedy oznajmiła, że jest w ciąży. I dodał: - Wyskrob się, teraz już można.

Ustawa o aborcji z powodu trudnych warunków życiowych została wprowadzona trzy lata wcześniej.

Wtedy w życiu Haliny pojawiła się Dzikka, koleżanka z drużyny, której w chwili słabości opowiedziała o swoich troskach.

- Nie możesz zabić tego dziecka - tłumaczyła, i Halina, sama niewierząca, z ateistycznego domu, dowiedziała się, że ma w drużynie praktykującą katoliczkę.

- Jeśli nie usunę, mama mnie zabije. Nie mogę mieć nieślubnego dziecka.

- To postaramy się, żeby było ślubne - obiecała Dzikka i tak się zakręciła, że w niecałe dwa miesiące później Halina stanęła przed obliczem urzędnika stanu cywilnego, a następnie księdza, bo tak chciał jej narzeczony.

Księżę z bajki o imieniu Władysław był nauczycielem akademickim, a przy tym gorąco wierzącym zasadniczym młodzieńcem, jednak desperacja Haliny oraz sposobność sprawiły, że na chwilę zapomniał o swoich zasadach. Bardzo się potem wstydził, a delikatnie nakłoniony przez spłonioną Halinę od razu jej się oświadczył. Całą intrygę wymyśliła Dzikka, która wiedziała, jak podejść młodego człowieka z zasadami, bo sama te zasady wyznawała. Udało się: Władysław bez problemu uwierzył, że Hania jest jego. Lekko oszołomiony szybkim ślubem i jeszcze szybszym ojcostwem, wycofywał się między swoje książki i zajęcia, do stałego rozkładu dnia dodając tylko poranny i wieczorny całusek w niemowlęce czółko.

Dla Haliny natomiast poród stał się początkiem nowej epoki. Czasem żałowała, że nie skończyła z Hanią wtedy, gdy ta przypominała rybę, bo gdy zaczęła przypominać rozwrzeszczaną paszczę, normalne życie stało się niemożliwe. Władysław ze spaniem przeniósł się do gabinetu, gdyż dziecko całymi nocami darło się w sypialni z powodu kolek, a Halina powtarzała sobie, że skoro nie miał udziału przy poczęciu Hani (nieważne, że o tym nie wiedział), to teraz nie powinna niczego od niego wymagać. Tylko zdrowemu rozsądkowi zawdzięczała, że nie krzyczała na wrzeszczącego bachora, nie potrząsała nim, gdy godzinami nie milkł ani na chwilę. Dzikka, której tak naprawdę Hania zawdzięczała życie, wpadała z

rzadka, z jakimś ciuszkiem czy zabawką dla małej kupionym na kolejnych wyjazdach sportowych w kraju i za granicą; opowiadała o zawodach, sukcesach i porażkach, a Halina zazdrościła jej do białości. Dziecka Dzikka nie dotykała, od momentu gdy małej ułało się na jej spódnice z delikatnej wełenki.

Po paru miesiącach kolki stały się rzadsze, aż wreszcie ustały. Halina okrzepła w roli matki, a nawet chwilami, gdy Hania się do niej uśmiechała, znajdowała w sobie trochę sympatii dla córki. Co dziecko winne, że się urodziło w fatalnym momencie, ze złego ojca i z marnym przewodem pokarmowym podatnym na niemowlęce zaburzenia trawienia. Wcześniejsze poczucie kompletnej życiowej klęski Halina zastąpiła rutyną i próbami szukania furtek w niełatwej sytuacji. Samotnego szukania furtek, bo Władysław z uporem prowadził osobne życie, a udział w nim Haliny ograniczał do terenu kuchni i zakresu działania odkurzacza.

Skoro na męża wybrała nie sportowca, lecz intelektualistę, musiała cierpieć konsekwencje swojego czynu. Gdy przychodzili jego znajomi, zobowiązana była wydawać eleganckie kolacje, natomiast na jej wypowiedzi nikt nie zwracał uwagi, chyba że pytała, komu herbatę, komu kawę. Do wychowania Hani w ogóle się nie wtrącał, jakby przeczuwał, że nie ma z nią ani jednego wspólnego genu. A Halina, co spojrzała na twarz córki, pociągnęła, śniadą, zupełnie niepodobną do okrągłego oblicza Władysława, pograżała się w coraz dotkliwszym poczuciu winy. Niejaką ulgę sprawił jej dopiero wyjazd córki do USA, a największą poczuła, gdy Władysław dwa lata temu odszedł na wieczne dyskusje, bo tak - jak twierdził - wyobrażał sobie niebo.

W każdym razie ona już swoje odpokutowała przez ostatnich pięćdziesiąt lat i nie życzy sobie żadnych nachodzących ją w domu posiwiących wyrzutów sumienia. Nie będą za nią łączyć grzechy przeszłości. Jakie grzechy, tfu, paskudny wpływ Dzikki. Żadne grzechy. Błędy. Niech no ona go tu jeszcze zobaczy, a przemówi mu do rozumu. Na razie jednak ma co innego do roboty.

Halina przeszła przez bramę i dołączyła do wędrującego w jedną stronę sznureczka starszych pań.

Rozglądała się, czy nie zobaczy Weredy, ale nigdzie nie było widać błękitnawych loczków.

Uniwersytet Trzeciego Wieku? Sama nazwa wydawała się Halinie co prawda tak samo degradująca jak kraje Trzeciego Świata, ale pierwszy wykład, na który trafiła, nawet się jej spodobał. Młody okulista opowiadał o zaćmie jako schorzeniu starczym, które - jeśli się wystarczająco długo żyje - dotknie każdego, ale też i o tym, jak łatwo obecnie sobie z nią

poradzić. To już nawet nie jest operacja, tylko dziesięciominutowy zabieg, po nim od razu można iść do domu.

Kiedy wyszła z sali zachwycona możliwościami współczesnej medycyny, tuż za drzwiami natknęła się na Weredę zatopioną w rozmowie z wysoką stalowowłosą sześćdziesięciokilkulatką w wełnianych spodniach. Pani Joanna wydała się Halinie bardziej krucha niż wtedy, gdy widziały się po raz ostatni, ale makijaż miała tak samo staranny. Powitała ją grzecznie, acz mało wylewnie (czyżby wciąż miała żal, że Halina przeszukała zawartość jej serwantki?), i zarumieniona przedstawiła koleżankę (Nina Stopa, koleżanka z uniwersytetu). „Asi - Nina, na zawsze” - przypomniało się Halinie, gdy spojrzała w ciemne oczy kobiety, i speszona, po wymianie kilku grzecznościowych zdań, zostawiła panie same.

Odeszła parę kroków, oparła się o ścianę i patrzyła na przechodzące studentki Uniwersytetu Trzeciego Wieku (studentów było doprawdy niewiele). Dawno nie widziała razem tylu ludzi po sześćdziesiątce. Nieliczne młodsze twarze udawały, że zapewne niektórzy korzystają z dobrodziejstw wcześniejszej emerytury, ale reszta... Desenie zmarszczek, warianty obwisów, zwały fałd, kompozycje przebarwień, przerzedzone fryzury, spod których prześwituje piegowata skóra głowy. Jak rozciągnięte na korytarzu memento mori. Albo może inne memento: pamiętaj, że i ty się starzejesz. Halina opuściła wzrok na swoje dłonie - coraz wyraźniej odznaczały się plamy wątrobowe, jak pieczętki zapowiadanej śmierci. Między kośćmi widać było zgrubiałe, błękitnawe żyły. Pamiętała dłonie martwego Władysława: nabrzmiałe przedtem żyły sflaczały i opadły, całkiem zatapiając się w szarozółtej skórze. Wzdrygnęła się. I wtedy ktoś stuknął ją w plecy.

- Pani tu nowa? - odezwała się starsza kobieta z farbowaną na rudo trwałą. - Ciekawe pytanie zadała pani po wykładzie. Ale mam wrażenie, że pan doktor nie do końca je zrozumiał.

- Chyba tak, czuję pewien niedosyt.

Wereda popatrzyła na nie lekko nieprzytomnymi szarymi oczami, po czym znowu przeniosła wzrok na Ninę Stopę.

- Jestem pewna, że mogę pani pomóc. Trzy miesiące temu sama miałam operację zaćmy - powiedziała z dumą nagabująca. - Izabela Gajda. To co? Pogadamy?

Iza Gajda? Halina pogrzebała w pamięci: tak, to kolejne z nazwisk na odwrocie fotografii.

Nie była pewna, czy chce rozmawiać akurat o chorobach, natomiast wiedziała, że zanim spyta o coś bardziej interesującego, na przykład o Agnieszkę Zaufał, będzie musiała przesiedzieć godzinę nad cienką kawką, słuchając o zabiegu na gałce ocznej. Ale niech tam.

Wbrew obawom Haliny Izabela Gajda prześlizgnęła się jednak szybko nad tematem operacji zaćmy, by dotrzeć w bardziej zajmujące rejony.

- W Warszawie jest kilka uniwersytetów trzeciego wieku. Dlaczego trafiła pani akurat do tego? - zagała.

- Jest najstarszy i najbardziej znany - stwierdziła Halina. - Poza tym mam tutaj znajome.

- Tak?

- Na przykład Joannę Weredę.

- O, to lokalna sława. Ona ucześnie chyba od początku. Fantastycznie się trzyma jak na swój wiek. Stare, dobre geny.

- I... Agnieszka Zaufał - dodała Halina.

- Zaufał?

- Tak się nazywa.

- Wiem, kojarzę. Ale w tym roku szkolnym jeszcze jej nie widziałam.

- Nic dziwnego. Nie wie pani? W połowie września Agnieszka zniknęła - odparła Halina.

- Nie rozumiem. Jak to: zniknęła?

- Po prostu. Wyszła z domu i już nie wróciła.

- Co pani powie... - zatroskała się Iza Gajda. - Co też pani powie... Czyżby wpadła w taką rozpacz?

- W rozpacz? Dlaczego?

- Oczywiście nie chcę rozpuszczać plotek - zaczęła pani Gajda, a oczy z nowymi soczewkami błysnęły jej niezdrowo - ale wygląda mi pani na osobę dyskretną. Więc między nami mówiąc...

- Tak? - Halina zawisła wzrokiem na jej ustach.

- Krążyły o niej takie... - Chwilę szukała właściwego słowa. - Powiem wprost, krążyły o niej plotki. Dziewczyny twierdziły, że ona ma romans.

- Dziewczyny?

- My tutaj wszystkie dziewczyny. - Pani Iza uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Chodziły słuchy, że Agnieszka Zaufał spotyka się z młodszym.

- Niemożliwe!

- No właśnie, nikt by, patrząc na nią, tego nie powiedział, prawda? Zwykła kobieta w średnim wieku. Ale (nie wiem, kiedy widziała ją pani ostatnio) Agnieszka rozkwitła. Znaczący pod wpływem tej miłości, tak sądzą. Rzadziej pojawiała się na zajęciach, ale kiedy już

przyszła, to mówię pani, dziesięć lat mniej. Spódnica obcisła, kolorowa apaszka, szminka. Niektóre się trochę z niej podśmiewały, ale miałam wrażenie, że po prostu jej zazdroszczą.

- Romansu?

- Facet był młodszy i choć żadna z nas nie wróżyła temu długiego życia, mimo wszystko nawet parę miesięcy takiego gorącego związku warte jest swojej ceny - przekonywała podniecona Iza Gajda. - Ale ja panią gorszę, prawda?

- Nie, skąd. Też uważam, że młodszy mężczyzna to najlepsza maseczka ujędrniająca - zaryzykowała Halina. - Agnieszka potwierdziła te plotki?

- Mnie tam nic nie mówiła, ale kilka dziewczyn wiedziało. Nie mam powodu im nie wierzyć. Kiedy w tym roku szkolnym Agnieszka nie pokazała się na zajęciach, pytałam o nią koleżanki, ale nie miały pomysłu, co się stało. Gdyby zmarła, pojawiłby się nekrolog, codziennie czytam nekrologi w dwóch gazetach, tej z prawa i tej z lewa, śmierć nie wybiera, a ja lubię wiedzieć. Przyszło mi do głowy, że może być w żałobie, po swoim narzeczonym. I dlatego nie odbiera telefonów.

- W żałobie? Ukochany nie żyje?

- Jak już wzmiankowałam - pani Gajda złożyła wargi w dzióbek, co Halinie od razu przywiodło na myśl Dzikę - czytam nekrologi. Gdy zobaczyłam tamten, od razu skojarzyłam, że musi chodzić o niego. Nawet pomyślałam: jakie to smutne. Kobieta wiąże się z młodszym, a on wcześniej umiera, no mówię pani, ironia losu.

- Kiedy umarł?

- A też tak jakoś w połowie września, ciekawy zbieg okoliczności. Ale pani posłucha: teraz najlepsze. Wcale nie byłam pewna, że to o niego chodzi w tym nekrologu. Wiele się jednak zgadzało. Po pierwsze, uczył w szkole, po drugie, miał czterdzieści lat, a po trzecie, miał na imię Tymoteusz.

- Tymoteusz? Tymoteusz Maciejko? - Sznurki spraw splatały się w całkiem interesujący warkocz.

- O to, to - potwierdziła Izabela Gajda i oczy jej zabłyśły. - Znała go pani?

- Przelotnie.

- Widziała ich pani razem?

- Nie. Nie wiedziałam, że ich coś łączy.

- A jaki był? Przystojny? - drążyła pani Iza.

- Przeciętny. Ale miał dużo wdzięku.

- Od razu wiedziałam! Rozumie pani, ja mam intuicję. Jak z tym nekrologiem. Dziewczyny mi potwierdziły, że to o niego chodziło. Podobno - ściszyła głos - podobno on od

niej pieniądze wyciągał. Cóż, ja nie wierzę w czystą miłość przy takiej różnicy wieku. - I chyba ma pani rację.

- Jego śmierć to kolejne potwierdzenie tego, że nie znasz dnia ani godziny. Pieniądzy też jej chyba nie oddał. Ze wstydu zniknęła. Albo z żaloby. Jak pani myśli?

Dzidka już po raz drugi umówiła się z Henrykiem na Nowym Świecie. Dawny kochanek Haliny postanowił uporządkować swoje życie, tak jej wyznał, kiedy dwa tygodnie wcześniej zadzwonił do niej. Przez telefon tłumaczył, że jest chory, ale nie precyzował na co. Chory? Chyba na uszy, pomyślała, kiedy w parę godzin potem spotkali się na małej czarnej. Co się odezwała, to Henryk albo mówił „proszę” i przystawiał dłoń do ucha, albo - co jeszcze gorsze - zgadywał, co powiedziała. Wolała więc siedzieć z nim w milczeniu, sącząc powoli kawę. Nie wyglądał jeszcze źle, był nadal szczupły, opalony, siwizna dodawała mu wdzięku (aż dziwne, że siwizna tak bardzo postarza kobiety i tak bardzo dodaje uroku mężczyznom), podkreślając brąz cery i błękit oczu. Dzidka nie chciała więc rezygnować z tej znajomości, zwłaszcza że Henryk na koniec położył ciepłą dłoń na jej dłoni, co poruszyło lawinę przedziwnych odczuć w jej ciele, odczuć, które - jak dotychczas sądziła - zostały pogrzebane wraz z jej ostatnim kochankiem. Jedyną miłością.

Nie, wcale się nie wysilała jakoś szczególnie przed kolejnym spotkaniem. Po prostu miała ochotę trochę się rozgrzać, dlatego wzięła kąpiel. Wyszła z wanny, wytarła się dokładnie, po czym stanęła nago przed lustrem, czego od jakiegoś czasu raczej unikała. Ostatni mężczyzna, z którym była blisko, lubił jej sylwetkę klepsydry najlepiej widoczną w ubraniu, a w sytuacjach intymnych wołał, gdy miała na sobie atlasową halkę, i przyzwyczaiła się do tego. W ubraniu prezentowała się prawie tak samo zgrabnie jak dwadzieścia lat temu, natomiast bez odzieży powyciągana i obwisła prawda objawiała się w całej pełni. Dzidka miała jednak wrażenie, wmasowując balsam w sfatygowane ciało, że jeśli dobrze szarpnie luźną skórą, to ją rozepnie i wyjdzie z niej świeżutka, różowiotka i nieskalana słońcem, gładka zupełnie jak przed laty. Władysław w jakiś cudowny sposób umiał wypatrzeć pod zużytą powierzchnią młodą dziewczynę, przez co miała wrażenie, że jego palce sięgają dużo głębiej niż do naskórka. Nie przeżyje już takiej miłości, wiedziała o tym. Wobec tego ostatniego z nim związku jej krótkie małżeństwo jawiło się jak pozbawiony sensu i treści epizod. Jakoś tak o właściwym czasie wyszła za mąż, po paru latach mąż zmarł. Wszystko to działo się prawie poza nią, ciągle myślała o Władysławie. Jej małżeństwo było formalnością, natomiast związek z Władysławem - prawdziwą miłością, taką jak ta z Pierwszego Listu do Koryntian, która nie szuka swego, wszystko przetrzyma i wszystkiemu wierzy. Ilekroć słyszała w kościele ten fragment, płakała, myśląc o ukochanym. Od zawsze wiedziała, że byli

sobie pisani. I nie umiała rozstać się z tą myślą przez wszystkie lata, gdy Władysław żył z Haliną. Dopiero kiedy Jarek dorósł, pozwolili sobie na rozdmuchanie uczucia tłęcego się przez tyle lat pod spodem. Czuła coś takiego po raz pierwszy i wiedziała, że ich miłość nie może być grzechem, wszak Bóg jest miłością. Nikogo przecież nie krzywdzili, Halina nigdy nie miała się o nich dowiedzieć. Zresztą nawet gdyby, i tak przecież nie kochała męża, nieraz o tym rozmawiały. Przyjaciółka zносиła jego obecność jako zło konieczne, trzymało ją przy nim poczucie obowiązku i winy, że kiedyś wmówiła mu dziecko. Natomiast Władysław latami cierpiał u jej boku przekonany, że skoro kiedyś wpędził ją w ciążę, z obowiązku musi trwać przy kobiecie do końca. I wytrwał, kochał jednak tylko Dzidkę.

Nigdy się nie dowiedział, że Hania nie jest jego córką. Nigdy, nawet po największych uniesieniach, Dzidka nie wyznała mu, że poświęciła ich miłość, by Halina nie usunęła ciąży i by Hania mogła żyć. Gdy oddała Władka Halinie, nie byli nawet narzeczonymi, ale wyraźnie iskrzyło między nimi. Lubili na siebie patrzeć i ponad głowami ludzi w kościele, i stojąc na dwóch skrzydłach chóru w kościele akademickim - ona śpiewała w sopranach, on - w barytonach. Poszli raz na kawę, oboje onieśmieleni, ale czuła, że za każdym spojrzeniem przeskakuje między nimi iskra elektryczna. Boże, jak strasznie cierpiała, kiedy postanowiła poznać go z Haliną; gdy doradzała, jak wrobić go w dziecko; gdy świadkowała na ich ślubie; gdy męczył się w małżeństwie.

Długo się obawiała, że Władysław pokocha Halinę, nigdy się jednak tak nie stało. Stanowiło to pewną pociechę dla Dzidki. Na przyjęciach wymieniała z Władysławem spojrzenia, ani za długie, ani za gorące, akurat takie, żeby dać sobie do zrozumienia: istnieje między nimi więź ważniejsza niż wszystkie śluby. Potem krótkich kilka lat spełnienia, ukrywanego przed wszystkimi romansu zakończonego jego nagłą śmiercią na serce. Serce, które tyle musiało znieść.

Zatęskniła za nim tak strasznie, tak strasznie, że zachciało jej się krzyczeć i płakać, zaczęła głaskać się po sutkach, coraz szybciej i mocniej, aż otworzyła oczy i spojrzała na siebie w lustrze. Widok zarumienionej starszej pani trzymającej dłonie na obwisłych piersiach był tak groteskowy, że przysięgła sobie nie robić tego już nigdy blisko szklanej tafli.

Nieco zawstydzona erupcją emocji ubrała się w obcisłe fioletry. Dobrze dobrany stanik podniósł piersi, kurtka podkreślała talię, a różowa szminka ładnie grała z kolorem kapelusza. Przekrzywiła go jeszcze trochę, o tak, użyła perfum, których próbkę dostała, gdy kupowała krem przeciwzmarszczkowy, drogie złudzenie w małym słoiczku, i wyszła z domu.

W kawiarni od razu poprosiła na uspokojenie o lampkę koniaku, potem drugą i, czując coraz większe ciepło w środku, czekała na Henryka.

- Zaczęłam bez ciebie. - Wzniosła ku niemu kieliszek, gdy stanął przy jej stoliku, wysoki i przystojny. Uśmiechnął się do niej, więc odpowiedziała uśmiechem i pociągnęła łyżeczek koniaku. - Dołączysz?

Rozpromieniony Henryk siadł obok niej, nachylił się i przyłożył dłoń do ucha.

- Co włączyć?

Nie odpowiedziała, tylko wskazała bufet.

- Tam zamawiam? - upewnił się. Kiwnęła głową. - Wziąć coś dla ciebie?

Pokręciła głową.

Wrócił z małą czarną, usiadł obok.

- Cukier masz tam. - Machnęła ręką w stronę stoliczka z dodatkami i serwetkami.

- Proszę? - I znowu jego dłoń powędrowała do góry.

- Cukier! Masz! Tam! - wyskandowała mu wprost do ucha.

- A nie, ja nie słodzę. - Rozejrzał się po kawiarni. Jego spojrzenie zacumowało na nogach blondyneczki w prawie nieistniejącej spódnicy.

- Co u ciebie? - zagaiła Dzikka. Spojrzał na nią z roztargnieniem.

- Co u ciebie? - powtórzyła dużo głośniej.

- Co tak krzyczysz?

Dobrze, że w swoim czasie Halina nie wyszła za niego za męża, bo do dzisiaj już by zmarła z irytacji.

- Co u ciebie? - spytała po raz trzeci.

- Byłem wczoraj u Haliny - wyznał nieoczekiwanie.

- Słucham?

- Widzisz? Teraz ty nie słyszysz.

- Ja słyszę świetnie - zdenerwowała się Dzikka wprost do jego ucha. Ze środka małżowiny wystawała Henrykowi siwa kępka włosów. - Nie tak się umawialiśmy, kiedyśmy się ostatnio widzieli. Miałam to tak zorganizować, żebyś ją spotkał gdzieś na neutralnym gruncie.

- Słucham?

- Źle zrobiłeś!

- Ale, bellissima, życie ucieka. Ledwo był poniedziałek, a już niedziela. Na co tu czekać. Widziałem jednak tylko jej wnuka. Dzikciu, powiedz mi prawdę. Ten chłopak wygląda wypisz, wymaluj jak mój brat, czy tylko mi się zdaje?

- A jak myślisz? - Od razu głośno, żeby dotarło.

- Naprawdę? Nie byłem pewien, tak szybko potem wyszła za męża... Ale to moje,

prawda?

- A tam twoje. Nasze. To znaczy jej i trochę moje. Urodziła wtedy córkę - nadawała mu do ucha Dzikka.

- Mam córkę? - ucieszył się jak głupi. - Nic mi nie powiedziałaś.

- Nie, nie masz. Halina ma. Najgorzej, że podobna do ciebie.

- Tak?

- Naprawdę podobna. Kiedy tylko narobiła kłopotów, zwała od razu, zostawiając z tym wszystkim Halinę. Wypisz, wymaluj tatuś.

Siedział z nieprzyjemnie rozwartymi ustami. Nie usłyszał czy nie zrozumiał? Co powstrzymuje mężczyzn przed nabyciem aparatu słuchowego?

- Tak! Bo gdzie byłeś, kiedy Halina mordowała się z niemowlęciem? Kiedy ja szukałam dla niej wsparcia? Męża? - Głos jej się załamał.

- Proszę?

- Ech! - zachnęła się, zabrała kurtkę, kapelusz i torebkę, po czym wyszła z kawiarni. Przy stoliku został Henryk, który ciągle jeszcze nie przymknął ust.

I znowu Halina wchodziła do kamienicy przy Śmiałej, i znowu wdrapywała się na trzecie piętro. Taśmy policyjne już zniknęły z drzwi, zapewne niedługo zawartość będzie zlikwidowana i mieszkanie pójdzie do wynajęcia. Czasu więc niewiele, a Halina ciągle miała wrażenie, że przegapiła tam, w środku, coś ważnego.

- Przeszukałyśmy przecież wszystko. I pokój, i kuchnię, i nawet łazienkę - protestowała Wereda, ciągle nieco zdystansowana wobec Haliny. - Strasznie przygnębiające jest grzebanie w jego rzeczach. Przygnębiające i bezsensowne. Chyba że ktoś lubi grzebać tak po prostu, z wrodzonego wścibstwa.

Halina przełknęła zniewagę, wiedząc, że jeśli nie zajrzy raz jeszcze do mieszkania Tymoteusza, już zawsze będzie miała poczucie, że coś zaniedbała. Za pomocą spinki szybko uporała się z zamkiem. I rzeczywiście, od razu w przedpokoju, zrozumiała, co ją męczyło. Pod wieszakiem piętrzyły się smutne buty, w które nikt już nie włoży stóp, z przydeptanymi piętami, z wypchanymi miejscami na palce, których już nie ma. Skoro wszystko stało na podłodze, co Tymoteusz trzymał w całkiem pokaźnej szafce na obuwie?

Otworzyła szufladę. Kłębił się w niej składzik rzeczy niepotrzebnych, dumnostojek, nietrafionych prezentów, jak z rozczarowaniem stwierdziła Halina. Może dary od uczniów? A może od tych jego Poziomek i Brzoskwinek? Już miała zamknąć szufladę, gdy zobaczyła, że każdy z przedmiocików owinięto kartką przytrzymaną gumką. Żeby się nie potłukły? Może. Ale maskotki też? Wyjęła pluszowego misia i wysunęła papier spod gumki.

Potem sięgnęła po wazonik i kolejna kartka. Małeńkie radyjko i jeszcze jedna. Nie mogła uwierzyć własnym oczom: każda zawierała szczegółowe notatki o tym, ile Tymoteusz pożyczył od danej osoby. Takie swoiste archiwum dłużnika. Halina z trudem odcyfrowywała jego niewyraźne pismo: „J.R. Maj - dostałem od niej tego misia. Czerwiec - pożyczyłem trzysta złotych. Lipiec - pożyczyłem dwieście pięćdziesiąt złotych, powiedziałem, że na podatek. Zdenerwowana, na razie jej odpuścić. Sierpień - podarowałem jej breloczek w kształcie pieska i oddałem pięćdziesiąt złotych. Trochę się rozluźniła”. Albo: „A.Z. Ufa mi, współczuje, bardzo się perfumuje, co znaczy, że jej zależy. Komplementować, można czasem wziąć za rękę (A.Z.?! - Halina miała nadzieję, że nie chodzi o Agnieszkę Zaufał. Ale o kogokolwiek chodziło, było to obrzydliwe). Dała radyjko, kiedy powiedziałem, że moje się popsuło, i pożyczyła na reperację. Marzec - spróbować znowu, można prosić nawet o tysiąc, bo wspominałem jej parokrotnie, że potrzebuję nowej lodówki. Maj: dała tysiąc, nie upomina się. Kupiłem jej broszkę z filcu za dwadzieścia sześć złotych. Czerwiec: wspomnieć o remoncie piecyka gazowego, może sama coś zaproponuje”. Każda z kartek opatrzona była inicjałami, rzadko imionami, nazwisk Tymoteusz nie pisał. Halina grzebała i grzebała, coraz głębiej, pod wrażeniem liczby wierzycieli, a właściwie wierzycielek Tymoteusza, bo każda z figurynek, portfelików, maskotek oznaczała jedną osobę. Były też zwoje bez przedmiotów (z adnotacją: „srebrna ramka, poszła za osiemset, odpuścić jej na razie z kasą”). Już przy samym dniu natrafiła na niedużą ramkę ze zdjęciem. Roześmiana pani w kapeluszu kogoś jej przypominała. Na biuście widniała dedykacja: „Kochanemu sąsiadowi Tymoteuszowi w dowód sympatii”.

I wtedy zrozumiała: to zdjęcie Joanny Weredy. Ewidentnie z dawnych czasów, gdyż Tymoteuszowa sąsiadka prezentowała się na nim całkiem świeżo i młodzieńczo. Była opalona, kurze łapki przy oczach ocieniał ów odważny kapelusz, a błyszczące klipsy w uszach wyglądały na produkt krajowej przedsiębiorczości z wczesnych lat dziewięćdziesiątych. A kartka? Gdzie jest kartka ze spisem długów? Była, wciśnięta z tyłu, za ramkę.

„Sąsiadka. Skłonna do współpracy. Za kawiarnię i spacer albo szkockie maślane w domu (taniej!) zrobi wszystko. Inwestuję w herbatę i ciastko, zwraca się dużo więcej. Lubi lody, ale tylko latem. Mówić dużo komplementów. Dobra inwestycja”.

O Boże, pomyślała Halina, o Boże. Choć niewierząca, nie miała w zanadrzu innego okrzyku.

Pani Joanna stała za Haliną, prawie nie oddychając.

Ostatnia data pożyczki, jaką zanotował Maciejko, opiewała na wrzesień ubiegłego

roku. Od tamtego czasu najwidoczniej nie czerpał profitów z sąsiadki. Albo też tego nie zapisywał. Suma pożyczek ogółem wynosiła, bagatela, ponad dziesięć tysięcy złotych i jedną złotą broszkę, którą Tymoteusz miał sprzedać w jej imieniu w antykwariacie. Skąd pani Wereda wyciągnęła aż tyle zasobów? Biedna, naiwna staruszka.

Wereda weszła do salonu i usiadła ciężko na kanapie. Zapatrzyła się w ścianę.

- Dobrze się pani czuje? Może wody? - Halina się przestraszyła.

- Nie, wszystko w porządku, proszę tylko dać mi chwilę na oplakanie mojej naiwności.

Halina poszła do łazienki ochłonać i przemyć twarz. Wytarła się papierem toaletowym, bo za nic nie dotknęłaby ręcznika tego oszusta. Kiedy wróciła do pokoju, staruszka wyglądała sporo lepiej.

- Chce pani wiedzieć, jak to było? - zaczęła. - Otóż pan Tymoteusz miał rzadki talent do bezbolesnego wyciągania pieniędzy od kobiet. Nawet taka osoba jak ja, a nawet - śmiem twierdzić - nawet taka osoba jak pani, mogłaby się na to dać złapać. Nie, nigdy mnie nie prosił o pożyczkę. Często za to wyświadczał bezinteresowne przysługi. Na przykład w piątki przynosił gazetę z programem telewizyjnym, gdyż nie zawsze czułam się na siłach, by pobiec rano do kiosku, a koło południa programu już nie było. Poszedł też ze mną do jednej z tych nowoczesnych kawiarni, kiedy mu wyznałam, że boję się tam chodzić, bo w menu jest tyle obcojęzycznych nazw i nie wiem, co zamawiać. Więc pan Tymoteusz na miejscu wytłumaczył mi, jaka jest różnica między espresso, cappuccino, caffè latte, i co powinnam zamawiać, jeśli chcę zwykłą kawę, taką jak się kiedyś w kawiarniach pijało.

- I jaką zamawiać? - zainteresowała się Halina.

- Caffé lungo. Lub americano. Można też poprosić o przedłużone espresso. Ale mnie najbardziej zasmakowało latte z syropem smakowym. Piernikowym. - Joannie Weredzie błysnęły oczy. - Zamówił te wszystkie napoje i próbowaliśmy, każde z nas swoją łyżeczką.
Pan

Tymoteusz był naprawdę uroczy. Więc gdy taki miły młody człowiek zwierza się, że wysiadł mu piecyk gazowy, i pyta, czy może nabrać ciepłej wody do zmywania u mnie, to przecież trudno nie zaproponować pożyczki na naprawę, prawda? Zwłaszcza że w kawiarni wydał na mnie mnóstwo pieniędzy.

- Pewnie jakieś pięćdziesiąt złotych. A ile mu pani pożyczyła na piecyk?

- Cóż, prawie dwieście. Ale oddał co do grosza, zaraz po wypłacie. Więc kiedy potem zabrakło mu do czynszu, bo przecież on wynajmował tę kawalerkę i sporo płacił, pożyczyłam bez wahania. Wcale mnie nie prosił. To była moja inicjatywa, zaproponowałam, gdy się

zwierzył, że musi zacisnąć pasa, bo brakuje mu na czynsz i karmę dla Dżeka. Po wypłacie oddał, ale nie wszystko. No i tak to szło. Potem mnie samą bieda trochę przycisnęła, bo musiałam zrobić mały remont po wymianie kaloryferów, wtedy się zaoferował, że sprzeda moją bransoletkę, złotą, emaliowaną, przedwojenną. Zima była, ślisko, więc sam poszedł, żeby zrobić wycenę, potem oddał w komis. Nawet nie wiem, gdzie. Dzwonił tam, sprawdzał, ale ciągle nikt nie kupował tej bransoletki, tak mówił. Teraz zaglądam czasem do antykwariatów, ale nigdzie jej nie widzę. W każdym razie nie oddał mi nigdy ani pieniędzy, ani bransoletki. Zresztą i tak co jakiś czas zapraszał mnie do kawiarni, więc gdy znowu mu na coś brakowało, czułam się zobowiązana i pożyczalam.

- Ale w jakimś momencie pani przestała. Pokiwała głową.

- Pewnego dnia zobaczyłam go w kawiarni, nie naszej, innej. Siedział z jakąś panią w moim wieku, a na stoliku stały filiżanki i kubki z różnymi rodzajami kaw. Próbowali ich dwiema łyżeczkami i zaśmiewali się, jak my kiedyś. A to ty taki jesteś? - pomyślałam. Kiedy wróciłam do domu, zaraz sobie wszystko podliczyłam, jak w księgowości, wypełniłam rubryki: winien i ma. Sama się siebie brzydziłam, że tak szacuję, ile mógł wydać w tych kawiarniach. Ale liczyłam. I wyszło mi czarno na białym, że zarobił na mnie prawie dziesięć tysięcy złotych, nie licząc bransoletki. Opamiętałam się wtedy trochę. Zaprosił mnie znowu do siebie na maślane ciastka szkockie i herbatę, narzekał, że nie ma na prezenty gwiazdkowe, ale wytrzymałam dzielnie, nic mu nie zaproponowałam. Nawet nie było widać po nim rozczarowania. Na Boże Narodzenie dostałam od niego maskotkę w kształcie szczurka. Ucieszyłam się. Ktoś mi potem powiedział, że one są w Ikei po pięć złotych. Ale już do kawiarni mnie więcej nie zaprosił. Widać przestało się opłacać...

Joanna Wereda zamilkła.

- Jedno pani powiem: to chyba nie było do końca nieszczerze - skomentowała Halina. - Z tej opowieści wnioskuję, że panią lubił.

- Ja też go lubiłam. Tym bardziej przykro, nieprawdaż?

Przed wejściem do biurowca stało, paląc, kilka osób w garsonkach i garniturach, a dym papierosowy niósł się dzielnie do środka. Jaro też postarał się być dzielny. Portier w dyżurce stuknął palcem w tabliczkę z napisem „Akwizytorom wstęp wzbroniony”, Jaro jednak pokręcił głową i pokazał, że ma puste ręce. Portier machnął, żeby wchodził.

Firma Maurycego Pęczka, syna Basieńki i Zygmunta, byłego narzeczonego Agnieszki Zaufał, mieściła się na trzecim piętrze. Jaro namierzył faceta w serwisie społecznościowym GoldenLine, na którym wysokiej klasy specjaliści reklamowali swoje osiągnięcia zawodowe (pewnie liczyli na zainteresowanie łowców głów). Wysiadł z windy, stanął przed domofonem

dzielącym go od biur na tym piętrze i zawahał się. Głupio mu było nachodzić człowieka, którego matka właśnie walczyła w szpitalu o życie, a ojciec siedział w areszcie. Głupio, ale właśnie na tym polega śledztwo, tłumaczył sobie, zapuszczając żurawia za szklane drzwi zaklejone w połowie półprzezroczystą folią, przez którą było widać tylko niewyraźne zarysy, światła i cienie. Tak, wejdzie i powie, że ma ważną sprawę do Maurycego Pęczka. To takie trudne? Ciekawe, w jakim wieku jest recepcjonistka. Pochylił się nieco i spojrzął poniżej granicy folii, ale nie sięgnął wzrokiem za ladę recepcji. Widział tylko eleganckie męskie buty, które poruszały się miarowo, szybko drobiazące szpilki, wszystkie w ruchu, poza parą stóp pod ścianą odzianych w płaskie sznurowane sportowe zamszaki. Zupełnie nie pasowały do biurowych wnętrz, raczej do emerytalnych klimatów, takie same nosiła babcia Halinka. Kucnął, by zajrzeć głębiej. Nad szarymi zamszakami pojawiły się praktyczne czarne spodnie, wytarte paletko, berecik. A pod berecikiem ujrzął znajomą twarz. Nie, to niemożliwe. Znowu się pochylił. Skąd wzięła się tutaj babcia Halinka?! Co miała wspólnego z firmą Grapho? Albo z Maurycem Pęczkiem?

W pewnym momencie z głębi korytarza wyszedł łysol w średnim wieku, który wyglądał dokładnie jak na zdjęciu w GoldenLine, rozejrzał się i z wahaniem podszedł do babci. Gadali chwilę, potem usiedli na niskich fotelach w holu. Jaro żałował, że nie może słyszeć rozmowy. Babcia mówiła niewiele, minę miała skromną i niewinną, nieco zatroskaną. Łysol szybko wpadł w gniew, oczy mu błyskały spod okazałych brwi, policzki poczerwieniały. Babcia jednak, jak szara oaza spokoju, trwała nieporuszona, poklepawszy tylko łysola po ręce. To go wyraźnie uspokoiło. Potem wstali, uścisnęli sobie dłonie, a babcia skierowała się do wyjścia. Na ten widok Jaro podbiegł do windy i w panice nacisnął guzik, a winda, stękając, zaczęła piąć się w górę. Rzucił się w stronę schodów.

Dopiero po przejechaniu metrem kilku stacji zaczęły mu się składać elementy tej układanki.

Po co babcia poszła do Maurycego Pęczka? Nie było innej odpowiedzi: musiała prowadzić równoległe śledztwo w sprawie zaginionej Agnieszki Zaufał. Skąd wzięła dane młodego Pęczka? Jaro wszystko wpisał do komputera, do folderu MOJE ŚLEDZTWA, ale babcia przecież nie umiała włączyć niczego poza pasjansem, choć i na to jej nie pozwalał, żeby mu tam czegoś nie pokasowała przez pomyłkę. Nawet kupił jej z tej okazji świeżą talię kart, niech wyczynia te swoje wróżby w realu. Nie, na pewno nie zaglądała do komputera. Ale przecież... Tak, kiedy rano spisywał i dopisywał różne domysły oraz podejrzanych, babcia wparowała do pokoju. Wśliznęła się cichutko w tych swoich bamboszkach, więc dopiero po chwili zauważył, że filuje mu przez ramię, a potem zadawała wiele, zbyt wiele,

wnikliwych pytań na temat prowadzonych przez niego śledztw. Wypytywała go o postępy w sprawie Agnieszki Zaufał, dowiadywała się, z kim jeszcze, poza profesora Urszulą Dominiak rozmawiał, czy dotarł do syna Zygmunta i Basieńki, bo właśnie ich syn zdawał jej się najistotniejszym informatorem w tej sprawie. Jaro denerwował się, kluczył. Miał przecież swój plan śledztwa, jakim prawem babcia go sprawdza?! Dobrze, może i zleciła mu tę sprawę, ale po pierwsze, nieoficjalnie, po drugie, niech czeka na wynik, a nie dopytuje się co chwila. Trudno było o skupienie w takich warunkach, trudno było nawet wysiedzieć pod nieustanną kontrolą, więc wydrukował całość, wyłączył komputer i zniknął w łazience, by ogolić się i ubrać w miarę starannie, po czym wyszedł z domu i włócząc się po ulicach, przeglądał papiery i zbierał siły do tego, co powinien dzisiaj zrobić.

Tak, musiała rzucić okiem na wydruki, które zostawił na biurku, idąc do łazienki. A potem, gdy on wałęsał się po ulicach, babcia z wiedzą uzyskaną z jego papierów dotarła do biura Grapho.

W domu znalazła się ledwie parę minut po nim, pewnie wsiadła do następnego składu metra.

- O, już jesteś - zdziwiła się, gdy otworzyła drzwi. - Gdzie byłeś?

- A ty, babciu?

Normalnie nigdy by sobie na to nie pozwolił, bo nienawidziła, gdy odpowiadał pytaniem na pytanie.

- Załatwiałam takie sprawy... - speszyła się.

- Jakie? - cisnął z ponurą satysfakcją.

- Jakie, jakie - przedrzeźniała go. - Musisz zawsze wszystko wiedzieć?

Z niewinną miną krzątała się po kuchni. Włączyła gaz pod udkami w sosie i wzięła się do tarcia marchewki na surówkę.

Jedli w milczeniu. Udka nie były złe, ale za małe. Kiedy przełknął również dokładkę (kartofle z resztą sosu spod kurczaka), z pełnym brzuchem oparł się wygodnie na krześle. Nie odzywał się, obserwował babcię spod przymkniętych powiek i czekał na jej ruch. Wreszcie przemówiła, mylił się jednak, sądząc, że wyzna mu prawdę o wyprawie na Ursynów.

- Wiesz, Jarku... Jedna z moich pań od kotów... Okazało się przez przypadek, że zna Maurycego Pęczka. Syna tych ludzi, których spotkała tragedia po zjeździe uczelnianym, gdzie spotkali Agnieszkę Zaufał, opowiadałeś mi o nich.

- Która pani od kotów? - zainteresował się. - Dzidka, Celina czy Teresa?

Bawiłby się świetnie, gdyby sprawa nie dotyczyła jego.

- Inna znajoma z sąsiedniej kamienicy, wiesz, przy Krechowieckiej.

- A skąd go zna?

- Dajże mi powiedzieć do końca! - zirytowała się. - Ona z nim rozmawiała i dowiedziała się paru ciekawych rzeczy...

Kłamała bez mrugnięcia okiem, był pewien, że oszukałaby nawet wariograf.

- Maurycy zastał swojego ojca nad ciałem ciężko rannej matki. Ojciec od razu przyznał się, że w akcie rozpaczy wbił żonie nóż w serce, a potem chciał zabić siebie, ale mu się nie udało. Syn zadzwonił po pogotowie i pytał: dlaczego, tato, dlaczego. - Babcia modulowała głos, jakby pracowała w radiu. - Oszukiwała mnie tyle lat, odpowiedział jego ojciec. Potem już nic nie mówił, trząsał się i tak dalej.

- Był w szoku - skomentował Jaro. - To wszystko ci opowiedziała ta koleżanka z Krechowieckiej?

- Potem zabrali ojca do aresztu, matkę do szpitala. Leży na OIOMie, od wielu dni w ciężkim stanie. Maurycy usiłuje dociec, co się mogło stać. Powiedział mi... - babcia się rozpędziła.

- Powiedział ci? - Jaro przygwoździł ją do muru.

- Słuchaj uchem, a nie brzuchem - odparła niespieszona. - Powiedziała mi ta koleżanka, że według słów Maurycyego jego ojciec od paru dni był jakiś nieswój. Ponury, niewiele mówił na temat zjazdu uczelnianego, może tyle, że matka bez przerwy z kimś tańczyła. Matka chichotała wtedy i się wdzięczyła, kpiła z ojca, że tyle czasu rozmawiał z tą bezbarwną Agnieszką Zaufał i czy mu się przypomniały dawne czasy, ojciec jednak nie podejmował tematu. Jakby zbierał siły do wybuchu.

Otóż Maurycy uznał - ciągnęła babcia opowieść - że klucz do tragedii może znajdować się u Agnieszki Zaufał. Zadzwonił do niej, gdy tylko znalazł numer w telefonie ojca. Pani Zaufał była zaskoczona, umówiła się z nim jednak, wydawało się, że nic nie wie o tragedii. Mieli się spotkać u niej w domu, ale nie zastał jej o umówionej godzinie. Nie odpowiadała na telefony, wydawało mu się, że go unika. Postanowił nie odpuszczać, czekał i wreszcie złapał ją przed wejściem do kamienicy. Była strasznie zdenerwowana. Kiedy usłyszała, co się stało, zdenerwowała się jeszcze bardziej. Dopytywała się, czy wini ją za tę tragedię. Pewnie, że winił. Powiedział jej to.

Spojrzała na Jarka triumfalnie:

- No i?

- No i co?

- Mamy „młodego człowieka, który rozmawiał z Agnieszką Zaufał tuż przed jej

zniknięciem”.

- Młodego? Ten piernik ma ponad czterdzieści lat.

- Skąd wiesz? - zaniepokoiła się.

- Z Internetu.

- Dla mnie jest ewidentne, że zniknięcie pani Zaufał miało związek z tą tragedią, a tragedia z tym, co powiedziała dawnemu narzeczonemu.

- Widzę, że twoja znajoma od kotów jest doskonale poinformowana. Nie wiem po co w takim razie zlecałaś mi poszukiwanie Agnieszki Zaufał.

- Jarciu, dlaczego się burzysz? Dowiedziałam się czegoś, co może ci pomóc w śledztwie. Szukasz Agnieszki Zaufał, a teraz już wiesz, dlaczego zniknęła. Przecież będzie ci łatwiej.

- I to wszystko, dziwnym zbiegiem okoliczności, opowiedziała ci znajoma.

- Widzisz, jaka niespodzianka? A miałeś przesłuchiwać tego Maurycego.

- Miałem?

- Nie planowałeś?

- Nawet jeśli, to teraz już nie muszę, prawda? - Popatrzył na nią. Odpowiedziała mu szczerym spojrzeniem błękitnych oczu. Podniósł się i poszedł do swojego pokoju.

Wrócił jeszcze.

- Babciu, a możesz mi dać telefon do tej pani z Krechowieckiej? Chcę wiedzieć, o której dokładnie Maurycy odwiedził Agnieszkę Zaufał. Wtedy ostatecznie się upewnię, czy to on był tym młodzieńcem, którego widziała przedszkolanka.

- Mogę ci dać nie telefon, lecz numer telefonu - poprawiła go z irytacją.

- No to daj.

- Ale po co? Sama do niej zadzwonię.

Czekał jeszcze chwilę, lecz nie kwapiła się do telefonu, więc wyszedł z kuchni już na dobre.

Może i lepiej, że nie wyznała prawdy. Wiedział, co mogłaby powiedzieć: po prostu nie ufała, że wnuk zajmie się sprawą we właściwy sposób, więc postanowiła go w tym wyręczyć. Jak zawsze.

Jaro wpisywał właśnie do komputera mnożące się pytania i nieliczne odpowiedzi, kiedy tok myśli przerwał mu dzwonek do drzwi. Babcia? Na pewno nie, jej nigdy nie zdarzyło się wyjść bez klucza. Dzidka? W takim razie lepiej nie otwierać. Któraś z babci koleżanek czy znajomych? O nie, wszystkie te panie, pachnące starymi perfumami i naftaliną, dopadały go co rusz na podwórku, wypytując, jak mu idzie śledztwo w sprawie mordercy

kotów. Mordowanie kotów to straszna sprawa, ale teraz wszystkie siły poświęcał szukaniu zaginionej Agnieszki Zaufał. Znalezieniem świra z podwórka zajmie się przy okazji. Albo wcześniej dorwie go babcia.

Dzwonek przy drzwiach odezwał się znowu. Jaro miał dość. Ile jeszcze przyjdzie osób, które pilnie potrzebują się porozumieć z babcią? Wyłączył komputer, wziął notes, długopis oraz - starając się nie brzęczeć - ze słoika z monetami sześć złotych na espresso, cichutko przemknął do przedpokoju, włożył buty i kurtkę. Dzwonienie ustało, więc odczekał jeszcze chwilę, żeby nieproszony gość mógł swobodnie zejść po schodach, po czym wcisnął czapkę na oczy i otworzył drzwi. A tam... prawie wpadł na wysokiego siwego mężczyznę.

- Dzień dobry - odezwał się Henryk Bielecki. - Może tym razem zastałem Halinę?

No i masz. A ten tu czego znowu szuka?

- Babci nie ma, a ja się spieszę. Mówiłem, że najlepiej przedtem do niej zatelefonować.

- Proszę? - Przyłożył dłoń do ucha.

- Lepiej zatelefonować - wyskandował Jaro. - Bo babci nie ma.

- A pana mama jest? - spytał nieoczekiwanie mężczyzna.

- Ale o co chodzi?

- Chciałbym z nią porozmawiać.

- Będzie trudne. Mieszka w Stanach.

Starszy pan stał przez chwilę, ruszając szczęką, jakby przeżuwał niewypowiedziane słowa.

- W takim razie chciałbym porozmawiać z panem - stwierdził. Jaro się spłoszył.

- Akwizycja?

- Proszę? - Przytknął dłoń do ucha.

- Chce pan coś sprzedać?

- Sprzedać? - zdezorientował się starzec. - Sprzedać? Nie.

Rzeczywiście, głuchota mężczyzny pozwalała przypuszczać, że nie byłby w stanie zajmować się akwizycją ani towarów, ani usług, Jaro postanowił więc wpuścić go do mieszkania i wypytać, o co chodzi. Usadził gościa w salonie. Starszy pan odchrząknął i zaczął drżącym głosem:

- Nazywam się Henryk Bielecki i jestem dawnym znajomym pana babci. Bo Halina Maczkówna jest pana babcią?

Pewnie chodzi o pieniądze, zrozumiał Jaro.

- Halina Baładanowicz. Maczkówna to jej nazwisko panięskie - powiedział dużo

wolniej i głośniej niż zwykł mówić.

- Ale jest pana babcią, prawda?

- Od dwudziestu dziewięciu lat.

- Tyle pan ma? Piękny wiek. A pana mama? Ile ma lat?

Może to świr? - zastanowił się Jaro.

- Widzę, że pana zaskoczyłem. Ale jeśli to nie jest wielką tajemnicą, proszę mi odpowiedzieć.

- Matka skończy w tym roku pięćdziesiąt jeden lat.

- A kiedy obchodzi urodziny?

Na urodziny matki babcia zawsze zmuszała Jarka do rysowania laurki. Gdy się zbuntował przeciw laurkom, musiał pisać listy. Potem przeszedł na pocztówki z gotowym tekstem, ostatnio słał kartki internetowe. Matka odwdzięczała się tym samym, ot - taki zdawkowy kontakt jak z niezobowiązującymi znajomymi z dzieciństwa.

- Proszę odpowiedzieć, ja zaraz wyjaśnię, o co chodzi.

- Urodziła się dwudziestego drugiego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku.

- Wy, młodzi, strasznie wszyscy mamroczenie. Może pan mówić wyraźniej?

- Dwudziesty drugi kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt! - wrzasnął rozeźlony Jaro.

Pan Henryk skrzywił twarz, co było ewidentną oznaką wysiłku intelektualnego. Liczył coś na palcach, liczył.

- To by się zgadzało.

Jaro wbrew sobie wpadł w dygot. Spojrzał na drżące dłonie i wsadził je pod uda, żeby stary nie zauważył.

- Spuszczasz oczy i rumienisz się zupełnie jak mój brat - odezwał się pan Henryk. - Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem przez chwilę, że mój brat zmartwychwstał. I nie przez przypadek.

- Słucham?

- Byłem kiedyś związany z twoją babcią. Ładnych parę tygodni. A potem ona nagle znikła. Dwidka mówiła, żeby jej dał spokój, bo wyszła za męża i urodziła dziecko. Dałem jej spokój. Ale... chyba niesłusznie. Znowu się rumienisz. Mój brat miał na imię Franciszek. A ty? Jak masz na imię?

- Jarosław.

- Jarku, daty się zgadzają. Zgadza się twoje czoło. I oczy.

- Co mi pan tu insynuuje?

Bzdura. Bzdura. Starszy pan bredził i tyle. Babcia i kochanek? Babcia i nieślubne dziecko? Jego higieniczna babcia o manierach drużyny drużynowej miałyby się z kimś puszczać? Gdyby ten Henryk znał ją tak dobrze, jak twierdzi, nigdy by tego nie wymyślił.

- Chciałbym się skontaktować z pana mamą. Ma pan jej numer telefonu? Adres?

- Nie - odpowiedział Jaro i wstał. - Ja już pana pożegnam.

- Proszę? - Ręka przy uchu.

- Do widzenia!

- Obraził się pan na mnie?

- Dlaczego?

Z ulgą zamknął drzwi za starszym panem. Za dużo zmiennych. Za dużo.

Stał przed lustrem. Uśmiechnął się. Zmarszczył. Przytknął dłoń do ucha. Nigdy nie przypominał dziadka. A tego pana? Dziadek podobno w jego wieku zaczynał już mieć zakola. Natomiast Jaro cieszył się gęstą czupryną. Zupełnie jak mężczyzna, który przed chwilą wyszedł z mieszkania. Dziadek był niski, Jaro sporo od niego wyższy. Jak Henryk Bielecki.

Zgrzyt klucza w zamku spowodował, że wpadł w panikę: babcia od razu spyta, czemu jest taki niewyraźny. Rozglądał się chwilę po mieszkaniu i wpadł do swojego pokoju, gdzie przy wtórze otwieranych drzwi nurknął za zasłonę. Przytulił się do ściany, usiłując uspokoić nerwy. Ale nie udało mu się, bowiem babcia, zdjawszy kurtkę, buty i umywszy ręce, od razu wparowała do jego pokoju. I po co? Po co? Kilka kroków, skrzyp krzesła, włączenie komputera. Jeszcze w to nie wierzył, gdy usłyszał powitalną melodyjkę swojego laptopa. Babcia westchnęła i zaczęła ruszać myszą z szybkością godną programisty, najwyraźniej nabrała niemałej wprawy w układaniu cholernych pasjansów. A on, naiwny, kupił jej karty. Była sprytniejsza, niż podejrzewał. I zupełnie inna niż przez te wszystkie lata mu się wydawało.

Nie słyszał muzyczki towarzyszącej zazwyczaj układaniu kart, wyglądało więc, że babcia Halinka nauczyła się nawet ją wyłączać.

Stał oparty o ścianę, starając się oddychać jak najciszej, choć tętno galopowało mu jak po przebiegnięciu paru kilometrów, a plecy spływały potem, nie tylko dlatego, że nie zdążył zdjąć kurtki. Świat dokonał wolty o sto osiemdziesiąt stopni, a teraz wirował w nieoczekiwanym kierunku. Zwykle sprawy ukazywały nowe oblicza, a babcia wpatrywała się w jego monitor. I nagle się przeraził: czy na pewno usunął z pulpitu skrót do filmiku z Azjatką? Wszystko szło źle. Wszystko.

Halina siedziała przed komputerem Jarcia, przeglądając kolejne spisane przez niego

informacje. Ciekawe, dokąd wnuk teraz pognał, ostatnio prawie nie bywał w domu. Z jednej strony była zadowolona, że chłopak wykazuje aktywność, z drugiej - bała się, że popadnie w kłopoty. Co robisz całymi dniami? Jak idą śledztwa? Czy ci nie brakuje pieniędzy? - próbowała go wypytywać, ale zbywał ją ogólnikami. Niewiele zresztą ostatnio mówił i chwilami, gdy jedli razem śniadanie, wydawało się jej, że siedzi przed nią ktoś obcy.

Myśli znowu odzęgłowały jej od Jarciego dochodzenia, a przecież wnuk spisywał się nie najgorzej, dodając wiele nowych spostrzeżeń do swojego dossier. Prawie do łez rozśmieszyły ją liczne znaki zapytania przy „starszej pani w bereciku”, która dała adres ciężarnej Mańce. Gdyby wiedział, o kogo chodzi... W ogóle mnożył podejrzenia co do różnych osób, co ją też zastanawiało, ale te najpoważniejsze dotyczyły Ilony Maciejko oraz jej córki. Fajna rodzinka, swoją drogą. Jednak miała intuicję, gdy postanowiła nie ufać pani doktor. Czyżby i Jarcio przejrzał wreszcie na oczy?

Najfajniej byłoby o tym wszystkim pogadać z Jarcim, ale tego akurat zrobić nie mogła. Cóż, zawsze pozostaje Dzikka. Tyle że przyjaciółka też ostatnio zrobiła się tajemnicza. Ewidentnie nie mówiła jej o wszystkim. Tym również należało się zająć.

Ile czasu można stawiać pasjansa? Jaro chciałby wyrzucić zza zasłony i popatrzeć, co babcia kombinuje, ale im dłużej się ukrywał, tym głupiej było się ujawniać. Żeby chociaż mógł zdjąć kurtkę, ale za dużo przy tym machania rękami. Nogi zaczynały go już pobolewać, lecz najbardziej niepokoiło go, że babcia przypadkiem w coś kliknie i za dużo się o nim dowie.

Starsza pani wzdychała i mamrotała do siebie, jakby pasjans zupełnie jej nie wychodził. Czasami bywała strasznie starcza, choć na ogół utrzymywała stan ponadnormatywnej rzeźkości.

Czego tu szukał sędziwy pan Henryk? O co mu chodziło? Co go po tylu latach nagle wzięło, żeby kontaktować się ze swoją nibyrodziną? Może, jak to w filmach bywa, zapadł na nieuleczalną chorobę i chciał przed śmiercią poukładać swoje sprawy? Ale co miałyby mu z tego przyjść? Chyba nie wierzył, że skoro na tyle dziesiątków lat został wykreślony z życia byłej dziewczyny, teraz zacznie go ona zapraszać na Wigilię. Może jednak chodziło mu o nagłą pożyczkę? O dawcę do przeszczepu? A może po prostu o kandydata, który mógłby odziedziczyć po nim spadek? Jaro pożałował, że pozbył się go tak szybko i nie wypytał dokładniej. Przeczuwał jednak, że starzec pojawi się tu po raz kolejny i uda mu się dorwać babcie. Ciekawe, jaką będzie miała minę.

Właściwie, dochodził do wniosku Jaro, zapominając na chwilę o zdrętwiałej nodze i pocie, jaki spływał z pleców do slipek, właściwie on swojego dziadka Władysława nigdy nie

lubił. Bał się go. Tych bezlitosnych ocen i nieadekwatnych porównań: „Ja w twoim wieku bronilem ojczyzny, a ty biegasz jak kundel po bieżni”. „Siedzisz z babcią jak baba, zająłbyś się czymś męskim”. „Za moich czasów chłopcy byli twardzi, a ty taki rozmamłany. Twoi koledzy też tacy są?”. Jaro nigdy nie odważyłby się rzucić pracy w szkole, gdyby dziadek jeszcze żył. Nie, źle. Odważyłby się, jeśli mógłby wyprowadzić się z domu i nie słuchać jego wiecznych utyskiwań. Bo rzeczywiście - co mieli ze sobą wspólnego, poza adresem? Nie rozmawiali, nie spędzali razem czasu, nawet programy telewizyjne wybierali inne. Dziadek zawsze dawał do zrozumienia, że wnuk, taki jaki jest, nie zasługuje na sympatię. Ale dopiero teraz Jaro odważył się pomyśleć, że i dziadek nie zasługiwał na ciepłe uczucia. Babcią i jego sztorcował, bo nigdy nie sięgali jego wygórowanych kryteriów. Z niczego nie był zadowolony, zawsze chciał od nich więcej i więcej. Laurka na Dzień Dziadka? Wnuk przyjaciela nie wykpił się rysunkiem kwiatków w wazonie, tylko wręczył dziadkowi własnoręcznie napisany wiersz. Piątka z klasówki? Szkoda, że poprzednie oceny były gorsze. Najlepszy wynik w klasie w biegu na sto metrów? A kto by się chwalił takimi bzdurami? Wiecznie niezadowolony dziadek rozkwitał tylko przy tych swoich intelektualistach, którzy to przychodzili do nich do domu, to czekali na dziadka w kawiarni, gdzie głównie zastanawiali się, dlaczego wszystko schodzi na psy. Jarkowi zawsze się wydawało, że sam nie jest w stanie sprostać intelektualnie tym dyskusjom, dopiero teraz odważył się myśleć, że były to groteskowe podrygi świata odchodzącego w przeszłość.

I nagle zachciało mu się pogadać o tym z babcią Halinką. Miał wrażenie, że ona jedna byłaby w stanie zrozumieć tę mieszaną miłości i nienawiści, zachwyty i pogardy, jaką czuł do dziadka Władysława.

Odezwał się telefon. Jaro usłyszał skrzypnięcie krzesła, babcia poszła do przedpokoju. Szczęknęła słuchawka, babcia coś zamruczała. Niech rozmawia jak najdłużej, a on dopadnie komputera i pozbędzie się Azjatki z pulpitu.

- Jestem. Wpadaj - powiedziała babcia trochę głośniejszym głosem.

Cofnął nogę, którą zdążył wystawić zza zasłony, bo starsza pani, wzdychając, wróciła do pokoju i znowu siadła za jego biurkiem. Klik klik, klik klik.

I znowu dzwonek, tym razem do drzwi. Henryk? Okazało się jednak, że Dzik.

- Musimy porozmawiać - zapowiedziała od progu.

- Też mam takie poczucie - odparła babcia.

Miał nadzieję, że jak zwykle przycumują w kuchni, babcia jednak nieoczekiwanie przyprowadziła Dzikę przed jego biurko. Hurgot przysuwanego krzesła.

- Sama zobacz - zagaiła. - Chyba nie jest źle, prawda? Jarka ogarnęło zażenowanie:

czyżby chwaliła się przed Dziką sukcesami w pasjansie?

- Mnie się wydaje, że jednak przeceniasz wagę tych osiągnięć. Naprawdę nie ma w tym sensu, dobrze, żebyś to wreszcie zrozumiała - wyraziła dezaprobatę Dziką.

Przynajmniej ona wykazuje trochę rozsądku, pomyślał Jaro, ale wcale go to nie pocieszyło. Przeciwnie. Przyjaciółka babci ciągnęła:

- Ale ja nie o tym. Dzieją się poważniejsze rzeczy. Chcę cię przeprosić, że dopiero teraz o tym mówię.

Babcia sapnęła zaniepokojona. - Wiesz, od jakiegoś czasu jestem taka samotna... Juliusz, ten z którym chodziłam do teatru, zmarł.

- Moje kondolencje. Nic nie mówiłaś.

- Śmiałaś się z niego.

- Nie śmiałabym się, że umarł.

- Nieważne, nie w tym rzecz. Parę dni temu, bardzo proszę, nie denerwuj się, parę dni temu zadzwonił do mnie Henryk.

Babcia milczała.

- Henryk Bielecki, twój...

- Wiem kto. - Głos babci zabrzmiał jak świst miecza.

- Chciał się spotkać. Poszliśmy do kawiarni. Zirytował mnie, bo prawie nieustannie wypytywał o ciebie. Obiecałam mu, że jeśli się zgodzisz, doprowadzę do waszego spotkania, niech da mi trochę czasu.

- Zwariowałaś? A po co on mi tutaj?

- Chciał cię zobaczyć. Rozlicza się z przeszłością.

- Moim kosztem?

- Halina, daj mi powiedzieć do końca. Chciałam cię najpierw spytać, czy jesteś gotowa się z nim spotkać, przecież nigdy bym go tu nie przyprowadzała, gdybyś odmówiła. Bo jeśli nie... Ja naprawdę chciałabym znowu mieć kogoś do teatru. I do filharmonii. Z tobą mogę chodzić tylko do kina.

- Bez przesady, do teatru też mogłabym iść.

- Teraz tak mówisz. W każdym razie chciałam go trochę zbajerować, musisz spytać Jarka, czy tak się mówi: zbajerować.

- Przejdiesz wreszcie do rzeczy? - warknęła babcia.

- Musisz wiedzieć, że podczas tego naszego pierwszego spotkania...

- To ile razy się z nim widziałaś? - przerwała babcia.

- Dwa razy - odpowiedziała Dziką cicho. - I chyba trochę za dużo mu powiedziałam.

To znaczy, tak jakoś wynikło w rozmowie, że mieszkam z tobą klatka w klatkę, i w której kamienicy, że na Żoliborzu, tuż obok Merkurego, w budynku z okulistą. A resztę prawdopodobnie wywnioskował z listy lokatorów. Ponieważ on tu był.

- Wiem. Jarcio mi powiedział.

- To on już wie?

- Nie i nie będzie wiedział.

- Halinko, Henryk niestety wróci tutaj. Zauważył, że Jarek jest podobny do jego brata, a resztę dośpiewał sobie sam.

Babcia znowu sapnęła.

- Nie mów, że mu to wszystko potwierdziłaś. Dzidka milczała.

- Potwierdziłaś - zgadła babcia. Jaro nawet za zasłoną wyczuwał narastający huragan jej gniewu.

- Halinko, nie gniewaj się. - Dzidka nie wytrzymała. - Wściekłam się na niego i nawrzeszczałam, że jest egoistą. I dlaczego. Przepraszam. Przepraszam. To nie są moje sprawy i nie powinnam mu o tym opowiadać.

Babcia nie zdobyła się na odpowiedź.

- Sama byś się zdenerwowała - ciągnęła błagalnie Dzidka. - Po prostu chciałam go obudzić z tej zadufanej głupoty. Poza tym byłam podminowana, bo jest totalnie głuchy.

- Racja, mówiłaś, że się nie zmienił. Zawsze był taki.

- Głuchy?

- Głupi. Zadufek i egocentryk.

Dzięki, babciu, za geny, którymi mnie obdarzyłaś, pomyślał Jaro.

- I dlatego nie chciałam roznosić jego genów - stwierdziła bezlitośnie babcia. - Ale to ty mnie przekonałaś, żeby jednak przekazać je dalej. A teraz mnie wkopujesz w tę idiotyczną sytuację. Co mam mu powiedzieć, kiedy przyjdzie? „Nie usunęłam twojego dziecka, jak chciałeś? Wychowałam je jak umiałam i do dziś żyję ze skutkami tamtej decyzji?”.

Jak łatwo podsumować czyjeś istnienie - zadumał się Jaro. „Skutki błędnej decyzji”.
Mama i ja.

- Źle, że cię do tego namówiłam, to mi chcesz powiedzieć?

- Nie o to mi chodzi, Dzidziu. Kocham Hanię, choć za wiele było w niej z Henryka, żeby mnie przez całe życie nie irytowała.

- Ale Jarek to prawdziwa kula u nogi.

- Jarek to sens mojego życia. Moja miłość. Mój chłopak i lepszego nie mogłabym sobie życzyć - wyznała babcia na jednym oddechu.

Jaro przerzucił ciężar na drugą nogę. Emocje go przygniatały. Żeby tylko nie pociągnąć nosem.

- Myślałam, że opiekujesz się nim z litości - wyznała Dzidka po chwili.

- Nie poznałaś go tak jak ja. Hania odziedziczyła po swoim ojcu wiele egoizmu i dopiero w Jarku udało mi się wypełnić te fatalne wpływy. On ma w sobie mnóstwo dobra.

Znowu zapadła cisza, nabrzmiała łzami wzruszenia, jak zdawało się Jarkowi. On w każdym razie oczy miał mokre.

- Przestań już, bo się rozplaczę - powiedziała Dzidka ironicznie. - Pytanie brzmi, czy zgodzisz się spotkać z Henrykiem, zanim tu wparuje i uświadomi Jarkowi, czyje geny nosi.

- A zostawiłaś mi jakiś wybór? - Babcia westchnęła z rezygnacją. Jaro nagle poczuł, że ciepłe uczucia zalewają go z mocą fal tsunami. - Naprawdę jesteś taka samotna? - dodała z nutą przykrości w głosie.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo brakuje mi czasem silnego męskiego ramienia - mówiła Dzidka z pasją. - Męskiej siły. I podziwu w oczach. Tego od ciebie nie dostanę.

- Podziw możesz dostać. A poza tym myślałam, że to co nas łączy, jest istotniejsze niż wiernopoddańcze zachwyty.

Jaro czuł się zażenowany: babcia nigdy tak otwarcie nie mówiła przy nim o uczuciach. Przy Dzidce też chyba nie, bo ta aż odchrząknęła, po czym odezwała się rzeczowym, krzepiącym tonem:

- Chodź, zrobimy sobie herbaty. Z rumem.

- Przecież wiesz, że wolę z pigwówką - odparowała już prawie normalnym głosem babcia. Skrzypnęło jedno krzesło, potem drugie i kroki Dzidki oddaliły się w stronę kuchni. Babci nie było słyhać, w tych jej ciepłych kapciuszkach, rozczulił się Jaro i otarł oczy, starając się nie poruszyć zasłony. Ostrożność przestała jednak mieć sens, bo odgłosy krzątania od dłuższej chwili dochodziły z kuchni. Oczekał jeszcze parę sekund, by wreszcie wymknąć się z kryjówki. Nogi miał miękkie, w głowie zamieszanie. Usiadł przed biurkiem. Monitor komputera migotał screen saverem. Jaro dotknął klawisza spacji i nagle usłyszał sapanie za plecami. Drgnął i odwrócił się. Stała za nim bardzo blada babcia.

- Nie usłyszałam, że wchodzisz do domu - wyjąkała prawie bez tchu. - Przepraszam.

Za co? - zastanowił się Jaro. - Że go oszukiwała tyle lat? Nie gniewał się wcale, przecież chroniła i matkę, i jego. Oraz dziadka Władysława. Przez tyle lat sama niosła ten ciężar. Strasznie ją za to kochał.

Wpatrywała się w coś za jego plecami, a twarz zastygła jej w grymasie przerażenia. Odwrócił się. Monitor był pełen pootwieranych tekstów. Teksty? A gdzie pasjans?

- Przepraszam. - Głos z trudem dobywał się z piersi babci. - Musisz mi wybaczyć, że to przeczytałam. Ja tylko chciałam pomóc.

Nie był pewien, o co chodzi.

- Zajrzałam tylko do tych, które dotyczą twojego śledztwa. Chciałam wiedzieć, do czego doszedłeś. Przepraszam.

W progu jego pokoju stanęła Dzikka. Podeszła i stanęła tuż za babcią, jakby chciała wspierać ją w bójce.

- Babci zależy, żebyś odniósł sukces w śledztwie. Więc zajrzała do twojego komputera, bo chciała wiedzieć, co już zdołałeś, i móc ci podrzucać tropy.

Jaro przenosił wzrok od jednej do drugiej. Tropy? Podrzucać tropy? I nagle wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Babcia w firmie

Maurycego Pęczka. Babcia zdradzająca mimochodem namiary na Tymoteusza. Babcia, która zna mnóstwo szczegółów z życia Agnieszki Zaufał. I wreszcie starsza pani w bereciku w szkole angielskiego Josephus.

Nie mógł na nią patrzeć.

Chyba zrozumiała, bo spuściła głowę i wyszła.

Halina zaparzyła Jarciovi herbaty z sokiem malinowym i zapukała do niego. Milczał, więc weszła nieproszona, postawiła kubek na biurku (na korkowej podstawce, a jakże) i stanęła nad wnukiem.

Zamarł, po chwili odwrócił laptopa monitorem w jej stronę.

- Co jeszcze chcesz przejrzeć? Proszę bardzo! Zajrzyj wszędzie, przeczytaj o mnie wszystko - powiedział tonem, który miał być ironiczny, ale w środku wypowiedzi stał się raczej bliski płaczu.

- Nie gniewaj się już na babcię Halinkę. - Przygarnęła go do chudej piersi, jak to jej się czasem zdarzało, ale tym razem nie przytulił się do niej, tylko został chłodny i sztywny. Odsunęła się więc i spojrzała mu w oczy. Wysunął dolną wargę do przodu, co robił zawsze, gdy się gniewał.

- Kiedy tylko zarobię wystarczająco dużo, wyprowadzam się. - Nie patrzył na nią.

- Jaruś, nie starczy mi na dwa czynsze - odpowiedziała odruchowo, a on drgnął jak dźgnięty nożem w tyłek.

- Sam sobie będę płacił za mieszkanie. Chcę mieć swoje życie. I sprawy, do których się nie będziesz wtrącać. Rozumiesz? Pozwalam ci sprzątać w mojej szafie i w szufladach...

- Trzymałeś tam ogryzki, bałam się, że coś się zalęgnie...

- Pozwalam ci zaglądać do biurka, jesteś upoważniona do mojego konta w banku...

I tak niewiele na nim jest - chciała powiedzieć, ale ugryzła się w język.

-...ale komputer to moja przestrzeń osobista. Chcesz grać? Proszę - zawstydziła się, nie wiedziała, iż on wie, że ona gra - ale nie masz prawa do grzebania w moich plikach. Czy ja ci grzebię w listach?

Nie pozwoliłaby na to, trzymała je w zamkniętej szufladzie sekretarzyka.

- A ty właśnie to zrobiłaś. Póki jeszcze mieszkamy razem, powstrzymaj się. Nie masz własnego życia, żeby bez przerwy żyć moim? Mama od ciebie uciekła, nie zmuszaj mnie do tego samego.

Jak pięścią w twarz. Co on bredził? Hania nie uciekła od niej, tylko wybrała wolność od rodzicielskich obowiązków i kolorowy zachodni świat, gdy tu było szaro. Czy on tego nie rozumie?

Spojrzała na niego i zaraz cały gniew jej przeszedł: Jaruś miał łzy w oczach. Pogłaskała go po policzku i wyszła bez słowa.

Halina już zapomniała, co znaczą ciche dni. Władysław lubował się w tym subtelnym środku nacisku małżeńskiego, ale od czasu jego śmierci odzwyczaiła się od bezgłośnych kar. Determinacja Jarcia w okazywaniu niezadowolenia wskazywała jednak, że mimo braku biologicznego pokrewieństwa, jakieś cechy od swojego dziadka przejął: do ciszy, która nastąpiła nieodwołalnie po wczorajszej rozmowie, tego ranka dodał skwaszoną minę oraz odmowę spożycia śniadania. Stał przy czajniku, czekając, aż się zagotuje woda, ostentacyjnie ignorował przygotowane jedzenie.

Halina była jednak starsza i mądrzejsza niż w czasach, gdy Władysław próbował ją okiełznać w ten sposób. Wiedziała też, że ciche dni nie prowadzą do niczego.

- Może wolisz kanapkę zamiast jajecznicy? - zagadnęła.

W odpowiedzi uzyskała spojrzenie cięższe od siaty z zakupami na weekend. Potem Jarcio zdecydował, że jeszcze pogłębi karę, kiedy odwróci od babci wzrok, więc z obrzydzeniem skierował go na czajnik oraz puszkę z kawą. Gdyby nie przygniatało jej dotkliwie poczucie winy, nawet rozśmieszyłaby ją ta pantomima.

I wtedy zadzwonił jego telefon.

Schronił się w swoim pokoju, coś komuś klarował, ale nie umiała rozróżnić słów. Siedział tam i siedział, choć stygło mu śniadanie, aż wreszcie wyszedł z pełnym plecakiem. I to nie tym plecaczkiem, z którym poruszał się po mieście. Nie, z plecakiem na stelażu, tym wielkim, z którym w studenckich czasach zdarzyło mu się raz czy dwa pojechać w góry.

- Wyjeżdżasz?

- Wyprowadzam się.

- Dokąd?

- Do widzenia, babciu - i nie patrząc jej w oczy wyszedł z domu.

Chciałaby móc płakać, ale nie potrafiła. Siedziała tylko, wpatrując się w ścianę, tak długo bez mrugania, aż z obu oczu potoczyło się po łezce. Ciężko było to jednak nazwać ulgą. Zadzwoił telefon. Zerwała się i dopadła go po pierwszym dzwonku, w ułamku sekundy wykrzykując zdyszane „halo”, czym zaskoczyła swojego rozmówcę. Milczał.

- Gdzie jesteś? - Nie wytrzymała.

- U siebie w biurze - odpowiedział obcy męski głos. - Przepraszam, chyba z kimś mnie pani myli. Tu Maurycy Pęczek. Poznaliśmy się...

- Pamiętam, oczywiście. Przepraszam pana.

- Nie ma sprawy. Prosiła pani o informacje, gdyby zdarzyło się coś nowego w sprawie moich rodziców i zaginionej przyjaciółki.

- Tak? - Usiłowała nasycić głos zainteresowaniem, ale chyba bezskutecznie, bo teraz interesowało ją wyłącznie jedno: dokąd poszedł wnuk.

- Czy to jeszcze aktualne?

- Jak najbardziej.

- Mama się czuje lepiej. Chyba wyjdzie z tego, odpukać.

- To wspaniale!

- Można już z nią rozmawiać.

- Cieszę się razem z panem.

- Wypytywałem mamę, o co im poszło, i powiedziała mi. Na podstawie słów pani koleżanki ojciec powziął absurdalne podejrzenie, że matka go zdradzała i że nie jestem jego synem. Pytał znajomych, czy coś o tym wiedzą, wreszcie zaczął gadać z matką, która go wyśmiała i chyba ten śmiech go zdenerwował. Bo nie chciała tłumaczyć, tylko się śmiała.

Halina nagle poczuła się, jakby wkroczyła w alternatywną wersję własnej historii. Co by zrobił Władysław, gdyby dowiedział się prawdy o prawdziwym ojcu Hani?

- Halo, jest pani tam? Mama się śmiała, bo pytanie było absurdalne, ale ojciec odebrał to jako objaw lekceważenia. Mama mówi, że pani koleżanka sączyła ojcu w ucho takie bzdury na imprezie. Niby nie wierzył, ale go nurtowały. Tyle chciałem powiedzieć a propos pani koleżanki. Pomoże to pani w czymś? Zdaniem mojej mamy ta Agnieszka Zaufał nie jest dobrą kobietą, a ja, ze swej strony, radziłbym, z całą sympatią, zmienić towarzystwo. Kiedy już ją pani znajdzie, oczywiście. A, i jeszcze jedno, proszę jej wtedy powiedzieć, jaką tragedię można spowodować kilkoma głupimi zdaniami.

Halina podziękowała mu za wieści, ale teraz ani ją grzały, ani ziębiły. Śledztwa?

Zajmowała się nimi tylko dla Jarcia. Opadła ciężko na krzesło. U kogo wylądował? Czy ma pieniądze? Nie mogła zadać mu tych pytań, bo uparcie nie odbierał komórki. Żywiła słabą nadzieję, że przytulił się u jakiegoś kolegi (miał w ogóle kolegów?), a nie zasilił noclegownię dla bezdomnych. Nawet mieszkanie doktor Maciejko byłoby lepsze od spania na dworcowej ławce.

Na dzwonek do drzwi poderwała się od razu. Otworzyła, nawet nie sprawdzając przez wizjer, kto stoi na wycieraczce. Jej wzrok, wycelowany na wysokość metra osiemdziesiąt, napotkał jednak pustkę. Spojrzała niżej. Dzikka.

- Widzę, że już wiesz - odezwała się przyjaciółka. Ale o czym?

- Ta sprawa naprawdę dojrzała do rozstrzygnięć - stwierdziła twardo Dzikka. Kazała jej się ubrać i wyprowadziła na podwórko, gdzie, ku zdziwieniu Haliny, skierowała się w stronę altanki śmietnikowej. Stało tam parę osób. Dzikka z Haliną weszły do środka. Smród aż zatykał. Halina spojrzała pytająco na Dzikkę, a ta machnęła głową w stronę ściany widocznej między dwoma pojemnikami na kółkach. Widniało na niej dziwaczne malowidło w kształcie krzyża.

- Znowu dał o sobie znać - oznajmiła Dzikka. Zaskoczona Halina podeszła do ściany.

Krzyż nie był namalowany, lecz przyczepiony: przybity do ściany kilkoma gwoździami wisiał tu czarny kot, a w jego martwych oczach odbijało się światło śmietnikowej żarówki. Halina się wzdrygnęła.

- Okrucieństwo, a do tego bluźnierstwo - skomentowała naprawdę rozeźlona Dzikka. - Nie ma co płakać, Halinka, trzeba się za to wziąć na serio.

- Żywcem? Przybił go żywcem? - dopytywał się rozemocjonowany Maks Cudny.

- E tam żywcem, przecież wszyscy by usłyszeli miauczenie. Musiał dać mu przedtem w łeb - dedukował dozorca.

Halina słuchała, zdrętwiała w środku, jakby ją ktoś utrwałił na sztywno ciekłym azotem. Łzy znowu wycofały się gdzieś w głębiny i grzechotały tam jak bryłki lodu.

Dozorca wyjął obcążkami gwoździe ze ściany, a kot spadł na ziemię sztywno jak deska. Sądząc ze stopnia stężenia mięśni, zwierzak stracił życie wiele godzin temu, najpewniej w nocy. Miał na szyi wyraźną pręgę świadczącą, że jednak uduszono go przed ukrzyżowaniem. Dzikka próbowała zamknąć mu powieki, ale nie chciały się opuścić na wybałuszone ślepek, więc wsadziła biedaka do czarnego worka na śmieci, w którym zaczeka na pogrzeb. Halina miała wrażenie, że i jej mięśnie stężały, więc stała sztywno przy Dzikce, kiedy ta przesłuchiwała sąsiadów i dozorcę. Nikt nic nie widział, nic nikt nie słyszał, a ukrzyżowanego znalazła Celina na pół godziny przedtem, zanim do śmietnika sprowadzono

Halinę.

Dzidka chciała się do niej wprosić, ale Halina stanowczo zapowiedziała, że woli się położyć. Zamiast tego siadła na krześle w kuchni, by przez następne dziesiątki, a może setki minut analizować siateczkę pęknięć i przebarwień w ścianie nad stołem.

Kolejny filmik udał się Siwemu gorzej niż poprzedni. Jeszcze zanim przejrzał nakręcony materiał, miał przeczucie, że tym razem się nie postarał. Gdyby załatwił rzecz o trzeciej - czwartej nad ranem, jak planował, i przybił kota na zewnętrznej ścianie śmietnika, miałby szansę na fajne ujęcia, tymczasem jednak zasnął, a potem się bał, że ktoś go zauważy, więc w rezultacie nad ranem przymocował śmierdzące truchło w środku altanki. To był błąd. Liczył, że po odkryciu ciała przez sąsiadów będzie miał możliwość sfilmowania ich reakcji telefonem komórkowym, gdy jednak zobaczył rozglądające się podejrzliwie żądne krwi staruszki, przestraszył się zdemaskowania i zwiął do domu. Stał przy oknie za kamerą na statywie i kręcił co się dało.

A mogło być tak pięknie: futrzak na ścianie śmietnika, pod nim stado starych dewotek, jak na jakiejś kociej drodze krzyżowej. Mógłby podłożyć podkład muzyczny z Gorzkich żalów i po lekkim montażu powstałoby coś naprawdę dobrego, przełamanie tematu śmierci lekką groteską sytuacji, no miódzio. A tak, z braku zdjęć kota (sfilmował go w śmietniku, zaraz po ukrzyżowaniu, ale to nie było do końca trafione) musiał pójść w slapstickową komedię - puścił staruchy na przyspieszonych, domalował im bereciki, i tak biegały z klatki do śmietnika i z powrotem. Zwolnił rytm filmu dopiero, gdy wynosiły ciało w czarnym worku, i podłożył Marsz żałobny Chopina. Banał cholerny, mało wyrazu, zdawał sobie z tego sprawę. A tyle wysiłku włożył i tak się przy okazji upaprał, bo kiedy zaciskał drut, kot musiał mu się zesrać na wykładzinę i spodnie. Podrapał go też po przegubach, dostawszy się ohydnyimi pazurami pod rękawiczki.

Na filmie najlepiej wychodziła staruszka z klatki siedemnastej, ta w butach sportowych i o oczach jak rentgeny. Szła sobie sztywno z tą drugą do śmietnika i wyglądała zupełnie jak zombie z „Walking Dead”, oczy też na zbliżeniu wychodziły podobne - czerwone i nieruchome. Gdyby poszła na casting, na sto procent dostałaby główną rolę w tym serialu, a tak - miała główną rolę u niego. Jej kumpela, w fioletach i kapeluszu, na obcasikach, niesmaczne, żeby stara baba tak się chciała podobać, ładnie kontrastowała z zombie. Jedna sztywna, druga kręcąca zadkiem. Jedna wpatrzona w przestrzeń, druga przejęta. Jedna blada jak zwłoki w polskiej kostnicy, druga wymalowana jak trup w amerykańskim domu pogrzebowym. Tak, kontrasty potrafią unieść film. Muszą, skoro skrewił ze scenerią. Trzeba będzie wymyślić coś lepszego.

Ilona zapowiedziała, że musi pogadać, Kamila jednak nie wykazała żadnego entuzjazmu. Ostatnio zresztą ewidentnie nie miała czasu na nic, wpadała do pracy, załatwiała pacjentów i zaraz wychodziła, nawet karty wypełniała na bieżąco. Ilona nie chciała się narzucać, próbowała jakoś sama poradzić sobie z nawałem emocji, przemierzała więc kolejne kilometry nad Wisłą, maszerowała tam nie tylko po pracy, ale i rano, maszerowała do supermarketu po zakupy, maszerowała, uginając się pod ciężarem toreb z wiktuałami, właściwie nie wsiadała do metra ani autobusu, tylko chodziła i chodziła, ale bez rezultatu. Żadnej ulgi.

Stała chwilę, wspierając czoło o chłodne drzwi mieszkania Kamili. Niechętna? Może Kamila wcale nie była niechętna, tylko zabiegana. Muszę przestać interpretować wszystko na swoją niekorzyść, pomyślała Ilona i odważyła się nacisnąć przycisk dzwonka.

Koleżanka otworzyła prawie od razu. Wyglądała zaskakująco dobrze - czerwień już właściwie opuściła jej oczy, spłynęła na policzki, gdzie utworzyła coś w rodzaju rumieńca. Nawet włosy zyskały nowy blask.

- Mama się znalazła? - Taka była pierwsza myśl Ilony.

- Co? Nie, jeszcze nie. Ale pracujemy nad tym.

„Pracujemy?” - zdziwiła się Ilona i weszła do środka. Siadły w kuchni. Na stole stał bukiecik astrów i mleko w dzbanuszkach, blat błyszczał.

- Kamila, nie poznaję cię. Daj mi receptę na to, co teraz bierzesz.

- Słucham? - Załapała po chwili i rozjaśniła się w uśmiechu. Tak dawno tego nie robiła, że Ilona doznała szoku.

- Bierzesz coś?

- Słucham? A, nie. Radzę sobie. Co cię sprowadza? - spytała, zerkając dyskretnie na zegarek, nie dość jednak dyskretnie, żeby Ilona nie zdołała tego zauważyć.

- Czekasz na kogoś?

- Ja? Nie, coś ty.

- A gdzie Florka?

- W przedszkolu.

- Nie musisz po nią iść?

- Dzisiaj nie - zbyła ją. - No, co u ciebie?

Ilona usiadła, natomiast Kamila krążyła po kuchni i popatrywała w okno.

- Muszę się poradzić - zaczęła Ilona, choć nie była pewna, czy akurat porady jej trzeba. Może raczej wysłuchania. I zrozumienia. Potwierdzenia, że wszystko w porządku, a tylko jej się wydaje, że wszystko pogrąża się w potwornej entropii. - Sprzątałam wczoraj u

Wero w pokoju, odsunęłam łóżko, żeby poodkurzać, a wtedy spod materaca wypadło coś dziwnego.

- Tak? - spytała Kamila, strasznie jednak nieuważnie. Normalnie włączyłaby już dawno czajnik, proponując herbatę, ale dzisiaj jakby o tym zapomniała.

- Wypadło coś w rodzaju pamiętnika albo brudnopisu. Jakieś bazgroły. W każdym razie otworzyło mi się na stronie, gdzie dziewczynka zabija mężczyznę. Albo też córka tatusia - przeszła od razu do rzeczy, bo nie mogła pozbyć się wrażenia, że Kamili się jednak spieszy.

- Córka zabija tatusia?

- Tak było napisane. „Tatus” i strzałka, a obok „córeczka”. I kałuża krwi.

- Śni o zabijaniu własnego ojca? Kompleks Edypa? Nie za późno?

- Edypa? To dotyczy chłopców.

- To nikogo nie dotyczy, Freud się nieodwołałnie zestarzał - stwierdziła Kamila z nienaturalną, jak na nią, stanowczością. - Wygląda na wstydlive dziecięce fantazje.

- Nie do końca. Bo ta „córeczka” miała rude włosy. Jak Jasia. Wero zawsze rysuje ją w ten sposób, z fryzurą na czerwono. Swoje włosy na obrazkach maluje czarną kredką. - Ilona usiłowała powstrzymać łzy, które cisnęły jej się do oczu. - Kami, ja już nic nie rozumiem. Jaśka po raz kolejny pojawia się w kontekście śmierci Tymoteusza. Boję się.

- Czego?

- Że ona miała coś z tym wspólnego. Kamila położyła dłoń na jej dłoni.

- Jasia? To dobre dziecko.

- Wiem. A raczej wiedziałam. Wszystko się pozmieniało. Mam wrażenie, że w świecie zapanował straszny bałagan, taki nie do opanowania. Że nic już nie znajduje się tam, gdzie było poustawiane, i że wszystko rządzi się jakimiś nowymi prawami. A ja ich nie znam.

- Tyle wniosków na podstawie jednego dziecięcego rysunku?

- Ale to jeszcze nie wszystko - chlipnęła Ilona. - Wcale nie wszystko. - Nie?

- Poszłam z tym rysunkiem do Jasi. Spytałam, o co chodzi. A ona zachowywała się... No zachowywała się, jakby była winna.

- Niemożliwe.

- Zamiast wyśmiać, powiedzieć, że to śmieci, makulatura, bazgroły, ona mi tłumaczy, ewidentnie skrepowana, że nie jest tak, jak myślę. Jak niewierny mąż przyłapany przez żonę z gołą babą w łóżku.

Kamila odchrząknęła.

- Ilona, mnie się wydaje, że trochę nadinterpretujesz.

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłam. - Ilona się speszyła. - Więc pytam: to jak w takim

razie jest, skoro inaczej niż myślę. A ona zaczyna się plątać, a potem nagle wrzeszczy na mnie, że jestem niewydolna jako matka, że nie mamy kasy, bo pozwoliłam ojcu ukraść ten obraz, i że jak ona ma teraz rozpoczynać dorosłe życie. Kazała mi wyjść ze swojego pokoju. Poszłam wtedy po Wero, była u koleżanki. Wysondowałam ją, wracając, oczywiście starałam się być delikatna, co ona wie o śmierci swojego ojca, a ona mówi: „Przecież Jasia go załatwiła, żeby oddał obraz”. Tak powiedziała. A potem się zdenerwowała, bo Jasia zabroniła jej o tym mówić, a ona się wygadała. I że to przeze mnie się wygadała.

W drzwiach szczyknął klucz. Kamila spojrzała na zegarek, skrzepowana i czerwona, po czym zerwała się na równe nogi.

- Ilona, to może tak wygląda - odezwała się dziwnym głosem - ale my wcale...

Drzwi otworzyły się i z przedpokoju dobiegły dwa głosy:

- Cześć, mamuś! I:

- Kami, jeszcze nie byłem w spożywczym, bo musieliśmy przynieść rzeźby Florki z przedszkola, ale teraz wyskoczę...

Ilona знаła ten męski głos.

W progu pokoju stanął Jaro. Zaczerwieniony i spocony, jak to po szybkim spacerze, na widok Ilony stanął jak wryty.

- Dzień dobry - wyjąkał i zbladł.

- Ja ci to wszystko wytłumaczę. - Spłoszona Kamila ścisnęła i rozkładała pięści.

- Przecież nie potrzebuję żadnych tłumaczeń - odparła Ilona. - Jesteście dorośli, a mnie nic do tego. Nie będę w takim razie przeszkadzać, wpadnę innym razem. - Podniosła się z krzesła i wymijając Jarka, poszła do przedpokoju. - Kamila, to co mówiłam, niech zostanie między nami, dobrze?

Rzadko się zwierzała, co ją więc nagle napadło? Głupia, głupia i nieostrożna. Jasia miała rację: jest niewydolna jako matka. Jeśli chciała się zwierzać, powinna była iść do psychoterapeutki, a nie paplać o wszystkim zakochanej, rumianej Kamili. Jej nowy amant stał w przedpokoju i przenosił wzrok z Ilony na Kamilę i z powrotem. Amant, a może konkubent, skoro przyprawdza dziecko i robi zakupy. Od kiedy to trwa?

Ruszyła w swoją zwykłą drogę nad Wisłą, ale nic jej nie pomagało. Nic.

Jaro nie od razu poszedł do spożywczego, siadł bowiem z Kamilą w kuchni, gdzie próbowali ochłonąć po wizycie Ilony. Florka dostała banana i dodała do niego codzienną porcję kreskówek, siadając przed telewizorem.

- Miałam nadzieję, że Ilona zdąży wyjść, zanim wrócisz z zakupami.

- Kamila, przecież nie robimy nic złego. Potrzebowałam mieszkania. Ty - pomocy

przy dziecku. I miałaś wolny pokój. Chwilowo wolny - zreflektował się błyskawicznie.

- Spojrzała na mnie, jakbym ją zdradziła. Ale przecież to ona ciebie nie chciała.

- Nie musisz mi tego przypominać.

- Ja nie dlatego... - jęknęła przeprasząc. Nie lubił tego jej tonu.

- Wynajmuję u ciebie pokój w zamian za pracę i babysitting. I nic jej do tego, nawet gdybyśmy sypiali ze sobą.

Spojrzała na niego tak roziskrzonym wzrokiem, że aż się speszył. Z pokoju dochodziły piskliwe głosy telewizyjnych bohaterów.

- Chcę powiedzieć, że wyluzuj - zagadał szybko.

- To wszystko nie jej sprawa. Po co przyszła?

- Ma problem z Jasią. - Kamila opowiedziała mu wszystko. - Prosiła, żeby nikomu nie mówić, więc zatrzymaj to dla siebie.

Podobało mu się, że jest bardziej lojalna wobec niego niż wobec koleżanki.

- Kamila, sama widzisz, jak szybko potwierdzają się moje intuicje. Jaśka w coś się wplątała, mówiłem to już parę dni temu.

- Tak, mówiłeś. - Wpatrzyła się w niego zachwyconymi oczami.

Poczuł się, jakby ktoś go drapał po plecach.

- Mam coś jeszcze dopisać do listy zakupów?

- Mientosy - zaproponowała Florka, która nieoczekiwanie wyrosła u jego boku. -

Dużo mientosów.

- Owocowe czy miętowe? - próbował uściślić Jaro.

- Żadnych słodyczy poza sobotą - ucięła Kamila.

- Pamiętasz, co mówiła pani dentystka?

- Eeee. - Florka pokręciła głową. - Jaro, kupisz mi mientosy, prawda?

Wodził wzrokiem od jednej do drugiej.

- Dobrze. W sobotę - odpowiedział. - Jeśli mama pozwoli.

Zrezygnowana Florka spuściła głowę, ale zaraz zerknęła na niego spod grzywki. Oboje wiedzieli, że gdy znajdą się w sklepie bez mamy, wydębi od niego również lizaka.

Ilona, gdy wpadała w takie nastroje, zawsze majstrowała sobie przy twarzy. Pociągało ją, że w tej dziedzinie - jak w żadnej innej - panowała nad sytuacją. Każde wkłucie, każda warstwa pillingu dawała przewidziane efekty. No dobrze, mogły się też pojawić skutki uboczne, ale przecież miała możliwość zapoznać się z nimi wcześniej, czytając ulotkę opracowaną przez producenta leku. Takiej ulotki brakowało jej na co dzień, gdy mierzyła się z problemem dość ogólnie zwanym przez użytkowników „życiem”. Jej świat nie stosował się

bowiem do żadnych zasad, poruszał się beładnie i w chaosie, a ona co chwila dostawała odłamkami.

Znieczuliła sobie specjalnym kremem worki pod oczami, odczekała, i wkuła się od dołu najpierw w jeden, potem w drugi. Przyłożyła palce wskazujące w miejsca wkuć i rozmasowała, żeby kwas hialuronowy rozszedł się równomiernie. Efekt był natychmiastowy: cienie pojaśniały i wygładziły się, twarz odmłodziła. Ilona masowała skórę, uśmiechając się do siebie nieszczerze w powiększającym lusterku. W napoczętej ampułce zostało jeszcze całkiem dużo płynu. Podniosła strzykawkę i wbiła ją w skórę na wysokości kości policzkowej, już bez znieczulenia. Ależ to bolało! Cóż, i tak mniej niż dusza. Teraz symetrycznie, po prawej.

W oczach stanęły jej łzy. Już wcale się nie znieczulała, po prostu ładowała strzykawkę w policzki i wstrzykiwała odmładzające dekokty, aż szczypało. Prawie po pół ampułki w kości policzkowe oraz sześć maleńkich wkuć w górną wargę. Wbiła strzykawkę po raz ostatni, tuż nad ustami, na samym środku, tam, gdzie zawsze bolało najbardziej. Łzy puściły się wartką strużką.

Odkąd odkryła dziwny rysunek młodszej córki i usiłowała porozmawiać o nim ze starszą, zaczęła czuć się w domu nieswojo. Chodziła wokół Jasi jak obok kryjącego się w dziurawym terrarium węża. Nie wiadomo: dusiciel, jadowity czy zupełnie nieszkodliwy, ale - tak czy siak - na wszelki wypadek lepiej się do niego nie zbliżać. Ileż to razy stała w progu pokoju córki z ręką na klamce i nie odważyła się wejść? A przecież chciałaby z Jasią porozmawiać choćby o tym, co robiła w dzień śmierci swojego ojca. Tamten wieczór Ilona pamiętała jak przez mgłę, zlewał jej się z innymi podobnymi, ale jedno wiedziała na pewno: dziewczyna na jakiś tydzień czy dwa przed trzynastym września zaczęła biegać, żeby zrzucić trochę tłuszczu, więc co wieczór koło dwudziestej znikwała sprzed swojego komputera na jakieś półtorej godziny, co nie byłoby podejrzane, gdyby następnego dnia po zgonie Tymoteusza nie porzuciła bezpowrotnie tego zajęcia. Półtorej godziny - a więc żadnego problemu, żeby dotrzeć metrem do mieszkania ojca, załatwić go i po dziewięćdziesięciu minutach pojawić się na progu własnego domu. Kiedy Jasia wróciła tamtego wieczoru, była jakoś szczególnie zgrzana? Spocona? Przejęta? Jak się zachowywała?

Jaką miała minę? Jadła normalnie kolację czy zamknęła się w swoim pokoju? Te szczegóły zupełnie wyleciały Ilonie z głowy. Faktem jednak było, że tak mniej więcej od śmierci Tymoteusza jej córka jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Stopnie nie pogorszyły się znacząco, natomiast dużo rzadziej wychodziła z pokoju, prawie nie spotykała się z koleżankami, tylko przez całe popołudnia i wieczory wgapiała się w komputer, postukując od

czasu do czasu w klawiaturę. A w dodatku jej ulubioną odpowiedzią na każde pytanie stało się „Wszystko jedno”. Jajecznicza czy sadzone? Wszystko jedno. Kupić ci ten sweter? Wszystko jedno. Jakie liceum wybierasz po gimnazjum? Wszystko jedno. Chcesz być szczęśliwa? Wszystko jedno. Może to była zwykła reakcja na żalobę po ojcu, zastanawiała się Ilona, choć coraz silniejsze stawało się podejrzenie, że mogą być to również objawy wyrzutów sumienia.

Wiedziała, że zaraz będzie musiała ruszyć do domu, ale jeszcze przez chwilę chciała ponapawać się spokojem gabinetu lekarskiego - w takiej odległości od domowego terrarium może uda jej się zebrać myśli. Pokryła pokłutą twarz chłodzącoją maseczką z alg. Zaszczypało, po czym skóra się napięła. Po piętnastu minutach znikną zaczerwienienia wokół śladów po wkłuciach. Wszystko jak w ulotce.

Tego wieczoru w przychodni przyjmowało jeszcze dwóch lekarzy, na korytarzu słychać było kroki nielicznych pacjentów, a recepcjonistka warowała za kontuarem. Gdzieś za godzinę wkroczą sprzątaczkę, ale wtedy Ilona będzie już w drodze do domu.

Pukanie do drzwi. Jeszcze jakiś pacjent czy ekipa sprzątająca? Tak czy siak nie miała zamiaru otwierać. I nagle zaniepokoiła się: czy zanim zaczęła swoje rytuały, na pewno przekręciła zamek w drzwiach?

Nie przekręciła. W szparze uchylonych drzwi pokazała się wścibska twarz starszej pani w berecie. Beret, a więc nie sprzątaczkę. Ilona chyba skądś znała tę kobietę. W takich sytuacjach zawsze obstawiała, że to dawna pacjentka i w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków miała rację.

- Dobry wieczór. Nie chciałabym przeszkadzać, ale... - zaczęła kobieta, po czym przyjrzała jej się dokładniej i zamilkła. - Przepraszam, pani też tu czeka na panią doktor?

Jakie też? Jakie też?! Ilona spojrzała w lusterko powiększające, które stało na biurku, i jej oczom ukazały się czerwone plamy na policzkach, nabierający fioletu siniak tuż przy spuchniętych ustach, a na tym wszystkim niechlujnie nałożone barwy wojenne w postaci białych pasów maseczki. Jeśli wyglądała na pacjentkę, to raczej nie dermatologii, lecz ostrego dyżuru urazowego.

- Pani doktor już dzisiaj nie przyjmuje - powiedziała tak stanowczo, że aż zabolęły ją wkłucia przy wargach.

- To szkoda. - Starsza pani wycofała się z gabinetu, a Ilona podeszła do drzwi i jak najciszej przekręciła zamek. Kiedy po półgodzinie ruszyła do domu swoją zwykłą trasą nad Wisłą, wyglądała już prawie normalnie. Nawet lepiej niż normalnie - z większymi ustami i bardziej wysklepionymi kośćmi policzkowymi jej twarz zyskała trochę wyrazu, a straciła

niewiele lat.

Opuchlizna trzymała się tylko przy górnej wardze, zaczerwienienia zbladły, a siniaczka nikt po ciemku nie zauważył - nie chciała smarować fluidem po świeżych wkluczeniach.

Szlak spacerowy nad Wisłą, mimo wiatru, przyciągnął tego wieczoru parę osób. Przewiesiła torebkę przez ramię i ruszyła w drogę. W pewnym momencie usłyszała za sobą lekkie kroki. Diabli nadali. Przyspieszyła. Kroki też. I wytrzymywały tempo. Uznała, że czas spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy. Odwróciła się. Mimo ciemności widziała, że parę metrów za nią idzie energicznym marszobiegim nieduża, szczupła postać w sportowych butach. Sądząc z postury i ruchów, na szczęście kobieta. Ilona ujrzała w trupim świetle latarni twarz i beret pacjentki, która pół godziny temu nagabywała ją w gabinecie.

- Dzień dobry, pani doktor - wysapała starsza pani. - Chciałam o coś spytać...

- Nie udzielam porad poza godzinami pracy. - Nie przerywała marszu. Ludzie bywają naprawdę bezczelni.

- Nie chodzi mi o poradę, lecz o informację - dodała szybko pacjentka.

Jak znał tak znał, Ilona nie miała ochoty zagłębiać się w nomenklaturowe zawiłości, więc nieznacznie przyspieszyła. Jeśli jednak myślała, że odsądzi się tym samym od nagabującej ją osoby, poważnie się myliła.

- Moje nazwisko Halina Baładanowicz. Wiem, że zna pani mojego wnuka - ciągnęła pacjentka, posapując, nie odstępowała jednak jej boku. - Zna pani, prawda? Chodzi o Jarosława Trzaskowskiego.

Ilonie coś się majaczyło, Jaro tłumaczył chyba kiedyś, że opiekuje się babcią. Ta babcia nie wymagała jednak żadnej opieki, od razu dawało się zauważyć, że jest w świetnej kondycji, kto wie, czy nawet nie lepszej od wnuka.

- Nie chodzi mi o sam fakt, że się wyprowadził, lecz o to, że rozstaliśmy się w gniewie. Nie odbiera moich telefonów, a ja po prostu chciałabym wiedzieć, czy wszystko u niego w porządku. - Starsza pani umilkła z wyczekiwaniem. Trochę posapywała, ale dotrzymywała Ilonie kroku.

I co tu odpowiedzieć? Pani Baładanowicz powinna zwracać głowę Kamili, nie jej.

- Dlaczego mnie pani o to pyta?

- Bo ze mną on nie chce rozmawiać.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Mieszka przecież u pani?

- Słucham?! - Ilona aż przystanąła.

- Nie mieszka?

- Nie wiem, co on pani naopowiadał - podniosła głos. Wiatr wpychał jej się w usta, smagał podrażnioną twarz. - I chyba nie chcę wiedzieć. Jaro Trzaskowski jest moim pacjentem. To wszystko, co nas łączy.

- Bardzo mnie pani zmartwiła. - Starsza pani zgarbiła się. - Bardzo.

Ilona wściekła ruszyła dalej, po paru krokach jednak obróciła głowę i nieoczekiwanie dla samej siebie zawróciła, bowiem zarys sylwetki Haliny Baładanowicz mógłby ilustrować wiersz pod tytułem „Rozpacz”.

- Proszę pani, nie wiem, gdzie znajduje się pani wnuk w tej chwili, natomiast wczoraj około szesnastej przebywał w mieszkaniu doktor Kamili Stec.

W świetle latarni było widać, że starsza pani wpija się chciwymi oczami w twarz Ilony.

- A gdzie ona mieszka? Ta pani doktor Stec?

- Pani wybaczy, nie jestem uprawniona...

- A czy... - Pani Halina się zawahała. - Znaczy, że oni są razem?

- Nie wnikiem. Ale, uprzedzając pani pytanie, kiedy go wczoraj widziałam, wydawał się zadowolony. Właśnie przyprowadził dziecko Kamili z przedszkola i miał iść po zakupy.

- Jarcio po zakupy? - Pani Baładanowicz była w szoku. - Dziecko z przedszkola?

No i po co tyle gadam, zganiła się Ilona. Bez sensu, wcale nie chcę wnikać w świat tej nadopiekuńczej siedemdziesięcioletki ani, broń Boże, jej wnuka dziwaka. Niech Kamila się z tym boksuje. Patrząc na energiczną starszą damę, Ilona już się domyślała, dlaczego potężny Jaro wydawał jej się zawsze taki miękki, często niezdecydowany. Nie krzyczał, nie stawiał na swoim, niczego nie wymagał. Żaden ze znanych jej mężczyzn tak się nie zachowywał. Ale też żaden w wieku lat dwudziestu dziewięciu nie mieszkał z nadopiekuńczą babcią.

- Nie musi się pani martwić. Jaro dobrze sobie radzi - zakończyła rozmowę. - Do widzenia, muszę lecieć. - Znienacka ruszyła tak szybkim krokiem, że w ciągu paru sekund odsadziła się od Haliny Baładanowicz o kilkanaście metrów. Nie odwracając się, nasłuchiwała, czy starsza pani jej nie goni. Ale ta odpuściła.

Jakby to powiedzieć? W tej sytuacji maminsynek zupełnie nie pasuje. Babciwnuczek? Kurczę, dorosły facet, którego babcia dziwi się, że udało mu się samemu pójść po zakupy. Powodzenia w tym związku, Kamilko. Ciekawe kto kim będzie się opiekował.

I nagle zapragnęła, żeby ją ktoś przytulił. Albo żeby chociaż ktoś obok niej szedł. Ktoś większy i od niej silniejszy. Nie, nie Jaro. Ktoś. Nie Jaro? Przypomniała sobie, jak stał przy niej na cmentarzu podczas pogrzebu Tymoteusza, po prostu był, trwał u boku, bo wiedział, że

jest potrzebny. I nie chciał nic w zamian. Powodzenia, Kamilo, pomyślała z lekkim żalem.

Jaro siedział w przedszkolnej szatni, czekając na Florkę, a reszta pań patrzyła na niego podejrzliwie. I co się dziwić: odkąd przychodził po małą - już od dwóch tygodni, w dni nieparzyste, kiedy Kamila pracowała po południu - nie zauważył tu ani jednego ojca. Podzielił się tym spostrzeżeniem z Kamilą, która wyznała z goryczą, że jej eksmąż także nigdy nie interesował się edukacją przedszkolną Florci. Jaro rad by się dowiedzieć więcej o nim, ale Kamila nie ciągnęła wątku, więc niezręcznie było pytać.

Florcka wybiegła z sali, klepnęła go w plecy, aż zabolowało.

- Cześć, Jaro! - krzyknęła, bo bardzo jej imponowało, że jest na ty z dorosłym facetem, po czym pobiegła do szatni. Buty miała na rzepy, poradzi sobie sama. A on potem będzie musiał zagospodarować cztery godziny jej życia.

Do tej pory chodzili na placyk zabaw. Ale od kiedy zaczęło wiać i padać, musiał organizować małej zajęcia w domu. Rzucenie klocków na dywan poprzedzone zachętą: „A teraz się pobawisz” nie wystarczało, Florcka oczekiwała, że Jaro do niej dołączy. Starał się, ale onieśmiało go zwłaszcza odgrywanie postaci, młoda dostawała ataków chichotu, gdy mówił ciekawym głosem królowej (na szczęście podpowiadała, co ma mówić), piszczała z udawanego przestachu, gdy przemawiał grubym głosem, wczuwając się w złych ludzi lub groźne zwierzęta. Swoją drogą dziwny był jej świat, w którym dobrzy to tylko ci, którzy mówili ciekawymi, kobiecymi głosami.

Kiedy któregoś popołudnia z pewnością już wprawą wczuwał się w wilka, nie usłyszał, że Kamila wróciła do domu. Dopiero po chwili zobaczył ją, opartą o framugę drzwi, gdy siłą powstrzymywała się, by nie parsknąć śmiechem. Nie powinno go to drażnić, ale jednak drażniło. Ludzie wyśmiewali się z niego tyle razy, nie chciał więc, żeby i ona to robiła, nawet z tak głupiego powodu.

Poza tym jednak miło się z nią przebywało. Kamila nie pouczała, nie robiła uwag i nie okazywała rozczarowania, choć w sprawie Agnieszki Zaufał nic nie drgnęło, za to często chwaliła go i podziwiała, zwłaszcza kiedy z własnej woli brał się do obierania ziemniaków, więc kiedy wychodziła do pracy, spędzał na niewprawnym struganiu obieraczką długie dziesiątki minut, i potem jeszcze kolejnych kilkanaście na usuwaniu oczek. Przy całym tym mozole trzymała go nadzieja, że Kamila po powrocie z pracy, wstawiając obrane ziemniaki na gaz, znowu pośle mu spojrzenie pełne podziwu.

Tylko wieczory były krępujące. Nie zabrał od babci piżamy, więc wymykał się z łazienki w koszulce i bokserkach, a Kamila udawała, że nie patrzy na jego grubawe, zbyt widoczne ciało. Sama po kąpielii zawijała się szalenie w wielki szlafrok i też jakby go

unikala. Kładł się w pokoju jej matki, wśród stosów nie swoich rzeczy, i słuchał dźwięku telewizora z salonu, który nocami zmieniał się w sypialnię Kamili. Telewizja gadała nieprzerwanie, godzinami, kołysząc Jara do snu. I wcale potem nie milkła, co stwierdzał czasami, gdy koło trzeciej budził się na siku.

Dzisiaj odważył się spytać Kamilę przy śniadaniu (zrobiła naleśniki zupełnie inne niż babcia, takie puchate), czy cierpi na bezsenność.

Speszyła się.

- A dlaczego?

- Bo telewizor gra i gra.

- Przeszkadza ci? Ja wcale tego nie oglądam. Po prostu tak się przyzwyczaiałam.

- Śpisz przy włączonym?

- Żeby ktoś był obok - odparła od razu i schowała twarz w kubku z kawą, a on powstrzymał ochotę, by ją pogłaskać po plecach.

A potem, jak co rano, zadzwoniła babcia, zupełnie jakby sprawdzała, czy Jaro nie śpi za długo. A on, jak co rano, nie odebrał, zupełnie jakby oświadczał, że teraz już jej to nie powinno interesować.

Po pracy Kamila, wykończona jeszcze bardziej niż zwykle, wzięła prysznic i przebrała się w szlafrok. Jakiś dziwny, z koronkami, nie widział go jeszcze. Usiadła naprzeciwko niego przy stole, poprosiła o herbatę,.

I wtedy zabrzmiał dzwonek do drzwi. Kamila spojrzała na swój szlafrok, jęknęła, więc on poszedł otworzyć, z nadzieją, że to nikt bardziej absorbujący niż dozorca. Na wycieracze stała jednak babcia Halinka.

Musiała przyznać, że Jarcio wygląda całkiem dobrze. Trochę szczuplejszy, trochę bardziej wyprostowany, bardziej ogorzały, jakby sporo czasu spędzał na dworze. Choć na jej widok wyraźnie zbladł.

- Dzień dobry, wnuku. - Bardzo się pilnowała, żeby w jej głosie nie zabrzmiała nuta wyrzutu. - Nie odbierałeś, więc przyszedłam sprawdzić, jak ci się wiedzie.

W przedpokoju lekki bałagan, dużo nieporządnie poustawianych butów, pod ścianami koty z kurzu. Na wieszaku kurtka Jarka, którą mu sama kupowała. Obok damski płaszcz, ten sam, w który wpatrywała się dzisiaj, idąc w stałej odległości za jego właścicielką, gdy ta wyszła z przychodni.

- Kto to? - Z głębi mieszkania dobiegł kobiecy głos.

- Rozumiem, że nie możesz mnie zaprosić... - zaczęła Halina z całą wyrozumiałością.

- Mogę. Ale nie chcę. - Jaro się wyprostował.

Tej bezczelności nigdy w sobie nie miał. Ani takiego twardego spojrzenia szarych oczu. Wcale teraz nie przypominał Hani. Jeśli już, to Henryka, uświadomiła sobie nagle, i poczuła się nieswojo.

- A dlaczego to? I dlaczego nie odbierasz moich telefonów? Grzeczność nakazuje...

- Grzeczność nakazuje, by nie grzebać w cudzych rzeczach.

No tak.

- Jarcio, martwiłam się o ciebie.

- Niepotrzebnie. Już nie mam pięciu lat. A poza tym wszyscy mówią na mnie Jaro.

Z głębi mieszkania przyszuriała doktor Stec otulona szydełkową chustą. Spod niej wystawały poły czerwonej sukni zdobionej koronkami. Dziwny strój. Na wypłowiałej twarzy miała za mocny makijaż. Zobaczyła Halinę, speszzyła się, wyjąkała „dzień dobry, pani do mnie?”.

A więc to z tą kobietą sypia Jarcio.

- Dzień dobry pani. Przyszłam do Jarcia - oznajmiła Halina. - Jestem jego babcią i zastanawiałam się, gdzie też się podziewa, skoro nie odbiera telefonu.

To nie suknia, zrozumiała nagle. Pod chustą doktor Stec kryła dekolt koronkowego szlafroka.

- Proszę, może pani wejdzie? - Zaczerwieniła się i szczerzej otuliła dzianiną. - Co prawda mamy trochę bałaganu, ale zapraszam serdecznie.

Halina poczuła się zaproszona, jednak przed krokiem w przód powstrzymywało ją ciało Jarusia wypełniające futrynę.

- Kamila, sam to załatwię - rzucił, nie odwracając się.

- Ale, Jarku, przecież...

- Proszę cię - powiedział, a w jego głosie pojawiła się stanowczość, której istnienia Halina nigdy przedtem nie podejrzewała.

- Miło mi było panią poznać. - Lekarka w powiewnym szlafroku, szeleszcząc połamami, wycofała się do kuchni. Tam zaczęła komuś tłumaczyć coś zduszonym szeptem. Jarcio obejrzał się za siebie, po czym przestąpił z nogi na nogę.

- Masz z czego żyć? - spytała Halina. Wygrzebała z torebki dwie stówki, które zawsze nosiła w ukrytej kieszonce, i wcisnęła mu do ręki. - Dobrze ci tutaj?

Stał, mnąc zwinięte w trąbkę banknoty, a na jego twarzy malowała się walka: brać czy nie brać. Zacisnęła jego dłoń na pieniądzech.

- Zwrócisz mi, kiedy będziesz mógł. - Miała ochotę go przytulić.

- Jak mnie tu znalazłaś?

- Mam swoje sposoby. - Uśmiechnęła się.

- Nie, ja pytam poważnie. Jak mnie tu znalazłaś? Babciu, słyszysz, o co pytam? Śledziłaś mnie?

- Jakbym cię zauważyła na zewnątrz, przecież bym do ciebie podeszła. Szłam z przychodni za twoją ukochaną.

Jarcio oblał się rumieńcem.

- To nie jest żadna moja ukochana.

- Szłam za doktor Stec.

- A skąd wiedziałaś, że u niej mieszkam?

- Mam swoje... - zaczęła Halina i powstrzymała się w pół zdania. - Od doktor Maciejko.

- A skąd wiedziałaś, że... Ech! - Machnął ręką zrezygnowany. - Widzę, że nadal masz doskonały wgląd w moje życie. Jeśli nie przestaniesz, to... To... - Zassał się. - To wyjadę do Wielkiej Brytanii. Albo do Niemiec. I zapewniam cię, że wtedy nigdy już mnie nie znajdziesz.

- I z czego tam będziesz żył? Język znasz marnie - wyrwało się jej.

Zacisnął usta. Halinie już się wydawało, że Jarcio po prostu zatrzaśnie jej drzwi przed nosem. Odezwał się jednak.

- Babciu, może kiedyś do ciebie zadzwonię, jak mi przejdzie. Zadzwonię, bo muszę porozmawiać o panu Henryku. Dziadku Henryku. Ale teraz jest stanowczo za wcześnie na cokolwiek. W każdym razie nie martw się. Mam się dobrze, bo nikt mi nie grzebie w komputerze.

Ręce mu się trzęsły. Jej chyba też. I co tu jeszcze można było powiedzieć?

- Wiesz, gdzie mnie szukać. Do widzenia, Jarcu.

- Babciu!

Patrzyła chwilę, nie wiedząc, o co mu chodzi. Wreszcie zrozumiała.

- Do widzenia, Jaro. I poszła.

Halinie niemiło było myśleć, że Jarcio ma życie płciowe, zwłaszcza z tą meduzą w szlafroku, ale musiała przyznać rację kilku lekturom: seks przywraca mężczyznom pewność siebie. Czy to znaczyło, że gdy wnuk mieszkał z nią, nie uprawiał seksu? Nigdy się nad tym nie zastanawiała, zakładając, że ta dziedzina życia jest mu tak samo mało potrzebna jak jej. Seks był stanowczo przereklamowany, stwierdziła to już kilkadziesiąt lat temu.

Kiedy czerwony na twarzy Henryk wykonał kilka szybkich ruchów w jej ciele, po czym sapnął i stoczył się na bok, pomyślała: to tylko tyle? Naprawdę tylko tyle? Zwykły bieg

na sto metrów dawał jej więcej przyjemności. Nie rozumiała, dlaczego ktokolwiek może lubić te spocone drgnięcia.

Potem było jeszcze niezdarne uwiedzenie niezdarne Władysława. Kiedy wreszcie poczuła go w środku, rozluźniła się i marzyła, żeby już skończył. Patrzyła na zegar z kukułką wiszący na ścianie za jego plecami. Dłuższa wskazówka przesuwała się leniwie. Minęła trzy kreski, kiedy Władysław wreszcie dokonał dzieła, potem Halina uspokajała go, gładziła po spoconym czole, udając, że chce przegnać jego wyrzuty sumienia, podczas gdy tak naprawdę chciała, żeby wyrzuty sumienia trawiły go jak najsilniej i zmusiły do poślubienia jej jak najprędzej.

Dopiero po ślubie uświadomiła sobie, że choć jest mężatką, i to w ciąży, nadal nie wie, jak wygląda nagi mężczyzna. Nie miała jednak szansy tego nadrobić, bo Władysław uznał, że aż do porodu nie będzie jej, jak się wyraził, męczył. Spali więc w jednym łóżku, nie dotykając się nawet, pod dwiema oddzielnymi kołdrami, a raczej Władysław pod pierzyną, bo tak się nauczył w domu, a ona pod lekkim kocem w poszewce, bo tak lubiła.

Poród spowodował, że obszar ciała między nogami zaczął jej się kojarzyć wyłącznie z bólem i poniżeniem. Dopiero gdy Hania miała rok i zaczęła przesypiać noce bez kolek, Władysław drżącym głosem zadał jej pytanie, od którego zrobiło jej się trochę obrzydliwie, a trochę przykro. Ale była żoną i znała swoje powinności.

- Zdejmij piżamę - poprosiła zatem i wtedy ściągnął te swoje flanele w paski, po czym stanął przed nią cały drżący. Miał za dużo włosów na ciele, a na dodatek z tej gęstwy w kroczu wystawało mu coś dużego i czerwonego, co pod jej spojrzeniem stopniowo malało i bladło, aż prawie znikło w czarnym borze.

Następna próba nastąpiła po dłuższym czasie, i to bez zdejmowania piżamy, gdzieś, pod pierzynami i kocami, przy odchylonych spodniach, podniesionej koszuli, szybko, z sapaniem, pod czujnym wzrokiem kukułki z zegara i Jezusa z krzyża. Halina miała wrażenie, że świat ją oszukał. O co ten cały szum? Może o to, co jej się śniło czasami, gdy leżała u boku Władysława pod oddzielną kołdrą. Jakieś ciepło, jakieś dotknięcia, które nadawały sens również minutom po przebudzeniu. Domyślała się tylko, że inni mogli śnić takie rzeczy na jawie. Oni z Władysławem żyli jednak osobno. I chyba tak wolą.

Natomiast jej córka, Hania, była zupełnie inna. Halina czytała to wyraźnie w jej gestach, słowach, zaczerwienionych policzkach, gdy dziewczyna wracała z kolejnych randek. Albo gdy odbywała je w domu, na czym Halinie zdarzyło się raz ją przyłapać.

Tego dnia w ich domu odbywało się kolejne zebrań konspiracyj. Na czas, gdy do domu schodzili się działacze podziemia, Halina chroniła się u Dzidki, gdyż ich spiskowanie

wydawało jej się dziecinadą, niemądrą zabawą w podchody (czas pokazał, jak bardzo się myliła, z czego teraz czasem się z Dziką podśmiewały). Tamtego dnia, jak zawsze, wyglądała przez okno z mieszkania przyjaciółki, co jakiś czas sprawdzając, czy nie nadchodzi ubecja oraz czy infantylni, choć brodaci konspiratorzy zdążyli już opuścić lokal. Dała jeszcze Hani trochę czasu na wywietrzenie mieszkania z papierosowego dymu, po czym pospieszyła do domu. Drzwi wejściowe wcale nie były zamknięte na klucz, co ją zirytowało. Wparowała do pokoju Hani, żeby udzielić jej reprymendy, i wtedy ich zobaczyła.

Córka, prawie naga, leżała pod jakimś brodaczem z włochatym tyłkiem. Kiedy Halina weszła do pokoju, oboje speszyli się strasznie, nakryli ubraniami. Halina stała przez chwilę, wdychając obcy dla niej zapach. Dopiero po kilku długich sekundach wycofała się bez słowa. Przez kilkadziesiąt minut chodziła po ulicy, czekając, aż brodaty ubierze się i opuści mieszkanie. Zniknął i z ich mieszkania, i z życia Hani, niedługo potem zastąpiony przez wąsatego Krzyśka (na ostatnim zdjęciu, które przysłali ze Stanów, już nie miał wąsów). Halina zastanawiała się czasem, czy to wszystko, czyli wymiana wąsatego na brodatego, nie stało się za jej przyczyną. Nigdy jednak z Hanią o tym nie porozmawiała. O seksie też nie.

Zawstydzona Kamila wypytywała Jarka, dlaczego nie wpuścił babci do środka, a potem zaczęła opętańczo sprzątać mieszkanie.

- Myślałam, że się spalę ze wstydu w tym szlafroku. I jeszcze koty po kątach - wyrzekała, bucząc odkurzaczem, a Jaro poczuł się winny.

Dwieście złotych od babci ukrył w spodniach. Przysiągł sobie, że to tylko pożyczka, i odda ją jak najszybciej, ale i tak pieniądze paliły go w kieszeni. Musiał jednak przyznać, że były wybawieniem, gdyż konieczność doładowania telefonu stała się nagląca. Potrzebował też nowych żyletek i pianki do golenia.

Przydałoby się też trochę spokoju, potrzebował tego, by zwinąwszy się w kłębek na swoim tapczanie, rozpamiętywać rozmowę z babcią oraz przeżuwać w myślach frazy, które mógł rzucić jej w twarz. Spokoju jednak nie zaznał, bo Kamila, odstawivszy wreszcie odkurzacza, wpadła na kolejny pomysł. Wtargnęła do pokoju - przywykł go już nazywać swoim - zgoniła z tapczanu i otworzyła skrzynię.

- Pomyślałam, że mama mogła coś schować tutaj.

Rzeczywiście, lwiał część skrzyni, obok paru koców, poukładanych ciasno w kąci, zajmowały stosy papierów, zeszytów i kalendarzy. Kamila wydawała się rozgorączkowana, jakby się potknęła o samorodek złota.

- Nie miałam pojęcia, że tutaj trzymała wszystkie osobiste rzeczy.

Po co się usprawiedliwiała? On też o swojej babci nie wiedział kilku ważnych rzeczy.

Na przykład tego, że całe życie kłamała. Że lubiła przeszukiwać jego komputer. Oraz że potrafiła namierzyć go w dowolnym mieszkaniu w Warszawie.

Kamila nie chciała, żeby jej pomagał, więc schronił się w kuchni, gdzie wyżarł wszystkie herbatniki, jakie udało mu się znaleźć. Chciał to samo zrobić z parówkami, ale po dwóch się zawstydził. Nie on na nie zarobił.

Tego wieczoru, gdy kładł się spać, daremnie nadstawiał ucha. Telewizor milczał. To na pewno coś miało znaczyć, ale zupełnie nie wiedział, co. I z tą myślą zasnął.

Ilona wreszcie odważyła się zadzwonić do Jarka.

- Potrzebuję twojej pomocy. Ale Kamili ani słowa. W ogóle nikomu ani słowa. Masz czas?

Kiedy wszedł do niej do domu, wydał jej się szczuplejszy, bardziej barczysty, słowem: jakiś obcy. To już nie był bezpieczny misio, przytulasek dobry do kpiniek, lecz obcy, niedogolony mężczyzna o energicznych ruchach.

- To znaczy mam się włamać do komputera Jasi? - przerwał mętne tłumaczenia Ilony. Zabrzmiało to brutalnie. Kiwnęła głową.

- Jeśli ona odkryje, że grzebałaś w jej kompie, straci do ciebie zaufanie.

- I tak go nie ma.

- Jest coś, co konkretnie cię niepokoi? Żebym się nie miotał po omacku.

Miała właśnie nadzieję, że miotając się po omacku, otworzy jej drzwi do tego, co ją naprawdę interesuje.

- Nie chcesz mi powiedzieć - zawyrokował po chwili jej zakłopotanego milczenia. - Daj komputer, popatrzę, czy dam radę wejść gdziekolwiek. I czy nie zostawię śladów.

Nie chciała wychodzić z pokoju córki, zostawiając barczystego intruza w panińskim wnętrzu, więc kręciła się, poprawiała zasłony, wyrównywała książki na półce i popatrywała na Jarka. On natomiast prawie wcale na nią nie zwracał uwagi. Gdzieś zniknęło uwielbienie, z którym jeszcze niedawno zwykł się jej przyglądać, teraz skupiał się wyłącznie na monitorze.

- Możesz usiąść? Rozpraszasz mnie - odezwał się w końcu. - Babcia kochała kręcić mi się za plecami, kiedy włączałem komputer. Zawsze coś sobie znalazła: zamiatanie, zmianę pościeli...

Ilona, porównana do babci, od razu siadła na łóżku Jasi, które musiała przed przyjściem Jarka przykryć kapą, bo młoda odmawiała zajmowania się takimi pierdołami. Zanim wróci ze szkoły, kapę się zdejmie, odsłaniając skłębiony barłóg, i nikt nie zgadnie, że w pokoju byli goście.

- Nie podoba mi się to... - odezwał się nagle. - Grzebanie w jej prywatności jest

przeciw moim zasadom. I wbrew prawu, zdaje się. Nie chcę tego robić.

- Teraz mi to mówisz? - zdenerwowała się.

- Tak. Bo przemyślałem. To jak czytanie cudzych listów. Albo pamiętników. Dopuszczalne może wtedy, gdy chodzi o łamanie prawa. Jeśli natomiast w grę wchodzi zwykle kłopoty z wychowaniem nastolatki - odsunął się od biurka i zaplótł ramiona - odmawiam uczestnictwa.

Popatrzył na nią twardo.

Co mu miała powiedzieć? Prawdę? Wolałaby nie wiedzieć o ewentualnym udziale córki w czymkolwiek, nie mogła jednak przymykać oczu na to, że Jasia po śmierci ojca zamknęła się w jakiejś skorupie. Ilona parę razy próbowała z nią porozmawiać, ale wychodziło to niezręcznie, co Jasia od razu wychwyciła.

- Dobrze, że ojciec nie żyje - powiedziała tylko. - Co to dla nas za różnica. Szkoda tylko tego obrazu. Liczyłam na kasę.

- Po co ci tyle pieniędzy? - zaniepokoiła się Ilona.

- Starczyłoby na kawalerkę.

- Chcesz się wyprowadzić?

Jasia wzruszyła ramionami i zamilkła na dobre. Innym razem, pod wieczór, Ilona pojawiła się w jej pokoju w dresie.

- Może być wróciła do biegania? - zaproponowała.

- Ja dołączę. Razem zawsze różniej.

- A po co?

- Przybyło mi trochę tu - Ilona klepnęła się w brzuch

- i tu - klepnęła w uda.

Jasia potwierdziła, w ogóle nie patrząc.

- Fakt. No to biegaj. - A ty?

- Ja jestem chudsza. I muszę się uczyć.

- Przecież siedzisz teraz przed komputerem.

- Oj, mam. Robię prezentację.

Coś jednak w powietrzu, coś w oczach córki, coś w stanie jej pokoju mówiło Ilonie, że ta opryskliwość to maska. Że Jaśkę coś gryzie, i zaczęło gryźć mniej więcej w dniu śmierci Tymoteusza. Żeby jej pomóc, musiała się zatem dowiedzieć o córce więcej niż to, ile coli dziennie wypija i ile misek brudzi. Nie wiedziała, jak włamać się do córczynej duszy, na pewno łatwiej byłoby się włamać do jej komputera.

Przez parę dni przeszukiwała go sama, ale nie znalazła nic bardziej interesującego niż

bryki z lektur czy prezentacje do szkoły. Poczta czy Facebook były chronione hasłami. Kiedy głowiła się nad tym, jakie one mogą być, zrozumiała nagle, że wcale nie zna swojego dziecka, nic bowiem nie nasuwało jej się na myśl. Nagle ją jednak olśniło. Wpisała „Wszystko jedno” i nacisnęła Enter. Pudło. W desperacji wpisywała kolejne słowa. „Tymoteusz”, „Tata nie żyje” czy „Muse” (ulubiony - chyba - Jaśki zespół), ale nie trafiła ani razu.

Musiała zatem poprosić kogoś o pomoc, tyle że pierwsza osoba, jaka przychodziła jej do głowy, przeżywała właśnie coś w rodzaju miesiąca miodowego, więc Ilona obawiała się, że przeszkodzi Jarkowi w tajemniczych czynnościach, w które obfituje początek każdej miłości.

A teraz facet siedział przy biurku i wpatrywał się w nią z oczekiwaniem.

- Nie domyślasz się, o co mi chodzi? - Poszła na ławiznę.

- Przecież wykluczyłaś możliwość, żeby Jasia miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią Tymoteusza. Zakazałaś mi iść tym tropem.

Nie odpowiedziała. Na szczęście drapieżnik nie protestował dłużej, tylko pochylił się nad klawiaturą.

- Chcesz pocztę, Facebooka czy historię przeszukiwanych stron? Ile mamy czasu?

- O piętnastej musi cię już tu nie być.

- O piętnastej to ja mam być pod przedszkolem. Kamila ma jakąś chałturę po południu, muszę odebrać dziecko.

Był stanowczy, zorganizowany i - co trudno było przyznać nawet samej przed sobą - nieoczekiwanie pociągający.

- Zmieniłaś się - zauważył. - Złagodniałaś.

- Ty też. Nie, nie złagodniałaś. Zmieniłaś się. Postukał chwilę w klawiaturę, po czym przekreślił monitor w jej stronę.

- Popatrz sobie na razie tutaj, ja pójdę wstawić wodę. Zawstydzila się. Co z niej za gospodyni.

- Zrobisz sobie kawę? - spytała. - No i częstuj się, są jeszcze racuchy ze śniadania.

- Z jabłkami?

- I z rodzynekami - odparła nieuważnie, bo nagle ujrzała, że stroną najczęściej odwiedzaną przez Jaśkę było forum zamknięte „Depresja i depresanci”. I drugie zamknięte „Jak popełnić samobójstwo”. Ilona zmartwiała.

- Co tam? - Jaro stanął za jej plecami, pachniał tłuszczem z placków. - O Jezu - westchnął, poczytawszy jej przez ramię. - Chcesz zajrzeć na któreś z tych forów?

- Wejdz na to o samobójstwie - powiedziała martwym głosem.

Jaro siadł obok, przysunął sobie klawiaturę.

- Wszedłem na „Depresję i depresantów” - rzekł po chwili. - Chcesz teraz czytać?

A kiedy? Spojrzała na zegarek. Dwunasta.

- Jakiego ona ma nicka?

- Ciupelek - odparł Jaro.

- Słucham?

- Ciupelek. Tak jak słyszysz.

Już prawie zapomniała, że lata temu właśnie tak w chwilach czułości nazywała swoją córkę. „Mój ciupelku”, mawiała. „Kocham cię, ciupelku”.

Ciupelek była na forum bardzo aktywna, jak stwierdziła Ilona, ocierając oczy. Wątki, które inicjowała, wydawały się nieco mniej niepokojące niż nazwy odwiedzanych stron. „Jak rozmawiać z matką, gdy zavraca głowę, że za dużo siedzę przy komputerze?”. „Mam dość swojej siostry. Wy też?”. „Dziwka od gegry znów się przypieprza. Co z tym zrobić?”.

Takie niewinne nastoletkowe problemy, uspokoiła się Ilona, do chwili jednak, gdy trafiła na zainicjowaną przez Ciupelka dyskusję: „Czy można zagłodzić się na śmierć?” i dziesiątki wskazówek od anorektyczek. Na szczęście w każdym wątku pojawiał się głos rozsądku, czyli psychoterapeuta, który komentował na spokojnie najbardziej idiotyczne i prowokujące wypowiedzi. Ilona szybko jednak zrozumiała, że jego komentarze powstają metodą kopiuj i wklej, ponieważ zawierały głównie jedną poradę: „Zgłoś się szybko do dobrego psychoterapeuty lub psychologa”. Młodzież (chyba młodzież, bo kiepska znajomość ortografii, ale dlaczego właściwie dorośli nie mieliby pisać z błędami?) nawet nie wchodziła z nim w dyskusję, rozmawiali między sobą, zwracając na niego tyle samo uwagi ile na alarm samochodowy dwie ulice dalej.

Ilona nieco wyluzowała, zaraz jednak okazało się, że przedwcześnie, bo właśnie wypatrzyła dopisek Ciupelka do któregoś z cudzych wątków. „Ja też uważam, że moja stara z niczym sobie nie radzi. Mój biologiczny obrabował nas z kasy, i rabuje co miesiąc, bo nie płaci alimentów, a ona zaciska zęby i bierze dodatkowe godziny, zamiast go wziąć za fraki”.

Z tyłu rozległo się chrząknięcie.

- Przepraszam, czy nie obrazisz się, jeśli dokończę racuchy?

- Jedz, co chcesz - warknęła zniecierpliwiona. Jaro zniknął w kuchni.

Ilona kontynuowała wątek o „mojej starej”. Jakies wynurzenia o kieszonkowym, coś że nie było na fajne buty, potem o braku bezpieczeństwa. W końcu: „Wyniósł ten obraz z domu, a stara mu pozwoliła. Pod koszulą chyba nie schował, bo obraz jest całkiem duży”.

„A o jakim malarzu mówisz? Współczesny?” zainteresował się ktoś o nicku Pulchro.

Ciupelek odpowiedziała: „Staroć kompletna. Tym bardziej boli, że poszło pewnie głównie na panienki. A miałam nadzieję, że starczy na mieszkanie dla mnie”.

Pulchro zakpił: „Kasy z obrazu starczyłoby na mieszkanie? ROTFL”.

To ostatnie znaczyło: „Tarzam się na podłodze ze śmiechu”.

Ciupelek: „Są obrazy i obrazy. Z tego by starczyło”.

Pulchro: „Twój stary już go sprzedał?”

Ciupelek: „Nie wiem. Nie widziałam starego od czasu, jak klepnął mnie w plecy, wychodząc z domu, i powiedział, że wpadnie po nas w weekend. Nie uściślił tylko, za ile lat będzie ten weekend”.

„Biedna dziewczyno” pożałował ją Pulchro. „Ile czasu go nie widziałaś?”

„Dwa lata” odparła Jaśka.

Pulchro: „Nie tęsknisz za nim?”

Ciupelek: „Już dawno nie. Po tym, co mi zrobił?”

„Co ci zrobił?”

„Zapomniał o niej, bałwanie” odezwał się z boku ktoś, kto przybrał imię MrCrabb. „Mało?! A przedtem jeszcze ją okradł. Tak trudno zrozumieć?”

Ciupelek: „Dzięki, Crabb. OT”.

Czyli koniec tematu.

Ale temat się nie skończył, bo MrCrabb jeszcze dopisał: „Ciupelek, wejdź na pocztę, coś ci wysłałem. Mamy chyba podobne doświadczenia”.

- Jaro! - wrzasnęła Ilona. - Jaro! Przygłupował z kuchni, stukając buciorami tak, że sąsiadka z dołu na pewno zacznie zaraz walić w kaloryfer.

- Tak? - spytał z pełnymi ustami.

- Wejdź na jej pocztę, proszę.

Oblizął palce, wytarł je w spodnie, po czym siadł przy biurku.

- Przejdź się do kuchni - zarządził.

- Słucham?! - oburzyła się.

- Rozpraszasz mnie, kiedy tak patrzysz przez ramię. Zerknęła zza futryny, gdy ze zmarszczonym czołem, zagryzając wargi, stuknął w klawiaturę. Kiedy zerwał sobie zębami skórę z warg i zaczął ssać krew, nie wytrzymała i podeszła.

- Nie umiesz wejść?

- Dziwna jakaś ta poczta. Na razie nie wychodzi. Spójrz na gadu gadu, tu masz archiwum, a ja chwilę pomyślę.

I teraz on zaczął łączyć od okna do drzwi, od drzwi do okna. Po chwili jednak przestała

zwracać na niego uwagę, bo pochłonęły ją rozmowy Ciupełka z MrCrabbem. MrCrabb zaczął od zwierzeń na temat swojego trudnego dzieciństwa, rozbitego małżeństwa rodziców, tego jak musiał opiekować się matką i młodszym rodzeństwem, jak nie było kasy, no wypisz, wymaluj historia Jaśki, czego ta nie omieszkła zaraz potwierdzić. Ilona nie zdawała sobie sprawy, że zdaniem córki jej dzieciństwo wyglądało jak adaptacja „Naszej szkapki”. Poczowała złość. Zerknęła na następną rozmowę.

Ciupelek: „Jak ci poszło?”

MrCrabb: „Nie chciał gadać”.

Ciupelek: „Ale co miał gadać?”

MrCrabb: „Gdzie ma obraz”.

Ilona poczuła mrowienie w końcach palców.

Ciupelek: „Przecież mówiłam ci, gdzie wisi”.

MrCrabb: „Nie było tam żadnego obrazu”.

Ciupelek: „Jak to?”

MrCrabb: „Może się przestraszył po twojej wizycie. Mówiłem, żebyś tam sama nie chodziła. Takie sprawy trzeba załatwiać fachowo”.

Jaro pochylił się i czytał Ilonie przez ramię.

Ciupelek: „Znalazłeś czy nie?”

MrCrabb: „Nie”.

Ciupelek: „Nie miał? Przecież widziałam, wisiał nad kanapą. Co z nim zrobiłeś?”

MrCrabb: „Chciałem ci pomóc, a teraz oskarżasz mnie o kradzież. Całe popołudnie spędziłem, zmuszając faceta do gadania. Gratis, chciałem dodać. Mam dosyć. OT”.

„Crabby!! - upominała się Ciupelek. - Nie obrażaj się”.

Chyba się jednak obraził. Ilona spojrzała na datę tej dyskusji. Trzynasty września, dwudziesta druga trzydziści. Dwa dni później Jaro znalazł Tymoteusza martwego.

- Mam jeszcze pół godziny. Popróbuje z tą pocztą - zadeklarował się.

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Ilona pobiegła do wizjera. Jasia!

- Chwileczkę, córuś! Wróciła do Jarka.

- Wyłączaj. Wróciła!

Sama czym prędzej zerwała kapę z łóżka, poprawiła wysiedziane na nim miejsce. Jaro boksował się z zamykaniem aplikacji. Dzwonek szalał. Wreszcie umilkł, zastąpiony dźwiękiem klucza wkładanego do zamka. Jaro ledwo zdążył kliknąć Zamknij i wyjść z pokoju, by zwać do kuchni, a stamtąd do łazienki, gdy Jasia stanęła w otwartych drzwiach i obrzuciła czujnym spojrzeniem zarumienioną, zadyszaną od emocji matkę. Ilona opuściła

dłoń, poprawiwszy włosy, i - zupełnie niestosownie - spuściła wzrok.

- Przeszkadzam w czymś? - spytała Jasia.

- Nie, skąd.

Nim Ilona zdążyła zaprotestować, Jasia przeszła do łazienki. Otworzyła drzwi, wrzasnęła i zamknęła je z powrotem.

- A jednak przeszkadzam - stwierdziła tonem, który zawierał więcej jadu niż czoło gwiazdy po zastrzykach z botoksu, i zamknęła się w swoim pokoju.

Z łazienki wyszedł Jaro, czerwony i speszony. Wyglądał teraz zupełnie jak wtedy, gdy jeszcze mieszkał z babcią.

- Ja tylko myłem ręce - usprawiedliwiał się.

- Jasia, zjesz obiad? Mam na razie zupę - krzyknęła Ilona.

- Nie jestem głodna! - odkrzyknęła.

- Tej zupy już raczej nie ma - wykrztusił coraz bardziej czerwony Jaro. - Bardzo przepraszam. Potraktuj ją jako moje honorarium - rzucił jeszcze i wyszedł.

Ilona oparła się o ścianę. Nie miała siły na nic. „Zabij się skutecznie. Pastyłki czy skok z okna?” - przypomniała sobie.

- Jasia, porozmawiajmy. Cisza.

- Jasia!

I zdecydowana odpowiedź zza drzwi:

- Nie chcę o niczym rozmawiać. O niczym. A zwłaszcza o tym.

Facet z balonikami marzył przy wejściu na plac zabaw. To nie były zwykłe owalne formy, tylko ludziki, zwierzaki, a nawet nadmuchiwane gigantyczne telefony komórkowe oraz pistolety maszynowe. Florka pociągnęła Jarka za palec.

- Kuuuup mi - rozjęczała się. - Kooooonika. Tłumaczył, że po co, że jej się nie przyda, i że zaraz rzuci w kąt - parę razy słyszał, jak Kamila perswadowała w ten sposób córce nowe zakupy, młoda jednak wiedziała, że jego stanowczość jest udawana. I miała rację: tak naprawdę przed zakupem powstrzymywała go jedynie świadomość, że dwieście złotych od babci znika szybciej niż lód w drinku. Tymczasem balonik od zmarzniętego zdziercy kosztował piętnaście złotych.

- Z tym że konik dwadzieścia - dodał sprzedawca po zastanowieniu.

Florka szarpała Jarka za rękę i patrzyła błagalnie. Zrobił krok w stronę placzyku zabaw, ale stała jak wmurowana, drugą dłonią wskazując baloniki.

- Bo powiem mamie, że pokazałeś mi zdechłego kota w komputerze.

Nie powinien jej mówić, że to będzie ich wspólna tajemnica. Tak, to był błąd.

- Jaroooo, kuuuup mi.

- Którego? - skapitulował.

- Brązowego.

- Zanim mi pan powie, że brązowe kosztują dwadzieścia pięć - nie odmówił sobie Jaro - proszę podać jednego.

Sprzedawca przywiązał konika Florce do nadgarstka, więc tego popołudnia miejsce pobytu dziewczynki na placyku oznaczał bujający nad nią w powietrzu brązowy balonik. Jaro zastanawiał się, jak wytłumaczyć się z tego Kamili - konia nie dało się tak łatwo ukryć jak mentosów.

Co do filmiku - wiedział, że może czuć się bezpieczny. Florka na pewno nie piśnie o tym Kamili ani słowa, bo nie miałyby przecież wtedy czym go szantażować.

Wczoraj przeżyli ten traumatyczny moment. Mała była wyjątkowo znudzona, klocki cisnęła w kąt, a w telewizji leciał Scooby Doo, którego się bała. Już więc po chwili przeszukiwali zasoby YouTube'a, by obejrzeć filmiki z kotem Simona. Młoda krzyczała z radości na widok grubawego zwierzaka, a ucieszyła się jeszcze bardziej, gdy Jaro nauczył ją wpisywać słowo KOTY w okienko wyszukiwarki i naciskać potem Enter. Filmików z kotami nie brakowało, niektóre naprawdę urocze, na pewno spodobałyby się babci Halince. Aż trafili na to dziwactwo.

- Tutaj nie ma żadnych kotków. - Była rozczarowana.

Rzeczywiście, na filmie nie pojawiała się ani pół zwierzaka, zobaczyli natomiast groteskowo biegnące po ekranie starsze panie z dorysowanymi częściami garderoby. Ani to śmieszne, ani fajne, pomyślał i już miał wyłączyć film, kiedy nagle wpadły mu w oko dwie rzeczy. Śmietnik w centrum kadru wyglądał zupełnie jak miejsce, do którego przez ostatnich dwadzieścia parę lat wynosił śmieci. Zanim zdołał sobie wyperswadować, że wszystkie śmietniki wyglądają podobnie, zauważył, że starsza pani z dorysowanymi w niektórych klatkach wypadającymi z orbit oczami przypomina mu babcię Halinkę. Zatrzymał jej twarz w kadrze, popchnął odrobinę, by zniknęły dorysowane gadżety. To była babcia Halinka. Parę klatek później pojawił się ukrzyżowany kot.

- Florcia, zamknij oczy - polecił, więc młoda od razu spojrzała na monitor i nie odrywała od niego wzroku, do momentu aż Jaro w popłochu wyłączył YouTube'a. Wyglądało, że namierzyli plody chorej wyobraźni podwórkowego mordercy kotów.

Wieczorem, kiedy obie dziewczyny poszły wreszcie spać, Jaro zapoznał się z kolejnymi dwoma filmami tego autora. Zostały niezłe zmontowane i tak nakręcone, że niewtajemniczeni nie zwróciliby uwagi na zwierzęce męczeństwo. W pierwszym

chronologicznie filmie zwierzak był układany na białym tle w różnych niekocich pozach, a sekwencja kadrów tworzyła upiorny taniec. W tle leciało Pod Papugami Niemena, i faktycznie, pod koniec tańca kamera oddalała się od kota, pokazując dwie nieżywe papugi ułożone symetrycznie nad jego głową. Ale kiedy się nie wiedziało tego co Jaro, można było przypuszczać, że zwierzaki są pluszowe albo - w najgorszym wypadku - zmarłe śmiercią naturalną. W kolejnym dziele pod tytułem „Pali się” (Jaro zwlekał, zanim go otworzył, ponieważ wiedział, co w nim znajdzie) po podwórku przesuwiał się tylko płomień, a za nim biegały starsze panie w rytmie Come on baby, light myfire Doorsów. Filmik nie miał dużej oglądalności, pojawiły się jednak dwa komentarze, oba pozytywne, a jeden kończył się nawet złowrogim w tym kontekście „Pokaż coś jeszcze”. Nikt zatem się nie zorientował, że po ekranie biega prawdziwy kot, cierpiąc realne męki.

Jaro zmusił się, by jeszcze tej nocy obejrzeć filmy kilka razy, skupiając się na detalach operatorskich. O ile pierwsze dzieło nakręcono w domu na tle białego kartonu (zdaniem Jarka mroczny operator zastosował bardzo profesjonalne oświetlenie upiornych podrygów), o tyle drugie filmowano przeważnie kamerą na statywie, gdzieś z wysoka, przez co płomień przemieszczający się po podwórku przypominał grę komputerową typu labirynt. W drugiej jednak części filmu oko kamery przenosiło się na ziemię, by rejestrować ludzki niepokój w okolicach śmietnika. W trzecim całość sfilmowano nieruchomą kamerą, prawdopodobnie z tego samego miejsca na parterze, co w drugim. Jaro skopiował wszystkie trzy dziełka, na wypadek, gdyby ktoś je usunął z YouTube'a. Na pewno mogą służyć jako dowody w sprawie. Jeśli zdoła wykazać, że jest jakaś sprawa. Babcia babcią, nie robił tego dla niej, robił dla siebie, bo nade wszystko nie chciał, żeby zboczeniec zamieścił kolejny horror dla wtajemniczonych.

Przez to wszystko dzisiaj był strasznie niewyspany, więc najpierw dał się namówić na kupno balonika, a potem, co gorsza, przyczynił się do jego utraty. Kiedy Kamila wróciła do domu, nie powitała jej radosne „Mamo, a ja mam konika”, lecz potworny płacz, gdy bowiem Jaro wietrzył mieszkanie po makaronie, który udało mu się przypalić, napełniony lekkim gazem koń wyfrunął przez okno, by zaczepić się o górne gałęzie prawie łysego kasztanowca.

- I tak by zaraz pękł. - Jaro nieumiejętnie pocieszał młodą, co wywołało kolejny napad szlochów. - Kupię ci nowego - obiecywał, gotów ubierać się i biec do zmarzniętego sprzedawcy, ale Florka buczała, że nie chce nowego, tylko właśnie tego, Kasztanka i tyle. Kasztanek na kasztanowcu, pomyślał Jaro i bezradnie spoglądał to na nieszczęsną dziewczynkę, to na miotający się za oknem balonik. Znalazł się na takiej wysokości, że tylko straż pożarna byłaby w stanie sobie z tym poradzić.

- Co tu się dzieje?! - Kamila przytuliła rozhisteryzowaną małą i spojrzała z wyrzutem na Jarka.

- On mi nie chce zdjąć konia - wyszlochała Florka, bodąc paluszką w stronę Jarkowego brzucha.

- Słucham?! - Kamila również znalazła się niebezpiecznie blisko granicy hysterii. Jaro czym prędzej przystąpił do wyjaśnień.

- A prosiłam, żebyś jej nic nie kupował bez mojego pozwolenia - skomentowała. - Przecież wiadomo, że powietrze z tego schodzi zaraz na trzeci dzień i jest wtedy mnóstwo płaczu. I co teraz z tym zrobisz?

Przy słowach „z tym” objęła spojrzeniem córkę, która szlochała u jej brzucha córkę, i konia, który drwiąco powiewał za oknem. Popatrzyła Jarkowi w oczy z troską i dezaprobatą, zmarszczywszy czoło zupełnie jak babcia Halinka. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu.

Minęło już parę lat i przybyło kilogramów od czasu, gdy na AWFie wspinał się po linie, ale pewnych rzeczy się nie zapomina. Kasztanowiec od dołu wyglądał całkiem solidnie. Podskoczył, złapał najniższy konar i podciągnął się jednym rzutem. A potem jakoś poszło. Musiał przegryźć wplątany w gałęzie sznurek od konia, potem przywiązał sobie zwierzę do nadgarstka i zsuwał się, aż dotarł z powrotem na dół. Kiedy spojrzał tam, gdzie był jeszcze przed chwilą, zrobiło mu się niedobrze.

Florke rzuciła mu się w objęcia.

- A jakbyś kręgosłup złamał, to co? - wyrzekała Kamila, ale kiedy podniosła na niego oczy, zauważył w nich zachwyty.

Sprzeczne komunikaty strasznie go dezorientowały. Podrapał się w głowę i Kamila aż krzyknęła. Złapała go za ręce i dopiero wtedy zauważył, że zdarł sobie na nich skórę aż do krwi. Kiedy siedział na brzegu wanny, a ona przemywała mu rany wodą utlenioną, mimo szczypania czuł się cudownie, a gdy muskała dłoń, wygładzając plaster, Jaro dostał erekcji. Szybko wyrwał jej jedną rękę, żeby zasłonić się koszulą. Ale chyba i tak zauważyła.

Kolejnego dnia Ilona wróciła do domu nie tylko wściekła, ale i załamana. Im bardziej uświadamiała sobie, że jej dziecko wymaga natychmiastowej pomocy, tym gorzej się czuła.

Drzwi pokoju Jasi zastała zamknięte, co mogło znaczyć, że córka jest w środku. Była. Nawet nie podniosła wzroku znad monitora.

Ilona patrzyła na własne dziecko, jakby widziała je na nowo. Podkrążone, przekrwione oczy. Czy ta dziewczyna w ogóle sypia? Buzia jakaś mizerna. W koszu na śmieci opakowania po zupach z serii gorący kubek. Filiżanki po herbacie na każdej płaskiej powierzchni. Dieta z proszku, herbaty i wyrzutów sumienia. Czy można się zagłodzić na

śmierć?

I nieustannie ten wrogi ton:

- O co chodzi?

- Chciałam chwilę z tobą побыć - wyznała Ilona.

- Tak nagle?

- Często mam na to ochotę. Tylko jakoś nie mam odwagi.

Jasia wreszcie uniosła wzrok znad monitora.

- Czy ty z tym grubym siedzieliście wtedy u mnie w pokoju?

Ilona nie umiała opanować rumieńca.

- Dlaczego tak myślisz?

- Łóżko wyglądało, jakby je ktoś prześcielił. Leżeliście tutaj? - drażyła Jasia.

Ilona rozważała różne warianty odpowiedzi, ale zdecydowała się na prawie całą prawdę.

- Kiedy miał przyjść, pościeliłam wszystkie łóżka w mieszkaniu. A potem z powrotem zrobiłam jak było, żebyś nie myślała, że ci tu grzebaliśmy. Ale widać kiepska ze mnie konspiratorka.

- No kiepska. - Ani ulgi w głosie, ani przebaczenia. - A nie możecie się spotykać u niego? Nie lubię faceta.

- Nie znasz go.

- Znam go wystarczająco. I nie chcę, żebyś pokazywała komuś mój pokój, kiedy nie ma mnie w domu.

- Nie pokazywałam.

- Płaczesz się. Co fakt, to fakt.

- A teraz się przymilasz, żeby zmasać swoją winę - dodała tonem już nawet nie wrogim, tylko wręcz inkwizytorskim.

- Jaką winę?! - zdenerwowała się Ilona.

Irytowało ją, że stoi w progu, jak niezdarna petentka w urzędzie skarbowym, a Jaśka wpatruje się w nią wzrokiem inspektora śledczego. Irytowało ją też, że zaraz musi iść po Wero, a przy niej już nie pogadają.

- Nie mogę zaprosić znajomego do domu?! - dorzuciła rozżalona. - Mieszkamy tu we trzy i wszystkie mamy prawo do własnego życia. A ja dodatkowo mam prawo przyjmować gości bez pokazywania twojego barłogu! - Machnęła ręką na skłębioną instalację składającą się z prześcieradeł, poduszek, koców, przytulanek, talerzy, kubków, gazet, książek i ciuchów, z pojemnikiem po jogurcie na okrasę.

Jasia się nie odzywała. Błąd, te wrzaski to błąd, uświadomiła sobie Ilona. Powinna sięgnąć po jeden z licznych poradników z instrukcją obsługi nastolatka, które nabywała przez ostatnie dwa lata, a nie uprawiać amatorskie matkowanie.

- Wściekła byłam, że się nie zamknął w kiblu - wyjaśniła nagle Jasia. - To znaczy, że czuje się jak u siebie w domu. A ja nie chcę, żeby tutaj był jego dom.

I twardo spojrzała matce w oczy.

- Nie w kiblu, w toalecie - sprostowała odruchowo Ilona, zanim ugryzła się w język. - Okej, mogłam cię uprzedzić, że go zaprosiłam - dodała szybko. - Skupialiśmy się jednak na rozmowie o śledztwie w sprawie twojego ojca. Nie chciałam ci o tym mówić, bo wydawało mi się, że to bardzo przeżyłaś. Ale teraz mówię. Nie spałam z Jarem, ani w twoim łóżku, ani nigdzie indziej, łączą mnie z nim wyłącznie interesy, on mieszka z Kamilą, więc absolutnie nie grozi nam, że się wprowadzi. Ale chcę, by wyjaśnił sprawę twojego ojca. Bo wydaje mi się, że żaden morderca nie powinien zostawać na wolności. No i chciałabym wreszcie dotrzeć do tego obrazu.

Jasia gapiała się na nią nieźyczliwie, ale nagle coś jej się przelało przez brzegi powiek. Spuściła głowę. Ilona już była przy córce, już przytulała jej głowę do swojego brzucha. Bluzka prędko przemokła.

- Jasiu, co się dzieje?

- Bo ja jestem taki dziwak. Alien. Zawsze z boku - mruzczała Jasia w jej brzuch. - Zawsze robię niewłaściwe rzeczy. Nie umiem żyć, rozumiesz. Nie umiem. I wkurwia mnie to do bólu!

- Cześć, co na obiad? - dobiegł je krzyk od strony drzwi. Wero wróciła do domu. - Odwiozła mnie mama Basi, już nie musisz po mnie jeździć.

Jasia zeszywniała i odsunęła się od niej.

- Mnie możesz powiedzieć wszystko - szepnęła Ilona. - Jestem zawsze po twojej stronie.

- Zawsze? - upewniła się Jasia.

- Zawsze.

Jasia pokręciła głową, a do pokoju wpadła Wero.

Jaro zdecydował, że powinien przypodobać się Kamili, na przykład sprzątnąć w mieszkaniu (ostatnio dobrze zareagowała, gdy przetaił gąbką podłogę w łazience). Kiedy niewprawnie manewrując odkurzaczem przejechał do przedpokoju, prawie potknął się o torbę z makulaturą. Przetawiał ją na krzesło, ale dno urwało się i ze środka runęły stosy papierów w formie A. Zaczął je zbierać i wtedy jego wzrok padł na jedną z kartek. Było to ni mniej, ni

więcej, tylko podanie o pracę podpisane przez Agnieszkę Zaufał. Aplikowała o posadę księgową w hotelu w Olsztynie. Na dwa tygodnie przed swoim zaginięciem.

Zaczął przeglądać resztę makulatury i z każdym kolejnym arkuszem jego zdumienie rosło. Znajdowały się tam głównie podania i listy motywacyjne, z których wynikało, że Agnieszka Zaufał szukała pracy. Chciała się gdzieś zaczepić, na pół etatu, na zlecenie, jakkolwiek, byle z mieszkaniem. W dodatku i mieszkanie, i posada miały się znajdować gdzieś daleko od Warszawy, najchętniej w atrakcyjnej krajobrazowo miejscowości. Pisała podania na stanowiska księgowej, ale i sekretarki czy nawet opiekunki w hotelach, pensjonatach i przedsiębiorstwach agroturystycznych, a nawet w domach seniora i dużych restauracjach. Najstarsze z podań nosiło datę sprzed pół roku, na każdym pani Zaufał zanotowała ręcznie: wysłałam wtedy a wtedy, odpowiedziano negatywnie wtedy a wtedy lub też: do tej pory nie odpowiedziano. Na przeglądaniu papierów Jaro spędził dobrych kilka godzin, zadziwiony wytrwałością kobiety. Dlaczego chciała uciec? I czemu Kamila, wyrzebawszy (prawdopodobnie) te stopy w tapczanie matki, chciała je przed nim ukryć?

Przełożył stopy podań do nowej torby, ustawił ją przy wyjściu, jak przedtem, i czekał na Kamilę. Kiedy wróciły, Florka pobiegła poobcować z MiniMini, a on zaparzył herbatę (Kamila zawsze się rozkrochmałała, kiedy stawiał jej przy nakryciu parujący kubek) i wypowiedział wreszcie swoje pytania. Sam nie wiedział, jakiej odpowiedzi się spodziewał, ale na pewno nie tego, co nastąpiło. Otóż Kamila wpatrzyła się w niego spłoszona, po czym pokręciła głową i zaczęła płakać, cicho, żeby dziecko nie słyszało.

Przykucnął przy niej, spojrzał jej w oczy.

- Kamila!

- No i co ty sobie teraz o mnie myślisz?

- A co mam myśleć?

- Bo z tego wynika, że ona chciała od nas wyjechać! Nic nie mówiła, a przez tyle miesięcy próbowała się od nas wynieść. I wreszcie jej się udało. A ja myślałam, że zaginęła...

- Dawno o tym wiedziałaś? - odważył się Jaro.

- Od momentu, kiedy przeszukałam tapczan.

- Teraz bez problemu ją znajdziemy. Na pewno jest w którymś z tych ośrodków.

- Co ja jej takiego zrobiłam?! Wytrąbiła nos i mówiła dalej.

- Klóciłyśmy się czasem, wiesz jak to jest w rodzinie. Kiedyś jej się wrywało, że nie ma swojego kąta czy że nie tak się rządzą w kuchni. Przystawiała naczynia w szafkach, nic nie mogłam znaleźć, więc ustawiłam, jak były. Ale wytłumaczyłam, że mój sposób jest bardziej ergonomiczny. Czy to możliwe, że dlatego się obraziła? Aż tak, żeby tygodniami nie

dawać znaku życia?!

Znowu zalała się łzami.

- Już zupełnie nie wiem, co mam robić! Zrozumiał, że to wołanie o pomoc.

- Znajdę twoją mamę. Obdzwonię wszystkie te ośrodki i ją znajdę. A potem pojedę do niej i spytam, o co jej chodziło. Lepsza najgorsza prawda niż życie w fałszu, wiesz? - Nie był pewien, czy w to wierzy. - A kiedy już się dowiesz, będziecie mogły zacząć od nowa.

Wciąż płakała, smarkała i bulgotała nosem, mnożąc identyczne jak przed chwilą lamentsy, które nic nie wносиły do sprawy. Postanowił więc dać jej szansę na uporanie się z emocjami. Poklepał ją po drżących od płaczu plecach i poszedł do pokoju, który przywykł nazywać swoim, by włączyć tam laptopa i poszukać ośrodków, do których aplikowała Agnieszka Zaufał.

Kiedy wyrzął z pokoju, kuchnia była pusta i ciemna, a zza drzwi salonu, w którym sypiała Kamila, dochodziły dźwięki włączonego telewizora.

Tego wieczoru do Haliny wpadła Teresa. Wyglądała jak zwykle: obwisły sweter z wypchanymi kieszeniami przesiąknięty wonią dziesiątek wypalonych papierosów, niedbała krótka fryzura, zgarbione plecy i szeroki uśmiech. Nie, poprawka, nie wyglądała jak zwykle, bo tym razem, zamiast zapalonego papierosa, trzymała w ręku butelkę szampana produkcji mołdawskiej. Halina się uśmiechnęła. Uwielbiała słodkie szampany, choć jej mąż nimi gardził.

- Co to za okazja? - spytała.

Sąsiadka lekko się zaczerwieniła. Sięgnęła do kieszeni po papierosy, wyjęła jednego, postukała nim w stół.

Powąchała go z uczuciem, po czym spojrzała na Halinę i schowała z powrotem do pudełka.

- No dobrze, powiem ci. Ale obiecaj, że się nie zgorszysz. Aha, będzie o seksie, zrozumiała Halina.

- Przyszedł dzisiaj do mnie taki pan - opowiadała lekko zmieszana Teresa. - Było bardzo miło, wiesz... Zresztą oszczędzę ci szczegółów.

Halina odetchnęła z ulgą.

- No i poszedł, po jakiejś godzinie... - ciągnęła sąsiadka.

To naprawdę może tyle trwać? - zdziwiła się Halina.

-...Patrzę, a on zostawił mi sto złotych.

- Słucham?!

- Banknot mi zostawił, wychodząc. Przy telefonie w przedpokoju. Wyobrażasz sobie?

Wziął mnie za profesjonalistkę. Chwyciłam tę setkę, zawiązałam szlafrok i dalej go gonić po schodach, ale zatrzymałam się na półpiętrze i zastanowiłam chwilę. Emeryturę mam nie za wysoką...

Teresa zamilkła i wpatrzyła się z oczekiwaniem w twarz Haliny, jakby liczyła na rozgrzeszenie.

- Postanowiłam więc, że jednak będę miała z tego trochę przyjemności. Poza przyjemnością, którą miałam przedtem - dodała filuternie. - Lej, proszę.

Halina otworzyła szampana cicho i bez chlapania (tego wyuczył ją Władysław, który uważał, że huk i strzelająca piana są w złym guście), po czym nalała go do kieliszków.

- Zdrowie pana Tomka! - Wzniosła toast Teresa. - Tak ma na imię.

- Ja tam wolę wypić twoje zdrowie - zastrzegła Halina. - Nasze zdrowie! Wiesz, Halinko, najbardziej lubię w tobie to, że się niczym nie gorszysz.

Halinie zrobiło się przyjemnie. To była jedna z zasad, które sobie wypisały z Dziką: „Nie gorszyć się”, choć Dzikka nie miała co do tego stuprocentowej pewności.

- Przystojny chociaż? - zapytała Halina, bo poczuła się do tego uprawniona.

- Całkiem do rzeczy. Czterdzieści parę lat, nieduży brzusek...

I wtedy zadzwonił telefon.

- Schodzę z dyżuru - oznajmiła Dzikka. - Siadaj przy oknie. A poza tym co robisz?

Halina zastanowiła się. „Opijam z Teresą początek jej nowej kariery?”.

- A, nic takiego.

- To waruj przy oknie, bo ja zaraz lecę do Teatru Wielkiego.

- Z kim?

Dzikka zawahała się na ledwo zauważalną chwilkę.

- A z takim jednym - odparła enigmatycznie. Obie coś ukrywamy, pomyślała Halina, odkładając słuchawkę, i podeszła do okna. Tym razem podciągnięcie się na parapet przyszło jej z niejakim trudem. Wpływ alkoholu, nic innego.

- Dyżurek? - upewniła się Teresa. - Mnie od tych nocy przy oknie mieni się czasem w oczach.

Halinie też się mieniło. Tym bardziej że ciągle nie udało im się zaobserwować nic szczególnego. Duch w ich sprzysiężeniu podupadał, czego najlepszym przykładem była Celina, która zadzwoniła do Haliny z informacją, że bardzo źle się czuje, i na dowód zakasłała donośnie do słuchawki.

- Więc raczej nie liczcie, żebym dzisiaj dyżurowała przy oknie. - I znowu zakasłała.

Halina odłożyła telefon, powierciła palcem w ucho i obiecała sobie, że następnym

razem, gdy będzie rozmawiać z Celiną, włączy tryb głośnomówiący. Jeśli przypomni sobie, jak się go włącza.

Natomiast Teresa nie narzekała. Dyżurowała dzielnie, co noc z lornetką przy oknie. Gdy Halina wstawiała w nocy na siusiu, widziała w ciemnym oknie sąsiadki niestrudzony ognek papierosa.

A teraz dolewały sobie szampana i piły wpatrzona w noc za oknem. Potem sąsiadka wróciła do siebie, na prośbę Haliny zabierając butelkę z resztą trunku.

- Może jutro wypiję z fundatorem.

I wtedy Halinę jednak zatkało, mimo wypisywanych uroczyście obietnic.

- To znaczy z facetem, który uznał cię za prostytutkę? Zobaczysz się z nim jeszcze?

- Umówił się od razu na jutro. I chyba nie będę z tego rezygnować - zapowiedziała Teresa i pożegnała się szybko.

A niech sobie robi, co chce, za to Halina postanowiła skupić się na obserwacji. I w nagrodę za wytrwałość wreszcie zauważyła coś podejrzanego: do śmietnika podchodził zgarbiony cień, tym bardziej podejrzany, że nie miał w ręku torby ze śmieciami. Może nurek? - pomyślała, ale cień ominął śmietnik, stanął przy kocim domku, tym oszczędzonym przez pożar, i zaczął zdejmować z niego dach.

Halina zerwała się z parapetu, chwyciła z przedpokoju kijki oraz gaz pieprzowy, kupiony specjalnie w tym celu, i wypadła z mieszkania, nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi. Przy odrobinie szczęścia zastanie jeszcze na podwórku Teresę.

Wyszła cicho z klatki i zgarbiona zaczęła się skradać w stronę tajemniczego osobnika. Wpatrywała się w cień, gdzie powinna się znajdować jego twarz, ale była przysłonięta daszkiem czapki. Nagle podniósł głowę i wtedy zauważył Halinę. Zamarła, unosząc kijki do góry. Cień ruszył do ucieczki.

- Teresa! Teresa, na pomoc! - rozdarła się Halina z całą siłą, na jaką potrafiła się zdobyć, zaskoczyło ją więc, że z ust dobył się tylko nieśmiały skrzek. Ruszyła w pogoń za intruzem. Dystans między nimi niestety stale się zwiększał, nogi nie chciały jej słuchać, brakowało oddechu. Przeklęty szampan! Cień odsadził się od niej i zniknął w kępie cisów na rogu podwórka. Kiedy Halina, ściskając gotowy do strzału gaz pieprzowy, dopadła krzewów, facet (facet?) już zniknął. Rozglądała się po podwórku, ale nie widziała nikogo.

Wróciła do siebie. Wzięła poduchę z kanapy i zapaliwszy lampkę na stoliku, oparła się o parapet, starając się uspokoić oddech i rozszalałe od wysiłku serce. Wyrzała przez okno. Przy kocim domku było pusto.

I wtedy, za plecami, usłyszała skrzypnięcie. Obejrzała się: nikogo. Wariuję, pomyślała

i odbiło jej się szampanem. Upiłam się i mam omamy słuchowe.

- Jarciu? - krzyknęła. - Jesteś w domu? Odpowiedziała jej cisza. Nie, nie całkiem. Bo drzwi szafy znowu skrzypnęły i zaczęły się otwierać.

Jaro kroił serdelek na mikroskopijne kawałki, starając się, żeby starczył na jak najdłużej. Czuł głód. Kamila niestety jadała mało, więc i w lodówce niewiele można było znaleźć. Zawsze nakładała mu nieco więcej niż sobie, ale ciągle czuł, że mógłby pochłonąć i dwa razy tyle. Nie wypadało jednak, póki nie zaczniesz dorzucać się do zakupów. Tyle dobrego, że ostatnio przesunął zapięcie paska o jedną dziurkę.

Jedli bardzo późną kolację, bo Florka dzisiaj wyjątkowo długo nie dawała położyć się spać. To znaczy on jadł, Kamila natomiast patrzyła, milcząc, w swój talerz, gdzie spoczywał nienaruszony serdelek. Chwilę przed dwudziestą drugą odezwała się jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz: nie znał tego numeru.

- Przepraszam. - Odłożył sztucce i odebrał.

- Cześć - odezwał się kobiecy głos.

- Cześć - odpowiedział.

- Tu Marysia.

Pod podejrzliwym spojrzeniem Kamili Jaro gorączkowo przeszukiwał w myślach listę znajomych kobiet.

- Marysia? To pomyłka - zdecydował.

- Nie poznajesz mnie, co? Milczał.

- Szkoła angielskiego, panie detektywie. Rodząca anglistka. Już urodziłam, jakby kto pytał. - Nabrała ze świstem powietrza, po czym wydała z siebie coś w rodzaju gdakania. O ile pamiętał, tak brzmiał jej śmiech.

- A, gratulacje.

- Dzięki. Jak tam śledztwo? Znalazłeś mordercę?

- Jestem na dobrej drodze.

- Myślałam sobie, bo wiesz, moja mama już dwa razy została z dzieckiem, synek, Dominik, jakby kto pytał, cztery kilo dwieście ważył, myślałam, że może byśmy się spotkali? Tamta nasza rozmowa została tak nagle przerwana. - Znowu zaczęła chichotać.

To wspomnienie raczej Jarka przerażało, niż śmieszyło, zwłaszcza kiedy Kamila wpatrywała się w niego w ten sposób z drugiej strony stołu.

- Teraz nie zrobię ci już takiej niespodzianki. - Marysia znowu zagdakała. Zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna potrafi wypowiedzieć choć jedno zdanie bez tego irytującego chichotu. - Mogłabym mieć czas nawet jutro, mama przyjdzie i posiedzi z małym.

Podziękowałabym ci za pomoc i w ogóle.

Zastanawiając się nad znaczeniem określenia „w ogóle”, kątem oka śledził Kamilę, która właśnie wstała i zabrała ze stołu swój talerz, choć wcale nawet nie zaczęła jeść. Wywalila jednak jego zawartość do śmieci (Jarkowi zrobiło się przykro), po czym stanęła oparta o szafki i zagapiła się w podłogę.

- Wiesz co, jutro nie bardzo mam czas. Całe popołudnie będę siedział z dzieckiem.

- Dziecko? Nic nie mówiłeś o dziecku - powiedziała Marysia dziwnym głosem. W tle rozryczało się niemowlę.

- A miałem mówić?

- Ech. To jak znajdziesz chwilę... - zaczęła. - Jak znajdziesz chwilę, zabierz dzieciaka do zoo. Żonę też. Pa.

I wyłączyła się. Jaro odłożył telefon, spojrzał tęsknie na swój talerz. Czekają tam na niego jeszcze pół serdelka i cała kromka chleba.

- Kobieta, tak? - Kamila była smutna. Kiwnął głową.

- Chce się z tobą umówić, tak? Znowu potaknął.

- A ty?

- A ja nie chcę.

Odkroił kawałek serdelka i wsadził sobie do ust. Zagryzł chlebem.

- Dobrze ją znasz? Przełknął.

- Tak sobie.

Kolejny kawałek. I chleb. Czy wypada dołożyć sobie keczupu?

- Dlaczego udawałeś, że to pomyłka? Nie musisz przy mnie robić takich rzeczy.

- Nie udawałem.

Może już koniec tego przesłuchania?

- Mój mąż robił tak samo. I tak samo się potem wszystkiego wypierał.

Wyszła szybko z kuchni i zniknęła w łazience. Jaro w trzech kęsach dokończył kiełbasę. Lepiej się śpieszyć, nie wiadomo, z czym znowu wyskoczy Kamila.

Chwilowo jednak nie wychodziła z łazienki.

Pozbierał zatem talerze i sztuce, zaniósł je do zlewu. Chleb schował do szuflady (przedtem wsadził do ust kolejną kromkę). Przetarł stół. Do drzwi łazienki zapukała Florka, krzyząc, że chce jej się siku. Jaro złapał więc jeszcze jabłko i schronił się w swoim pokoju.

Co się stało Kamili? Ponury wzrok, niedokończony posiłek, wymówki? Czyżby była o niego zazdrosna? Niemożliwe. O niego? I do tego jeszcze ta Marysia. Zobaczyła go raz, zapamiętała i postanowiła się z nim umówić. Przedziwne. A on nawet nie pamiętał, jak

wyglądała, w jego wspomnieniach całą jej sylwetkę przysłoniły tryskające wody płodowe.

Poczuł, że chętnie by się napił wódki. Gdyby ją tutaj gdzieś miał. A tak - mógł tylko pobobrować w Internecie.

Dawno nie sprawdzał, jak tam podwórkowy filmowiec, morderca kotów. Nakręcił coś nowego? Jaro zajrzał na jego konto. I od razu poczuł napływ adrenaliny. Jest nowy filmik! I to pod budzącym grozę tytułem „Stara od kotów”. Włączył.

Tym razem był to dreszczowiec nakręcony w poetyce kina noir. Filmowany z nieruchomej kamery, z tego samego miejsca co wcześniej. Na pierwszym planie skradający się cień w czapce z daszkiem. Jaro zatrzymał film na tej sylwetce, powiększył, twarzy jednak nie było widać, może poza niewyraźnym zarysem podbródka. Cień podszedł do kociego domku, rozejrzał się, pochylił się, zdjął dach, starając się stać bokiem do kamery, żeby nie zasłaniać tego, co robi. Wtedy z klatki wypadła babcia Halinka. Cień odwrócił się i ruszył do ucieczki, babcia za nim, wymachując kijkiem do nordic walkingu.

Zwariowała stara, pomyślał Jaro. Co ona robi! To samobójstwo! Musi do niej zadzwonić, sprawdzić, co z nią, powiedzieć, żeby nie popisywała się taką brawurą, zwłaszcza po ciemku.

Na filmie cień odwrócił się, spojrzął niewidzialnymi oczami na babcię i zniknął z kadru. Po chwili film przeniósł się do mrocznego wnętrza, kamera lekko drgała, jakby filmowano z ręki. Jaro wyteżał oczy, wzór na zasłonach mieszkania wydał mu się znajomy.

I słusznie, bo w kadrze pokazał się nagle charakterystyczny sweter babci Halinki, a po chwili zobaczył jej całą postać. Babcia opierała się o parapet okna ich salonu, miała lornetkę przy oczach. Nagle odwróciła się i spojrzała w obiektyw z lękiem w oczach. I wszystko zgasło. Koniec filmu.

Jaro zamarł. To mogło znaczyć tylko jedno: morderca kotów jakimś cudem dostał się do mieszkania babci. Spojrzął na daty - film wrzucono ledwie przed kilkoma minutami. Wystukał numer babci. Nie odbierała. Przeraził się jeszcze bardziej.

Dopiero teraz zwrócił uwagę, że ktoś od dłuższej chwili puka do drzwi pokoju. Podszedł, otworzył. Na progu stała Kamila.

- Jaro, ja cię strasznie przepraszam, wiem, że trochę wariuję - zaczęła się tłumaczyć. - Wybacz mi to przesłuchanie.

- Wybaczam - rzucił Jaro, włożył szybko buty, chwycił kurtkę i wybiegł z domu.

Dopał drzwi mieszkania, w którym tak dawno go nie było. Zadzwonił. Nic. Drżącymi rękami zaczął po kieszeniach szukać klucza, kontrolnie nacisnął klamkę. Otwarte.

- Babciu? Cisza.

- To ja, Jaro!

W środku było ciemno, tylko w salonie błądziła lampka, włączył więc górne światło i wtedy, tuż przy szafie, zobaczył rozciągniętą na podłodze postać w charakterystycznym swetrze. Dookoła do niej. Babcia leżała na plecach z wielkim siniakiem nad okiem. Nieprzytomna. Wezwał karetkę.

Usiadł przy babci i głaskał ją po sztywnych, siwych włosach, potem po czole. Skórę miała chłodną i spoconą. Poruszyła się, jęknęła. Przypadł uchem do jej ust, ale nic nie usłyszał.

- Ćśśś, jestem tutaj - szepnął.

I wtedy odezwała się jego komórka (na wyświetlaczu widniało pełne wyrzutów imię Kamila) oraz jednocześnie z nią dzwonek domofonu. Wybrał domofon. Do mieszkania wpadła załoga karetki.

Szybkie badanie, przenośne EKG, po czym położyli babcię na nosze i znieśli na dół. Przekręcając klucz w zamku, znowu usłyszał, że dzwoni jego komórka. Miał już dość Kamili, więc wyciszył telefon i zbiegł na dół. Nieprzejednani ratownicy nie pozwolili mu jednak wejść do karetki, ruszył więc do szpitala piechotą, bo nie miał czasu czekać na nocny i nie miał kasy na taksówkę.

Izba przyjęć była pusta, dyżurująca pani wiedziała tylko, że pacjentka Halina Baładanowicz została przyjęta i że należy czekać. Jaro usiadł zdenerwowany, potem wstał, przeszedł się, znowu siadł. Nie mógł powstrzymać się od myślenia, jak będzie wyglądał świat bez babci Halinki. Chciał coś zrobić, pomóc, działać. Zabijała go ta bezsilność. A przecież kiedy miał okazję coś zdziałać, nie zrobił nic, obraził się na babcię jak przedszkolak, zaważył sprawę, zostawiając ją samą na pastwę mordercy kotów. A przecież wiedział już o nim dużo. Na pewno to, że okrucieństwo go bawi i rajcuje. Że nie cofnie się przed niczym, by zrobić dobry film. Nie ma żadnych skrupułów. Gdyby Jaro zawczasu powiedział to wszystko babci Halince, nie goniłaby przecież drania z tym aluminiowym kijkiem w starczej dłoni.

Sprawdził godzinę i wtedy zobaczył, że na wyświetlaczu wyciszzonego telefonu znowu pojawia się imię Kamila. Odebrał.

- Co się stało? - zapytał poirytowany. Cisza.

- Kamila, nie mam czasu gadać. O co chodzi?

- Nie masz czasu? O pierwszej w nocy nie masz czasu? Dzwonię czternasty raz i nie miałeś nawet czasu odebrać? A jak tam Marysia?

- Jaka Marysia?

- Tu nie wolno rozmawiać przez telefon - zwróciła mu uwagę pani z izby przyjęć.

- Co to za babę słyszę? - warknęła Kamila. - Wyście się chyba uczyli w tej samej szkole kłamstwa.

- Kto? - Zbaraniał.

- No ty i mój mąż.

- Kamila, uspokój się. Jestem w...

- Proszę wyłączyć telefon! - krzyknęła rozeźlona kobieta z dyżurki.

- Poczekaj chwilę - poprosił Jaro i wyszedł przed szpital. - Jestem w szpitalu - wyjaśnił, ale Kamila już zdążyła się wyłączyć. Wystukał jej numer, raz i drugi. Nie odbierała.

Kiedy wrócił do izby przyjęć, pani najpierw spojrzała na niego groźnie, a potem oznajmiła:

- Może pan wejść na chwilę do pacjentki.

Podeszła pielęgniarka i poprowadziła go do niewielkiej salki, w której zastał babcie obstawioną rurkami i pikającymi urządzeniami. Oczy miała zamknięte, wyglądała fatalnie. Przypadł do niej, dotknął jej dłoni obok wenflonu.

Nieoczekiwanie otworzyła oczy.

- Jeszcze nie umieram, Jarcu. - Uśmiechnęła się słabo.

Stary, dobry materiał, wzruszył się.

- Co się stało? Kto ci to zrobił? Ktoś wszedł do domu, tak?

Babcia milczała chwilę.

- Ja... Ja nie pamiętam, Jarcu - wyznała zaskoczona.

- Jak to nie pamiętasz? Ten drań wszedł do ciebie do domu.

- A ty skąd wiesz? - Wciąż była zdezorientowana. Czy mu się wydawało, czy babcia naprawdę pachnie alkoholem?

- Proszę pana - odezwała się pielęgniarka - proszę już iść. Odwiedziny jutro od dziesiątej.

- Leć, dam radę. - Babcia uśmiechnęła się dzielnie i pomachała ręką, z której sterczał wenflon.

Jaro wyszedł ze szpitala i oparł się zdenerwowany o ścianę. Spojrzał na wyświetlacz. Kamila. Osiem razy. A dajże mi spokój, kobieto. I poszedł spać do mieszkania babci.

- Halinko! - docierało do niej przez warstwy szarawej waty.

- Babciu! Niech babcia się obudzi! To chyba nie był głos Jarcia.

Podniosła powieki. Za dużo twarzy wisiało nad nią, za dużo, brakowało jej powietrza.

„Babciu!” mówił nie Jarcio, tylko jakiś młody mężczyzna, którego jako żywo nie znała. Albo Hania zrobiła jej kolejną niespodziankę, albo też...

- Panie doktorze - usłyszała oburzony głos Dzidki. - Już „pani Halino” byłoby poufale. A pan mówi do swojej pacjentki „babciu”? Chce pan zostać adoptowany?

- Słucham? - zdziwiła się męska twarz i odwróciła w stronę, skąd dochodził głos Dzidki.

- Chciałabym, żeby pan doktor mówił do pacjentki „proszę pani”, ewentualnie „pani Baładanowicz”.

- Dzidka, nie jątrz - chciała powiedzieć Halina, ale tylko jęknęła.

Lekarz znowu pochylił się nad nią. Pachniał wodą kolońską i głodem.

- Jak się pani czuje?

- Słabo - odparła. - I duszno mi - zaznaczyła, z nadzieją, że lekarz odsunie od niej głowę.

Udało się.

- Musimy panią jeszcze trochę poobserwować - zapowiedział lekarz, obejrzał się na Dzidkę, po czym wyszedł.

Halinę bolało dosłownie wszystko, nie wiedzieć zresztą czemu, bo przecież oberwała w głowę. Leżała bokiem i oczy jej się same zamykały, z trudem patrzyła na Dzidkę. Dzidka była jedynym elementem tego wnętrza, na który jej się chciało patrzeć, reszta brzydkiej szpitalnej sali ze staruszkami w niechlujnych szlafrokach jakoś jej nie pociągała. Przyjaciółka natomiast siedziała w obcisłych fioletach, wyprostowana i upudrowana, a nawet dyskretnie umalowana. Nie na tyle jednak dyskretnie, żeby Halina się do niej nie przyczepiła, gdyby tylko się lepiej czuła.

- Jarek do mnie zadzwonił - Dzidka mówiła nieoczekiwanie miękkim głosem - i opowiedział o głupotach, które wyczyniałaś. Ledwo wyjdę gdzieś, to ty „seta i na kota”, tak?

- Jakiego kota? - Halina nie mogła zrozumieć.

- I jeszcze straciłaś poczucie humoru. - Dzidka niby to ganiła, ale oczy jej się zaszklily.

- Po pierwsze, nie płacz, bo ci się rozmaże tapeta - powiedziała z trudem Halina. - Po drugie, poczucie humoru nie oznacza, że muszę śmiać się ze starych dowcipów. Po trzecie, tak, znam ten idiotyczny dowcip o polskiej myszy, która przychodzi do baru. Auu!

- Nie mów tyle - zaniepokoiła się Dzidka.

- Będę mówić, ile będę chciała. Żadna seta. To była tylko odrobina szampana.

- Powiedzieli, że cię wypiszą. Ale nie od razu. Natomiast ja wolę, żebyś tu siedziała, bo się będę bała spuścić cię z oka nawet na chwilę.

- Dzidka, on mnie nie załatwił na podwórku. On mnie załatwił w mieszkaniu.

- Znowu nie zamknęłaś drzwi? Zupełnie straciłaś instynkt samozachowawczy?

Halina nagle zrozumiała: facet (raczej facet) musiał znać ten jej zwyczaj - jeśli ma coś pilnego do załatwienia na podwórku, nie przekręca klucza w zamku.

- No i dopadła cię kara boska - stwierdziła Dzidka. - I druga - dodała ciszej na widok Jarcia wchodzącego do sali szpitalnej.

- Dzień dobry - powiedział.

Wydawał się jakiś taki... niewyspany? Na policzkach nieogolony zarost, pod oczami czarne cienie, cera szarawa. Miała nadzieję, że nie zaczął palić. Dobrze, że zgubił trochę brzucha u tej swojej dziewczyny.

Pochylił się i pocałował Halinę w policzek, a ją dotknięcie szorstkich ust jednocześnie wzruszyło i zapiekło, jakby wszystkie nerwy miała na wierzchu. Potem zaczął jakąś dziwną opowieść o zbrodniarzu filmowcu.

Jeszcze chwilę walczyła z ciężarem powiek i się poddała.

Jaro ciągle miał przed oczami obraz babci, dziwnie małej w szpitalnym łóżku, bladej, z rozlaną śliwą nad okiem, z siwawymi włosami przypłaszczonymi z jednej strony. Nie powinna sama mieszkać, pomyślał. Już nie. Po raz pierwszy poczuł, że stosunek między nimi chyba się zmienił: teraz to on będzie się opiekował swoją opoką. Zostawił ją z Dzidką, wyglądającą dziwnie młodo przy tej nagle postarzałej przyjaciółce, i pognął do przedszkola. W szatni usiadł na tej samej ławeczce, co zawsze, uklonił się matkom i wpatrzył w drzwi sali.

Florka wybiegła i rozjaśniła się na widok Jara, po czym spojrzała za jego plecy i nieco się zdziwiła. Obejrzał się. Parę kroków za nim stała Kamila. Nie patrzyła na niego, choć pewien był, że go zauważyła.

- Jaro! Mama! - krzyknęła mała i podbiegła do nich. Stała między nimi, rozejrzała się, po czym zdecydowała, że najpierw się rzuci w objęcia matki. Dopiero znad głowy córki Kamila po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. Nie spuścił wzroku. Zrobiła to Kamila, całując córkę w główkę.

- Dzień dobry - powiedział. - Nie przypuszczałem, że cię tutaj zastanę.

- Jak to nie przypuszczałeś? Przyszłam po córkę do przedszkola.

- Według umowy to ja odbieram Florę w środy.

- Umowę między nami sam wczoraj złamałeś. Zrozumiałam, że wcześniejsze ustalenia nas nie obowiązują.

Dziewczynka wodziła rozszerzonymi oczami od twarzy matki do jego twarzy.

- Czy wy się znowu rozwodzicie? - spytała.

- Jak to: znowu? - przebudziła się Kamila.

- Znowu. Jak z tatusiem.

Jarka ogarnęły wyrzuty sumienia. Wylądowali na placu zabaw, gdzie Florka udawała, że się bawi, nie spuszczać z nich czujnego spojrzenia. - I jak tam Marysia? - zaczęła gorzko Kamila.

- Jaka znowu Marysia?

- Dzwoniłam do ciebie tyle razy, nie raczyłeś odebrać. Może ja się martwiłam, że coś ci się stało? Może należało powiedzieć, gdzie jesteś? Wyrwałeś z domu tak nagle, dobry obyczaj nakazuje powiedzieć, gdzie się wychodzi, prawda? Nawet jeśli się łąduje w cudzym łóżku.

Jaro dopiero teraz zrozumiał, jak to wszystko mogło wyglądać z drugiej strony. O rany.

- Chodziło o babcię. Została napadnięta. Całą noc przesiedziałem w szpitalu, wtedy kiedy dzwoniłaś również. Nie miałem głowy myśleć o innych rzeczach.

I użył wytrychu:

- Przepraszam. Wytrych zadziałał.

- Babcia? - spytała miękko Kamila. - W szpitalu? Którym?

- Bielańskim.

- Mogę tam jechać z tobą? Zdziwiła go.

- A po co? Myślałem, że jej nie lubisz. Znowu się najeżyła.

- Nie wierzysz mi, tak? - domyślił się.

- Spojrzę tylko przez szybkę.

- Nie szkoda ci czasu? To drugi koniec miasta. Zacisnęła usta.

- Nie ma żadnej Marysi. Naprawdę - wyznał, ale nic nie pomogło.

I wtedy podbiegła do nich Florka, która w dowód miłości położyła mu na kolanach ślimaka. W zamian wcisnął w spoconą dłoń małej tubkę mentosów i poszedł, choć serce mu się krajało.

Mieszkanie bez babci wydawało się Jarkowi dziwnie puste, zwłaszcza teraz, wieczorem. Zajrzał do szafy, w której przypuszczalnie ukrywał się wczoraj ponury filmowiec. Poświecił latarką z nadzieją, że wypatrzy odcisk buta, ale znalazł tylko odrobinę piasku. Zrobiło mu się nieswojo, a potem długo tarł dno szafy mokrą gąbką do naczyń.

Spod pościeli w bielizniarce wygrzebał babcine zaskórniaki na czarną godzinę, świetnie, będzie na jedzenie. Gdyby filmowiec miał na celu rabunek, na pewno zajrzałyby i tutaj, to najbardziej oczywista kryjówka. Skoro więc nic nie ukradł, o co mu chodziło? Tylko o film?

Lodówka niestety świeciła pustkami, ale w szafkach i zamrażarce znalazł całkiem sporo półproduktów, więc ugotował makaron i dołożył przecieru pomidorowego. Jadł, tęskniąc za pesto Kamili.

Włączył komputer i zajrzał najpierw na YouTube'a. W kocim temacie nie pojawiło się nic nowego. Potem zerknął na forum „Depresja i depresanci”, na którym jeszcze niedawno grasowała Jasia Maciejko. Mimo późnej godziny (zbliżała się północ) znowu migiała ikonka, że jest obecna. Poczł adrenalinę. Wymyślił sobie nicka, wysłał zgłoszenie do administratora forum, w którym opisał przekonująco objawy swojej depresji oraz tęsknotę za towarzystwem osób z podobnymi problemami. Kiedy wrócił przed komputer z drugą michą makaronu, okazało się, że już został przyjęty - administrator, mimo depresji, był całkiem szybki.

„Witam” - napisał Jaro pod swoim nowym mianem „lekażycie”. Opowiedział w paru słowach o swoich problemach, może odrobinę koloryzując, ale właściwie pisał prawdę, co jego samego zaskoczyło. Przywitano go kilkoma: „Witaj, rozgość się”. Zaczł przeglądać ostatnie wątki. Jest Ciupelek! Dwa dni temu napisała: „Moja stara się puszcza, z facetem o obrzydliwym imieniu Jarosław, który w dodatku ślini się na mój widok. Powtórka Lolity czy gorzej? Jak ja mam nie być depresyjna w tych warunkach?”.

Ja się ślinię na widok Jasi? - zdziwił się Jaro. Skąd takie wrażenie? Nie podobała mu się żadna nastolatka, a już na pewno nie ten ponury kłębek problemów, jak postrzezał córkę Ilony. Dziwne, bardzo dziwne.

„Twoja matka ma prawo do własnego życia” - napisał w odpowiedzi. Już miał wysłać, kiedy przeczytał to po raz kolejny i wykasował. Nie, trzeba inaczej.

„Každy by się wkurwił” napisał. „Co zamierzasz?”. I puścił.

„Cześć, nowy jesteś?” - odpowiedziała natychmiast.

Przywitał się jeszcze raz.

„Co zamierzam? Chcę się wyprowadzić z domu” odpisała Jasia.

„Czyli jednak podejmujesz walkę? Dobrze. Mnie się czasem w depresji nic nie chce. A z pewnością nie myślę o takich radykalnych zmianach” - napisał zupełnie szczerze.

Ciupelek zamilkła na dłuższą chwilę, po czym na jego monitorze zamigotało okienko czatu „Depresji i depresantów”. Otworzył: Ciupelek. Bingo!

„E tam, nie myślę o żadnej walce. Raczej o ucieczce” - pisała po przejściu na kanał prywatny. „Nie czuję się z matką bezpiecznie. Nie wiem, z czym jeszcze wyskoczy. Albo raczej: co jeszcze da sobie zrobić”.

„Co masz na myśli? Nie opiekuje się wami?” - zapytał, ale zanim wysłał, zdążył się zreflektować. Musi bardziej uważać. „Nie opiekuje się tobą?” - poprawił.

„Trudno to nazwać opieką. Ciągłe szuka faceta, jakby nie wierzyła, że sama da sobie radę. Rzadko bywa w domu, a jeśli już, to siedzi z kochankiem. Nie mam żadnego oparcia, przeciwnie”.

Przesadzała. Zdecydowanie przesadzała. Chyba że chodzi o innego niż on kochanka. Wbrew sobie poczuł ukłucie zazdrości. A potem niejaką wspólnotę. Z Ciupelkiem, nie z Jasią. „Miałem podobnie. Moja matka też była nieobecna”.

Opisał pokrótce, jak go zostawiła i prysnęła za granicę, kiedy poszedł do przedszkola. I że przedtem też wcale nie chciała się nim zajmować.

Ciupelek mu współczuła. Opowiedział więc również o babci, że ona mu dawała poczucie bezpieczeństwa, ale mimo wszystko ucieczka matki (ucieczka od niego, tak to odbierał) była dla niego niegojąca się raną. Sam nie wiedział, po co tak się zwierza. Wszedł tu, żeby lepiej poznać Jasię, a tymczasem bez sensu skupiał się na sobie.

„Na szczęście to dawne czasy” - zaznaczył szybko. „Daję sobie z tym radę. Czasem tylko wraca. To jakaś nadzieja i dla ciebie, prawda?” - nawiązał, zręcznie, jak mu się wydawało.

„Twój stosunek do babci ma być nadzieją dla mnie?” - zdziwiła się Ciupelek. „Nie widzę związku”. Zaraz dopisała: „Może masz na myśli, że czas leczy rany. Ale żeby to udowodnić, nie musiałeś opowiadać tej długiej historii”. I zamilkła.

Spalił temat. Gdzie mu tam do sprytnych rozmów z nastolatką. Zdenerwowany poszedł wyskrobać resztki makaronu z garnka, stał do tego kawałek żółtego sera, wlał oliwy, dorzucił przecieru. Wciąż nie to, z czym miał do czynienia u Kamili, ale może trochę lepiej. Dupa z niego, nie detektyw. Babciny synek. Zbliży się do trzydziestki, a ciągle roztrząsa traumy z dzieciństwa. Czas dorosnąć, Jarcio - pierwszy raz od dawna pomyślał o sobie, używając ohydneho miana, które uwielbiała jego babcia, i aż się wzdrygnął.

Na czacie „Depresja i depresanci” Ciupelek dopominał się o jego uwagę.

„Leknażycie, ale chyba się nie obraziłeś? Sorry, otworzyłeś się przede mną, a ja taka zołza. To przez matkę” - tłumaczyła się.

Miła z niej była dziewczyna, pomyślał. Starał się nie zapominać, że jest detektywem, ale co chwila wychodził z niego zraniony w dzieciństwie Jarcio, który ma okazję pogadać z też zranioną osobą.

„Kontaktowałaś się z ojcem? Ja próbowałem z matką” - pisał. „Dzwoniłem do niej”.

„I co?”

„Cześć, jak się czujesz, co tam w szkole, dobrze się uczysz?”

„Mam to samo w realu” - skwitowała Ciupelek. „Pisałem też do niej”. „Odpowiadała

ci na mejle?” Uśmiechnął się do siebie.

„Wtedy jeszcze nie było mejli, ja mam dwadzieścia dziewięć lat. Listy wysyłałem zwykłą pocztą, ślimaczą”.

„Dwadzieścia dziewięć lat?!” - zszokowała się Ciupelek. „Myślałam, że jesteś w moim wieku”.

No to go podsumowała.

„A ty ile masz lat?”

„Szesnaście”.

Cóż, przynajmniej nie kłamała. „I co mama odpowiadała na twoje listy?” - pytała Ciupelek.

„Wysyłała mi kartki z gotowym nadrukiem, a pod spodem dopisywała, że całuje. Czasem paczki z zabawkami i słodyczami. Potem z ciuchami”.

„Przynajmniej coś”.

„Nic. Bo ani razu nie przyjechała. Nawet po osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy już było można. Czasem pisała, że to ja muszę do niej przyjechać, ale nigdy nie przysłała zaproszenia. Nie widziałem mojej matki, od kiedy skończyłem cztery lata. A ty? Od kiedy nie widziałaś ojca?”

„Dwa lata. Z jednym wyjątkiem”.

»

„Ostatnio wyczytałam jego adres i poszłam do niego”. Jaro natężył uwagę - detektyw znowu dochodził do głosu.

„O czym gadaliście? Tłumaczył się?” „Wcale, wyobraź sobie. A miał z czego”. „Z tego, że nie widział cię dwa lata?”. „Nie tylko o to chodzi. On mnie przedtem okradł. Poszłam to odzyskać”.

„I co?” - odważył się Jaro.

„Powiedział, że odda, oczywiście. Kiedy będę pełnoletnia. Bo on się boi, że inaczej matka przehula te pieniądze”.

„Uwierzyłaś?”

„Chciałam. Ale pogadałam w firmie z jego kochanką, ona była z nim w ciąży. Obiecał jej to samo: podaruje obraz, żeby temu dzieciakowi umożliwić start w dorosłe życie. Chuj”.

„Przykro mi” - odparł Jaro.

„Mnie bardziej. Mam połowę jego genów”.

„Znam ten ból. Żeby można je było sobie wydrapać”.

Ciupelek przez chwilę zbierała siły.

„No i po tej wizycie u niego miałam dosyć i poprosiłam o pomoc, żeby wyrwać od niego to, co mi się należy” - wyznała.

„Mamę poprosiłaś?”

„Kumpla. Miał odzyskać tę cenną rzecz, znaczy ten obraz, a w zamian po sprzedaży dałabym mu dziesięć procent, tak się umawialiśmy”.

„Uczciwy układ. Udało mu się?”

„Sęk w tym, że nie wiem” - odpowiedziała Ciupelek i zamilkła. Może uznała, że za dużo powiedziała?

„Ciupelek?” - spytał. „Śpisz już?”

Nic.

Znowu poszedł do kuchni, pokręcił się bez sensu. Męczyło go coś, jakiś niepokój, poczucie niezrealizowanego obowiązku, poczucie winy, ale nie umiał jej umiejscowić. Włożył spodnie od dresu, buty sportowe i wyszedł pobiegać. Zadyszał się szybko, więc przeszedł do marszu, a własne sapanie zagłuszało wszelkie inne odgłosy. Wrócił na podwórko i zaczął je obchodzić dookoła, stając tyłem do kolejnych okien i układał ze spoconych dłoni ramkę kamery. Ciach. Dwa metry dalej. Ciach. I ciach. Za kolejnym ciachem chyba złapał ten kadr, który był na YouTube. Dwa kroki w przód. Właściwie mogłoby to być również tutaj. Dwa kolejne kroki. Może i tu. Ale to ta strona podwórka, na pewno. Tutaj stała kamera filmowca sadysty. Tak, z dokładnością do kilku metrów w każdą stronę, przez co wchodziły w grę... Zaraz, zaraz... Cztery mieszkania. Okna miały ciemne, chociaż... Nagle mu się wydało, że za jednym z nich coś mignęło. Wpatrzył się w szybę, ale nagle pomyślał, że zachowuje się nierozsądnie - środek nocy, a on sam na pustym podwórku przy podejrzanym oknie.

W ciemnym mieszkaniu powitał go świecący monitor komputera. Czas wyłączyć sprzęt. Sprawdził tylko jeszcze dla porządku stan dyskusji z Jasią. O rany.

„Sorry, stara weszła i przez chwilę udawałam, że już śpię” - tłumaczyła się. „Leknażycie, jesteś jeszcze?” - dopytywała po chwili. „Jesteś? Bądź. Boję się. Boję się czegoś i nie mam komu o tym powiedzieć”.

„Jestem” - napisał szybko. „Byłem pobiegać, bo się jakoś zdenerwowałem, nigdy nikomu tyle o sobie nie mówiłem. Czego się boisz?”

„Zbroiłam coś”.

„Chcesz o tym opowiedzieć?”

Minuta ciszy.

„Jeśli chcesz, wysłucham” - zachęcił jeszcze.

„Nie wiem, dlaczego, ale ci ufam” - napisała Ciupelek i Jarowi zrobiło się głupio.
„Nabroiłam. Mój ojciec nie żyje”.

„Umarł?”

„Ktoś go zabił”.

„Ale jak to nabroiłaś?”

„Chodzi o tego mojego kumpla. Nie mogę go namierzyć, nie pojawia się na forum, na telefony nie odpowiada. A jeśli to on coś zrobił mojemu ojcu, zabrał mu ten obraz i zniknął?”.

„Myślisz, że coś mu zrobił? Stać by go było na to?”.

„Nie wiem. Nigdy go nie widziałam. Gadałam z nim tylko przez Internet. I telefon. Był w porządku”.

Strasznie nierozsądna ta ponura Jasia. Za łatwo ufa internetowym bytom. Za łatwo. I jaka musi być samotna, jeśli ciągle takiego towarzystwa szuka.

„Rozmawiałaś z policją?”

„Chwilę. Przy matce. Nic o tym nie powiedziałam”. A on? Co ma z tą wiedzą zrobić?
„Spadam, dobranoc” - napisała jeszcze Ciupelek i zniknęła.

Siwemu nie podobało się, że gruby lata po podwórku, robi ramki z palców i ustawia się co chwila w nowym miejscu niebezpiecznie zbliżonym do okien mieszkania Siwego. Gruby wyglądał przy tym groteskowo, poruszał się w powolnym rytmie, który Siwemu skojarzył się z piosenką Niny Simone, więc od razu zaczął ją nucić jako podkład, nawet pobiegł po kamerę, ale zanim ustawił wszystko, mamrocząc My Baby Just Cares For Me, gruby już zrezygnował, obejrzał się jeszcze na jego okno i poszedł do domu.

Siwy włączył więc sobie Ninę Simone na YouTube i pokiwał się trochę w rytm, starając się nie myśleć, jak bardzo mu ostatnio brakuje natchnienia, ostatnio, czyli od momentu, gdy o mało co nie zabił starej.

Podobała mu się wizyta u niej w domu, obce, o innym zapachu ubrania w szafie, przerażone błękitne rentgeny jej oczu powiększające się, kiedy skrzypnął drzwiami, najpierw niechęć, a potem już celowo. Nie miała szansy go rozpoznać, bo włożył kominiarkę, spod której widać było tylko oczy i usta, wyglądał w niej upiornie, aż sam się wzdrygał, gdy przechodził koło lustra. Czarny potwór z wydatnymi wargami i piłeczkami pingpongowymi oczu.

Gruby nie był żadnym godnym przeciwnikiem, w przeciwieństwie do starej. Zero sprytu, zero finezji. I to brzydkie ciało... Na szczęście na chodzie została jeszcze ta druga stara, fioletowa na obcasikach, co rano kiciała na koty pod śmietnikiem i wystawiała im miseczki. Raz się odważył i wysikał się do nich, rano patrzył z satysfakcją, jak je zbiera i

nawet nie wie, dlaczego tak dziwnie pachną. Stara w fiolecie też mogła dostarczyć zabawy.

A grubego jakoś się załatwi, jeśli nadal będzie się kręcił pod oknami.

Ilona poprawiła podkład, zaszmarowała korektorem cienie pod oczami (wczoraj długo wojowała z Jasią

- nie chciała wyłączyć na noc komputera), zrobiła sobie subtelne rumieńce, na usta błyszczący, na rzęsy tusz wydłużający, przeczesła włosy, spuściwszy głowę w dół, by były bardziej puszyste. Bardzo już piękna wyszła z toalety dla lekarzy i od razu natknęła się na Kamilę, która zlustrowała ją uważnie.

- Randka?

- E tam. Znudziły mnie te znajomości z Internetu

- Ilona się spieszyła.

- To co się tak odstawiaś?

- Lubię ładnie wyglądać.

Kamila nie wydawała się przekonana. I słusznie, bo na Ilonę w kawiarni Tarabuk czekał już Jaro, czym wcale nie zamierzała się Kamili chwalić.

Siedział przy tym samym stoliku co wtedy, ale dzisiaj nic nie czytał, za to niespokojnie wpatrywał się w drzwi. Na widok Ilony wstał, spytał, co jej zamówić. Widać zaczął wreszcie zarabiać.

- Jak tam interesy? - zagadnęła niezobowiązująco i uśmiechnęła się do niego. Miała tę samą apaszkę co w dniu, kiedy się poznali, ciekawe, czy zauważył.

Nie odpowiedział jednak uśmiechem, patrzył na nią poważnie, jak i jej się czasem zdarzało patrzeć na pacjenta, któremu musiała powiedzieć, że ma czerniaka.

Ścisnął jej się żołądek.

- O co chodzi? - spytała. Zagryzł wargi.

- Jasia?

Pokiwał głową.

Kelnerka właśnie przyniosła szarlotkę z bitą śmietaną, Ilona poczuła nagle, że zapach cynamonu niemal doprowadza ją do wymiotów.

- Mów, proszę.

I Jaro zaczął przerażającą opowieść o samotnym dziecku, które zwierza się tylko obcym facetom przez Internet. O pozeranej przez wyrzuty sumienia nastolatce, która gryzie się tym, że pośrednio zleciła morderstwo własnego ojca.

Łza wyryła głęboki dół w górcie bitej śmietany obok szarlotki, a przy twarzy Ilony pojawiła się nagle wymięta ligninowa chusteczka.

- Nieużywana - zaznaczył Jaro.

Otarła łzy, zapomniawszy, że ma tusz na rzesach.

- Boże, Jaro, kompletnie zawałam sprawę, prawda?

Nic nie mówił, przyglądał jej się uważnie.

- Coś masz z oczami - odezwał się po chwili. Wyjęła puderniczkę. Rzeczywiście, jej staranna stylizacja wyglądała teraz jak pysk popielicy z czarnymi obwódkami wokół oczu.

- Co robimy, chciałbym wiedzieć? Nie możesz mnie przed Jasią wsypać, bo stracę z nią kontakt. Najlepiej, żebyś ją skłoniła, by opowiedziała ci to wszystko sama. I wtedy coś byście razem uradziły.

- Fajnie, że mi piszesz scenariusze, może byś je również wyreżyserował? Bo ja nie wiem, jak ją skłonić do rozmowy. Nawet nie wiem, jak namówić do zjedzenia jarzynowej, a co dopiero do wyznań.

Oparła się pokusie wybuchnięcia płaczem. Nie, nie tutaj. Może gdy wyjdą na ulicę, Jaro ją przytuli i przez chwilę będzie lepiej.

Wcale na nią nie patrzył. Wlepiął wzrok w stolik.

- Przepraszam, nie chciałem być niedelikatny. Ale, Ilona, mamy poważny trop w sprawie mordercy, wydaje mi się, że należy o nim powiedzieć policji.

- Nawet jeśli to oznacza postawienie Jasi przed sądem za współudział?

- Za nieświadomą pomoc. I przecież nawet nie wiadomo, czy to faktycznie morderca. Nic jej nie grozi, wszystko sprawdziłem w Internecie.

- A w sądzie kiedyś byłeś? Ona jest za młoda, za wrażliwa i za bardzo depresyjna, żeby przechodzić przez to wszystko.

- Wolisz, żeby morderca chodził na wolności? W duszy jej wrzało.

- Jaro, ja już nie wiem, co wolę, każde wyjście wydaje mi się fatalne.

- Zastanawiam się, czy on nie będzie próbował znaleźć Jasi.

Właśnie przegrała walkę ze łzami. Jaro wyciągnął rękę z kolejną chusteczką i otarł jej oczy.

- A więc to jest ta twoja Marysia? - syknął ktoś z boku. - A ty, Ilona, wcale nie jesteś na randce?

Przy stoliku stanęła Kamila.

- Jaka Marysia? - zdziwiła się Ilona.

- Jaka randka? - Jaro też był zaskoczony. Kamila stanęła tuż nad nimi, wzięła się pod boki.

- Ilona, nie spodziewałam się tego po tobie. Tak mi kłamać w żywe oczy.

Ilonie zrobiło się głupio, co Kamila od razu zarejestrowała.

- Ech. - Westchnęła tylko i przeniosła karcący wzrok na Jarka.

- To spotkanie służbowe - wytłumaczył.

- Dlatego tak się wystroiłeś i wypachniłeś? - rzuciła mu w twarz. - Kiedy mieszkałeś ze mną, były wygniecione podkoszulki, a teraz jest wyprasowana koszula, tak?

Jaro zaczął się przyglądać swojej koszuli, jakby widział ją po raz pierwszy. Wzrok jego padł na mankiet, potem, naturalną kolejną rzeczy, na zegarek.

- Kamila! - podniósł się z krzesła. - A kto odbierze dzisiaj Florkę?

Rzuciła mu spojrzenie jak sztylet. - I jeszcze mówisz, że jestem złą matką! Nie bój się, daję sobie z tym doskonale radę!

Wcale przecież nie powiedział, że jest złą matką. Kamila jednak popatrzyła na nich z nienawiścią i wypadła z kawiarni Tarabuk, tak trzaskając przeszklonymi drzwiami, że szyba niebezpiecznie zagrzechotała.

Jaro zerwał się, podbiegł do drzwi, wyrzwał na ulicę, obejrzał się na Ilonę, wrócił do stolika. Wszyscy na nich patrzyli, dwie dziewczyny chichotały. Ilona schowała głowę w ramiona.

- Głupio wyszło - powiedział Jaro i też się skulił.

Jaro jeszcze nie nacieszył się samotnością, gdy się okazało, że babcia zostanie wypisana ze szpitala. Przez chwilę czuł żal, który zaraz zastąpiły wyrzuty sumienia. Te z kolei spowodowały, że odkurzył całe mieszkanie, usiłując dotrzeć również w kąty i pod meble, jak go uczyła Kamila. Kupił przecier pomidorowy i makaron, a potem poszedł po babcię, którą przywiózł do domu taksówką, choć wzbraniała się i twierdziła, że autobus jej w zupełności wystarczy. I żeby absolutnie nie tracił na nią czasu, bo przyjedzie z Dzidką.

Kiedy wprowadził ją do domu, czekał na okrzyk zachwyty, że tak tu czysto, ale babcia tylko westchnęła, siadając ciężko na krześle w przedpokoju. Włożyła kapcie i przeszła do kuchni. Tam przeciągnęła palcem po blacie stołu i rozejrzała się.

- Jesteś głodna? - spytał.

- A co? Dzidka przyniosła obiad? Na to czekał.

- Nie! Dzisiaj ja gotuję. - Mimowolnie się wyprężył.

Ugotował makaron, dodał przecieru, oliwy i startego sera, rozłożył na talerze. Spróbował i poszedł po solniczkę. Babcia jadła powoli, małymi kęsami. Nie posoliła, co uznał za komplement. Wyskrobała talerz do najmniejszej kluseczki, co jednak komplementem nie było, bo babcia nigdy nic na talerzu nie zostawiała, niezależnie od jakości potrawy, i poszła się położyć. W koszuli nocnej w błękitne kwiatuszki znowu wyglądała jak kruchy ptaszek.

Ledwo przejrzał fora w poszukiwaniu Ciupelka (nieobecna), gdy obudziła się babcia. Usłyszawszy skrzyknięcie łóżka, stawił się u niej od razu, a ona poprosiła o sudoku i karty. Kiedy przyszedł z herbatą (inicjatywa własna, ale miał nadzieję, że doceni), rozkładała właśnie pasjansa na kołdrze, gubiąc karty w jej fałdach.

- Na co stawiasz? - zagadnął.

- A tak po prostu. - Speszyla się, więc prawdopodobnie chodziło o niego.

- Jeśli chcesz, postaw sobie pasjansa na komputerze. Zaskoczył ją.

- Przyniosę ci go tutaj, nie musisz się ruszać. Moje pliki są teraz chronione hasłem - wyjaśnił, bo nadal patrzyła na niego dziwnie. Posmutniała. Chyba jednak strzelił gafę. To wszystko go przerastało.

W mieszkaniu ewidentnie brakowało kobiecej ręki, pomyślała Halina. Dziwne, jak to od razu widać. Sedes zarośnięty, pod łóżkiem koty kurzu (no dobrze, kto jej kazał tam zaglądać?), a krany otoczone obrączkami kamienia. Nie miała jednak siły się tym zajmować. Dobrze, że Dzikka wpadnie nieco wcześniej, bo z Jarcia żadnego pożytku nie będzie, niech się lepiej zajmie śledztwem.

Ciekawe swoją drogą, kiedy Jarcio wprowadzi się z powrotem do kobiety w szlafroku. Halinie głupio było o to pytać, ale - ku swojemu zdziwieniu - życzyłaby sobie tego w miarę szybko. Za długo mieszkali osobno, więc teraz wnuk trochę jej zawadzał, jak nowy sztuczny ząb.

Bo też i wyglądał inaczej, na przykład nosił teraz na twarzy niechlujny kilkudniowy zarost. Najpierw myślała, że zapomniał się ogolić, ale kolejnego dnia wytłumaczył, że utrzymanie takiej wiecznie trzydniowej bródki kosztuje go dużo pracy i wymaga użycia specjalnej maszyny. Wiecznie trzydniowa, to był kolejny absurd obecnych czasów, przyszło jej na myśl, i od razu zgaśniła się w myślach za starcze spostrzeżenie. Inne objawy starości na szczęście chwilowo ustąpiły razem z katarem. I choć Halina miała świadomość, że to tylko odroczenie wyroku, chciała jednak, by trwało jak najdłużej.

Dzikka wpadła tak późno, że ledwo zdążyła umyć sedes, na krany już jej nie starczyło czasu. O co zakład, że Celina będzie dotykać kurków przez chusteczkę? Poza nimi i Teresą Halina zaprosiła na pokaz również panie z Uniwersytetu Trzeciego Wieku, uznała bowiem, że w dotychczasowym gronie nie dojdą do żadnych nowych wniosków. A powinny do nich dojść, jeśli chcą przerwać ten łańcuch niepotrzebnych śmierci.

Jaro chciał czmychnąć z domu, ale babcia kazała mu najpierw lecieć do Cudnych po projektor multimedialny, a potem zostać, żeby obsługiwał sprzęt. Cieszył się, że wróciła do tyranizowania otoczenia, znaczyło to, że już prawie wydobrzała. Może nawet znowu zacznie

biegać po domu, bo jej ostrożne szuranie przerażało go jak jakieś nieustające, całodzienne memento mori. Źle jednak znosił zamachy na swoją wolność - od tego się odzwyczaił. Na razie co chwila biegał do drzwi, otwierając kolejnym starszym paniom. Pierwsza wtargnęła Joanna Wereda w towarzystwie nieco młodszej, wyższej i bardziej energicznej koleżanki.

- Znowu pana widzę - rzuciła zdaniem, jak rzutkiem do tarczy. Stłumił odruch, by się uchylić.

Rozstawił komputer i projektor, po czym zaczął zapoznawać panie z ogromem popełnionej zbrodni. Oglądając po raz kolejny filmiki z YouTube'a, nie mógł nie docenić ich maestrii technicznej. Panie skupiły się jednak na treści, nie na formie. Kiedy obserwował je wpatrzone w ekran, z rumieńcami na pobrużdżonych twarzach, z zaciskającymi się pięściami, ściśniętymi ustami, pomyślał, że się ich boi.

- Dorysował nam berety! - Dzidka się zbulwersowała.

- To było filmowane na naszym podwórku, tak? - dopytywała się babcia.

- A to w naszym mieszkaniu - dodał Jaro.

Kiedy skończył się ostatni film, czym prędzej zwinął kable i postanowił czmychnąć pod pretekstem, że należy oddać sprzęt.

- Chwileczkę - zaprotestowała Joanna Wereda. - A co pan ustalił w trakcie swojego śledztwa? Wiem skądinąd, że ma pan sprytne sposoby ustalania różnych rzeczy.

- Spojrzała na niego z przyganą, a jemu przypomniało się, jak ją podszedł w dniu znalezienia ciała Tymoteusza.

- Ustaliłem miejsce, z którego kręcono filmy. Większość była filmowana z okien na parterze kamerą na statywie. - Podszedł do okna i machnął ręką w tamtą stronę. - W grę wchodzi cztery mieszkania. Przypuszczalnie wszystkie są wynajmowane, obserwacja nie ustaliła, kto tam mieszka.

- Obserwacja nie ustaliła?! Pan nie ustalił.

- Tam są kawalerki, lokatorami są raczej młodzi ludzie, samotni, czasem pary - łagodziła babcia. - I często się zmieniają, ciągle widzę nowe twarze. Kupują albo wynajmują, duży ruch, i pewnie przez to nie chodzą na zebrania spółdzielni, bo im nie zależy. Jaro, masz gdzieś jeszcze tę petycję?

No i co? Teraz się przydało, że nie miał czasu jej zanieść do administracji. Przejrzeli listę.

- Podpisała się tylko jedna osoba z parteru - stwierdziła babcia. - Tak jak mówiłam: tamtych lokatorów nie interesują sprawy naszego podwórka.

- Jednego z nich interesują aż za bardzo. - Jarcio pokazał palcem napis „Precz z

kotami” oraz liczbę sześćset sześćdziesiąt sześć wciśnięte między nazwiska lokatorów. Panie znowu się zbulwersowały.

- Zupełnie nie pamiętam, który z nich to napisał

- tłumaczyła się Teresa.

I wtedy odezwał się telefon Jarka. Spojrzał na wyświetlacz i z satysfakcją oznajmił:

- Przepraszam, rozmowa służbowa.

Kamila już na niego czekała. Na jego widok najpierw się rozpromieniła, potem skuliła. Podszedł bliżej. Policzki miała jakieś blade, oczy czerwone.

- Co u ciebie? - spytała.

Niby niewinne pytanie, ale ton nie do zniesienia. Postanowił nie dawać się wciągnąć w tę grę.

- Babcia czuje się już lepiej, więc będę miał chwilę, żeby wrócić do sprawy twojej mamy.

- To dobrze, bo, jak mówiłam przez telefon, wypłynęło coś nowego. Wejdiesz czy mamy rozmawiać tutaj?

Tak, musi skupić się na tym, co Kamila mówi, nie na tym, jakiego tonu używa.

Wszedł za nią do przychodni, gdzie zaprowadziła go do ponurego pomieszczenia bez okien, zwanego szumnie pokojem lekarskim. Rozejrzał się.

- Ilony dzisiaj nie ma - skomentowała od razu. Nie protestował. Miał poczucie, że cień Ilony trochę go chroni przed snutą przez Kamilę pajęczyną pretensji, wyrzutów oraz niewypowiedzianych oczekiwań. Zaparzyła mu kawę, doskonale pamiętała, ile mleka i cukru używa, po czym położyła przed nim jakiś wydruk. Potwierdzenie przelewu internetowego. Nadawca: Agnieszka Zaufał. Tytułem: Kup Florce coś ładnego. Zdębiał.

- Pieniądze przyszły wczoraj.

- Z konta twojej mamy?

- Tak, sprawdziłam. A Florka ma w tym tygodniu urodziny. Nawiasem mówiąc, pytała, czy przyjdiesz.

Nie podchwycił.

- Ktoś jeszcze znał hasło do tego konta?

- Nie wiem. Ja nie, w każdym razie. Zresztą kto obcy inwestowałby w prezent dla Florki?

- Możemy zatem wysnuć taki wniosek - myślał głośno Jaro - że twoja mama żyje, jest przytomna, nie straciła pamięci i ma trochę pieniędzy. Gorzej z tym, gdzie jest i dlaczego się nie odzywa.

- No właśnie. No właśnie - zaczynała napędzać się Kamila, a jej oczy z każdym słowem zyskiwały więcej wilgoci. - I co ja mam mówić dziecku? Kiedy pyta, czy babcia przyjedzie na urodziny?

Zażęła. Wyciągnął dłoń w stronę jej roztrzęsionych pleców, ale nie dotknął ich. Bał się.

- Florka pytała też o ciebie. - Kamila podniosła na niego zażęwane oczy.

Spuścił wzrok i postanowił jednak milczeć. Popłakała jeszcze chwilę, po czym, nie doczekawszy się jego reakcji, odezwała się nieoczekiwanie spokojnie:

- Ilona robi sobie zastrzyki odmładzające.

- Tak? - Nie był pewien, o co Kamili chodzi. Jakie zastrzyki? Jakie odmładzanie?

- Gdyby kiedyś przestała, cera bardzo szybko jej się pomarszczy.

Milczał, bo i co miał mówić? Rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym sięgnęła do teczek po jeszcze jeden wydruk. Kolejny dokument przelewu. Nadawca: Agnieszka Zaufał. Tytułem: od „od Barbary MaterekPodlaskiej”, choć pieniądze wyszły znowu z konta Agnieszki Zaufał dwa dni po poprzednim przelewie.

- Kto to jest Barbara MaterekPodlaska?

- Materek... - Kamili znowu zaszęły się oczy. - Tak czasem mówiłam na mamę, wiesz, gdy się trochę śmiałyśmy, gdy miałyśmy lepszy czas. Mój Materku...

- To raczej nie może być przypadek.

- Myślę, że w ten sposób chciała mi udowodnić, że przelew na pewno wyszedł od niej.

- Ale dlaczego „Barbara”? I „Podlaska”?

- No właśnie - zastanowiła się Kamila. - Większość tych podań o pracę wysłała na Mazury, prawda? Ale kilka poszło na Podlasie.

Jaro nagle zrozumiał.

- A czy jedno z tych miejsc nie nazywało się pensjonat U Barbary?

Uśmiechnęła się do niego z nadzieją, a on pomyślał, że ma dość widoku tych pełnych nadziei zażęwanych oczu.

Jaro pakował się bez wprawy (kiedy ostatni raz był na wakacjach?), ale za to z przyjemnością. Co prawda październikowa wizyta na podlaskiej prowincji to średnia przyjemność, ale pocięgała go świadomość, że wyrwie się stąd choć na chwilę. W tym stanie ducha wydawało mu się, że doskonale rozumie nastawienie Agnieszki Zaufał: on też miał ochotę pieprznąć wszystkim i zacząć gdzieś daleko, z czystym kontem. Uciec od niemrawego śledztwa w sprawie mordercy kotów, od połajanek babci, od nieustannych pretensji Kamili, od przymiarek do poszukiwania prawdziwej pracy. Od myśli, czy dziadek był naprawdę jego

dziadkiem, i od wyrzutów sumienia, że najpierw podbił serce Florki, a potem się ulotnił. I że najpierw zyskał zaufanie Jasi, a teraz zniknął z czatu.

Wyjechać było tym łatwiej, że podróż fundowała Kamila, gdy już się przekonali, że przez telefon nic z pensjonatem U Barbary nie załatwią. Nawet ewentualnego noclegu.

- Wszystkie miejsca mamy zajęte - oznajmiła recepcjonistka, co w październiku wydawało się doprawdy zastanawiające.

Jaro spakował laptop, zrobiwszy duże wydruki starego i nowego zdjęcia Agnieszki Zaufał, wziął dokumenty przelewu, żeby się przed nią uwiarygodnić, kiedy już ją znajdzie. Może to zbyt optymistyczne przewidywania, ale był dobrej myśli co do tej misji. Poprosił jeszcze Kamilę o trochę pieniędzy na ewentualne łapówki, gdyby trzeba było obłaskawić jakąś recepcjonistkę czy kierowniczkę („do rozliczenia” oznajmił). Cieszył się, jak wtedy, gdy jechał na pierwszy w życiu obóz harcerski, i zaraz mu się przypomniało, że wówczas, gdy minęła pierwsza euforia, zaczął wydzwaniać do babci, żeby go czym prędzej stamtąd zabrała, bo mokro, zimno i latryna w lesie.

Wsiadł i ruszył. Ale jazda! Włączył radio i zaczął śpiewać Born in the USA. Pomachał jakiejś blondynce z auta obok, a ona - ku jego zdziwieniu - odmachnęła.

Jaro podniósł maskę samochodu bez szczególnej nadziei, że cokolwiek wskóra, nie znał się bowiem ni cholery na silnikach. Uchylił się przed obłokiem pary, który buchnął mu w twarz, popatrzył na rozgrzaną maszynię, brudną i zapaconą od oleju, nie stał się jednak ani odrobinę mądrzejszy. Co jeszcze mógł zrobić? Droga była ewidentnie boczna i pełna dziur, krajobraz wokół mało sielski, łąki zasnute tumanami mgły, drzewa nagie i czarne, a liczne stawy, teren był bowiem podmokły, w tym świetle wyglądały jak szare ślipia wilkołaków. Słaba nadzieja, że ktoś będzie tędy przejeżdżał, i raczej nie ma co liczyć, że z tych niewielu ktokolwiek zatrzyma się, żeby mu pomóc. Samochód Kamili, jak widać, nie był przystosowany, by pędzić w rytmie piosenek Bruce'a Springsteena po szutrowych drogach. Może gdyby Jaro zwolnił do dwudziestu, ale tak mu się dobrze jechało... Aż do tej cholernej dziury.

Siadł w samochodzie i spojrzął na mapę wydrukowaną z Internetu. Do celu brakowało jeszcze jakichś czterech kilometrów. Niby można przejść piechotą, ale byłoby trudno, szutrowa droga miejscami zmieniała się w zwykłe błoto. Zresztą czy powinien zostawiać samochód na pastwę losu? Westchnął. Lepiej wezwać pomoc drogową. Tylko jak, skoro komórka oznajmia beczelnie, że brak zasięgu? Nie ma rady, należy się ruszyć. Zresztą skoro samochód się rozkraczył, nikt na pewno go nie ukradnie. Jaro wrzucił na luz, zwolnił ręczny i stękając, przepchał brykę na pobocze, żeby nikt jej niechcący nie stuknął. Wziął plecak,

kurtkę oraz mapę, zamknął drzwi i ruszył w drogę. Powietrze ziało wilgocią i nieprzyjemnie przenikało aż do kości. Buty mlaskały o błoto, poza tym dziwna cisza. Świat wyglądał jak po katastrofie atomowej: ni zwierza, ni człowieka, żadnego ruchu. Dopiero kiedy zobaczył czarnego ślimaka bez skorupki pracowicie pełznącego na drugą stronę drogi, uznał, że do katastrofy nie doszło. Upewnił się co do tego ostatecznie, gdy ujrzał na horyzoncie babinkę z wielkim tobołem. Takie było jego kulawe szczęście. Bruce Springsteen w podobnej sytuacji na pewno spotkałby gorącą trzydziestkę z wielkim biustem oraz samochodem z linką holowniczą.

Babinka też miała duży biust. Duży i ciężący ku dołowi. Jaro poczuł się pewniej, takie piersi miała większość przyjaciółek jego babci. Tak, starsze panie to nadal był jego żywioł.

- Dzień dobry - zagadał. - Czy dobrze idę do ośrodka U Barbary?

Kobieta stanęła i przyjrzała mu się uważnie.

- A po co pan tam idzie?

- Chciałem stamtąd zadzwonić. Samochód mi się popsuł, a tu nie ma zasięgu. No i pewnie bym zanocował.

- Nocować pan tam chce? - zdziwiła się.

- Pewnie będę musiał.

- Kochany, pan jesteś za młody, żeby tam się instalować. To dom dla starych ludzi.

- Dom starców? Pensjonat U Barbary?

- A jak inaczej?

Cóż, nie oni pierwsi mieli nieaktualną stronę internetową.

- Wiem, bo tam pracuję - dodała z dumą kobieta.

- Gdzie?

- Przy posiłkach.

- W kuchni? A zna pani innych pracowników?

- A pan to właściwie kto? - zaniepokoiła się nagle.

- Nie jakaś kontrola?

- Ja? Skąd. - Sięgnął do plecaka po dowód osobisty. Nie dziwił się podejrzliwości kobiety, nasłuchiwał się już bowiem o tajnych domach starców działających bez pozwolenia, bez akceptacji sanepidu, będących w gruncie rzeczy przechowalnią (a niekiedy nawet wypychalnią) do śmierci. Babcia i jej znajome ze zgrozą przekazywały sobie tego typu opowieści.

- Wolałabym, żebyś mnie dobił, niż żebym musiała się przeprowadzać w takie miejsce

- mówiła babcia.

- Jarcu, będziesz pamiętać? Jarcu?

- Jarosław Trzaskowski? - Kobięcina obracała w dłoniach jego dowód. - A czego tutaj szuka taki pan z Warszawy? Noclegu? U nas?

Objęła spojrzeniem błoto, nagie drzewa i podmokłą zbrązowiałą łąkę. Fatalnie mu szło, fatalnie.

- No to już powiem pani prawdę - odpowiedział, patrząc jej szczerze w oczy. - Tak naprawdę szukam pani Agnieszki Zaufał, mamy mojej narzeczonej. Narzeczona poprosiła, żebym sprawdził, czy jej mama się tam przypadkiem nie zatrudniła, od kogoś słyszała, że tak. Dawno nie miała kontaktu z matką, chciałyby ją odnaleźć. Przeprosić, bo się pokłóciły. No i zaprosić na nasz ślub - improwizował na całego. - Czyli co? Pracuje tam Agnieszka Zaufał?

- Ja nic nie wiem, niech pan sam ich spyta - Kobieta się spłoszyła.

- A w dobrym kierunku idę?

- Dzisiaj to pan się tam nie dostaniesz.

- Dlaczego?

- Bo dzień odwiedzin jest w niedzielę. No i masz.

- Ale... Ja przecież nie w odwiedziny, tylko z zaproszeniem.

- Pan wróci w niedzielę, dobrze panu radzę. - I poszła dalej, oglądając się za nim ukradkiem.

Unurzany w błocie po kolana, z butami zmienionymi w dwie pecyny ziemi, z mokrymi skarpetkami i prawdopodobnie przemoczoną duszą, bo trzęsło go od środka, dotarł wreszcie do wysokiego drucianego ogrodzenia zarośniętego wewnątrz gęsto zasadzonymi tujami. Dobrze trafił, bo na bramie wisiała tabliczka z napisem „U Barbary”. Zgodnie z zapowiedzią kucharki i brama, i furtka były zamknięte. Użył dzwonka. Prawdopodobnie nie działał, jak po paru minutach stwierdził Jaro. Albo działał, ale obsługiwał go ktoś głuchy jak pień. A może nie głuchy, lecz raczej przejęty syndromem oblężonej twierdzy. Jaro krzyczał, dzwonił, podskakiwał, żeby znad żywopłotu zajrzeć do środka. W końcu poczuł się jak idiota, obserwowany z budynku zapewne przez kilka (kilkanaście?) niewidzialnych par oczu, odwrócił się na pięcie i poszedł dalej, w kierunku, gdzie według internetowej mapy powinna znajdować się jakaś wieś.

Kiedy dotarł do pierwszego budynku, rozszczękał się pies i rozdzwonił jego telefon, co w wilgotnej ciszy zabrzmiało jeszcze przeraźliwiej niż zazwyczaj. Jeszcze zanim spojrzął na wyświetlacz, wiedział, kto się do niego dobija: Kamila. Nie miał dla niej żadnych nowin, więc na wszelki wypadek wyłączył telefon. Po czym zajrzał za płot, czy to co szczeka, jest na pewno uwiązane, i otworzył furtkę. Skrzypnęła. Wszedł.

Halina martwiła się. Jarcio wyruszył z samego rana i do tej pory się nie odezwał. Nadchodził wieczór, a ona dyżurowała pilnie przy oknie, choć strumienie deszczu raczej skutecznie odstraszyłyby większość ewentualnych morderców kotów. Same koty też się pewnie przyczaiły gdzieś w piwnicznym ciepelku. Zresztą nie mogła się skupić, myślała o wnuku, raz po raz popatrując na bramę ich podwórka z nadzieją, że wreszcie ujrzy tam jego zwalistą sylwetkę. Wspominał przecież, że prawdopodobnie wróci tego samego wieczoru. Prawdopodobnie, uczepiła się tego słowa jak koła ratunkowego, prawdopodobnie, a zatem nie na pewno. Ten dawny Jarcio, sprzed wyprowadzki, już dawno by do niej zadzwonił. Ale ten dawny Jarcio nigdzie by nie pojechał, zwłaszcza sam. A ten nowy Jarcio? Szczuplejszy, nieufny, samodzielny?

Przełamała się i sama wystukała jego numer z obawą, że będzie jej robił wyrzuty o nieustającą kontrolę. Ale zamiast Jarcia maszyna poinformowała, że abonent jest poza zasięgiem. Halina zamarła ze słuchawką w ręce, zastanawiając się, czy to wróży dobrze, czy jednak gorzej. Ale kiedy tylko odłożyła słuchawkę, rozległ się dzwonek telefonu.

- Jarcio? - spytała prawie bez tchu.

Ale to nie był Jarcio, lecz niejaka Kamila Stec, doktor Kamila Stec, lepiej znana Halinie jako meduza w szlafroku. Szukała - cóż, nic dziwnego - szukała Jarcia, bo chłopak nie odbiera komórki, a ona się martwi.

- On... On wziął ode mnie samochód i pojechał na Podlasie - opowiadała Kamila. - Miał tam szukać... Szukać kogoś dla mnie ważnego.

- Wnuk wprowadził mnie w tę sprawę - skomentowała Halina oficjalnym tonem.

- Jest w domu?

- Nie, proszę pani. Nie wrócił. Nie odbiera. Nie daje znaku życia. - I nagle Halina się rozkleiła. - Martwię się o niego strasznie... On tak dawno nie prowadził samochodu...

- Dawno? - przestraszyła się.

- Od czasu, gdy zdał egzamin na prawo jazdy. Czyli od pięciu lat.

- O Boże...

- Miał szukać pani matki, prawda? Ale dlaczego akurat na Podlasiu?

Halina usłyszała jakąś dziwną historię o przelewach i tajemniczych słowach szyfrach, które dobitnie przypominały jej intrygę „Szatana z siódmej klasy”.

- I z powodu takich bzdur wysłała go pani sto kilometrów od Warszawy? W taką pogodę?

- Rano jeszcze nie padało! - Kamila załkała. I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Chyba właśnie wrócił - rzuciła Halina.

Odłożyła słuchawkę i pobiegła do drzwi, nie zwracając już większej uwagi ani na lornetkę, ani na podwórze, ani na deszcz za oknem. Otworzyła, nawet nie patrząc przez wizjer, ale przecież serce mówiło jej dobitnie, kogo tam zobaczy.

Na wycieraczce stał jednak ktoś odrobinę niższy, dużo szczuplejszy oraz siwy.

- Nawet nie sprawdzasz, kto stoi za drzwiami? - odezwał się Henryk. - Dzidzia mówiła, że jesteś nieostrożna.

Halina wpatrywała się w niego zszokowana.

- Nic się nie zmieniłaś - dodał Henryk. - Taka sama w gorącej wodzie kąpana jak kiedyś.

- Co tu robisz?!

- Chcę porozmawiać.

Spojrzała w bok. Z lustra zdjęta rozpaczą przyglądała jej się twarz starej kobiety. W głębi mieszkania odezwał się telefon. Jarcio! - i Halina, zostawiając Henryka na wycieraczce, pobiegła tam jak rączka łania. Łania odrobinę pokiereszowana przez życie.

- Jarcio? - wydyszała do słuchawki, popełniając po raz drugi ten sam błąd.

- Kamila Stec - déja vu aż nią zatrzęsło. - Czy mogę już prosić Jarka?

- Przecież mówiłam pani, że nie wrócił! - Myślałam...

- Trzeba było myśleć wcześniej! - wrzasnęła Halina i rzuciła słuchawkę.

Ktoś dotknął jej ramienia. Podskoczyła, aż zabolowało ją czoło, i odwróciła się. Henryk!

- Nie zapraszałam cię do domu.

- Usłyszałem, że masz kłopoty. Można ci jakoś pomóc? - Uśmiechnął się szeroko. Pamiętała jego nieco krzywe dwójki, które niegdyś dodawały mu zawadiackiego wdzięku. Teraz wszystkie zęby miał równe i lśniące białe.

Niepotrzebna była jej ta rozmowa i cała wizyta. Niepotrzebny jej był ten cały Henryk, niedobrze jej się robiło od jego jękliwego głosu, który kojarzył jej się jak najgorzej, bo ze wstępem do spoconego, szybciotkiego i niezdarnego seksu. Nie po to przez tyle lat trzymała się daleko od niego, żeby teraz sobie dać zepsuć życie.

- Nie mamy o czym rozmawiać - oznajmiła. - I, niestety, nie możesz mi pomóc.

Poprawił aparat słuchowy, uśmiechnął się szeroko i - niezrażony - podszedł do ściany ze zdjęciami. Obejrzał dokładnie Jarka we wszystkich etapach życia, potem rzucił okiem na Hanię, zdjęcie mniej więcej z czasów, gdy zdawała maturę. Popukał w szybkę i spojrzał triumfalnie na Halinę.

- Udała nam się dziewczynka!

A Halina zrozumiała wtedy, co znaczy mordercza furia.

Do mszy pozostało jeszcze mnóstwo czasu, więc Dzikka wcale się nie spieszyła. Obcasy butów dźwięcznie stuknęły o chodnik, dopasowane krótkie paletko trzymało talię w ryzach, liliowe futerko miło otulało szyję. Wyszła za bramę, skręciła w stronę Słowackiego i nagle się zirytowała: w przejściu znowu stał samochód, pewnie komuś nie chciało się szukać dogodniejszego parkingu. Co za ludzie! Nie była oczywiście Celiną, która w takich sytuacjach od razu dzwoniła po straż miejską, nie, Dzikka brzydziła się donosami, zwykła sama załatwiać trudne sprawy. Już miała zapukać w okienko, by zwrócić uwagę facetowi, że nie parkuje się na środku chodnika, gdy uświadomiła sobie, że twarz kierowcy jest jej znana. Spał co prawda z otwartymi ustami, więc przez chwilę miała kłopot z identyfikacją, знаła jednak dobrze te gęste siwe włosy, te szczupłe dłonie oparte na kierownicy, ten aparat słuchowy, który przecież kupowali razem. Henryk!

Uśmiechnęła się: zadał sobie pewnie dużo trudu, żeby się dowiedzieć, o której ona chodzi do kościoła. Od razu postanowiła mu przebaczyć, że ostatnio nie miał dla niej czasu. Dzisiejsza poranna, szalona niespodzianka unieważniała wszystkie jego pokrętne wymówki. Odeszła parę kroków, pod drzewo, i stanęła w cieniu, by ponapawać się tą chwilą. Kiedy ktoś po raz ostatni zabrał ją na niezapowiedzianą wycieczkę? W jej świadomości od razu pojawiło się pewne imię, a w ślad za nim łzy w oczach. Nie, nie będzie myśleć o Władysławie, bo tusz jej się rozmaże.

A kościół? Trudno, najwyżej pójdzie na mszę wieczorną. I gdy stała, zadowolona, że przystojniak z aparatem słuchowym postanowił tak miło ją zaskoczyć w niedzielny poranek, ujrzała wychodzącą z bramy Halinę. Przyjaciółka odziana w niechlujną kurtkę i płaskie półbuty, z włosami ledwo muśniętymi grzebieniem, wsiadła do samochodu Henryka jak do swojego.

Trzasnęła drzwiami, chwilę postali, po czym ruszyli w drogę.

Dzikka wciąż stała w cieniu, masując sobie policzek, jakby właśnie dostała w twarz. Dobrze, że nie zapukała w okienko i nie zaczęła się wdzięczyć do Henryka. Łzy znowu postanowiły się wyrwać na wolność i tym razem wcale im nie przeszkadzała. Pal diabli tusz.

Halina nie spodziewała się prędko zobaczyć Henryka po tym, gdy wykrzyczała mu swoje żale, zmiażdżyła jadowitą ironią, po czym zakazała dalszego nachodzenia w domu pod groźbą wezwania policji, w odpowiedzi na co Henryk stwierdził, że pięknie wygląda, gdy się gniewa. Była już bliska zabójstwa w afekcie, ale po pierwsze, rozboleła ją głowa, a po drugie, Henryk wreszcie wyszedł, napomykając jeszcze na progu, że zadzwoni.

Jarcio nie dał znaku życia przez całą sobotę, więc kiedy Henryk zatelefonował wieczorem z pytaniem, czy humor polepszył jej się na tyle, by mogli się przejechać w

niedzielę jego machiną, Halina podjęła trudną decyzję: zgodzi się. Nie dało rady inaczej, gdyż pensjonat U Barbary usytuowany był w takim miejscu, że nie dotarłaby tam ani pociągiem, ani autobusem. Udało jej się znaleźć stronę pensjonatu w Internecie (och, jaka była z siebie dumna), ale wyglądało to ubożuchno: zdjęcie budynku wśród drzew, adres i telefon. Żadnych zachęt, żadnych cen, żadnych atrakcji, żadnych propozycji sposobu dojazdu, a z mapy wynikało, że również żadnego przystanku komunikacji publicznej w pobliżu. Ciekawe, z czego się utrzymywali. I z czego płacili pensję Agnieszce Zaufał, jeśli wnioskowanie Kamili, że matka tam pracuje, było słuszne.

Halina rozważyła różne opcje, po czym wyznała Henrykowi z całą szczerością, że chce go instrumentalnie wykorzystać, na co skwapliwie się zgodził.

Kiedy o poranku w niedzielę wsiadła z nim do samochodu, obolała z niewyspania i zaniepokojona do bólu zniknięciem Jarcia, Henryk zajął jej w twarz, zapachniał wodą kolońską, uśmiechnął się uwodzicielsko lśniąco plastikami i zamachał rękami, które mimo wieku nadal miał całkiem długie. Choć szpakowate.

- Ciao, bellissima.

Dokładnie tyle samo umiał powiedzieć po włosku, gdy ponad pięćdziesiąt lat temu szykował się na wyjazd do Turynu. Ciekawe, czy nauczył się choć słowa więcej, czy też tyle mu wystarczyło, by zaciągać Włoszki do łóżka.

- Witaj, piękna - dodał zaraz, a jej zrobiło się całkiem miło, gdyż od jakichś pięćdziesięciu lat nikt nie wyrażał się z uznaniem o jej urodzie, i całkiem wbrew sobie ona też zamachała rękami, odpowiadając „dzień dobry”.

- Jadłaś śniadanie?

Nie jadła. Nic jej nie chciało wejść w żołądek ściśnięty od potwornego niepokoju. Strach o Jarcia tak ją sparaliżował, że nie była w stanie się zwierzyć ani Dzidce, ani Hani, do której teoretycznie powinna dzwonić z ważniejszymi sprawami dotyczącymi jej syna. Bała się, że obawy się ziszczą, gdy nada im formę słowną.

Henryk prowadził powoli, przeżuając przekleństwa wobec innych użytkowników drogi. Przejechał jakieś dwadzieścia kilometrów, zahamował z rozmachem pod barkiem przy stacji benzynowej i zaprosił ją na śniadanie.

Nie była zwolenniczką jedzenia głównych posiłków w lokalach, zwłaszcza przydrożnych, ale zrobiło jej się przyjemnie, że ktoś o nią tak bardzo dba. Weszli więc. W środku ostro pachniało kawą i mdląco hot dogami, pod ścianami stały stojaki z gazetami, słodyczami i kolorowymi pudełeczkami, które przy bliższym zapoznaniu okazały się przerwykami. Nieco spłoszona Halina podeszła za Henrykiem do stolika. Usiedli. Błat

pachniał płynem do czyszczenia. Obok para młodych, najwyraźniej niewyspanych ludzi, pochylała się nad papierowymi kutasami z kawą. Między nimi leżał poplamiony na czerwono papier po - zdaje się - wielkiej kanapce zjedzonej na pół, co Halinę wzruszyło. Za ladą kiwała się znudzona dziewczyna w firmowej podkoszulce. W oszklonej witrynie obok kasy leżały kanapki i ciastka. Na ich widok żołądek ścisnął się Halinie jeszcze boleśniej. Nie, nie zdoła nic przełknąć.

- Kanapeczkę? Ciasteczko? - zachęcał Henryk.

- Herbatę - zdecydowała. - I może jakąś bułkę - dodała z rozsądku.

- Pani będzie uprzejma podać nam bułkę, herbatę i małą czarną! - huknął w stronę baru. - I dwa pączki.

- Nie ma bułek. Może być ciabatta?

- Bułek nie ma? - zaciętrzewił się Henryk.

- Niech będzie ciabatta - przerwała mu Halina. Miała nadzieję, że nie wyjdzie za drogo.

- Niby dlaczego bułek nie ma? - nie odpuszczał.

- I, bardzo przepraszam, donaty z czym mają być?

- uściślała dziewczyna zza lady. - Mamy z kremem waniliowym albo czekoladowym.

- Jakie donaty? Prosiłem o pączka. Z marmoladą.

- To właściwie też pączki, tylko z dziurką. Na pewno panu zasmakują - zachęcała bez przekonania.

Henryk westchnął ostentacyjnie.

- A szarlotka jest?

- Niestety. Mamy natomiast w ofercie śniadaniowej muffiny i croissanty z morelami lub czekoladą... A na słono minipizza, kanapka z kebabem lub caprese...

- Ja tego jeść nie będę - warknął Henryk i zaczął się uzalać, niby do Haliny, ale tak, żeby słyszeli go wszyscy.

- No i widzisz. Wszystko jakieś obce. Caprese, śmeze. Dlaczego nie ma tu zwykłego, polskiego jedzenia?

Dziewczyna za ladą nie zmieniała beznamiętnego wyrazu twarzy, podrapała się tylko gdzieś w okolicach srebrnego kolczyka w lewym nozdrzu. Halina też chciałaby mieć taką umiejętność dystansowania się od cudzych negatywnych emocji.

- No i co to za bary teraz? Kiedyś to były bary - perorował Henryk. - Kiedyś Polska tętniła życiem. Były cudowne lokale, piękne kobiety - zgromił spojrzeniem dziewczę za ladą - wspomniał ciastka... - Nachylił się do Haliny i powiedział odrobinę ciszej: - Pamiętasz to

wszystko, prawda? A teraz wszędzie czuję się jak na stypie. Smutek.

Z ust pachniało mu nieświeżo. Wydał jej się strasznie stary i biedny, z tymi tęsknotami za dawno minioną świetnością.

- Espresso przedłużone, zapraszam! - krzyknęła dziewczyna zza lady, stawiając na niej kawę. - Przedłużone espresso! - Wpatrywała się w Henryka.

Halina trąciła go.

- Twoja kawa czeka.

- To już nie przynoszą do stolika?

Halina wstała więc i sama przyniosła mu kawę. Speszył się trochę.

- Ależ, Halinko, ja oczekiwałem, że ta panienka mi przyniesie, za to jej chyba płacą.

Miała ochotę uciec.

- Gdzie kultura, pytam. Gdzie? - Henryk rozkręcał się z kolejnymi łykami kawy. - Te kolczyki w nosach... To jedzenie w papierze, podlane sosami. - Skierował karcący wzrok w stronę zaspanej pary. - Te zagraniczne ciastka bez smaku. To kultura? Jaka kultura? Mnie to razi.

Dziewczyna zza lady popatrzyła na nich z kpiną w oczach, nawet zaspana dwójka ze stolika obok poświęciła im opuchnięte spojrzenie. Henryk wydawał się jednak nie rejestrować oznak dezaprobaty, wywodził dalej:

- Tradycja. Tradycja jest bardzo ważna. Choćby ten pączek, szarlotka w przydrożnym barze!

- Pij sobie spokojnie, a ja pójdę się przewietrzyć. - Halina zrejterowała, ale w połowie drogi do drzwi przygwoździł ją głos dziewczyny zza kontuaru.

- Herbata czarna i ciabatta!

Zawróciła więc i posłusznie zabrała herbatę i ciabattę, która okazała się prostokątną, płaską bułką, po czym z niechęcią wróciła do stolika. Zaczęła tłumaczyć Henrykowi, że tak naprawdę niewiele się zmieniło poza nazwami, i chciała przywołać jako przykład ciabattę, ale zrezygnowała, bo wpatrywał się ponuro w blat i chyba jej nie słuchał.

Odżył dopiero, gdy ruszyli, przez co dalszej drodze towarzyszyła jego nieustająca prezentacja poglądów. Halina czuła się, jakby przez pomyłkę wsiadła do samochodu z posłem w trakcie kampanii wyborczej. Nie wchodziła w polemikę, tylko patrzyła przez okno na ponure pejzaże i starała się głęboko oddychać, by przegnać strach o wnuka.

Wreszcie stanęli pod bramą pensjonatu, do którego, według słów Kamili, dwa dni temu zdążył również Jarcio. Wrota były zamknięte na głucho. Cóż, kto w październiku jeździ na Podlasie? Niemożliwe, żeby pracował tu teraz ktokolwiek, a jeśli już, to najwyżej cieć, a

nie księgowa z Warszawy.

I wtedy brama drgnęła, po czym się otworzyła.

Henryk wjechał za bramę i zaparkował na żwirowym placu. Kilkadziesiąt metrów dalej piętrzyło się wielkie domiszcze - sądząc z architektury, produkt lat osiemdziesiątych. Halina nie wysiadała, nagle niepewna, co dalej robić. Obejrzała się na bramę, pomyślała nawet o ucieczce, i wtedy nagle, w polu widzenia, pojawiła się znajoma zwałista postać. Złudzenie? Otworzyła drzwi samochodu, żeby widzieć lepiej. Tak, to on! Wygramoliła się z auta, ruszyła biegiem, poślizgnęła na błocie, przewróciła. Zaklęła. Jarcio spojrzał na nią i zastygł w zadziwieniu.

- Pomożesz babci czy dalej będziesz stał i się gapił?!

- zgromiła go.

Podbiegł posłusznie tych parę kroków, pomógł jej wstać i dopiero się odezwał:

- Babciu, co ty tutaj robisz?!

- Szukam ciebie. Dlaczego nie dzwoniłeś?!

- A powinienem?!

Nie umiała się na niego denerwować, zbyt wielką bowiem była ulgą, że jest żywy i zdrowy.

Trzasnęły drzwi samochodu, a zza jej pleców huknął męski głos.

- Wnuku! Znaleźliśmy cię!

Głowa z nerwów zaczęła jej pulsować, a tętno puściło się w zdyszany sprint.

- To Henryk przywiózł mnie tutaj - wytłumaczyła.

- Martwiłam się o ciebie. Pani Kamila wydzwaniała bez przerwy...

- Brzydko, chłopcze, brzydko - dorzucił Henryk.

- Halinka bardzo się denerwowała.

Jarcio posłał mu szybkie spojrzenie, po czym znowu przeniósł wzrok na nią.

- Henryku, wybaczone, ale są to sprawy rodzinne - zareagowała od razu. - Nasze sprawy rodzinne.

- Ale...

- Pan wybaczone - odezwał się Jarcio. - Chciałbym zamienić słowo z babcią. Na osobności.

Henryk chrząknął, otworzył usta, zamknął, po czym oddalił się w stronę samochodu. Wyglądał na obrażonego.

- Jeśli nie chcesz z nim wracać, ja cię zabiorę. - Jarcio popisał się intuicją. - Już mi naprawili samochód. Jest we wsi.

Popsuty samochód tłumaczył wiele. Ale nie wszystko.

- Telefon też ci się popsuł?

- Nie wziąłem ładowarki. Przepraszam. Zresztą zapomniałem, że znowu powinienem ci się ze wszystkiego tłumaczyć.

Nie pociągnęła wątku.

- Gdzie spałeś? - spytała.

- U chłopca.

- Znalazłeś Zaufał?

- Prawie. Zaraz to załatwię. - Ruszył w stronę budynku.

Nie mogła się na to zgodzić.

- Ja pójdę.

- O nie - zaprotestował. - Dwa dni na to czekałem na tym zabitym dechami odludziu.

No i co z tego?

- Powiedz: kto będzie bardziej wiarygodny? - zaatakowała. - Starsza pani szukająca koleżanki czy młody osiłek szukający starszej pani?

- Wszystko zależy od tego, w jaki sposób młody osiłek zabierze się do szukania. - Jarcio wyraźnie zhardział. - Ale dobrze, idź na pierwszy ogień. Jeżeli ci się nie uda, ja pójdę - zaproponował bezczelnie.

Podeszła jeszcze do samochodu.

- Henryku, mam tutaj coś do załatwienia. To może potrwać. - Uśmiechnęła się najmilej, jak umiała. - Nie czekaj na mnie, wrócę do Warszawy z Jarcim.

- Tak, rozumiem, kierowca zrobił swoje, kierowca może odejść.

Chrzążąc, wyjął gazetę ze schowka i schował się za nią. Nawet nie chciała patrzeć, co to za tytuł.

W holu pachniało kapustą i środkami dezynfekcyjnymi. Zgromadziły się tutaj głównie starszki, z balkonikami, laskami i bez ortopedycznych pomocy; siwe i farbowane, chude i okrągłe, jedno je łączyło: wyraz oczekiwania na twarzach. Niektóre plątały się po holu, inne stały z twarzami przyklejonymi do szyb w drzwiach wejściowych, wpatrzone w podjazd.

Gdy Halina weszła do środka, obrzuciły ją pełnymi nadziei spojrzeniami, które jednak szybko wyewoluowały w rozczarowanie. I nagle zrozumiała: to wcale nie jest pensjonat, tylko dom starców. Przeszedł ją dreszcz.

Zapukała do gabinetu („Barbara Sadzik, prezes” głosiła tabliczka na drzwiach) i nie doczekawszy się „proszę”, weszła do środka.

Pani Sadzik miała koło pięćdziesięciu lat, lekką nadwagę i rozbiegane oczka, które

bez powodzenia próbowała uszlachetnić mocno wytuszowanymi rzęsami. Halina od razu ją znieubiła.

- Dzień dobry - wymamrotała od progu.

Wobec tego rekina z rzęsami najbardziej efektywna będzie strategia na bezbronną. Zgarbiła się zatem, skuliła, spuściła głowę.

Pani Sadzik otaksowała ją spojrzeniem i wyemitowała uśmiech.

- Dzień dobry. Pani w sprawie miejsca? Na razie nic nie mamy. Ale proszę się dowiadywać.

Halina się przeraziła.

- Miejsce? - wyjąkała.

- Cóż, z tym jest problem. Chętnych zawsze więcej niż naszych możliwości. Pani stan zdrowia?

- Dobry.

- Cukrzyca, choroby wątroby, nerek? - Nie.

- Schorzenia kręgosłupa, nowotwory, niedowłady?

- Nie. - Halina wzdrygnęła się.

- I całe szczęście. Oto nasz folder, tutaj, na dole ma pani numer telefonu. Pokoje trzyosobowe, jeden węzeł sanitarny na trzy pokoje, domowe posiłki, wykwalifikowana pielęgniarka, lekarz na telefon, serdeczna opieka, zdrowe powietrze, ogród do spacerów.

Jeden węzeł sanitarny na dziewięć osób? Nic dziwnego, że działają nielegalnie.

- A... cena?

- Najtaniej w okolicy, tysiąc czterysta złotych miesięcznie. Z zastrzeżeniem, że za leki i pampersy płaci się dodatkowo.

- Ja... - zająknęła się Halina. - Tak, wezmę wizytówkę. Chciałam jeszcze spytać... Bo słyszałam, że przebywa tu moja dawna koleżanka...

- Nazwisko?

- Agnieszka Zaufał.

Kierowniczka spojrzała na nią uważnie.

- Proszę pani - powiedziała głośno i wyraźnie. - Pani Zaufał nie jest pensjonariuszką naszego domu. Ona tutaj pracuje.

Bingo! Zaufał odnaleziona!

- Coś takiego - zdziwiła się Halina. - Musiałam ją źle zrozumieć. Bo o pisała stąd do mnie, dzwoniła, ale zagubiłam adres i w dodatku telefon, wie pani, jak to jest w tym wieku. Tylko nazwę tego miejsca zapamiętałam.

- Nikogo w biurze dzisiaj nie ma - stwierdziła Barbara Sadzik. - Niedziela.

- Ojej, a ja tak długo jechałam - zmartwiła się Halina. - Ale ma pani na pewno jakiś kontakt do Agnieszki? Bardzo by mi to ułatwiło życie.

Cała była błaganiem, a jej błękitne oczy wpatrywały się w panią prezes tak, że i skałę by zmięczyły. Ale bez rezultatu.

- Danych pracowników nie udostępniamy. Sama pani rozumie: ochrona danych osobowych.

Na prowincję też dotarła ta zaraza? - zdenerwowała się Halina, ale powiedziała tylko: - Zaręczam, że Agnieszka nie będzie miała nic przeciwko temu.

Pani Barbara przypatrzyła się jej uważnie, Halina odwzajemniła spojrzenie - szczerze i błękitnie.

- Mogę jednak coś dla pani zrobić - odparła prezeska. - Zadzwoń do Agnieszki Zaufał i poproszę, żeby to ona się do pani odezwała. Nazwisko pani?

Halina spojrzała w okno w poszukiwaniu natchnienia.

- Joanna Wereda - wpadła na pomysł. Przecież Zaufał z Weredą znały się na pewno.

Pani Barbara wystukała numer, wyłuszczyła sprawę, po czym, wysłuchawszy drugiej strony, zmieniła się na twarzy i zaczęła tłumaczyć:

-...Nie wiem. Mówi, że dzwoniła pani do niej. I pisała... Nie?... Oczywiście, że nikomu... Proszę się nie niepokoić. Do jutra, pani Agnieszko.

Odłożyła telefon i wlepiła twarde spojrzenie w Halinę.

- Czegoś nie rozumiem. Agnieszka Zaufał zaprzecza, jakoby wysyłała do pani kartkę lub dzwoniła.

- Niemożliwe - obruszyła się Halina. - Oczywiście, że się ze mną kontaktowała. Bo skąd bym wiedziała, że tutaj pracuje?

- Właśnie o to chodzi... Pani Agnieszka bardzo się dziwi, skąd zna pani adres naszego ośrodka, i bardzo prosi, by nie podawać jej danych osobowych. Muszę więc panią prosić o opuszczenie naszego pensjonatu.

Halina nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Westchnęła i nie wdając się w wyjaśnienia, przeprosiła za roztargnienie. Wyszła z biura odprowadzana podejrzliwym spojrzeniem Barbary Sadzik.

Zimno było i wilgotno, za wilgotno, uznał Jaro, by się gdzieś na murku, za zimno, by długo dało się wytrzymać, przestępując z nogi na nogę w łysiejącym ogrodzie. Henryk popatrywał na niego z samochodu, w pewnym momencie nawet otworzył drzwi po stronie pasażera, co ostatecznie Jarka spłoszyło. Umknął więc tam, dokąd autem podjechać się nie

dało, czyli do ośrodka. Na schodach jeszcze się obejrzał. Henryk właśnie wysiadał z samochodu, wpatrując się w niego z oczekiwaniem. Jaro nacisnął klamkę i wszedł do holu pełnego osób jeszcze starszych i bardziej bezbronnych niż jego babcia. Jej samej nigdzie nie było widać. W dyżurce siedziała niemłoda kobieta. Spytał o Agnieszkę Zaufał.

- Biuro dzisiaj zamknięte - odpowiedziała.

- Czyli jednak tutaj pracuje? Wzruszyła ramionami.

- Dzisiaj nie, przecież mówię.

- Mógłbym się z nią jakoś skontaktować?

- A to już do szefowej niech pan idzie. Tylko na razie zajęta. Pan poczeka.

Staął z boku.

- Pawelek? - zagadała jakaś łysawa pani z trzęsącą się głową.

- Niestety nie. - Jaro błysnął uśmiechem.

- Pawelku, dlaczego tak rzadko do mnie przyjeżdżasz? - Kobieta zaglądała mu w oczy i muskała drżącą dłonią jego podbródek.

Jarkowi zrobiło się strasznie przykro.

- Julcia, Julcia, dajże panu spokój. Paweł przyjedzie, pisał, że przyjedzie. Za tydzień - odezwał się głos, który Jaro skądś znał. Odwrócił się. Metalowy wózek z wazami zupy i stosami talerzami sunął korytarzem. Nie sam jednak: popychała go mała postać z wielkim biustem.

- A samochód, słyszałam, już pan naprawił - odezwała się i dopiero wtedy Jaro przypomniał sobie: to pani kuchenkowa, którą dwa dni temu spotkał w lesie. - Dobrzy u nas fachowcy, prawda?

- Ano prawda. I dużo taniej wzięli niż w Warszawie.

- Znalazł pan teściową?

- Przyszłą teściową - sprostował. - Cóż, mam kłopot. Tyle dobrego, że już wiem: pracuje tutaj. Gorzej, że dzisiaj jej nie ma w pracy. Trudno się dziwić, niedziela. A narzeczona mi płacze przez telefon: znajdź mamę, jaka byłam głupia, jak mogłam.

Kuchenkowa brzęknęła garnkami. Pociągnął nosem.

- Ogórkowa? Nieźle pachnie.

- Nieduży mamy wsad do kotła, ale robię, co mogę.

- Na skrzydełkach? - Babcia wszystkie zupy robiła na skrzydełkach.

- Tak. Mało śmietany dałam, to kwaśniejsza. - Nachyliła się do niego. - Kiedy ten ślub?

- W święta. Mało czasu zostało. Ale może szefowa coś mi powie.

Kobieta przeżuwała jakąś myśl.

- E, ona nic nie powie.

- Spróbuję. - Jaro się uśmiechnął. - Nic nie mam do stracenia.

- A pewnie. Próbować zawsze trzeba. - Kuchenkowa przeniosła wzrok z jego uśmiechu na wózek. Stęknęła, próbując go ruszyć z miejsca.

- Najgorzej zacząć - westchnęła. - Potem jakoś idzie.

Jaro popchnął z drugiej strony.

- Strasznie ciężki. - Spojrzał z podziwem na kobietę. - Dokąd go zawieźć?

- Do jadalni, będę talerze rozstawiać.

Szli obok siebie korytarzem i pchali brzęczący pojazd. Z jednej strony szare drzwi pokoi, z drugiej okna, a za nimi też szarość. Coraz silniejszy zapach moczu.

- Ta pani z Warszawy mieszka tam - nieoczekiwanie odezwała się kuchenkowa i machnęła ręką w stronę ponurych popegeerowskich bloków majających na horyzoncie. - Ona zawsze taka smutna. Przepróście ją ładnie, zaproście na ślub i szanujcie matkę od tej pory.

- Dziękuję. - Obdarzył ją jeszcze jednym uśmiechem, dopchał wózek do jadalni i z ulgą umknął na dwór.

Samochód Henryka („dziadka Henryka” pomyślał z obrzydzeniem) stał gdzie poprzednio. Starszy pan spał na siedzeniu kierowcy, odchyliwszy głowę na oparcie, i prezentował światu wnętrze swoich ust. Babci nie było. Jaro naskrobał pospiesznie karteczkę, przykleił ją do wilgotnej szyby od strony pasażera, dla pewności wsunął kolejną, identycznej treści, pod wycieraczkę, i ruszył w stronę bramy. Nagle zaczęło mu zależeć, żeby zdążyć do Agnieszki Zaufał jeszcze przed babcią Halinką.

Brnął w błocie, a podeszwy jego traperek kłaskały uporczywie. Nie zwracał na to uwagi, bo napawał się nowym uczuciem: zadowoleniem z siebie. Zaraz domknie kolejną sprawę, odnosząc kolejny sukces. Kolejny sukces, a co? Nie znalazł Tymoteusza? Znalazł. I mamę Kamili też już prawie znalazł.

Popegeerowskie bloki stały przy gruntowej drodze, oba trzypiętrowe, ni wiejskie, ni miejskie, otoczone ogródkami warzywnymi, teraz, w październiku, pełnymi jesiennych kwiatów. Wnęki balkonowe tworzyły mozaikę wymalowanych ścian i ozdabianych na różne sposoby barierki balkonowych. Z przodu bawiły się zasmarkane dzieci, z lewej przemykała zgarbiona babina w chustce, z prawej kot lizał sobie zadek, no istna Konopnicka. Jaro podszedł do babiny, żeby spytać, gdzie mieszka pani z Warszawy, ale kobiecina spojrzała na niego spode łba i bez słowa umknęła. Gdy zbierał siły, by zagadać do gapiących się na niego

zasmarkańców, nadeszła wystrojona - zapewne wracali z kościoła - rodzina: ojciec, matka oraz trójka uczesanych i eleganckich dzieci. Spytał.

- Zaufał? - Matka się zadumała. - To ta nowa z miasta?

- Z Warszawy - zgodził się Jaro. - Moja ciocia.

- Na trzecim mieszka, po babci Soszyńskiej.

- Na trzecim, a mieszkania ile?

- A ile tam tych mieszkań? Dwa są, to w tym po lewej.

Jaro już dawno nie wchodził do bloku, w którym nie ma domofonu. Co wiele mówiło i o blokach, do których wchodził poprzednio, i o bloku, w którym znalazł się teraz. Na schodach tłoczyły się dzieci wpatrzone w grę elektroniczną trzymaną przez jedno z nich. Między smarkaczami stały liczne donice z większymi i mniejszymi roślinami. Jaro, przemykając między chudymi tyłkami i okazałymi donicami, dotarł wreszcie na trzecie i nacisnął guzik dzwonka. Nic. Cisza.

Przypomniał sobie inne drzwi, pod którymi stał tak niedawno, bezskutecznie naciskając dzwonek. Przemógł się i złapał za klamkę. Te drzwi były jednak zamknięte na klucz.

- Sąsiadka wyszła - zagadała pani z mieszkania obok. - Dziwne to trochę, bo normalnie całą niedzielę siedzi w domu.

- Mówimy o Agnieszce Zaufał? - upewnił się Jaro.

- To pan nie wiesz, do kogo pukasz?

- Dawno wyszła?

- A przed chwilą. Ciekawe dokąd, tak przy niedzieli. Przedtem tłukła kotlet. Dziwne, że nie usmażyła, tylko wyszła.

Takie akustyczne ściany to przekleństwo, wszyscy wiedzą również, czy sika zdrowym strumieniem i kiedy bierze prysznic.

Co miał robić? Poczeka, przecież - skoro szykowała obiad - nie mogła odejść daleko, prawda? Usiadł na schodach. I nagle się poderwał. Jeśli wyszła przed chwilą, musiał ją minąć. Babina w chustce! Wybiegł z bloku, rozejrzał się. Okutana postać majaczyła gdzieś na horyzoncie, oddalając się we wcale nie babinkowym tempie. Jaro ruszył biegiem. Babina obejrzała się na niego. Pomachał do niej. Przyspieszyła kroku. On też. Szybko się zasapał, w płucach zabrakło oddechu, w ustach śliny, łydki paliły żywym ogniem. Niełatwo biegło się w ciężkich butach, tym cięższych, że w bieżnikach tkwiło ze dwa kilogramy błota. Z satysfakcją jednak zauważył, że odległość pomiędzy nimi się zmniejsza.

Agnieszka Zaufał, jeśli to była ona, odwróciwszy się po raz kolejny, też zdała sobie

sprawę z malejącego dystansu. I nagle, nieoczekiwanie, skręciła w bok, dała susa przez rów i zniknęła mu z oczu między krzakami. Poczul rozpacz, że wszystko na próżno, i ulgę, że wreszcie będzie mógł przystanąć i nabrać tchu. Nabral i wbrew sobie postanowił iść dalej.

Całe szczęście, bo po chwili zobaczył, że kobieta poślizgnęła się i upadła po drugiej stronie rowu. Chusta zsunęła jej się z głowy, ukazując krótkie żółte włosy. Zanim się wygrzebała i wstała, Jaro był już przy niej. Wyciągnął rękę, by jej pomóc wstać, ale ona nieoczekiwanie uchyliła się, jak przed uderzeniem.

- Dzień dobry, Jarosław Trzaskowski. Pani Agnieszka Zaufał?

- Jednak dała wam mój adres? - odezwała się zduszonym głosem.

- Kto? Kamila?

- Skąd znasz moją córkę?! - Wreszcie pozbierała się z ziemi i z nagłą odwagą (desperacją?) spojrzała mu w oczy.

Jej szare tęczy, a zwłaszcza czerwona obwódka, z której wyrastały rzadkie, bladawe rzęsy, czyniły ją pomarszczoną karykaturą Kamili. Chusta, wcześniej osłaniająca głowę, zsunęła się na ramiona. Kobieta wyglądała starzej niż na zdjęciu.

- Córka bardzo się martwi o panią.

- Gdzie ona jest?!

- Kamila?

- Wereda! Przecież tutaj też węszyła, prawda?

- Wereda?! - zdziwił się Jarcio.

- Nie udawaj głupiego. Mów. - Ciągle nie rozumiał, skąd w niej ta zaczepna desperacja.

- Przysłała mnie pani córka. Wynajęła mnie, żebym panią znalazł. Jestem prywatnym detektywem. - Wyciągnął wizytówkę.

- To dlaczego dzwoniли do mnie przed chwilą z pracy, że szuka mnie Joanna Wereda?

Działo się tutaj coś dziwnego.

- Nie wiem - odpowiedział. Czyżby babcia coś nakłamała w pensjonacie?

- Pani Barbara dała wam mój adres?

- Nie znam żadnej pani Barbary. - Dobitnie akcentował każde słowo, patrząc jej szczerze w oczy. - Adresu pensjonatu domyśliliśmy się razem z Kamilą, analizując pani przelewy na konto.

Na szczęście przypomniało mu się, że wziął wydruki. Obejrzała je nieufnie.

- A skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? Nikomu nie mówiłam.

- Pani z kuchni wiedziała. To znaczy wiedziała, dokąd pani chodzi po pracy, a resztę

już powiedzieli sąsiedzi.

- Paskudni plotkarze. No to znalazłeś mnie. Rób, co masz robić. Moja córka o niczym nie wie, nie mówiłam jej ani słowa. Daj mi tylko do niej przedtem zadzwonić.

- Przedtem? - zdziwił się Jarcio.

Zupełnie jakby występował w dziwacznej sztuce, w której ni w ząb nie potrafił zrozumieć pokrętnego zamysłu reżysera.

Henryk wyglądał paskudnie, gdy spał z otwartymi ustami. Halina popatrzyła na niego przez szybę, szukając w jego obwisłych rysach urody tamtego plotkarza, któremu dała się uwieść tak dawno, że właściwie już nic nie pamiętała.

Szare niebo pociło się przenikliwą mżawką, ale Halinie wcale się nie chciało wsiadać do samochodu, gdzie Henryk z rozwartej skarbony ust wypuszczał przy każdym oddechu mgiełkę pary wodnej. Rozejrzała się. Przez zasłonę drobnych kropelek widziała całkiem przyjemny, choć nieco zapuszczony ogród dookoła pensjonatu, żwir podjazdu i obumarłe resztki liści na drzewach, a nawet kota włóczącego się pośród opadłej na badyle jesiennej mgły. Tylko Jarcio nie pojawiał się w zasięgu wzroku. A tego gdzie zaniósł? Jej wnuk przejawiał ostatnio cudowny talent do znikania.

Na bocznej szybie przylepiła się jakaś wilgotna kartka, drugi rozmoczony zwitek widniał za wycieraczką. Niemożliwe, żeby również na wsi roznosili ulotki agencji towarzyskich. Wyjęła kartkę spod wycieraczki. Wilgotny papier rozdarł się, więc ostrożnie, by uniknąć dalszych uszkodzeń, rozłożyła ją na dłoni, a mżawka błyskawicznie przypląszczyła ją do skóry.

„Babciu, poszedłem po Agnieszkę Zaufał, tu niedaleko. Będę za jakiś czas, jak chcecie, to czekajcie. Najwyżej wrócę sam”.

To musiał być błąd, bo jakim cudem wnuk znalazłby kobietę, której ona szukała bez powodzenia przez tyle czasu?

I nagle poczuła, że powietrze pachnie butwiejącymi liśćmi i ogólną beznadzieją. W samochodzie Henryk z rozwartymi ustami; gdzieś za bramą Jarcio, który wyprawia nie wiadomo co i nie wiadomo z kim, zaparkowawszy samochód Kamili nie wiadomo gdzie; a za plecami dom starców, w jakim może i ona kiedyś wyląduje.

Coś od tyłu zapukało w szybę. Odwróciła się. To Henryk przybliżył twarz do okienka samochodowego i robił dziwny grymas, stukając w okno. A temu o co chodzi? Otworzyła drzwi. Henryk przestał się krzywić, odchrząknął, raz i drugi.

- A gdzie się podział nasz wnuk?

- Jest na tropie - odpowiedziała.

- Czekamy na niego?

- Oczywiście.

Nie chciało jej się wcale wchodzić do środka.

- Wracaj, tu cieplej - zaprosił Henryk i nawet spróbował się uśmiechnąć. Teraz byłoby już niegrzecznie pozostawać na zewnątrz.

Wgramoliła się więc do samochodu, gdzie było prawie tak samo wilgotno, jak na zewnątrz i - nie wiedzieć czemu - pachniało nie tylko jego wodą kolońską, ale i mokrym psem. Zziębnięte mięśnie ledwie jej słuchały.

- Wypałeś się? - zagadnęła.

- Wcale nie spałem - oburzył się i włączył silnik.

- Mówiłam, że czekamy - zaprotestowała.

- Chcę trochę nagrzać, zimno się zrobiło. Cała się trzęsiesz.

Spojrzał na nią z troską, więc odwróciła się od niego; wlepiła oczy w boczną szybę, by wypatrywać Jarcia, i po chwili kątem oka złapała swoje odbicie w lusterku bocznym. Nie, nic z tego. Nie chce skończyć jak te staruchy o głodnych oczach i z nosami rozplaszczonymi na szklanej szybie drzwi wejściowych, wypatrujące jak mesjaszy samochodów na zwirowym podjeździe.

- Henryku, jedziemy - zdecydowała.

- A nasz wnuk?

- Jarcio ma własne życie. A my własne.

- My? - ucieszył się Henryk.

- Ja mam własne. I ty też powinieneś mieć. Jarcio już mnie nie potrzebuje. A co dopiero ciebie, starszego pana, który jeszcze parę dni temu był mu zupełnie obcy.

- Halinko, a ty mnie potrzebujesz?

- Teraz nawet bardzo. Żebyś dowiózł nas bezpiecznie do domu. I powiedz, ile jestem ci winna za benzynę.

Zacisnął usta i włączył silnik. Cóż, za mało mają już czasu, by się karmić grzecznościowymi kłamstwami. Ruszyli.

Agnieszka Zaufał nie chciała wyjść z lasu, przeciwnie, kazała Jarkowi wejść głębiej w zarośla, nie bacząc, że jego buty nie nadają się do brodzenia po mokrej trawie. Spojrzał z zazdrością na jej gumofilce.

- Były pierwszą rzeczą, jaką sobie tutaj kupiłam - wyjaśniła. - Bez tego na wsi ani rusz.

Wydała mu się bardziej rozluźniona niż przed chwilą, ale wciąż lęklwym wzrokiem

patrowała okolicę. Nieoczekiwanie znowu przeszła na pan.

- Ma pan telefon komórkowy?

- Mam, ale...

- Ma pan tam wgrany numer do mojej córki? Proszę do niej zadzwonić i podać mi aparat. Niech potwierdzi, że pana wynajęła.

- Właśnie zacząłem mówić, że co prawda mam telefon, ale wyładowany. Zapomniałem ładowarki z Warszawy.

- Bardzo wygodne - stwierdziła zgryźliwie i znowu się skuliła. Nos miała czerwony z zimna mimo gumofilców. - Niech pan pokaże ten telefon.

Obejrzała, sprawdziła, że faktycznie - wyładowany.

- A ta starsza pani, która wypytywała o mnie moją szefową?

- Dzisiaj?

- Z pół godziny temu.

- To musiała być moja babcia.

- Joanna Wereda? Zdziwił się.

- Nie, Halina Baładanowicz.

- Powiedziała, że nazywa się Wereda - cisnęła kobieta.

- Nie wiem, dlaczego przedstawiła się cudzym nazwiskiem.

Zaufał nie odpowiedziała, zamyśliła się, zapadła w sobie.

- Ale przecież zna pani moją babcię? To ona kazała pani szukać.

- Mówił pan, że moja córka. - I znowu strach w jej głosie.

Już od jakiegoś czasu czuł, jak wilgotny, zimnawy wiatr penetruje okolicę jego nerek, pokonawszy wątpliwą barierę krótkiej kurtki.

- Obie mi to zleciły. Najpierw Kamila, parę dni potem babcia. „Zaginęła nasza jedna znajoma” - tak powiedziała.

- Mówił pan, że jak? Halina Baładanowicz? Nie znam. - Zamyśliła się. - Ale może chodzi na Uniwersytet Trzeciego Wieku?

- Chyba ostatnio nawet tak.

- Który?

- Nie wiem. A jest kilka?

W gardle go drapało, w nosie zbierała się wilgoć. Przez to całe śledztwo będzie chory, jak nic.

- A zna pan Joannę Weredę?

- Znam. Przeraziła się.

- A jednak. Skąd?

Streścił pokrótce powieść o odnalezieniu ciała Tymoteusza.

- Nie żył, na pewno? - zadała dziwne pytanie.

- Tak. I to od dłuższego czasu.

- Co wykazało śledztwo?

- O ile wiem, na razie nic. - Tyle wiedział od Ilony, której, jako byłej żonie denata, raz na jakiś czas udzielano informacji o postępie prac policji. - Motyw rabunkowy.

- Żadnych podejrzanych?

- Aż tak szczegółowych informacji nie podają.

- Jak... - przełknęła ślinę - on wyglądał? Kolejne dziwne pytanie.

- Po śmierci? - zdenerwował się Jaro. - Pani wybaczy, daleki jestem od podniecania się takimi widokami.

- Znałam go, dlatego pytam.

Oczy miała wilgotne, jak Kamila. Ciekawe, czy mała Florka też będzie tak co chwila łzawić?

- Skąd pani знаła Tymoteusza? - skojarzył nagle. Nie odpowiedziała.

- A Wereda? Co zrobiła, gdy znalazła ciało?

- Kazała mi dzwonić na policję. Była wstrząśnięta.

- Płakała?

Poszukał w pamięci.

- Nie, chyba nie.

- Potem się z panem kontaktowała?

- Nie. Ale moja babcia się z nią zaprzyjaźniła.

- No to w jaki sposób w tym wszystkim znalazła się moja córka?

Jaro opowiedział całą historię. Kobieta wpatrywała się w niego badawczo, jakby chcąc się upewnić, czy mówi prawdę. Nie unikał jej wzroku. Z każdym jego słowem zdawała się rozluźniać.

- Pani wie, co Kamila przeżyła, nie mając pojęcia, co się z panią stało? - Tego nie umiał sobie odmówić na zakończenie.

- Ale przeżyła - odparła Agnieszka Zaufał i zamilkła z wyrazem rozpacz na twarzy. Jej żółte, brzydkie włosy sterczały bezradnie.

- Przed kim się pani chowa?

Nie odpowiedziała.

- Czy pani coś grozi? Proszę pozwolić sobie pomóc. Odezwała się dopiero po dłuższej

chwili.

- Co mnie podkusiło, żeby wysyłać jej te przelewy? Chciałam tylko pamiętać o urodzinach wnusi...

- Pani Agnieszko, nie ma sytuacji bez wyjścia. Zaszczute spojrzenie kobiety przeczyło jego słowom. Usłyszeli nadjeżdżający samochód, pani Agnieszka zgarbiła się, naciągnęła chustę na głowę, zmieniając się znowu w wiejską babinkę. Samochód przejechał, ale ona wciąż rozglądała się podejrzliwie.

Ilona spędzała długie godziny przed komputerem, logując się jako leknażycie. Bez skutku. Ciupelek przez ostatnie dni w ogóle nie pokazywała się na forach. Co ona zatem robi, skoro prawie nie wychodzi ze swojego pokoju?! Ilona zaglądała tam raz na jakiś czas, a to z orzeszkami, a to z kanapką, ale młoda albo leżała, słuchając muzyki, albo pochylała się nad książką (podręcznikiem?). Odpowiadała półsłówkami, nie patrzyła w oczy, no rozpacz. I wreszcie, tej niedzieli, udało się! Z boku ekranu zamigał znajomy nick. Ilona poczuła, że krew zaczyna w niej krążyć odrobinę żywiej.

„Obraziłaś się?” - odezwała się od razu. „Tak długo cię nie było”.

Ciupelek: „Niepotrzebnie tyle ci gadałam”.

Gadałam? Widzieli się z Jarkiem? Niemożliwe, musiało chodzić o ten cholerny czat. Boże, byle się nie sypnąć, byle dać radę.

Leknażycie: „Zawsze potrzebnie. Warto się dzielić tym, co nas boli”.

I zaraz pomyślała, że popisała się wyjątkowo pustą matczyną gadką.

„Zapiszę to sobie” - zakpiła Ciupelek.

Leknażycie: „Chcę ci pomóc”.

„Chyba nie można mi pomóc. Zło już się stało”.

Leknażycie: „Ale chodzisz z poczuciem winy. To bardzo nietwórcze uczucie. Niszczy”.

„Tak chyba się ma, gdy się kogoś zabije”.

Leknażycie: „Nie zabiłaś nikogo. A czy on zabił, warto by sprawdzić”.

„I jak to sprawdzisz?”

Leknażycie: „Daj mi na niego namiary, a ja już sobie poradzę”. „Z policji jesteś?”.

Leknażycie: „Nie lubię patrzeć, jak dziewczyna się męczy”.

Ciupelek: „To nie patrz”. I cisza. Co źle poszło?

Zaszurało krzesło w pokoju córki. Huknęły drzwi łazienki. Jasia zniknęła w toalecie.

Leknażycie: „Daj sobie pomóc. Proszę”.

Jasia trzasnęła deską sedesową, potem drzwiami ubikacji, w końcu drzwiami do

swojego pokoju. Jeszcze hurgot krzesła i zapadła cisza. Na gadu gadu też. Odezwij się, córuś, odezwij!

Ciupelek wreszcie napisała: „Co ci tak zależy?”

Ilona szukała właściwych słów, ale nie znajdowała żadnych, bo jedyne właściwe, czyli „bo jestem twoją mamą”, nie powinny być tutaj wypowiedziane.

„Zaufałam tamtemu, zaufam i tobie. Już bardziej chyba nie mogę spieprzyć sobie życia” - odważyła się Ciupelek. „Nie wiem, co mam robić, nie śpię po nocach, zastanawiam się, jak mogłam zabić kogokolwiek, nawet tak podłego, jak mojego ojca”.

Leknażycie: „Nie zabiłaś go. Byłaś po prostu nierozsądna”.

I krok po kroku zaczęły się zastanawiać nad MrCrabbem. Skąd się wziął, czy krążył tam przypadkiem, czy celowo namierzał dziewczyny w depresji, by z nich ciągnąć jakieś korzyści finansowe. Ilona forsowała teorię, że MrCrabb od początku manipulował Ciupelkiem. Jej córka najpierw odrzuciła tę wersję, ale potem już nie była taka pewna.

„Nie jesteś Czerwonym Kapturkiem, możesz się bronić” - wpadła na pomysł Ilona. „Zdemaskujmy go, żeby już nigdy nikomu nie zrobił krzywdy”.

„Umiesz udawać?” - spytała Ciupelek. „Bo ja średnio”.

Leknażycie: „Postaram się”.

No i zaczęła się starać. Nick, żeby przywabić drania? Nic szczególnie ambitnego, może na przykład: Smutna. Dziewczyny w tym wieku często potrzebują pomocy. Problem? Matka? Nie, lepiej babcia, podła babcia, która nie daje kasy, bo chce dziewczynę wysłać do technikum krawieckiego, a nie do liceum plastycznego, o którym marzy nasza Smutna. Babcia ma pełną szafę jakiejś starej biżuterii, aż ciężkiej od złota i kolorowych kamieni, które wyniosła jej z kolei babka z carskiej Rosji. Jeden taki pierścionek mógłby opłacić Smutnej liceum, a naszyjnik - studia na ASP. Tymczasem babcia śpi na złocie, a wnuczkę posyła do pracy. Jako pomywaczkę w pizzerii.

Ilona streściła opowieść Ciupelkowi, która skomentowała: „Za dużo chyba bajek czytałeś ostatnio. Widzę wyraźny wpływ Kopciuszka”.

„To co, wymyślić coś innego?”.

Ciupelek: „Czy ja wiem? Nie, możesz z tym spróbować”.

No i Ilona spróbowała. Na forum „Depresja i depresanci” podpisywała się do różnych wątków, objawiając po trochu swój problem. Dobre rady zaczęły się pojawiać szybko, co znaczyło, że historia jednak chwyciła. Ilona czytała wszystko uważnie, szukała znaku, że oto odezwał się MrCrabb, we własnej osobie lub przebrany w cudze szatki, MrCrabb polujący na złoto jej wymyślonej babki. Nic. Znowu więc napisała do Jasi:

Leknażycie: „Ciupelek, widzisz tu kogoś, kto by podchodził pod Crabba?”.

I znowu milczenie. Po chwili Ciupelek zamiast odpowiedzi zamieściła szczerą do bólu prośbę wprost na forum:

„Crabby, potrzebuję cię pilnie. Odezwij się. Przysięgam, że nie chcę ci narobić kłopotów. Ale musimy chyba sobie coś wyjaśnić, prawda?”.

Leknażycie: „Ciupelku, co ty robisz?!?! Przecież nie tak się umawialiśmy”.

Ciupelek: „Na razie, właśnie się do mnie odezwał. Nareszcie. CU”.

Czyli do zobaczenia.

I zapadła internetowa cisza.

Ilona zerwała się z krzesła i wpadła do pokoju córki. Jaśka aż podskoczyła, zamknęła laptopa i odwróciła się do matki.

- Pali się? - spytała lekko wystraszona.

- Nie, ja tylko chciałam... Chciałam cię poprosić, żebyś skoczyła do sklepu.

Jasia wpatrzyła się w nią z przerażeniem.

- A od kiedy wpadamy do siebie z przytupem i bez pukania?

- Sama nie wiem, co mnie napadło.

- To zrób mi listę zakupów. Skończę i pójdę. Odwróciła się do komputera. Ilona zmartwiała w progu.

- Coś jeszcze? - spytała Jasia.

Wylać jej herbatę na klawiaturę? Zemdlec w progu? Użyć paralizatora elektrycznego?

Ba, gdyby go tylko miała... - Jasiu...

Córka już otwierała laptopa, już naciskała spację, by ożył monitor.

- Nie pisz do niego!

- Słucham?! - Jasia odwróciła się do niej.

- Nie pisz do niego, nie spotykaj się z nim, on ci zrobi krzywdę! - Każde słowo Ilony miało temperaturę wrzenia.

- Kto?

- Morderca!

- A ty skąd o nim wiesz? Skąd wiesz, do kogo ja piszę?

I wtedy Jasia wybiegła z pokoju, wymijając Ilonę, jakby była meblem. Dopadła komputera matki i wpatrywała się z niedowierzaniem w monitor.

- Leknażycie to ty? - spytała dziwnym głosem.

- Boże, oszukiwałaś mnie przez ten cały czas?

Jasia patrzyła na nią oczami stanowczo zbyt podobnymi do oczu Tymoteusza. „To dla

twojego dobra

- chciała się tłumaczyć Ilona. - Chcę cię chronić, chcę przyskrzytnić gościa, wsadzić go do więzienia na dożywocie, żebyś już zawsze była bezpieczna, żebyś wreszcie przestała myśleć, że to ty jesteś winna. Nie rozumiesz?!".

- Oszukiwałaś mnie? To ty? Te wszystkie pytania? Te wymyślone zwierzenia? - Jasia zmiotła z biurka książki, które huknęły o podłogę, co błyskawicznie przywołało do pokoju Wero, zaciekawioną i przestraszoną jednocześnie. - Niezła jesteś, naprawdę. Prawie ci uwierzyłam.

Jasia spojrzała na Wero.

- Ciebie też mama uczyła, że nie wolno kłamać? Bo wtedy ludzie przestają nam ufać? Że lepsza niewygodna prawda niż wygodne kłamstwo? Pamiętasz, Wero, takie nauki?

- Jasiu, proszę cię, przestań! - krzyknęła Ilona, a Wero przywarła do niej. - To nie tak. Chciałam cię chronić!

- Rozumiem, to nam nie wolno kłamać, u ciebie natomiast cel uświęca środki.

Ilona chciała schować się gdzieś głęboko, razem z dzieckiem, z dziećmi, żeby je ochronić przed złem tego świata, przed tym mordercą.

- Jasiu, błagam cię, nie podawaj mu żadnych swoich danych, nazwiska, adresu, nie umawiaj się z nim! On cię zabije - wyrwało się jej. Trochę za późno pomyślała, że słucha tego również Wero, która ścisnęła ją rozpaczliwie w pasie i zaczęła łkać.

- Mamo, obroń Jaśkę! Obroń ją!

- Nie potrzebuję obrony. - Jasia się pastwiła. - Ależ ty jesteś naiwna, mamo.

- Jasia, on naprawdę nas zabije? - łkała Wero.

- Nie zabije. Jakby chciał, już by to zrobił. Myślisz, że to tak trudno znaleźć córkę faceta, którego imię, nazwisko i adres się zna? - Jaśka wściekła wyszła z pokoju.

Zanim Ilona utuliła Wero i wyplątała się z jej objęć, usłyszała stuk drzwi wejściowych.

- Jasiu! - Pobiegła do przedpokoju. Nikogo już jednak tam nie było.

Siwy zastanawiał się nad kilkoma opcjami, ale szubienica wydawała mu się za mało spektakularna, natomiast gilotyna - za trudna do skonstruowania. Pomysł, na który wpadł, nawiązywał do dziecięcych wycinanek, jakie kiedyś robiła mu babcia. Najpierw rysowała na poskładanym papierze rząd dziewczynek (rzadziej chłopczyków, bo spódniczki łatwiej się wycinało) trzymających się za rączki i połączonych brzegami sukienek. Potem wycinała te kształty i kazała mu kolorować. Kiedy się zbuntował, że nie będzie kolorował kiecek, zaczęła rysować koty, połączone górnymi i dolnymi łapkami. Koty, koty, wszędzie koty. Malował je

na najdziksze kolory, więc krzyczała, że zmyśla i chowała mu kredki.

Mieszkanie baby od kotów stało dzisiaj puste, gdzieś wyjechała, wyjechał też jej gruby i wścibski wnuk, więc Siwy nareszcie miał czas i miejsce, by swój pomysł wprowadzić w życie. Wiedział, że inne baby dyżurują bez przerwy przy oknach, ślepiły przez lornetki, to było naprawdę groteskowe, miał ochotę powykrzywiać im się w te szkła, ale przecież był za sprytny, by dać się przyłapać byle staruchom.

Koty zwabił, układając w dyskretny szlak kocią karmę z walerianą, jeden po drugim wchodziły przez otwarte okienko piwnicy, a on tam już stał, wyłapywał je i zaklejał im japy taśmą klejącą, oklejał łapy, żeby skubańce nie drapały, i ładował do wora, który ruszał się zupełnie jak worek z bajki o kijach samobijach - kiedyś czytywała mu ją babcia. Potem już nawet bić nie musiała, wystarczyło, że powiedziała „Bijcie kije samobije” i już się bał.

Zrobił z kotami co trzeba, teraz pozostawało tylko podziałać przy drzwiach staruchy kociary. Ale będzie miała niespodziankę po powrocie! A na razie paskudne zwierzaki musiały poczekać, bo on pójdzie rozładować trochę napięcia i przy okazji wywie się o dokładną godzinę powrotu babiszona. Nie ma się co spieszyć, jeśli film ma być dobry.

Kiedy dotarli do Warszawy, Halina usiłowała dopytać Henryka o należność za benzynę, ale stary sportowiec zapowiedział, że ma ją przyjąć zamiast bukietu kwiatów. No i oczywiście musiał zagadnąć, kiedy spotkają się znowu. A ona, wierna miłośniczka amerykańskich seriali, odpowiedziała jak na telewizyjną heroinę naszych czasów przystało:

- Zadzwoń do ciebie - po czym Henryk odjechał, nie doczekawszy się zaproszenia na herbatę.

Przez chwilę Halinie było przykro, aż tak, że wyrzuty sumienia nawet zatrzymały ją na półpiętrze, gdzie przez chwilę zastanawiała się, czy jednak nie zbiec na dół i nie zaprosić dzielnego szofera do domu. Bądź co bądź starał się być w porządku i nie jego przecież wina, że zestarzał się w tak potwornie irytujący i nudny sposób. Potem jednak pomyślała, że po pierwsze, jest zbyt wykończona tą wyprawą, by mu parzyć herbatki i kombinować polskie ciasta, po drugie, nie czas i miejsce na sentymenty z przeszłości, teraz, gdy powinna z wszelkich sił budować własną przyszłość. Nie henrykową. Nie jarciovą. Własną, jej, Haliny. Żadnego wiszenia na rodzinie, żadnego opierania się na niewdzięcznym Jarciu czy jeszcze bardziej niewdzięcznej Hani, która ze swoich Stanów dzwoniła trzy razy do roku - na oba święta i na imieniny. Nie, Halina ma tutaj swoje mieszkanie, swoje towarzystwo, swoje śledztwo, które pomoże jej uporządkować własny kawałek wszechświata. Ona ma tu swoje sprawy do załatwienia, a oni niech zajmują się swoimi.

I z tą myślą znowu ruszyła na górę po schodach. Szło jej to dziś wyjątkowo opieszale.

Zanim dotarła na następne piętro, dobiegło ją z dołu wołanie:

- Halina!

Zatrzymała się i poczekała na przyjaciółkę. Dzikka, z lekko rozmazanym makijażem, mocno pachnąca perfumami, dotarła do niej i wydyszała:

- Cały dzień czekałam na ciebie przy oknie. Dobrze, że już jesteś.

Halina próbowała się uśmiechnąć, ale marnie wyszło.

- Dzikka, czy to bardzo pilne? Może pogadamy jutro? Jestem wykończona.

- Tak się zmęczyłaś? A gdzie byłaś całą niedzielę?

- Byłam... na wsi. Z Jarcielem.

- Z Jarcielem, mówisz?

W głosie Dzikki zadźwięczało coś dziwnego, ale Halina nie miała siły się zastanawiać co.

- Opowiem ci wszystko jutro. Detalicznie - obiecała, dała Dzikce całuska w policzek pachnący pudrem i powlokła się na górę, pod drzwi swojego mieszkania.

A tam znalazła się w przedsionku piekła.

Dzikka była wściekła. Naprawdę chciała z Haliną szczerze porozmawiać, a ta jej już na wstępie serwuje kłamstwa i zbywa. Tak, pojechała z Jarcielem. Akurat. A kto na Halinę czekał rano? Ta parka spędziła gdzieś razem równe osiem godzin...

Telefon zadzwonił od razu, gdy weszła do mieszkania. Nie, nic z tego, nie odbierze i nie będzie wysłuchiwać kolejnych kłamstw. Niech przyjaciółka sama się do niej pofatyguje, może wreszcie sobie coś wyjaśnią.

Nie zapalając światła, oparła się o parapet i wpatrzona w ciemne podwórko łykała łzy. Czuła się podwójnie zdradzona: nie tylko Henryk, ale i najlepsza przyjaciółka. Rozgoryczenie wzrosło, gdy zobaczyła Teresę, która spiesznym krokiem kierowała się ku klatce schodowej Haliny. Cóż, dla gruchowatej sąsiadki, jak widać miała czas. I wtedy wzgardzona Dzikka zalała się łzami na dobre.

Halina wpadła w panikę, najpierw zadzwoniła do drzwi sąsiadów z piętra, ale nikt jej nie otworzył, przecież ich prawie nigdy nie ma w domu, potem rzuciła się do swojego mieszkania, ręce jej się trzęsły, gdy celowała kluczem w dziurkę, o mało nie zaczęła wrzeszczeć. Kiedy wreszcie dostała się do środka, najpierw pobiegła do szuflady w kuchni, z której wyjęła nóż, drugą ręką chwyciła nożyczki, a potem z całym tym arsenałem dopadła telefonu, gdzie musiała odłożyć broń, by wystukać numer Dzikki. Odczekała, trzęsąc się, aż kilkanaście dzwonek, ale przyjaciółka nie podnosiła słuchawki. Dokąd ona poszła?! Przecież przed chwilą była jeszcze na podwórku!

Zadzwoiła zatem do Weredy.

- Już biorę taksówkę - zapowiedziała starsza pani, kiedy usłyszała, co się stało. - I wzywam posiłki.

Potem Halina zadzwoniła do Teresy. Sąsiadka pojawiła się niemal od razu.

- Dzwoniłaś na policję? - spytała.

Halina nie potrafiła wykrztusić ani słowa, więc tylko pokręciła głową. Po chwili sąsiadka zaczęła krzyczeć do słuchawki:

- Jak to mam nie ruszać?! Przecież one poumierają do reszty! Niech pani się sama zastanowi co mówi! - Odłożyła słuchawkę i podbiegła z drugim nożem do Haliny. - Niedługo przyjadą. Chyba powinnyśmy zacząć od klamki?

Do klamki przymocowano zwojem szarej taśmy klejącej łapkę szarego kota. Jego druga łapka została przyklejona taśmą do łapki kolejnego zwierzaka, tak samo połączono ich tylne łapy, przez co nieszczęsne kociska tworzyły zwisający od klamki rząd makabrycznych iksów.

Starsze panie pracowały z obu stron, rozcinały taśmę zaklejającą pyszczki. Teresa systematycznie piłowała taśmę nożykiem, delikatnie, by nie uszkodzić kociego ciała, a Halina miotła się to przy tym kocie, to przy tamtym, każdemu bowiem chciała pomóc, a nie potrafiła wybrać, od którego zacząć. I wtedy weszła na piętro Joanna Wereda. Na widok miejsca zbrodni w całej jego boschowskiej krasie tylko westchnęła. Zanim Halina zdążyła pożałować, że poprosiła ją o pomoc, krucha osiemdziesięciolatka nieoczekiwanie zarządziła:

- Musimy działać jak na wojnie: najpierw te, które mają szansę przeżyć.

Halina zachnęła się, ale po chwili uznała, że tak. To ma sens. Zaczęła więc wybierać ewidentnie żywe: te, które się miotają. Wereda je przytrzymywała, Halina rozcinała trzęsącymi się rękami taśmę na zaklejonych pyszczkach, potem na łapkach. Kilku pocięła skórę, gdy ostatkiem sił usiłowały odchylić od niej głowy, zrażone na wieki do ludzkości.

Kiedy pojawili się policjanci, okazało się, ku zgrozie Haliny, że podśmiewają się z rangi problemu, do którego przyszło im się stawić. Nie wierząc własnym uszom, słuchała zduszonych chichotów, łapała kątem oka porozumiewawcze spojrzenia, wreszcie nie wytrzymała i obsobaczyła ich od góry do dołu. Taka śmieszna jest cudza męka i śmierć? To naprawdę takie zabawne, że znowu zamordowano kilka istnień? Tak długo zwlekali z przyjazdem, bo chodziło tylko o zwierzęta?

Panowie trochę spowaźnieli i przeszli z nią do śmierdzącego kocimi siuškami mieszkania, by spisać protokół.

- Ma pani trochę tych kotów. Sąsiedzi nie protestują? - spytał z niesmakiem jeden z

funkcjonariuszy. Pięć ocalałych zwierzątek kłębiło się w kuchni, sikając na rozłożone gazety.

- Przecież mówiłam panu przed chwilą, skąd te zwierzęta wzięły się w moim mieszkaniu - przypomniała z wyrzutem Halina. - Słuchał mnie pan w ogóle?

- A gdzie dowód zbrodni?

- Tam - zdenerwowana Teresa machnęła dłonią w stronę drzwi wejściowych, bo trzy ciała martwych kotów leżały jeszcze na klatce schodowej - tu - wskazała kuchnię - i tu - pokazała stos skrawków szarej taśmy klejącej w przedpokoju.

- Tylko tyle? - Policjanci już co prawda spoważnieli, ale wciąż okazywali pewną nonszalancję. Szybko uznali, że trzy truchełka, kupka śmieci oraz koty kłębiące się w kuchni to za mało, by wszcząć śledztwo z artykułu. i. ustawy o ochronie zwierząt. Przecież było mówione, żeby panie nie niszczyły dowodów...

Halina nie wierzyła własnym uszom. Nie, to niemożliwe.

- Miałyśmy je tu zostawić na pewną śmierć, czekając, aż się przywleczenie?!

- Przecież to tylko koty - odezwał się jeden, zanim drugi zdążył uciszyć go sówką w bok.

- Koty?! Tylko koty?! - zakrzyknęła straszonym głosem Halina.

Była tak wściekła, że cisnęła z całej siły miską z kocim żarciem o ścianę, w ostatniej chwili rezygnując z rzutu w zadowolonego z siebie, brzuchatego policjanta. Jedzenie spłynęło brązową strugą. Młodszy funkcjonariusz zachichotał nerwowo.

- Będziemy zmuszone złożyć na panów skargę - zapowiedziała Joanna Wereda. - Żyjecie przecież z naszych podatków. Proszę o numery służbowe.

- Skarga? A proszę bardzo. - Znowu zaśmiali się i poszli.

Halina walnęła za nimi drzwiami, aż tynk posypał się ze ściany. Chciało jej się wrzeszczeć z bezsilności. Spojrzała na siebie w lustrze. Rozgorączkowana starsza pani z wypiekami i sterczącymi włosami. Pod nosem miała ślad od kleju.

Spojrzała na Teresę i Weredę. Westchnęły.

Wróciły do zasikanej kuchni, a koty rozpierzchnęły się po kątach, dwóm udało się nawet prysnąć do przedpokoju. Halina przysiadła na taborecie i zaszlochała. Nigdy jeszcze nie czuła się taka bezradna.

I wtem na jej plecach spoczęła krzepiąca dłoń Joanny Weredy. Ciepło promieniowało wzdłuż kręgosłupa, nieoczekiwanie przyjemne. Teresa tylko spojrzała i odwróciła się, by zaparzyć herbaty. Halina trwała tak, jeszcze przez chwilę, po czym speszona poderwała się, żeby wyłapać koty z przedpokoju.

- Ja bym im dała spokój. - Teresa westchnęła. - Na dzisiaj mają już dość. Gorzej, że znowu trzeba będzie zrobić pogrzeb. Tylko gdzie? Powinni nam tu w okolicy założyć cmentarz dla zwierzków.

Wereda aż podskoczyła na tych swoich wątych nóżkach.

- I panie tak spokojnie o tym wszystkim?

- A co mamy zrobić? - zachnęła się Teresa. - Przecież widziała pani, jak potraktowała nas policja.

- A tam policja! Jeśli nikt nie chce pomóc, zajmijmy się tym same. Nie możemy pozwolić na lekceważenie zła, bo potem pleni się jak perz.

- Nikt tu zła nie lekceważy. Pracujemy nad poszukiwaniami zbrodniarza od dłuższego czasu, co noc dyżurujemy przy oknach - oburzyła się Teresa.

- Tyle że akcja nie odniosła, jak widać, skutku - skomentowała Wereda. - Może trzeba działać inaczej.

- Czekam w takim razie na światłe propozycje szanownej pani. - Teresa splotła ręce nad obfitym biustem.

Halina miała dość emocji na dzisiaj. Wyszła do sypialni, wygrzebała w bieliźniarce pocerowane prześcieradło (nie mogła się zdobyć, by skorzystać w tym celu z worka na śmieci) i poszła na klatkę schodową, by owinąć kocie zwłoki. Łapki jeszcze nie zastygły, dało się je więc przytulić do chudych torsów (jednak za mało je karmimy, uroniła kolejną łzę) i owinąć białym całunem przytulone do siebie pasiaste szare trupki. Potem podniosła pakunek i złożyła go w przedpokoju na stoliku, nie na podłodze, koty zasłużyły przecież przed śmiercią na trochę szacunku. Jeden włożył na makabryczne zawiniątko i zaczął je obwąchiwać. Gdy Halina wyciągnęła rękę, by go zdjąć, uchylił się przed jej dotykiem, syknął, wskoczył na półeczkę na kapelusze i stamtąd patrzył na Halinę nieodgadnionym wzrokiem.

Zaalarmowana telefonem Joanny Weredy przyszła również i stalowowłosa Nina, zaróżowiona od wspinaczki na trzecie piętro. Przywitała zebrane pocałunkami w policzki. Wargi miała zimne i szorstkie, uścisk mocny. Halina starała się nie patrzeć, gdy Nina witała się z Weredą, ale z tego, co dostrzegła kątem oka, tamten pocałunek zdawał się dłuższy, a uścisk miał w sobie ponadnormatywną czułość. Oj, co za bzdura, akurat ma czas się tym zajmować. Powinna przecież wyjąć kolejną filizankę, znaleźć jakieś herbatniki i zastanowić się, czy nie podać kanapek, nieważne, że najchętniej zaszyłyby się w łóżku schowana z głową pod kołdrę.

Panie, przejęte zgrozą, usadowiły się w salonie, w kuchni bowiem nie dało się wysiedzieć. Wereda spokojnie wprowadzała przyjaciółkę w temat, a Nina przysiadła obok

niej, na kanapie, założywszy nogę na nogę.

Łydki miała mocne, sportowe, co Halina nareszcie mogła docenić, widząc ją w spódnicy. Gdyby to był kto inny, gdzie indziej, może zagadnęłaby ją o uprawiane niegdyś dyscypliny.

Parzeniem kolejnej herbaty znowu zajęła się Teresa, natomiast Halina bez przekonania udawała, że się krząta między kuchnią a pokojem, a tak naprawdę co chwila dopadała do telefonu w przedpokoju, by wystukać numer Dzikki. Ta jednak nie odbierała, a w jej oknie nadal było ciemno. Randka czy kościół? Jaka randka, jaki kościół, Dzikka wyraźnie zamierzała spędzić dzisiejszy wieczór z Haliną, powinna więc teraz siedzieć w domu. Głupio, bardzo głupio. Jakże inaczej by wszystko przebiegło, gdyby we dwie weszły na piętro...

Westchnęła i uznała, że jednak wypada wrócić do gości.

- Halinko, a wiesz, że masz wielbiciela? - odezwała się Teresa. - Byłam nawet dzisiaj trochę zazdrosna.

Nina i Joanna spojrzały na nią z ciekawością.

- To tylko kumpel z przeszłości, nic takiego. - Halina spieszyła się. Sława Henryka sięgała widać szeroko.

- Kumpel? Z przeszłości? On przecież nie jest aż taki stary? - skontrowała Teresa.

Halina spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie ma nawet pięćdziesiątki - tłumaczyła się Teresa.

- Henryk?!

- Tomek! Dom wariatów.

- Pan Tomek - doprecyzowała Teresa. - Wypytywał mnie dzisiaj, kiedy wrócisz.

- Kim jest pan Tomek? - zaniepokoiła się Halina.

- Mój... Mój... - Teresa się zaczerwieniła. - Mój znajomy. Ten, za którego zdrowie piłyśmy ostatnio szampana - wybrnęła.

Aha, jeden z teresinych amantów. Ten płacący.

- Pytał, kiedy wrócę? Czy ja go znam?

- A nie znasz?

- I co mu powiedziałaś? - spytała słabym głosem Halina.

- Co wiedziałam. Że wrócisz wieczorem. - Teresa nagle zamilkła.

Wereda i Nina nie odzywały się, skupione na śledzeniu tej wymiany zdań.

- Teresa, czy ten twój... pan Tomek mieszka na naszym podwórku?

- Halina, chyba nie myślisz... Nie myślisz, że on...

- Mieszka czy nie?

- Wynajmuje. Tak mówił.

- Na parterze?

- Ale to kulturalny pan, w średnim wieku, taki naprawdę nieśmiały... - broniła się Teresa. - Niemożliwe, żeby on...

- Więc dlaczego o mnie pytał?

- Jaki jest numer mieszkania tego pana, pani Tereso? - Wereda trafiła w samo sedno.

Gdy ustaliły, że pod jakimś pretekstem postarają się wejść do niego do mieszkania, by się tam rozejrzeć oraz sprawdzić, jak mu z oczu patrzy, Halina zaprotestowała słabym głosem:

- Rozejrzeć się? Tak bez wsparcia?

- Ma pani podobno gaz pieprzowy. - Wereda była w nastroju bojowym.

- Ale... To naprawdę nierozsądne - odparła Halina.

- Mnie koci morderca już raz dał w głowę, aż wylądowałam w szpitalu. Mężczyzna by nam się przydał. Młody, silny mężczyzna.

- A propos, a gdzie pani wnuk? - zapytała Wereda.

- Podróżuje. Służbowo.

- Służbowo?

- Niech pani sobie wyobrazi - jak miło móc wreszcie pochwalić Jarka - że udało mu się trafić na ślad zaginionej koleżanki pań, Agnieszki Zaufał.

- Doprawdy? - zainteresowała się Wereda.

- A gdzież ona się podziewała? - dorzuciła zaciekawiona pani Nina.

- Jak się okazało, schroniła się na wsi, jakieś sto kilometrów stąd.

- Ale dlaczego uciekła? Co tam robi? Gdzie mieszka?

- zasypywały ją pytaniami.

- To wszystko wnuk musi dopiero stwierdzić. W każdym razie bardzo żałuję, że go z nami nie ma, czułabym się dużo bezpieczniej.

- Tak, to godny zaufania młody człowiek - przytaknęła z nieoczekiwanym ogniem w głosie Teresa, aż Halina się zaniepokoiła. - Ale wracając do meritum naszego spotkania - dodała zaraz, zerkając na Halinę

- chciałam paniom coś zaproponować.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. Teresa uroczyście nabrała oddechu, po czym zaniósł się kaszlem.

- Paskudne papieroski - nieoczekiwanie trysnęła jadem pani Nina.

Kiedy Teresa skończyła kasłać, upiła herbaty, po czym wreszcie wykrztusiła:

- Jeśli chodzi o pana Tomka, umówię się z nim i jakoś go wysonduję.

- Ale dobrze by było pociągnąć sprawę właśnie teraz - zapowiedziała stanowczo Joanna. - Póki noc nie nadeszła.

- Nie ma problemu - uspokoiła ją Teresa. - On chciał dzisiaj jeszcze raz, tylko nie był pewien, o której będzie mógł.

- Co chciał jeszcze raz? - zainteresowała się Nina.

- Odwiedzić mnie. - Teresa się spłoniła. Halina rozejrzała się z niepokojem, ale chyba żadna z pań nie zauważyła skrępowania sąsiadki. Ta, zaczerwieniona, dodała: - To co, dzwonić?

- Zaprosi go pani tutaj? - powątpiewała Nina.

- Raczej do siebie. Mieszkam po drugiej stronie podwórka.

- I jak planuje pani prowadzić to przesłuchanie? - przycisnęła ją Wereda.

- Ja rzadko coś planuję - zwierzyła się Teresa. - Wolę zdawać się na intuicję.

- A niesłusznie - pouczyła ją Nina.

Znowu zaczęła się dyskusja. Ku zdziwieniu Haliny, Wereda mało się w tę wymianę zdań angażowała. Po chwili pochyliła się w stronę Haliny i zagadnęła ją cicho:

- Rozmawiała z nią pani?

- Z kim?

- Z Agnieszka Zaufał. Tak się o nią martwiłam. Wy tłumaczyła, o co chodzi? Dlaczego tak nagle zniknęła?

- Wnuk dopiero ją namierzył, nie znam na razie szczegółów. Wiem tylko, że pracuje w domu starców jako księgowa.

- W domu starców? Przedziwna sprawa. - Zadumała się.

I nagle Halina coś sobie przypomniała.

- Muszę panią przeprosić za pewne nadużycie - i opowiedziała pani Joannie pokrótce, jak powołała się na nią, usiłując zdobyć adres Agnieszki Zaufał. - Niech się pani zatem nie zdziwi, że przy jakiejś okazji może spytać panią o tamtą historię.

- Szelmutka z pani. - Wereda uśmiechnęła się.

Dzidka zaniepokoiła się, gdy zobaczyła przez okno, że do klatki Haliny wchodzi dwóch policjantów. Od razu wykręciła numer przyjaciółki, ale ta nie odbierała, choć światło w kuchni się paliło, czyli teoretycznie była w domu. Dzidka pobiegła do przedpokoju, chwyciła buty i wkładała je, nie odrywając wzroku od wejścia do klatki Haliny. Funkcjonariusze nie zabawili tam długo, wkrótce zaśmiewając się wyszli, niemniej niepokój smerał ją w duszy. Zrzuciła więc na siebie kurtkę i wyszła z domu. Najwyżej powiedzą, że

się narzuca.

Drzwi mieszkania przyjaciółki były upaprane czymś dziwnym, a klamka się lepiała. Ze środka słyhać było szmer rozmowy: same damskie głosy. Zawahała się przed naciśnięciem dzwonka: Halina jak widać przedkładała cudze towarzystwo ponad kompanię Dzikki. Ale dlaczego? Dlaczego? Co ona jej takiego zrobiła?

Nagle z góry, od strychu, dobiegł ją jakiś szmer. Spojrzała tam. Szmer ucichł. Nasłuchiwała. Znowu coś szurnęło. Bezdomny? Zlatywali się jesienią do ciepłych klatek schodowych jak sikorki. Ruszyła na górę sprawdzić, o co chodzi, przynajmniej będzie miała pretekst, żeby zajrzeć potem do Haliny. Po paru krokach wpadła na jakieś urządzenie stojące na rozstawionych metalowych nóżkach. Uderzyła się boleśnie, syknęła, złapała za łydkę i spojrzała, co to mogło być. Kamera?

A potem wszystko krzyknęło z bólu i nastąpiła ciemność.

- No dobrze, dzwonię - zapowiedziała uroczyście Teresa i wyjęła telefon z kieszeni swetra. Znalazła numer, nacisnęła. Panie zamarły w oczekiwaniu. Teresa pokręciła głową: nie odbiera.

Nagle Halina coś usłyszała. Nie ona jedna: Wereda podniosła palec do góry i podeszła do drzwi. Przycisnęła do nich ucho.

Tak, z klatki ewidentnie dobiegała melodyjka. Umilkła w pół dźwięku, jakby ktoś szybko wyciszył telefon. Halina zamarła.

Wereda otworzyła drzwi wejściowe. Na nieoświetlonej klatce panowała cisza. Teresa przestąpiła próg i włączyła światło. Zaraz się cofnęła. Stały w drzwiach, wyglądając jedna z drugiej na zewnątrz. Nie dostrzegły nikogo. Nic też nie było słyhać poza oddechami starych kobiet.

Pierwsza ruszyła się Nina. Wyminęła Teresę i schodziła w dół, starając się iść jak najciszej. Z góry, ze schodów na strych, dobiegł jakiś jęk. Stęknienie. Plaśnięcie. Westchnienie. Szuranie. Po stopniach potoczył się but. Halina знаła go dobrze: fioletowa skóra, słupek, sznurowadła: to obuwie Dzikki. Odepchnęła kobiety i pobiegła w górę. Dała jeszcze jeden krok i wtedy zobaczyła.

Stopa. I noga wystająca z za zakrętu schodów. Drugi but. Halina przeskoczyła stopień i przypadła do Dzikki - przyjaciółka siedziała z nogami wysuniętymi do przodu i rozglądała się nieprzytomnie.

- Dzikka! - wykrzyknęła Halina. Nagle poczuła papierosowy oddech na plecach. Odwróciła się z przestachem. Teresa.

Znowu spojrzała na przyjaciółkę. Dzikka wyglądała na oszołomioną.

- Co się stało? - dopytywała Halina.

I wtedy z kąta przy strychu wypadła zniecka jakaś postać i ruszyła w dół, roztrącając Halinę i Teresę, przewróciła Joannę Weredę, by w końcu sama wywrócić się o Ninę i wypuścić z rąk coś, co potoczyło się w dół i zahamowało na wycieracze pod mieszkaniem Haliny: kamera.

- Panie Tomku! - wrzasnęła Teresa.

Facet gramolił się, by wstać. Z kieszeni wypadła mu rolka szarej taśmy. Halina na widok narzędzia zbrodni poczuła, jak krew zaczyna wreszcie krążyć w żyłach, napływa do mózgu i mobilizuje wszystkie mięśnie. Nabrała tchu i rzuciła się mu szczupakiem pod nogi. Za nią skoczyła Nina.

Zachwiał się, ale utrzymał na stojąco, spróbował je odepchnąć.

- Panie Tomku... Panie Tomku... - powtarzała bez przerwy Teresa.

Nagle zbrodniarz runął na ziemię. To Wereda owinęła mu ciasno nogi taśmą. Teraz walił kończynami w schody, a rolka podskakiwała w okolicy jego łydek.

- Co wy robicie z tym panem? - zdenerwowała się Dzidka.

Rzucal się jak wąż, do tego machał rękami. Spróbował wstać, ale nie dał rady. Zaczął jednak szarpać taśmę na łydkach.

Znów objawiła się Nina, tym razem z nożem w ręku, tym samym, którym Halina rozcinała taśmę na kocich pyszczkach. Kobiety zamarły, a ona doskoczyła i odcięła rolkę z łydek agresora, po czym złapała go za rękę, przyklejając rękaw taśmą do schodów. Uderzył Ninę i oderwał rękaw.

- Kto to jest?! Kto to?! - krzyczała Dzidka. Halina rzuciła się w stronę mieszkania, wyciągnęła z przedpokoju ciężkie dębowe krzesło, wybiegła na klatkę, z niejakim trudem uniosła mebel i grzmotnęła gościa w głowę.

Nie, nie padł bez ducha, jak w jej ulubionych serialach kryminalnych. Walnął tylko wielką ręką w jej stronę i dalej szarpał taśmę na łydkach.

Za krzesło chwyciła teraz pani Nina, zamachnęła się solidnie, uderzyła. Tym razem tylko jęknął i złapał mebel za nogę. To było bez sensu, należało działać inaczej. Nóż? Gaz pieprzowy? Halina wpadła do przedpokoju i zaczęła gorączkowo przetrząsać szuflady. Co by tutaj... I wtedy o nogi otarł jej się jeden kot. Tak! Złapała go, wypadła na korytarz i rzuciła facetowi w twarz. Na klatce rozbrzmiał podwójny wrzask, kota i człowieka.

Kot wyszedł z tego bez szwanku, zaraz czmychnął gdzieś na dół, natomiast mężczyzna przycisnął dłonie do twarzy, a szpary między jego palcami wypełniła czerwień. Halina poczuła satysfakcję, w imieniu swoim i kota. Wereda, nie zwlekając, sklepiła

mężczyźnie nadgarstki, a potem owinęła mu ręce ciasno taśmą aż do łokci. Niewielką miał możliwość ruchu.

- To napaść! - krzyknął.

Halina, nie zastanawiając się, zakleiła mu usta skrawkiem taśmy. Potem dokleiła drugi, na krzyż.

Pan Tomek poczerwieniał i zaczął coś bulgotać, a Dzikka patrzyła na to wszystko jak na trudny do ogarnięcia odcinek serialu. Drgnęła dopiero, gdy Nina z nożem pochyliła się nad facetem. Rzucił się do tyłu, ta jednak czubkiem noża zrobiła tylko dziurkę w taśmie. Zassał powietrza, a Teresa zaczęła histerycznie chichotać. Obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem, aż zamilkła w pół dźwięku.

- I kto miał rację? - wyrzuciła jej Wereda. - Taki miły, kulturalny pan, prawda?

- Dzień dobry paniom - odezwała się Dzikka. - Czy to jest morderca kotów?

- Co on ci zrobił? - Halina podeszła do przyjaciółki i obejrzała jej czaszkę. Na szczęście nie było żadnych ran.

- Niedobrze mi trochę. - Spod rozmazanego makijażu Dzikki prześwitywała zielonkawożółta cera.

- Żebyś ty nie miała wstrząśnienia mózgu! - zaniepokoiła się Halina. - Zadzwońię po pogotowie.

- A co z nim? - Wereda machnęła ręką w stronę unieruchomionego facecika.

Tak, bo teraz, unieszkodliwiony, tak właśnie wyglądał. Facecik. Przerzedzone na czubku głowy włosy, siwe skronie, kartoflowaty nosek, krępa sylwetka, brązowe spodnie opięte na dość wydatnym brzuszku, siwe kłaki na piersi wystające spod koszuli. Halina wzdrygnęła się z obrzydzenia. Niezbyt wysoki, wcale nie barczysty, tak nijaki, nie umiała przypomnieć sobie jego twarzy, choć zapewne mijali się na podwórku.

Dzikka wstała z trudem. Spojrzała na swoją bosą stopę i podjęła widać jakąś decyzję, bo pochyliła się do ucha facecika i wrzasnęła:

- Czym mnie zatrueś, co?!

Od razu grzmotnął ją głową w zęby, aż krzyknęła. W kąciku jej ust pokazała się krew. Wściekła Halina dopadła go i z całej siły kopnęła w bok. Dzikka poprawiła z drugiej strony.

- Zanim go tu panie zlinczujecie, najpierw proponowałabym go przesłuchać - zarządziła jak zawsze przytomna Joanna Wereda.

Podpierały i popychały ze wszystkich stron wijący się pakunek, zanim przetransportowały go do mieszkania, gdzie facet padł w przedpokoju i zaparł się nogami o ścianę, nie dał się przesunąć ani o centymetr dalej. Halina wciągnęła jeszcze do mieszkania

kamerę (przyjdzie Jarcio, to się nią zajmie) i zamknęła drzwi.

- Zna pan chyba to mieszkanie, prawda? - Halina spiorunowała go wzrokiem. - A zwłaszcza szafę?

Dzidka otarła krew z ust i jeszcze raz kopnęła faceta, tym razem w głowę. Jęknął.

- Wiesz, ile kosztowały mnie koronki, draniu?!

- Wybił ci jakąś? - krzyknęła Teresa.

Dzidka podeszła do lustra, by obejrzeć sobie wnętrze ust.

Facet leżał nieruchomo na podłodze. Wyglądał na inkasenta, może urzędnika pocztowego, wujka, który czasem, na cudzym weselu, upije się na smutno i zasypia z twarzą w sałatce.

Jakiś kot podszedł do niego, obwąchał. Facecik zaczął się wić, chcąc odsunąć od zwierzaka.

Dzidka odwróciła się od lustra.

- Nie, nie wybił mi na szczęście żadnego zęba. Poraniłam się tylko od środka - i dodała mściwie: - Gdyby mi coś wybił, do końca życia by się nie wypłacił.

- Mnie najbardziej interesuje, po co pan koty męczył - dociekała Wereda. - Po co tyle trudu pan sobie zadawał. Przecież są inne przyjemności: do teatru można iść, z kobietą się umówić, w telewizji serial obejrzeć.

Facet zaczął gulgotać. Teresa zerwała mu taśmę z ust. Wrzasnął z bólu, skórę wokół ust miał zaognioną.

- Popierdolone staruchy! Szalone truchła! Zgnijecie w więzieniu, wiedźmy sadystki!

Teresa znowu zakleiała mu usta.

- Przepraszam - powiedziała skruszona. Ciekawe, że starucha, stan bądź co bądź nieunikniony, dla tylu ludzi stanowi wyzwisko.

Nina chwyciła nóż i pochyliła się nad gościem. Rzucił się, byle dalej od niej, spodnie w kroku mu pociemniały, a po chwili jego biodra otoczyła kałuża moczu.

Jeszcze i to, pomyślała Halina, jeszcze i to. Męskie siuśki na parkiecie, jakby nie dość było kocich.

- Na razie chcę zobaczyć, co masz w kieszeniach

- huknęła na niego Nina. Wstrzymała oddech i z kieszeni kurtki zbrodniarza wyłowiła klucze do mieszkania, a zaraz potem zasmarkaną chusteczkę ligninową, którą z obrzydzeniem wypuściła na podłogę, gdzie błyskawicznie nasiąkła żółtą cieczą z kałuży; a potem jakiś czarny, dziwny gadżet.

- Paralizator elektryczny - odgadła Halina. W serialach kryminalnych było tego

mnóstwo. - Szkoda, że nie znalazłyśmy go wcześniej.

- W spodniach, wybaczcie, grzebać mu nie będę.

- Nina się wzdrygnęła.

Wereda po raz drugi zrobiła czubkiem noża w szarej taśmie dziurkę do oddychania.

- Nie chcemy chyba, żeby się udusił - wyjaśniła.

- W każdym razie jeszcze nie teraz.

Żartowała? Halina nie była tego taka pewna.

Jaro dygotał, wilgotny ziąb przenikał go do szpiku kości, mimo podkręconego na maksa ogrzewania w samochodzie, a auto podskakiwało na podlaskich źle oświetlonych wybojach. Starał się jechać jak najostrożniej, żeby znowu czegoś nie popsuć, nie uśmiechała mu się bowiem kolejna noc w tym miejscu. Kiedy wreszcie dotrze do drogi asfaltowej?

Marzył, że gdy wreszcie dowlecze się do Warszawy, wygrzeje się w wannie, potem w łóżku, a babcia Halinka będzie go poić herbatą malinową. Nie, co za bzdury, jakie łóżko, jaka herbata, przecież z informacjami, które uzyskał, powinien od razu pobiec na policję. Powinien, gdyby uwierzył we wszystko, co opowiedziała Agnieszka Zaufał. Kiedy stała przed nim, była przekonująca, teraz jednak, gdy usiłował sobie poukładać w głowie tę historię, wydała mu się ona nagle paranoiczną opowieścią starszej pani. Najpierw coś jej się ubrdało, potem prysnęła z miasta i ukrywała się przed wszystkimi, nawet przed własną córką. Bał się, że wyśmieją go, gdy z tymi rewelacjami trafi na posterunek.

Tak naprawdę to Agnieszka Zaufał powinna pojawić się na policji i opowiedzieć, o wszystkim, czego stała się świadkiem, i o całej reszcie, której się na tej podstawie domyśliła. Księgowa jednak uparcie odmawiała opuszczenia podlaskiej wioski. Nie i nie. Nie będzie ryzykować, bo nie wierzy w szybkość naszych organów ścigania: zanim zareagują, ona może już nie żyć.

Jaro wiedział jedno: musi skonsultować świeżo nabytą wiedzę z babcią Halinką. Ona pomoże mu zdecydować, co z tym zrobić, może nawet rozpyta tu i ówdzie, nie budząc podejrzeń. Miał nadzieję, że dawny amant dowiózł ją bezpiecznie do domu.

Niepokojąca opowieść Agnieszki Zaufał przyćmiła radość z tego, iż może pochwalić się Kamili kolejnym sukcesem. Już widział łzy, które prawdopodobnie napłyną jej do oczu, ulgę, która odmaluje się na jej twarzy. Mama żyje! Szybko jednak będzie musiał dorzucić kolejną informację: tak, żyje, lecz albo zwariowała, ukrywając się przed wymyślnym niebezpieczeństwem, albo też coś naprawdę jej grozi. Jeśli coś jej grozi, to i wy z Florką nie jesteście do końca bezpieczni.

Zadrzał, bo znowu stanęło mu przed oczami zaszczute oblicze Agnieszki Zaufał.

- Przecież powinniśmy wezwać policję - nalegała Teresa, popatrując na nieszczęsnego pana Tomka, który zwiądl w kąciu.

- Przypominam, że policja już dzisiaj była. I co? Dużo pomogli? - odparła Wereda.

- Ale teraz mamy dowody. - Teresa kiwnęła brodą w stronę kamery.

- Tak, jeśli uda nam się do nich dostać - powątpiewała Nina. - Ja nie wiem, jak uruchomić to ustrojstwo.

- Mam sąsiadów, którzy nieźle się znają na elektronice - wtrąciła Halina, myśląc o Cudnych.

Z przedpokoju dobiegło stuknięcie. Halina zerwała się i wyjrzała. To facecik w kącie wściekle rzucał głową, bo kot znowu obwąchiwał mu twarz.

- Leż, leż - warknęła Wereda. - Pani Halino, nagrania oczywiście przejrzeć trzeba, ale wolałabym nie wprowadzać tu osób z zewnątrz. Wnuk kiedy wraca?

- Prawdopodobnie jutro. - Tak do końca nie była tego pewna.

- Lepiej zatem na niego poczekać, zamiast wtajemniczać kolejną osobę.

- To co robimy? - odezwała się Dzikka, która do tej pory milczała w kącie.

Halina spojrzała na nią z troską. Przyjaciółce powoli wracały na twarz kolory.

- Boję się, że pan Tomek nas pozwie. - Teresa wróciła do tematu. - Jakkolwiek by na to patrzeć, wiążymy go bezprawnie.

- Bezprawnie?! - zaperzyła się Wereda. - Przecież była tu pani, widziała, co zrobił ze zwierzakami.

- Po pierwsze, nie mamy stuprocentowej pewności, czy to on. Po drugie, jak to tak - bez wyroku, bez sądu... Optowałabym jednak za tym, żeby zacząć od policji.

- Niech pani już przestanie o tej policji - zdenerwowała się Wereda. - Powiem pani co zrobi policja. Przyjadą, zobaczą, co zrobiliśmy, i postawią nas przed sądem za napaść.

- Nas?! - zbulwersowała się Halina.

- A co pani myśli? - warknęła Nina.

- Musimy zatem wziąć sprawę w swoje ręce. - Wereda westchnęła.

- Z przykrością muszę się z tobą zgodzić - poparła ją Nina.

- Dlaczego z przykrością? - zdumiała się Halina.

- Bo nie lubię sobie brudzić rąk.

- A poza tym chciałabym dożyć wymierzenia kary, a same wiecie, jakie są polskie sądy - dorzuciła Wereda.

- Za takie rzeczy powinna być kara śmierci - podsumowała z mocą pani Nina. - Albo przynajmniej dożywocie.

Spojrzały na nią wszystkie.

- No co? Chcę tylko powiedzieć, że ktoś, kto zadaje ból dla przyjemności czy rozrywki, jest zagrożeniem dla społeczeństwa i powinien zostać z niego wyeliminowany.

Z przedpokoju znowu dobiegło stuknięcie. Halina wyrzała. Któryś kot wdrapał się na faceta, usiadł mu na piersi i przejechał niespokojnym ogonem po twarzy. Facet walił głową, by się odsunąć od ruchliwego ogona. A niech mu się który na twarz wysika - pomyślała.

- Ja bym chciała wiedzieć jedno: dlaczego - zastanawiała się Teresa. - Wydawał się całkiem sympatyczny. Nieśmiały, może nawet trochę wycofany, ale naprawdę sympatyczny.

- Skąd tak go dobrze znałaś? - zainteresowała się Dzidka.

- Wiesz, jak to jest: między nami sąsiadami... - Teresa nie umiała opanować rumieńca.

- Poznałam go, kiedy chodziłam z petycją. Podpisał, nie musiałam prosić, a potem zaproponował herbatę.

- Ja się nie przyjaźnię ze wszystkimi, którzy tutaj wynajmują mieszkania - obruszyła się Dzidka. Już wyraźnie odżyła.

- My tu gadu gadu, a tam w przedpokoju leży osoba, którą powinnyśmy się zająć - przerwała im pani Nina.

- I koty, które należałoby pochować - przypomniała Teresa.

- Koty nie uciekną, natomiast panem trzeba zająć się jak najszybciej. - Wereda poparła koleżankę. - Sprawiedliwość musi być. Miałabym nawet pewien pomysł dotyczący tej sprawiedliwości - dodała już ciszej.

Wszystkie nachyliły się do niej.

Ilona od razu pobiegła do komputera Jasi. Ledwo trafiała trzęsącymi się rękami w odpowiednie klawisze, ale jakimś cudem odcyfrowała, że córka umówiła się z domniemanym mordercą na stacji metra Ratusz, pod księgarnią. Nie było to takie głupie, tam zawsze kręciło się dużo ludzi. Co teraz robić? Biec i ratować Jaśkę, to na pewno! Ale co z Wero? Zostawić ją samą? Źle. Zabrać ją ze sobą? Fatalnie. Podrzucić do Kamili czy do jakiejś koleżanki? Wtedy Jasia wraz z mordercą zdążą już zniknąć spod księgarni. Ilona zadzwoniła do Jarka, ale dowiedziała się po raz kolejny, że abonent jest niedostępny.

Wybrała mniejsze, jak jej się wydawało, zło, zamykając Wero w domu na trzy spusty z „Królem Lwem” na DVD i ze stanowczym przykazaniem, by za żadne skarby nie otwierała nikomu. Wybiegając z domu, zastanawiała się, czy lepiej wsiadać do metra, czy szukać taksówki. Wybrała metro, najpewniejszy środek transportu w wiecznie zakorkowanej Warszawie. Siedziała na ławeczce w wagonie, drżąc z niecierpliwości, że dotrze za późno, że już ich tam nie będzie, że przegapi i zaniedba, że ją straci ostatecznie.

Na stacji Ratusz wybiegła z metra, przepychając się wśród ludzi, przeskakiwała stopnie na schodach ruchomych, wypadła z podziemi i popędziła po marnie oświetlonym placu Bankowym w stronę księgarni na rogu Senatorskiej. Co za szczęście, już z daleka wypatrzyła żółty szalik córki, doskonale widoczny nawet w ciemności. Dziewczyna była sama. Sama! Ilona jeszcze przyspieszyła, by zdążyć ją stamtąd zabrać, zanim dotrze morderca, za późno jednak, bo właśnie zobaczyła, że do córki podchodzi ktoś niewysoki, lecz barczysty. Stąd, w tym świetle, nie udawało jej się dostrzec więcej szczegółów. Skręciła w bok, w stronę przystanku tramwajowego, gdzie ukryła się wśród ludzi, ślepiąc w stronę córki przez brudną szybę. Jasia i MrCrabb stali przy witrynie księgarni i rozmawiali. Boże, co robić, co robić?! Wołać, że się pali? Odciągać Jaśkę za rękę? Walić faceta w głowę koszem na śmieci? Sięgnęła po komórkę i wystukała.

Zamknęły faceta z kotami w mieszkaniu Haliny, bo żadna nie chciała z nim zostać sama, i ruszyły na przeszukanie jego lokalu.

Parter, lewa strona. Chwilę mocowały się z zamkiem, pełne obaw, czy ktoś z sąsiadów nie zainterweniuje. Ale nie, to już nie czasy czujnych sąsiadów, lecz alarmów przeciwwłamaniowych. A takiego tu nie zainstalowano.

W mieszkaniu było ciemno. Śmierdziało brudnymi skarpetami i niemytymi naczyniami. Kobiety tłoczyły się w przedpokoju, bojąc się wejść dalej. Halina wymacała przycisk i włączyła światło.

- Cuchnie jak u starego kawalera - zawyrokowała Nina.

W przedpokoju pod wieszakiem spuchniętym od licznych okryć stało kilka par brudnych butów, obok, na krześle, gazety, torebki, reklamówki z Lidla. U Jarcia pewnie też by tak wyglądało, gdyby kiedykolwiek postanowił żyć sam.

Halina pierwsza odważyła się wejść do pokoju. Zapach niedopranych męskich ubrań nasilił się. Stała tu wysiedziana kanapa z wytłuszczonym zagłówkiem, parę byle jakich mebli, na komodzie męska woda kolońska oraz zdjęcie jakiejś starszej pani. Halina wzięła je do ręki. Nie, nie znała jej.

Panie rozproszyły się po pokoju, najpierw nieśmiało, potem już zaglądały do kolejnych szuflad i szafek, Halina natomiast dopadła komputera. Włączyła go i czekała z nadzieją, aż załaduje wszystko co trzeba. Niestety, załadował tylko prośbę o hasło. Wpisała koty, zabićkoty, morderstwo, nie trafiła jednak za żadnym razem. Komputer skomentował, że jeśli jeszcze raz wpisze niewłaściwe hasło, będzie zmuszony się zawiesić.

Spod podkładki pod myszkę wystawał biały skrawek papieru. Podniosła podkładkę. Skrawek był fragmentem wycinanki: rząd niezgrabnych iksów, które gdy się przyjrzała,

okazały się niewydarzonymi sylwetkami kotów, połączonych ze sobą przednimi i tylnymi łapkami. Przejęta zgrozą Halina podniosła wycinankę do góry.

- Chciałyście dowodu? Przekazywały sobie rzecz z rąk do rąk.

- Znalazłyście coś jeszcze? Nina wzruszyła ramionami.

- Nuda, stare gacie i gazety.

- Kapsle i kable. Gwoździe.

- I taśmy klejące. - Teresa wyciągnęła przed siebie jeszcze dwie rolki takiej samej szarej taśmy. Ja mam dosyć. Dowody już są - dodała. - Niepotrzebna nam przecież wiedza, co czytał i jakimi konserwami się żywił. Chodźmy stąd.

- Gdyby tak znaleźć jego pamiętnik - rozmarzyła się Wereda.

- W którym opisałby dokładnie, co robił kotom i po co? - powątpiewała Halina.

- Mnie by interesowało zwłaszcza po co. - Teresa westchnęła. - Nigdy tego nie zrozumieć. Boże, taki był kulturalny, taki przyjemny...

- Kulturalny? A skarpetki dziurawe nosił - skomentowała Nina, podnosząc w górę jedną sztukę.

- Fuj, zostaw! - Wereda się skrzywiła. - Pani Teresa ma rację, wychodzimy stąd. To jest... To wszystko jest jakieś obrzydliwe.

- Mama czy babcia? - zastanawiała się Nina; podniosła tę samą fotografię, którą przedtem oglądała Halina, a potem wydobyła zdjęcie z ramki. - „Kochanemu wnuczкови Tomkowi babcia Wiesia - przeczytała na odwrocie. - Sprawuj się dobrze i pamiętaj, że babcia nawet z nieba zawsze będzie patrzeć na Ciebie”.

Prosta droga do impotencji, pomyślała Halina, po czym spojrzała na Teresę. Ta przejęła fotografię od Niny i wpatrywała się w nią badawczo.

- Jestem trochę od niej młodsza - skomentowała.

- Co tak panią zaskakuje? - zainteresowała się Wereda.

- Że się ze mną zaprzyjaźnił. - Teresa zadumała się. Halinie zrobiło się niedobrze. Ten facet nigdy nie wietrzył mieszkania?

- Wychodzimy wreszcie czy nie? - zdenerwowała się Nina.

Więc wyszły.

Nakłamała policjantce, ile wlaźło. Najpierw chciała powiedzieć, że na placu Bankowym można złapać przypuszczalnego mordercę jej męża, ale przestraszyła się, że nikt nie weźmie na poważnie jej doniesienia albo też nie weźmie go na poważnie od razu, a przecież to na tym „od razu” jej zależało. Wpadła więc na inny pomysł.

- Ten facet poznał moją córkę w Internecie i nakłania ją do seksu. Ona ma dopiero

piętnaście lat! - wydyszała do telefonu, po czym zaczęła modlitwę do sił natury i ogólnej sprawiedliwości, żeby Jaśka i MrCrabb nie ruszyli się stąd przez najbliższych kilkanaście minut. Cóż, gdyby jednak postanowili odejść, najwyżej pójdzie za nimi i telefonicznie nakieruje policjantów. Jej córka i morderca trwali jednak, zatopieni w jakiejś dyskusji. Ilona miała tylko nadzieję, że podczas rozmowy nie padnie adres, telefon ani żadne inne dane osobowe Jaśki.

W osiem minut później zahamował przy niej radiowóz.

- Tam są! - Machnęła ręką w stronę księgarni.

Funkcjonariusze w cywilu ruszyli w kierunku księgarni, ale czy zbyt ni pośpiech ich zdradził, czy też MrCrabba zaalarmował widok samochodu, który zaparkował pod zakazem zatrzymywania, dość, że nagle przerwał rozmowę z Jasią i rozglądał się niespokojnie. Kiedy zobaczył zbliżających się zdecydowanym krokiem dwóch mężczyzn, rzucił się w bok, ku Senatorskiej, i zniknął wszystkim z oczu. Zdezorientowana jego zachowaniem Jasia rozglądała się bezradnie. Ilona dopadła jej jednym skokiem, stanęła przy niej i objęła ją opiekuńczo.

- Mama?! Co ty tu robisz?!

Zza roku Senatorskiej wyszła dwójka policjantów - prowadzili skutego kajdankami MrCrabba. Przechodząc obok Ilony i Jasi, spojrzął na nie z taką nienawiścią, że obie się wzdrygnęły. Jeden z policjantów zaprowadził go do samochodu.

- Muszę panie wylegitymować - powiedział drugi. I do Ilony: - To pani dzwoniła?

Jasia rzuciła w nią sztyletem spojrzenia.

- Czy możemy później porozmawiać? Córka jest roztrzęsiona.

- Rozumiem, zapraszam jednak panie na komendę. Musimy spisać zeznania.

- Jakie zeznania, mamó?! Co ty zrobiłaś?! - Jasia cała się trzęsła. - Dlaczego zamknęliście Crabba?

- Proszę pana - powiedziała Ilona (zupełnie nie znała się na szarżach). - Czy mogłybyśmy wpaść na komendę jutro? Na spokojnie? Państwo zorganizujecie psychologa policyjnego, a ja przyniosę komputer z dowodami.

Jasia wbiła matce paznokcie w rękę. Ilona spojrzała na nią. Córka, nie odrywając wzroku od jej oczu, szepnęła coś niemal bezgłośnie.

- Słucham, kochanie? - Ilona pochyliła się do niej.

- Nienawidzę cię - powtórzyła Jasia.

Jaro dojechał wreszcie do domu. Powinien pewnie zawadzić o Kamilę, żeby oddać jej samochód, ale najpierw chciał zjeść coś ciepłego, z triumfem oznajmić babci, że znalazł

poszukiwaną, oraz przedyskutować informacje od Agnieszki Zaufał.

Nie chciało mu się wyciągać klucza, więc zadzwonił. Nie otwierała. Z niepokojem wygrzebał klucze na dnie torby i otworzył drzwi. Klamka była dziwnie lepka. Z obrzydzeniem wytarł dłoń w spodnie.

Już od progu uderzył go straszny smród: skrzyżowanie atmosfery w dworcowym kiblu ze schroniskiem dla zwierząt. Z ciemności wyprysnęły dwa cienie i przemknęły mu pod nogami, o mało go nie wywracając. Co tu się działo? Zrobił krok, kolejny i prawie potknął się o jakiś mokry toból. Toból jęknął i poruszył się, Jaro o mało się nie zsikał ze strachu. Włączył światło. U jego stóp leżał oklejony jak mumia facet z łysiną. Jarkowi od razu stanęło przed oczami okręcone taką samą taśmą ciało Tymoteusza. Przeraził się.

- Babciu? Babciu?!

Usłyszał jakieś wrzaski z kuchni oraz jęk faceta z podłogi. Zaraz go rozklei, spokojnie, tylko przedtem sprawdzi, co z babcią.

Na stoliku w przedpokoju leżał duży pakunek owinięty prześcieradłem, które nie wiedzieć czemu skojarzyło mu się z całunem. Niemowlęcym, bo pakunek był niewielki.

Drzwi do kuchni były zamknięte, ale paliło się za nimi światło.

- Babciu!

Miauczenie. Otworzył drzwi. Smród buchnął z całą siłą. Coś małego rzuciło mu się pod nogi, prawie go podcinając, i wybiegło do przedpokoju. Na podłodze leżały zasikane gazety, po kątach chowały się koty, jeden wrzeszczał. Babci ani śladu.

Wrócił do przedpokoju. Zajrzał do sypialni babci (nikogo), do swojego pokoju (nikogo), do salonu (pusty). Wrócił do więźnia. Miał on usta zaklejone szarą taśmą klejącą i strasznie śmierdział. Jaro odskrobał koniuszek taśmy i powoli, żeby nie sprawić bólu, pociągnął. Facet jęknął. Jaro przestał się bawić w delikatność i zerwał taśmę jednym ruchem. Tamten ryknął. Z ust śmierdziało mu cmentarzem. Jaro odsunął się od niego.

- Człowieku, ratuj mnie! - Mężczyzna wskazał spojrzeniem ręce i nogi ciasno oklejone taśmą. - Ratuj! Szybko, ja już rąk nie czuję!

- Gdzie jest moja babcia?

- Ona zwariowała! Wszystkie zwariowały! Ja je pozwę za napaść. Rozwiąż mnie pan, bo i pana zaskarżę.

- Za co? - zdziwił się Jaro.

- Za bezprawne uwięzienie.

- A kto pana tu uwięził? I dlaczego?

- Banda szalonych staruch. Spotkały mnie na klatce schodowej, przewróciły,

obwiązały i wniosły tutaj.

- Moja babcia? Wniosła pana? - To było jak zły sen.
- Zaciągnęły mnie tutaj. Wszystkie. Człowieku, bądź człowiekiem.
- A co tu robią koty?
- Skąd mam wiedzieć?!

W Jarku wzbierało straszne podejrzenie.

- Dokąd poszła moja babcia?
- Nie mam pojęcia! Wiem tylko, że jest szalona. Chcą mnie zabić. Ratuj, jeśli nie chcesz, żeby starucha zgniła w więzieniu.

Nie, Jaro nie wierzył w to, co się działo wokoło. Sen, to musiał być sen. Zdrzemnął się w samochodzie i ma teraz koszmary.

Nagle ktoś wsunął klucz do zamka i zaczął się mocować, bez skutku jednak, bo przecież Jaro nie zamknął drzwi. Facet na podłodze wił się i jęczał. Po dłuższej chwili klucz został wyjęty, w zamian poruszyła się klamka i do mieszkania wparowała rozgorączkowana, rozczochrana babcia Halinka. Zobaczyła Jarka i zamarła. Ktoś ją chyba jednak pchnął od tyłu, bo się ruszyła. Za nią do domu weszła też rozczochrana Dzikka (pierwszy raz w życiu widział ją z fryzurą w nieładzie), Teresa z rumieńcami i rozchełstaną bluzką (speszył się trochę) oraz Joanna Wereda z koleżanką. Wszystkie rzeczywiście miały szaleństwo w oczach. Cofnął się.

- Babciu, co się dzieje?
- Ten pan mordował koty. - On?!

Jaro spojrział na faceta, który wyglądał tak nijako, że mógłby zostać szpiegiem doskonałym. Nie do zapamiętania.

- Miałeś wrócić jutro - przypomniała sobie babcia. No i szkoda, że tak nie zrobił. Teraz też najchętniej zwałby stąd, opuszczając ten wściekły galimatias.

Nie, nie mógł się wycofać, zostawić babci z tym problemem. Sam zresztą też tkwił w sprawie po uszy. Najbezpieczniej dla wszystkich byłoby faceta usunąć na amen. Czyli, rezygnując z eufemizmów, zabić go.

Aż się wzdrygnął.

Zło zaraża, widział to teraz jak na dłoni. Zadzwoił telefon.

- Odbierz wreszcie, bo zwariuję - jęknęła babcia.
- To chyba znowu ta twoja narzeczona. Cały wieczór wydzwania jak wściekła.

Jaro podniósł słuchawkę.

- No nareszcie! - wykrzyknęła zdyszana Kamila.
- Żyjesz!

- Żyję i mam dla ciebie wiadomości. Ważne wiadomości.

- Wpadniesz?

- Sytuacja jest taka, że w tej chwili nie mogę. Skrępowany facet wydał z siebie kolejny dźwięk plasujący się gdzieś między jękiem a wrzaskiem. O ile można wrzeszczeć z zaklejonymi ustami. Kamila natomiast wrzeszczała z otwartymi.

- Jaro! Umierałam z niepokoju o ciebie przez cały weekend, a ty nawet nie raczyłeś zadzwonić!

- Zapomniałem ładowarki.

- Kiedy się chciałeś do mnie odezwać?! Ja czekam, rozumiesz, czekam, aż tu przyjdiesz, oddasz samochód, rozliczysz się, opowiesz o mamie... - Ton jej głosu z rozkazującego zmienił się w błagalny.

- Żebyś wiedziała, co tutaj się dzieje...

- Nie ma problemu. Ubiorę Florę i już jedziemy do ciebie.

I co on miał robić?

Ilona z Jasią dojechały do domu metrem i siedziały obok siebie, nie zamieniwszy ani słowa. Ale ponure milczenie w metrze nie ciążyło, trudno było bowiem rozmawiać, rosyjskie wagony wydawały przez całą drogę potworne gwizdy, szумы i stuki. Kiedy opuściły stację, Jasia przyspieszyła kroku, jakby mierzył ją sam marsz u boku matki.

Ilona postanowiła nie boczyć się jak nastolatka, więc dogoniła córkę.

- Nie masz nawet pojęcia, jak się pomyliłaś - wybuchnęła nagle Jasia. - Jak strasznie skrzywdziłaś tego człowieka. Sama bym to załatwiła, a ty musiałaś się wtrącić i nabroić.

- Jasiu, jak to skrzywdziłam? Ja go unieszkodliwiłam, jutro pokażemy dowody. Będziesz bezpieczna!

- Jakie dowody?! Na to, że popełnił jeden głupi błąd? Stały na chodniku i krzyczały na siebie.

- Morderstwo nazywasz błędem?! - Boże, jak źle wychowała to dziecko, jak fatalnie. - Morderstwo na twoim ojcu?!

- On nie zabił, kobieto, rozumiesz to?! To nie on zabił! Zanim doniosłaś, mogłaś chociaż spytać!

- Nie mogłam, bo mi uciekał!

- Doniosłaś na niewinnego człowieka, który teraz siedzi w areszcie. A prawdziwy sprawca przez ciebie pozostanie bezkarny! Właśnie przez ciebie!

Jasia odwróciła się od niej i ruszyła w stronę domu. Ilona nawet nie próbowała jej gonić.

Halinie ulżyło, gdy Jarcio wreszcie wyszedł do tej swojej nibynarzeczonej. Bez niego czuła się silniejsza. Ale się wpakowały.

Zawiązała worek z zasikanyimi gazetami, po raz kolejny wyszorowała podłogę w kuchni, bo ciągle czuła koci zapach. Z przedpokoju, gdzie leżał mężczyzna, wionęło smrodem. Odparzy się jak nic w tych mokrych spodniach. I dobrze mu tak. Salon okupowały panie, dochodził stamtąd szmer podekscytowanych głosów. Najlepiej, gdyby całą tę niedzielę można było wymazać gumką. Gdyby nie pojechała na Podlasie... Gdyby nie odprawiła Dzidki...

Nie, wtedy facet na pewno znalazłby inny sposób, by wcielić w życie swoje chore fantazje. Może i lepiej się stało - pocieszała się bez przekonania. - Może i lepiej...

Umyła ręce i nie patrząc na mężczyznę (znowu zaczął się rzucać), wkroczyła do salonu.

Teresa stała przy drzwiach i wyglądała marnie.

- Nie... Ja... nie potrafię - mówiła.

- Uważa pani, że to niesłuszne? - naciskała Wereda.

- Słuszne, jak najbardziej - zarzekała się Teresa. - Sprawiedliwość. I kara. I jej wymiar wychowawczy, żeby on już nigdy...

- Ale nie chce nam pani pomóc? - przerwała jej Nina.

- Nie potrafię - powiedziała Teresa. - Ale wy, panie, róbcie co potrzeba.

I przeszła do przedpokoju. Tam pan Tomek wpatrzył się w nią błagalnie, ale odwróciła wzrok i wyszła z mieszkania. Halina doceniała, że i Teresa jest twarda. Na swój sposób.

Nie nacięły mu stóp, jak proponowała Wereda, Halina ciągle nie była pewna, czy miał to być czarny humor, czy też propozycja całkiem serio. Nie, ustaliły, że kara ma być jak najbardziej sprawiedliwa. Pięknym za nadobne. Albo nawiązując do klasyki: oko za oko, ząb za ząb.

- Jeśli oko za oko, to powinniśmy go... - Halina aż zadrżała od prawdy zawartej w tym zdaniu.

- Nie. Bo nie jesteśmy zbrodniarkami - zaznaczyła z naciskiem Nina. - My po prostu dajemy mu nauczki.

- On na nas doniesie - desperowała Wereda. - Aleśmy się władowały.

- No właśnie. - Dzidka pokiwała głową.

- Niech spróbuje - powiedziała hardo Nina. - Mamy nagrania. Dowody zbrodni. Pani Halina zezna, że dostała od niego w głowę.

- To mógł być każdy - sprostowała Halina. - Nie mam dowodów.

- Jest film.

- Nie sądzę, żeby sąd go uznał.

- Myślę, że do żadnego donosu nie dojdzie. - Wereda uśmiechnęła się. Spojrzały na nią zaskoczone. I z powodu treści jej wypowiedzi, i z powodu uśmiechu. - Proszę pań, żaden mężczyzna, o ile ja znam mężczyzn, żaden się nie przyzna, że dał się torturować pięciu starszkom. Przecież policjanci umarliby ze śmiechu. Nie, on nic nie powie.

- Joasiu, masz chyba rację - poparła ją Nina.

- Żeby się ostatecznie upewnić, musimy go dodatkowo upokorzyć. - Szare oczy Joanny błysnęły stałą. Ale już po chwili przykryły się powiekami, a na twarzy pojawił się wyraz zatroskania. - Proszę zrozumieć, mnie to się też nie podoba, ale musimy myśleć i o tych nieszczęsnych zwierzętach, i o sobie.

Nina przytaknęła jej gorąco.

Kamila w obcisłym czerwonym sweterku czekała na Jarka. Oczy też miała w czerwonych obwódkach, ale cienie pod nimi zniknęły, zamaskowane pudrem. Jaro sam nie wiedział, czy bardziej mu pochlebia mocny makijaż Kamili, czy też bardziej boi się, że kobieta znowu zastawia na niego sidła. Myśl ta jednak przemknęła gdzieś opłotkami i szybko zniknęła: miał przecież poważniejsze problemy.

Florka, wbrew zapowiedziom Kamili, już spała. W domu pachniało ciastem. Jarkowi zaburzało w brzuchu.

- Na ciepło czy kanapki wystarczą?

- Na ciepło - odparł zawstydzony, bo i kanapki chętnie by wtrząchnął.

Na stole pojawiła się zupa pomidorowa (niestety bez śmietany), pierogi ze spożywczego i jakaś sałatka, która go najmniej interesowała. Kamila siadła przed nim i patrzyła, jak jadł. Najpierw ładował byle szybciej, ale zawstydził się pod jej baczny wzrokiem. Odłożył widelec.

- Zbieram siły, żeby ci o tym wszystkim opowiedzieć. To... To nie jest łatwe.

- Wal - powiedziała i zastygła.

Nabił na widelec kolejnego pieroga. Wrzucił go do ust i długo przeżuwał. Wreszcie sformułował pierwsze zdanie.

- Postanowiła wyjechać, bo chciała uciec. To nie miało nic wspólnego z tobą.

- Przed czym uciekała?

- Przypadkiem zobaczyła, kto zabił Tymoteusza Maciejkę. Bała się, że zostanie zlikwidowana, jako świadek.

- Kto zabił Maciejkę?! - spytała bez tchu. Łyknął kolejnego pieroga i zagryzł sałatką.
Całkiem niezłe te warzywa.

- Mówżeż wreszcie!

- Nie jestem pewien, czy to wszystko prawda. Twoja mama była przerażona...
Martwiłem się nawet, że... straciła rozum.

- Co ty mówisz?!

- Szczerze, do tej pory nie jestem pewien, czy nie fantazjuje.

Streścił pokrótce historię poszukiwań Agnieszki Zaufał, a potem przeszedł do dziwacznej rozmowy w lesie. Kamila słuchała, a jej oczy w czerwonych rameczkach ogromniały

- Twoja mama szukała miejsca, gdzie mogłaby pomieszkać przez jakiś czas, gdy przejdzie na emeryturę. Podleczyć serce.

- Jest chora?! - krzyknęła.

- Nie. Ale była zakochana. A on nią wzgardził. - Kto?

- No właśnie Tymoteusz. Tymoteusz Maciejko.

- Eks Ilony? Co za bzdura! Przecież moja matka jest dwa razy od niego starsza.

- Po pierwsze, nie dwa razy, tylko o dwadzieścia parę lat. Zdarzają się takie przypadki
- skomentował Jaro, choć sam przecież nie brałby się za starszą o ponad dwadzieścia lat kobietę. Wolał panie starsze od niego jedynie o jakieś dziesięć. - A po drugie, Tymoteusz wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że jest zainteresowany.

- To jakaś chora historia. - Kamila nie mogła się pozbierać. - Moja mama zakochana w młodym facecie?

- Nie takim młodym, miał przecież czterdziestkę.

- Ale chyba nie powiesz, że... spali ze sobą?

- Nie pytałem. W każdym razie twoja mama była bardzo zaangażowana. Kiedy...
Kiedy skończyła się ta jej historia, postanowiła zająć się wami, zmienić otoczenie...

- To wtedy przeprowadziła się do nas? - Nagle zrozumiała.

- Chciała nadać życiu nowy sens.

- Coś mi tłumaczyła, fakt. - Kamila się zamyśliła. - Rzucił ją, tak?

- Nie, ona jego.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, jakby kobiety rzucające facetów nie mieściły się w jej światopoglądzie. Przykro, ale musiał potwierdzić jej wątpliwości.

- Zrezygnowała z tej znajomości, bo wstyd jej było, że dała się podejść jak pierwsza naiwna i przepuściła mnóstwo pieniędzy na naciągacza - wytłumaczył.

- Ciągnął z niej kasę? No tak, wiadomo, wcale się nie zakochał - skomentowała gorzko i zamilkła na dłużej. Oparła brodę na dłoni i łzy napłynęły jej do oczu. Nie wiedział, co ma robić. Przytulić? Ale nie chciał czuć na torsie tych jej ślimaczych łez. Skorzystał więc z okazji i sięgnął po plasterek ogórka. Chrupnął, a Kamila przebudziła się ze swojego stuporu.

- Biedna... Ile jej zabrał? - Dzielnie otarła oczy.

- Nie wiem. Na pewno dużo. Postanowiła odzyskać te pieniądze. Tymoteusz wyśmiał ją. Zwodził. Kiedy przemogła wstyd i zwierzyła się koleżankom, okazało się, że nie tylko ją naciągnął. Wspólnie uznały, że muszą coś z tym zrobić.

- A niby co można zrobić z takim podlecem? - Kamila spoglądała na niego bezradnie, jakby był doradcą małżeńskim.

- Zabrać mu cenny obraz, który widziały u niego.

- Malczewskiego Ilony!

- Myślały, że to jego własność. Chciały odzyskać, co straciły.

Kamila nie mogła wyjść z szoku.

- Moja mama chciała ukraść obraz?

- Chciała - odpowiedział, zbierając siły, by przejść do najtrudniejszej części opowieści. Miał dość jej łez, czerwonych oczu i kretyńskich pytań. Marzył, by stąd zwiać, gorzej, że nie miał dokąd.

Jasia zniknęła w głębi ulicy, pewnie już zdążyła dojść do domu. Ilona natomiast stała, tam gdzie zostawiła ją córka. Przestała nagle widzieć sens w przestawianiu stóp, było to zbyt skomplikowane. Zwłaszcza że prowadziło do domu, gdzie sprawy komplikowały się jeszcze bardziej. Stała tak, na środku chodnika, który prowadził do metra, aż potrąciła ją jakaś, idąca szybkim krokiem, para. Ulica była prawie pusta, ale przechodnie - jak to warszawiaczy - musieli dać jej znać, że stoi na środku i zawadza. Z trudem więc (prawa, lewa, prawa, lewa) przeszła parę kroków do murka okalającego wejście do metra i opadła nań pośladkami. Niech Jasia zajmie się Weroniką, a ona będzie się tu wpatrywać w pety rozdeptane na chodniku, nieźle widoczne w sodowym świetle latarni. Petów było dwadzieścia jeden, dwadzieścia jeden brzydkich wspomnień po chwilach szczęścia palaczy. Nie miała siły oderwać od nich wzroku.

Ktoś stanął przy niej jak Komandor przy Don Juanie. Ilonie nie chciało się podnosić głowy: niech się dzieje co chce. Komandor położył jej ciężką rękę na ramieniu. Nie reagowała. Może ją nawet zabrać do piekła.

- Mamo! - usłyszała. - Źle się czujesz?

Z wysiłkiem spoglądała w bok. Jasia wpatrywała się w nią zaniepokojona.

- Wero znowu została sama? - I zaraz pożałowała, że zaczyna od wyrzutów.

- Włączyłam jej „Króla Lwa” dwójkę - odpowiedziała sucho Jasia. - Nie idziesz do domu?

- Nie mam siły.

- Mamo! - Przestraszyła się i objęła ją. - To przeze mnie? - spytała po chwili.

- Nie. Tak. Też.

Nie umiała wytłumaczyć córce, że wszystko to naraz jest prawdą.

- Mamo, ja ci tylko chciałam powiedzieć... Wracajmy do domu. - Przerwała nagle.

- Co mi chciałaś powiedzieć? Młoda przełknęła ślinę.

- Musisz odkręcić z tą policją. Crabby jest niewinny. Wiem, ty myślisz, że jestem naiwna, bo mu we wszystko uwierzyłam.

Jeszcze i to.

I wtedy Jasia, nieoczekiwanie, opowiedziała jej całą historię, którą usłyszała godzinę temu na placu Bankowym.

- On chciał tylko nastraszyć ojca. Na moją prośbę. Zadzwoił, udawał, że chce wziąć lekcje, i przyszedł. Jakoś się tam ucharakteryzował, wąsy czy okulary, a kiedy już wszedł, po prostu włożył kominiarkę.

Ilona nie chciała tego słuchać, te wszystkie skomplikowane historie bombardowały ją z całą siłą, a jej zależało tylko na jednym: żeby człowiek, który czasem przyklejał wąsy, a czasem nosił kominiarkę, trzymał się jak najdalej od jej córki. Najlepiej w areszcie.

Jasia opowiadała, że Tymoteusz po pierwszym pytaniu o obraz nabrał podejrzeń. Które wzrosły, gdy nibystudent włożył kominiarkę i rzucił się na niego. MrCrabb był niski, ale muskularny, więc dał radę. Okleił Tymoteusza taśmą, przymocował do krzesła i zaczął mu klarować, jak bardzo Jasia czuje się skrzywdzona przez ojca. Czytał, co córka pisała o nim na forum, na gadu gadu.

- Crabby naprawdę się przejmował tym, co czułam. Jego opuścił kiedyś ojciec. On... - przełknęła ślinę - on wiedział, jak to jest. Na koniec Crabby oświadczył, że to mnie należy się ten obraz. A Tymoteusz - Jasia ostatnio nie mówiła o nim tata - spytał, co Crabby z tego będzie miał. On przyznał się, że dziesięć procent. Akurat, przecież wiem, że zabierzesz wszystko, a moje dziecko gównu dostanie, powiedział Tymoteusz. Nie każdy jest takim chujem jak ty, tak skomentował to Crabby. - Jasia spojrzała przestraszona na matkę, która nie tolerowała takich słów. - No to Crabby postanowił, że po prostu weźmie obraz - ciągnęła - ale nie mógł go znaleźć. Tymoteusz mówił, że go sprzedał, ale Crabby widział, że kłamie. A potem powiedział, że musi do kibelka i żeby mu pomóc. Crabby zostawił go na krześle,

pomyślał, że jeśli drań zsika się w gacie, zmięknie i może coś powie. Ale Tymoteusz był twardy: nie zsikał się, przynajmniej przy nim, i nic nie powiedział. Wtedy Crabby postanowił wyjść i wrócić rano. Miał nadzieję, że Tymoteusz, zasikany i poniżony, wszystko wyśpiewa. No to zostawił go i poszedł do domu. Nie zamykał mieszkania na klucz, bo nie mógł go znaleźć.

Jasia się zatrzymała, nieco zadyszana, jakby zbierała siły do dalszego biegu. Ilona zerknęła na nią spod oka. Nawet w trupim świetle latarni widać było rumieńce na jej policzkach.

- Crabby wrócił rano, to znaczy nie za bardzo rano, bo mówił, że z adrenaliny nie mógł spać w nocy, więc kiedy już zasnął, to pospał trochę. Poszedł tam, włożył w przedpokoju kominiarkę i zajrzał do kuchni, gdzie zostawił Tymoteusza. A on siedział w kałuży, tyle że to nie były siki, tylko krew. Miał ranę na szyi. Crabby mówił, że nigdy nie widział trupa, ale gdy zobaczył tyle krwi, wiedział, że Tymoteusz nie żyje. Crabby pościierał swoje odciski palców, z tej hysterii nie był pewien, czy wszystkie, i prysnął stamtąd.

Jasia aż westchnęła głęboko, jakby przez całą swoją opowieść w ogóle nie nabierała powietrza.

- Ja mu wierzę - dodała.

Spojrzała na matkę, szukając poparcia, co Ilona zauważyła kątem oka.

- Mamo, on nie miał żadnego interesu, żeby mi to wyjaśniać - przekonywała Jasia. - Opowiedział mi wszystko tylko dlatego, żebym się nie winiła za śmierć ojca. Tymoteusza. Mógł siedzieć cicho i za chuja pana... Znaczy za nic bym go nie znalazła. Ale zaryzykował, żeby mi pomóc. Znowu. A ty doniosłaś na niego policji. - Ostatnie zdanie zabrzmiało inaczej, jakoś znajomo.

Dopiero po chwili Ilona zrozumiała, że w głosie córki znowu pojawiła się nuta wyrzutu.

Zanim jeszcze zastanowiła się, czy wierzy w tę wersję, już jeden głąz z jej pełnego kłopotów wózka zdążył się stoczyć z hukiem w przepaść. Gdzieś tam jednak z tyłu kołatały się kolejne, z napisami: „Co powiedzieć na policji w sprawie Crabbiego” i „To kto w takim razie zabił Tymoteusza?”; „Jak teraz rozmawiać z Jasią?” i „Co im dać na kolację”.

Gdy uświadomiła sobie, że na kolację jest już za późno, oderwała pośladki od zimnego murka, wyprostowała się i ruszyła w stronę domu.

Głęboką nocą sprowadziły pana Tomka ostrożnie ze schodów, co nie było miłe, bo śmierdział doprawdy dramatycznie, i wiodły go przez podwórko, z trudem, bo zrobiły mu z taśmy ogranicznik na łydkach, więc nie mógł stawiać dłuższych kroków niż trzydzieści

centymetrów. W sam raz, żeby nie spaść ze schodów, za mało, żeby uciec.

Przy wejściu do śmietnika zaczął się trochę rzucać, ale kiedy pchnęły go we cztery, znalazł się w środku.

- A nie zamarznie? - zastanowiła się pani Wereda.

- Jest plus cztery - skomentowała Nina.

Halina, oglądając się na spalony koci domek przy wejściu, pomyślała, że niech zamarznie. Wcale go jej nie szkoda.

Nagle facet tak się rzucił do tyłu, że aż runął na brudną podłogę, po której nadal przesuwiał się ruchem robaczkowym w stronę wyjścia. Wereda podeszła do niego od głowy, mężczyzna jęknął. Naprawdę go kopnęła czy też Halinie tylko się wydawało?

Halina z Niną pomogły mu wstać z lepkiej podłogi. Śmierdział coraz gorzej. Podprowadziły go do ściany. Chwilowo był posłuszny - pewnie coś planuje, pomyślała Halina.

Postawiły go tyłem przy ścianie, podnosząc sklezione ręce do góry. Halina przyłożyła je do śmietnikowej kraty, Wereda rozcięła mu taśmę na nadgarstkach, Halina starannie przykleiła jeden przegub do prętów. Facet wyrwał drugą rękę Weredzie i zamachnął się na nią. Starsza pani upadła.

- Ja cię załatwię! - Pani Nina rzuciła się na niego i przycisnęła mu ramiona do muru, ale ją też odepchnął. I wtedy Halina udowodniła, że prawie wszystkie zęby ma jeszcze własne - zatopiła je w jego brudnej dłoni. Czowała się jak dzikie zwierzę, tym bardziej że facet śmierdział padliną.

W tym momencie Ninie nareszcie udało się przykleić i ten nadgarstek do kraty. Facet miał teraz rozkrzyżowane ramiona i głowę zwieszoną jak Chrystus Frasobliwy.

- Ty szatański bluźnierco! - syknęła Dzikka, której zapewne przypomniał się ukrzyżowany kot.

Kłopot był tylko z nogami. Nie pomyślały o tym. Ale Halina przyskoczyła z miotłą dozorczy, którą najpierw za pomocą taśmy umocowały do kółek kontenerów, a potem przykleiły do niej nogi w kostkach.

Mężczyzna jęczał, rzucał brodą, wskazując na ramiona, jakby chciał coś powiedzieć, ale żadna nie była ciekawa tego, co mogły usłyszeć.

Natomiast one same miały jeszcze wiele do powiedzenia.

- Podpalałeś koty... - Wereda wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę. Z niejakim trudem próbowała ją zapalić, ale nie wychodziło, więc Nina przejęła sprzęt, pstryknęła i podstawiła ukrzyżowanemu zbrodniarzowi płomień do twarzy, aż rzucił się do tyłu, waląc głową w mur.

Siwy co jakiś czas podejmował desperackie próby ucieczki, ale potem znowu zapadał w znajomy stupor. Może by i się wyrwał, gdyby napadli go mężczyźni, ale wraz z kolejnymi docierającymi do niego falami starczego babskiego zapachu, drętwiał i kulił się w sobie. Te ich dotknięcia, szarpanie, pomarszczone ręce, złośliwe stopy w ciężkich bucikach, co chwila wydawało mu się, że jeszcze jedno dotknięcie i wreszcie zwymiotuje, gdyby tak, umarłby od razu, udusiwszy się pod taśmą, którą wiedźmy zakleiły mu usta. Ale nie to było najgorsze. Najbardziej przeżył kontakty z kotami, ich śmierdzące oddechy, łożenie mu po twarzy i tę potworną chwilę, kiedy kot rzucony przez staruchę z rentgenami wylądował mu na oczach. Zemsta babki, babka zwielokrotniona jak w „Matriksie”, gdzie wróg multiplikował się w nieskończoność. Tłum staruch zlewał mu się w jedną, by po chwili szarpać go i dręczyć ze wszystkich stron, jakby zmieniały się w wielorękiego potwora, a potem znowu w upiorną gromadę. Ale by się babka śmiała, widząc go teraz. A potem dałaby mu w dupę i zamknęła w szafie.

Nie był pewien, czy wyjdzie z tego żywy. Tak samo jak wtedy, gdy babka zamykała go w szafie i zostawiała tam na długie godziny. Siedział skulony, a potem wstawał, przyciskając się całym sobą do ściany - pęcherz mu pulsował, starał się więc nie poruszać, by nie popuścić ani kropli. Kiedyś nie wytrzymał, nasikał do kieszeni jej palta, żeby nie było kałuży na podłodze, i nawet zdążyło to trochę wyschnąć, bo przez resztę czasu powiewał połą, ale i tak wyczuła.

Kiedy wreszcie wychodził z szafy, musiał obiecywać, że już będzie grzeczny. Proszę, dziękuję, przepraszam, a poza tym miał siedzieć cicho, zjadać wszystko, co podadzą, i nigdy nie zrzucić kota z kolan, chociaż za każdym razem, gdy futrzak mu tam skoczył, wbijał głęboko pazury, raz za razem, raz za razem, jak krzywoigła maszyna do szycia.

- To z miłości - powtarzała babka, a Siwemu nie wolno było nawet syknąć, nawet drgnąć.

Kiedy w nocy leczył śliną zadrapania, modlił się, by kot nie postanowił jednak spać na jego poduszce. Rozluźniał się dopiero, słysząc, że śmierdziel wybrał łóżko babki (No chodź tu, draniu przeklęty - mówiła miłym tonem, jakiego nigdy, ale to nigdy nie używała w stosunku do wnuka) i wtedy zaczynał marzyć. Całymi godzinami planował, co zrobi jej i kotu, gdy już będzie mógł, to znaczy kiedy stanie się mężczyzną, a ona wreszcie osłabnie i zestarzeje się już ostatecznie.

Babka postanowiła jednak umrzeć, zanim stał się mężczyzną. Myślał, że wtedy wreszcie mu ulży. Ale nie, bo kiedy leżała, taka blada i nareszcie milcząca, zamiast ulgi poczuł potworne niespełnienie. Coś zostało niedokończone, coś domagało się realizacji.

Nasikał w szafie do kieszeni jej płaszcza, ale wydało mu to się straszną dziecinadą, zmarła babka aż się prosiła o inną zemstę. Ten dumny kot leżał na niej, a potem, oburzony, że na kolanach pani jest tak zimno, przeszedł na jego uda. Siwy po raz pierwszy mógł go z siebie zrzucić i zrobił to, z wielką satysfakcją. Kot spojrzał mu w oczy i zasyczał. Wtedy Siwy zadzierzgnął mu apaszkę babki wokół szyi i zaciskał powoli, patrząc na minę futrzaka. Dopiero to przyniosło mu ulgę. Chwilową. Musiał poszukać innej.

I kiedy już wszystko zaczęło się układać, kiedy większość podwórkowych staruch skakała, jak im zagrał, kiedy jedną z nich poniżał, płacąc za seks, kiedy zyskał tylu wielbicieli na YouTube, znowu wrócił do roli zgnębnego chłopca w zasikanych spodenkach, którym przecież nigdy nie przestał być, teraz to sobie uświadomił. Babka znowu wygrała.

Poczuł ból w pieszczeli i otworzył oczy. Znowu go kopnęła ta mała, zgarbiona, szarooka starucha, pełna skupionej energii, ze złem i mocą ukrytymi gdzieś głęboko.

- Nie śpij! Musisz się dowiedzieć, za co tu wisisz.

Jeśli czegoś nie znosił najbardziej na świecie, to kazań wygłaszanych starymi głosami. Usiłował wyciszyć dźwięki, wycofać się z bólu, a zwłaszcza z mokrych, lodowatych spodni, ale babsko przy każdym kolejnym zdaniu kłuło go palcem w brzuch. Wił się, by uniknąć jej dotknięcia, ale z tym większą radością wbijała mu swój jadowy kolec w trzewia. Gdyby zdołał oswobodzić ręce, udusiłby ją chętniej niż kota, przez chwilę nawet myślał, że chętniej niż babkę. Ale mógł się tylko bezsilnie szarpać, a mokre spodnie przy kolejnych ruchach oblepiały go coraz ciaśniej.

Scena, w której Wereda recytowała ukrzyżowanemu mordercy kotów jego przewinienia, była nieznośnie patetyczna, a do tego przedłużała się bez umiaru. Halinie chciało się wymiotować od śmietnikowego smrodu, a dłonie jej zgrabiałały. Twarz Dzikki przybrała kolor bladawoniebieskawy, i to nie tylko dlatego, że makijaż dawno już pożegnał się z jej skórą. Halina chciała skończyć tę akcję, jakkolwiek, uciec stąd, ale nie dało się. Z dwóch powodów. Jeden wisiał na ścianie z zamkniętymi oczami, w swoim umęczczeniu całkiem - o dziwo - szlachetny. Drugi powód miotał się, mnożąc oskarżenia. A Nina stała obok i przypatrywała się scenie zmrużonymi oczami.

I nagle do śmietnika ktoś wszedł. Ktoś chudy, wysoki, z wielką torbą wypełnioną śmieciami, którą zaraz cisnął niedbale do kontenera najbliżej wejścia. Odwrócił się, napotkał spłoszone spojrzenie Haliny, wymamrotał „dobry wieczór”. Na ten dźwięk pan Tomek postanowił się rozjęczeć, ale zużywał siły na próżno, bo Maks Cudny miał na głowie słuchawki i docierało do niego wyłącznie rytmiczne dudnienie, które dało się słyszeć również na zewnątrz. Maks Cudny potoczył spojrzeniem po innych paniach, postanowił się nie dziwić

i wraz z łoskotem basów oddalił się od śmietnika. Halina uspokajała spłoszone serce.

- Joanno, Nino, dość już tego dręczenia - zapowiedziała. - Niech on tu wisi i dojrzewa, a nam należy się odpoczynek.

Wereda zamarła jak amstaff przed atakiem i dopiero po dłuższej chwili odwróciła się do niej.

- Jak tam sobie pani chce. Ja dla takich litości nie mam.

- Ja też nie - stwierdziła Halina, ale z mniejszą mocą. Umęczony facet cichutko zwiślał na kratkach śmietnikowych.

- Chodź Joasiu, czas na nas. - Nina wzięła Weredę pod rękę.

Na pożegnanie ucałowały się jeszcze z Haliną i Dzidką. To był bardzo nieadekwatny gest w stosunku do tego, co, z pasją godną nazistów, wywijały jeszcze przed chwilą. Ale teraz znowu wszystkie zmieniły się w miarę żwawe starsze panie. Dwie poszły w stronę wyjścia z podwórka, a Halina z Dzidką zrobili wreszcie to, co zrobić musiały.

Jaro włókł się do domu bez przekonania. Miał tylko nadzieję, że Wereda z przyległościami opuściła już mieszkanie.

Przed bramą stał radiowóz. Stało się. Wsadzą je wszystkie i będzie babci nosił cebule do więzienia. A ona zgaśnie tam do reszty. Co je podkusiło?! Co podkusiło te głupie staruszki?! Jaro dał krok do tyłu, w cień. Nie, nie ma sensu ładować się w środek tego wszystkiego, babcia się jakoś wyłga, wykręci w swoją stronę, jak zawsze. Po czym przypomniał sobie, jaka bezbronna wydawała mu się dzisiaj rano, na schodach domu starców, i jednak wszedł na podwórko.

Było tutaj ciemnawo, jak zawsze, tylko od śmietnika dobiegały jakieś głosy. Po paru krokach zauważył dwóch policjantów w mundurach, którzy pochylali się nad niewyraźną, skuloną sylwetką na metalowej ławeczce obok trzepaka. Babcia? Nie, chyba nie, za potężna. Jaro podszedł ostrożnie, kryjąc się za krzewami. Po chwili spostrzegł i babcię. Krucha i niewielka, stała nieopodal, wsparta na ramieniu Dzidki. A może to Dzidka podpierała się na ramieniu babci.

- Właśnie mówię - babcia przemawiała głosem niemal tak słabym, jak w szpitalu po wypadku - że chciałam wyrzucić śmieci, nie lubię, rozumieją panowie, gdy na noc w domu kosz jest pełny, więc idę do śmietnika, a tu nagle słyszę, ktoś jęczy. No to podchodzę i widzę tego pana, jak tu wisi na ścianie. Pobiegłam do koleżanki i zadzwoniłyśmy po panów.

- Pani już raz wzywała dzisiaj policję - odezwał się groźnie jeden z funkcjonariuszy.

- Bo my tu, proszę pana, mamy poważny problem na podwórku. - Babci drżał głos. - I jak widać, nie ja jedna tak uważam.

Kupka nieszczęścia na ławce przy trzepaku jęknęła i błysnęła łysiną. Skóra wokół ust płonęła zaognioną czerwienią. Morderca kotów?

- Kto panu to zrobił? - zapytał policjant.

Facet jęknął i tylko machnął ręką w stronę babci i Dzikki.

- I co panie na to?

Babcia zachwiała się lekko i powiedziała z godnością:

- Doprawdy, chciałabym mieć tyle siły, żeby móc tego pana tutaj przywiązać i podręczyć tak, jak on obchodził się z naszymi kotami...

- A skąd pani wie, że to on?

- A to? - Machnęła w stronę wnętrza śmietnika.

- Czytał pan ten napis na ścianie?

- Tam napisano: morderca kotów - wtrąciła się Dzikka.

- Pani tak wierzy we wszystko, co napiszą?

- Ach, proszę pana, w moim wieku już człowiek mniej więcej wie, co brzmi prawdopodobnie. Faktem jest, że od dłuższego czasu ktoś tu dusił zwierzęta...

- To one - jęknął facet na ławce.

- Myśmy mordowały koty?! - oburzyła się Dzikka.

- Zważaj pan na słowa, doprawdy.

- To one mi to zrobiły.

- Te staruszki? - Policjant się zaśmiał.

- Pan też niech zważa na słowa - strofowała go Dzikka.

- Ktoś mógłby spytać, dlaczego zadzwoniłyśmy na policję. A ja bym odpowiedziała: mimo że zbrodniarz, to jednak mamy litość w sercu - głos babci brzmiał teraz mocniej. - I chociaż lekarz kazał mi zawsze być o dwudziestej drugiej w łóżku, czekałyśmy tu na panów. - Babcia stęknęła, zachwiała się i osunęłaby się na ziemię, gdyby nie przyskoczył do niej Jaro.

Policjant błyskawicznie unieruchomił go, przynosząc chlubę tej szkole policyjnej, którą skończył. Jaro jęknął w żelaznym uścisku.

- To mój wnuk. - Babcia westchnęła. - Mieszka tutaj. Uścisk zelżał.

- Co się dzieje? Babciu, czy ktoś cię znowu skrzywdził? - Jaro wszedł w rolę, a babcia posłała mu dyskretne, pełne uznania spojrzenie. Mimo woli na twarz wypełził mu uśmiech.

- A pan co się tak cieszy? - warknął policjant.

- A co ma się nie cieszyć? - odezwała się Dzikka.

- Chłopak wiedział, że się martwimy, tyle zła dzieje się na tym podwórku. Jeśli ktoś wreszcie dał temu zbrodniarzowi poznać, co to ból, dobrze zrobił.

- Chyba coś nie tak, że ten drań siedzi, a dwie panie stoją - zauważył Jaro. - Moja babcia jest w bardzo złym stanie.

- Koleżanka też w nie najlepszym - prawie wyszeptła babcia. - Ten pan, który załatwił koty, zatrul ją czymś na schodach.

Morderca kotów bełkotał, wskazując tym razem na Jarka. Obaj funkcjonariusze też wpatrywali się w niego ciężkim wzrokiem.

- Można wiedzieć, gdzie pan spędził ten wieczór?

- Właśnie wróciłem od znajomej. Byłem pewien, że babcia już bezpiecznie śpi w mieszkaniu!

- Ta znajoma może zaświadczyć, że pan tam był?

- ciągnął swoje policjant.

- Choćby zaraz - powiedział Jaro. - Zapiszę panu jej numer.

Morderca kotów podniósł ciężkie powieki i wodził dziwnym wzrokiem od Jarka do babci z Dziką i z powrotem, jakby przebudziwszy się z koszmarnego snu, znalazł się właśnie w samym środku bombardowania. Jaro nagle pożałował, że nie ma w ręku kamery, bo zbliżenie na tę zszokowaną twarz byłoby wspaniałym epilogiem do serii filmów żoliborskiego zbrojeńca od kotów.

Gdy Jarcio pojawił się przy śmietniku, Halina się przeraziła. Co zrobi, jeśli wnuk się znowu wsypie? Nie musiała już nawet udawać słabości ani roztargnienia: czuła je. Chłopak jednak nieoczekiwanie stanął na wysokości zadania. Gdzie się podział ten niezbyt bystry pocziwina, z którym spędziła wszystkich dwadzieścia dziewięć lat jego życia? Teraz wszedł w rolę, aż miło, i blefował na całego. Aż jej się oczy zaśmiały do niego, nawet Dzikka wydawała się całkiem z Jarcia zadowolona. Policjanci kazali Jarkowi lepiej pilnować babci, zabrali mordercę w celu złożenia dalszych zeznań i odjechali.

Gdy wykończona Dzikka wróciła do siebie, gdy Halina na skrzydłach euforii wróciła z Jarcem do domu, gdy wypili po kieliszku nalewki, Jarek włączył kamerę, by obejrzeć ostatnie nagrania kociego mordercy. Na niewielkim ekraniku pokazało się pierwsze: kłębiąca się powierzchnia, falująca jak piaski Sahary dotknięte wichurą. Dopiero po chwili, gdy kamera odzeglowała płynnym ruchem, zrozumieli, że oto widzą kłębiący się wór, przypuszczalnie pełen kotów.

Kolejny filmik: nieruchoma tym razem kamera obserwowała, jak wielkie łapska w rękawicach wyciągają z wora koty, by je oklejać taśmą klejącą. Halina zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, na ekranie podrygiwał miarowo łańcuch kocich icksów. Makabryczna wycinanka. Sklejanka. Geometria godna Eschera. Halina starała się nie widzieć w tym

żadnego piękna. Ale niestety je dostrzegą.

- Dość tego! - wykrzyknęła ze zgrozą. - Wyłącz to diabelstwo.

- Tam i tak już nic więcej nie ma. - Ekran kamery zgasł.

A Halina nagle poczuła smród śmietnika. Pobiegnęła do łazienki, ściągnęła ubranie, powstrzymując impuls, by wyrzucić je do kosza, i weszła do wanny, gdzie szorowała skórę raz przy razie szczotką do paznokci, usiłowała zmyć z siebie ostatnich parę godzin. Ciągłe jej się przypominały pełne pasji oczy Weredy, chłodny głos Niny, nieobecne spojrzenie ukrzyżowanego mordercy. Przywoływała furię, jaką czuła, gdy rozcinała taśmę na łapkach miotających się kotów, ale zastąpił ją gniew na siebie samą: że i ona pozwoliła się splamić złu. Tarła i splukiwała, jak nadgorliwa lady Makbet, ale tak jak ona nie odczuła żadnej ulgi.

Jaro zapukał do drzwi.

- Babciu, żyjesz?

- Zaraz wychodzę!

Wyszła wreszcie z wanny i złapała się umywalki, ale chętnie wróciłaby do wody. Plamy wżarty się tak głęboko, że nie pozbędzie się ich nigdy. Podniosła wzrok i spojrzała sobie w oczy.

Znowu pukanie.

- Babciu, co się dzieje? Słabo ci?

- Wszystko w porządku. - Bardzo się starała, żeby nie drżał jej głos.

Jedyne, co przynosiło ulgę, to świadomość, że Jarcio nie widział jej w akcji, tam, w śmietniku. Halina wzięła czysty ręcznik i wytarła skórę mocno, jak przedtem szczotką.

- Jeśli jeszcze kiedyś znajdziemy w Internecie taki filmik, dopadniemy cię - groziła mordercy parę godzin wcześniej Wereda. - Wiemy kim jesteś i wykopiemy cię choćby spod ziemi. A wtedy nie licz na niewinne ukrzyżowanie, bo, zapewniam cię, umiemy postępować dużo, dużo krwawiej.

- Joasiu! - przerwała jej wtedy Nina. - Joasiu, zagalopowujesz się!

- Ja chcę tylko panu uświadomić, że za wszystko jest kara. I to kara nieunikniona, nieuchronna. Jak śmierć - zapalała się Wereda.

Mały łysawy facecik, który nie trzymał w domu nic bardziej prywatnego niż zdjęcie babci z dedykacją, już nawet nie podnosił powiek. Aż wreszcie Halina syknęła „Dość!”. Wereda odwróciła się do niej zaskoczona. Miała pałający wzrok kata.

Dobrze, że nie miałam możliwości spojrzeć wtedy w lustro, pomyślała Halina. Kto wie, co bym zobaczyła. Teraz widziała wyłącznie obrzydzenie do samej siebie. Ciekawe, czy będą się teraz mijać ze zgnębnym mordercą na podwórku, przepuszczać się przy furtce,

zderzać przy wyciąganiu listów ze skrzynek zawieszonych w bramie.

A potem grzmotnęła pięścią w kafelki, aż na knykciach pojawiła się krew. Cholerne współczucie. Chodziło przecież o faceta, którego poczucie estetyki napędzała jakaś chora siła, który skądś czerpał energię do zadawania bólu i dostępował spełnień, filmując mękę i śmierć. Należało mu się. Należało, to i więcej jeszcze. Zrobiły, co trzeba.

Owinęła się w szlafrok i wyszła z łazienki.

- Dobrze się czujesz? - Jarcio kręcił się w przedpokoju jak namolny pies.

- A dajżeż mi spokój! - westchnęła z irytacją. - Nie masz innych zmartwień?

- Mam - odpowiedział bardzo poważny Jarcio. - Mam.

I nagle zaczął opowiadać jakąś bardzo dziwną historię. Jeśli cokolwiek mogło być dziwniejsze od wydarzeń dzisiejszego wieczoru, to było właśnie to.

Jaro opowiadał o znowie starszych pań zranionych i oszukanych przez Tymoteusza, o planach kradzieży obrazu, o tym, jak Agnieszka Zaufał postanowiła poprosić o pomoc swojego rehabilitanta, tego, który przychodził do niej do domu ćwiczyć, gdy jej zdjęli gips ze złamanej nogi.

- Nie знаła wielu młodych mężczyzn, a ten pan Jacek był silny i wydawał się uczciwy. No i potrzebował pieniędzy. Obiecał, że pogada z Maciejką jak mężczyzna z mężczyzną. Miał go nastraszyć, by oddał obraz po dobroci. Albo zabrać obraz siłą.

Panie ustaliły z rehabilitantem, kiedy tam pójdzie

- ciągnął Jaro - a same postanowiły zapewnić sobie alibi i cały wieczór przesiedziały w kawiarni. Było ich aż pięć, poza Weredą i Zaufał jeszcze trzy. Tak koło dwudziestej drugiej Zaufał zadzwoniła do pana Jacka z pytaniem, jak poszło. I okazało się... Okazało się, że z akcji nici, bo rehabilitant koło południa rozwalił się na motorze i leży z nogą na wyciągu w szpitalu. Zapłacili więc rachunek i rozeszły się do domów. Zaufał uznała, iż dostały znak z niebios, że nie powinny sprawy załatwiać w taki sposób. Od początku miała wątpliwości, ale teraz już była pewna, że to opatrność uchroniła je przed popełnieniem przestępstwa. Zaczęła więc wydzwaniać do Tymoteusza, żeby się z nim umówić i jeszcze raz poważnie porozmawiać. Tyle że on nie odbierał.

Babcia siedziała cichutko, wpatrując się w Jarka wielkimi błękitami oczu.

- Następnego rana, gdy Tymoteusz nadal nie podnosił słuchawki, Agnieszka Zaufał postanowiła jednak wpaść do niego bez zapowiedzi. No i wpadła.

Teraz należało opowiedzieć najtrudniejsze. Sam za dobrze pamiętał tamten widok, by mówić o tym beznamiętnie. Przełknął ślinę.

- Zobaczyła Tymoteusza skrzepowanego szarą taśmą

- mówił. - Przyklejonego do krzesła, w ogromnej kałuży krwi. Miał przeciętą tętnicę na szyi. Widać było, że krew tryskała wszędzie. Głowa bezwładnie zwisała na piersi. Zaufał stała tam, patrzyła i nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Wybiegła stamtąd przerażona. Zastanawiała się, czy to rehabilitant go załatwił? Wbrew temu co mówił?

Jaro wyrzucił z siebie co najgorsze, teraz było już łatwiej. Opowiadał więc, jak Agnieszka Zaufał zeszła po schodach na dół i już miała wyjść z budynku, kiedy pomyślała, że przecież krew jeszcze nie zakrzepła, może dałoby się go uratować? Przecież lekarze mają swoje tajemnicze sposoby, a ona nawet nie sprawdziła, czy oddycha.

- Uratować? Faceta z przeciętą tętnicą szyjną? - Babcia pokręciła głową.

- Tłumaczyła, że wpadła w panikę - wyjaśnił Jaro. - Zawróciła i gdy się wdrapała na półpiętro, zobaczyła Weredę wymykającą się z mieszkania Tymoteusza.

- Kogo? - Babcia zbladła.

- Joannę Weredę, która przymknęła cichutko drzwi mieszkania Tymoteusza i szła do siebie. Ona tam była, musiała się schować. I teraz wyszła.

Nagle pani Joanna spojrzała w stronę Agnieszki i spłoszyła się. Schowała szybko ręce za siebie, ale Zaufał już zdążyła zauważyć i okrwawione dłonie, i zyletkę w prawej. Skamieniała, zanim odwróciła się i uciekła.

Babcia wpatrywała się w Jarka, jakby oczekiwała wybawienia. On jednak nie był pewien, czy je przynosi.

- Agnieszka Zaufał wybiegła z tamtego domu, cały czas oglądając się, czy Wereda jednak za nią nie idzie. Bała się, że to ona przyczyniła się do śmierci Tymoteusza, więc jeszcze pojechała do szpitala, gdzie ostatecznie się okazało, że rehabilitant nie miał z tym nic wspólnego, leżał drugi dzień z nogą na wyciągu. Wcale jej jednak nie ulżyło, bo wkrótce zadzwoniła do niej Joanna Wereda.

- Chciała się wytłumaczyć? - szepnęła babcia.

- Nie, dowiedzieć, czy Agnieszka mieszka jeszcze w swojej kawalerce, bo zajrzała tam, ale na drzwiach nie ma już jej wizytówki. I dopytywała nowych lokatorów, gdzie ją można znaleźć. Wtedy Agnieszka Zaufał wpadła w panikę. Na domiar złego niedługo później zadzwonił Maurycy Pęczek, który groźnym głosem oświadczył, że musi z nią porozmawiać. Nie miała siły, ale nalegał. Spotkali się na skwerku niedaleko jej domu. Pęczek opowiedział jej, co ojciec zrobił matce i gdzie z tego powodu wyłądownął. Krzyczał, że to wszystko wina Agnieszki Zaufał.

Gdy Jaro słuchał tej opowieści w wilgotnym podlaskim lesie, widział przerażone oczy starszej pani, jej głos na granicy płaczu, teraz jednak starał się, by relacja była beznamiętna,

żeby babcia lepiej niż on mogła ocenić sytuację. Streścił więc pokrótce, o co chodziło. Otóż Zaufał, na zjeździe absolwentów, też wykręciła niezły numer. Ujrzawszy Zygmunta i Basieńkę w kwitnącym, szczęśliwym związku, poczuła potworną zawiść i pomyślała, że życie jest strasznie niesprawiedliwe. Zdrajcy cieszą się wieloletnim szczęściem, a ona, która zawsze starała się być lojalna, po raz kolejny doznała rozczarowania. I postanowiła swoim zwyczajem wprowadzić trochę sprawiedliwości. Najpierw aluzyjnie zasugerowała, że Barbara bywała Zygmunтови niewierna, a kiedy zobaczyła zainteresowanie w oczach dawnego narzeczonego, zaczęła zmyślać na całego. Prawdy było w tym tyle, że kiedyś widziała Basieńkę, już dawno mężatkę, z jakimś mężczyzną w kawiarni, ale poza uśmiechaniem się do siebie nie robili nic, co mogłoby świadczyć o większej zażyłości. To jednak wystarczyło, żeby Agnieszka wysnuła skomplikowaną historię o romansie Basieńki. Zygmunt wydawał się nie wierzyć w oskarżenia, ale widziała, że ziarno padło na żyzny grunt. I by dopełnić dzieła, oddała ostatni strzał: oglądając zdjęcia ich syna, Maurycego, zdziwiła się, że młodzieniec wcale nie jest podobny do ojca. A potem patrzyła, jak Zygmunt mieni się na twarzy i przez chwilę czuła satysfakcję.

- Niewyobrażalne rzeczy wychodzą z całkiem, wydawałoby się, przyzwoitych osób - skomentowała bardzo przejęta babcia Halinka.

- Zaufał po prostu chciała, żeby Zygmunt z Basienką pokłócili się przy wszystkich. Ale nic z tego nie wyszło, bo Zygmunt na imprezie z całych sił udawał, że wszystko jest w porządku, dopiero później wątpliwości w nim dojrzały i kiedy spytał żonę o zdradę i swoje ojcostwo, ona go wyśmiała. No i stało się.

Agnieszka, wysłuchawszy, jakie były konsekwencje jej intrygi, załamała się do reszty. Powstrzymywała się od płaczu, gdy Maurycy krzyczał na nią, gdy zapowiadał, że opowie wszystko na policji. Na koniec rzucił jeszcze kilka gróźb i poszedł. Agnieszka wróciła do domu i próbowała się uspokoić. Bez efektu jednak. Bała się policji, bała się zabójczyni Weredy, bała się Pęczka, bała się sprowadzić ich wszystkich córce na kark, no i wstydziła się strasznie tego, co nawyprawiała. Postanowiła uciec.

- I wtedy poszła do fryzjerki, by zmienić wygląd? - skojarzyła babcia.

- Tak, a potem wróciła do domu, zadzwoniła na Podlasie, do domu starców, gdzie była dla niej praca, że przyjedzie wcześniej. Wrzuciła do torby parę ciuchów, wpadła do sąsiadki, ubłagała ją o odebranie dziecka z przedszkola i pobiegła na dworzec, cały czas oglądając się, czy nikt za nią nie idzie.

Babcia w milczeniu wpatrywała się w swoje dłonie, dziwnie jakoś zaczerwienione.

- Wierzysz w tę całą historię? - spytał Jaro.

- W co? W ucieczkę? Czy w zabójstwo?

- We wszystko. - Zastanawiał się. - Minęło już parę tygodni, a ona wciąż jest przerażona. Dlatego wydawało mi się, że zbzikowała.

- Może. Chociaż w strachu człowiek mało racjonalizuje.

- Ale minęło już trochę czasu, emocje musiały opaść, a ona ciągle podejrzewa Weredę o zabójstwo. To bzdura, bo jak krucha osiemdziesięciolatka miała sobie poradzić z mężczyzną w sile wieku? Okleić go taśmą, torturować i zabić?

Mówił coraz wolniej, aż wreszcie zamilkł, bo poczuł zimny dreszcz pełznący mu po kręgosłupie. Spojrzał w stronę przedpokoju. To tam parę godzin temu leżał umęczony, błagający o ratunek mężczyzna skrępowany taśmą klejącą przez kilka delikatnych starszych pań.

A zaraz potem Jaro znów poczuł dreszcz. Przypomniało mu się, jak pięknie Wereda odegrała w jego obecności szok i przestrasz po odnalezieniu zwłok Tymoteusza. A przecież, jeśli się trzymać wersji pani Zaufał, musiała jego trupa widzieć wcześniej. Musiała, nawet jeśli go nie zabiła. Więc kłamała. Jedna z nich na pewno. Rozgorączkowana Zaufał lub stateczna Wereda.

Babcia również wpatrzyła się w drzwi do przedpokoju, a Jaro nagle nabrał dziwnej pewności, że myślą o tym samym.

Zbudził się nad ranem. Otworzył oczy i wpatrywał się w szarość prześwitującą niemrawo zza zasłon. Dzisiaj wyjątkowo nie słyszał chrapania babci, choć co noc, po jej powrocie ze szpitala, dochodziły do niego echa babcinego warkotu. Może nabrała już siły? Zerwał się z łóżka i poszedł pod jej pokój. Przyłożył ucho do drzwi. Nic. Ani westchnienia. Cicho zajrzał do środka. W świetle zza okna było widać, że kołdra jest odrzucona, a łóżko puste. Pobiegł do łazienki. Nikogo. Chodził po mieszkaniu, włączając wszędzie światło, szybko jednak okazało się, że babcia wyszła, czego ostatecznie dowiodła nieobecność jej półbutów i kurtki. Wyjrzał na podwórko, ale nie zauważył przy śmietniku charakterystycznej sylwetki z kocimi miseczkami.

Na pierwszy plan wybijało się natomiast co innego: na podwórzu trwał ruch. Pod drzwiami klatki schodowej mordercy kotów stała taksówka bagażowa. Jakiś mężczyzna ustawiał kolejne pudła w bagażniku, po chwili z klatki wyszła kolejna, nieco niższa postać, ze stosem pudeł. Postać, którą Jaro widział po raz ostatni skuloną na ławeczce pod trzepakiem przy śmietniku. Czyżby pan Tomek się wyprowadzał?

Jaro ubrał się szybko, chwycił kamerę mordercy i zbiegł na dół. W ostatniej chwili, bo obaj panowie zdążyli już wsiąść do samochodu, a taksówkarz włączył silnik. Jaro zastukał w

szybę od strony pasażera. Pan Tomek spojrzał na niego obojętnym wzrokiem, jakby go nie poznawał. Albo nie chciał poznać.

Jaro uniósł kamerę.

- Nie jestem złodziejem, zabieraj pan to! - krzyknął. Patrzyli sobie w oczy, trochę zniekształcone przez zacieki na szkle.

Wreszcie tamten z wahaniem spuścił szybę, szpara była jednak za wąska. Morderca kotów zaryzykował jeszcze parę centymetrów. Jaro przecisnął kamerę przez otwór.

- Jeśli jeszcze kiedyś znajdę twój film, dopadniemy cię!

Okno błyskawicznie się zamknęło, choć mężczyzna zdążył jeszcze rzucić:

- A ty wyprowadź się wreszcie od babki!

I cienki chichot tamtego, który trwał przez chwilę w wilgotnym powietrzu ich zamkniętego podwórza.

Jaro nienawidził faceta. Za to że taki do niego podobny. Za to, że taki nieszczęśliwy i samotny. Za to, że taki zły. I za to, że zdawał się czerpać z tego przyjemność.

Ilona spała tej nocy jeszcze gorzej niż wszystkich poprzednich. Nie chciała jednak, żeby nadeszło rano, bo będzie to znaczyć, że należy podjąć jakieś decyzje. Na przykład taką, co powiedzieć na policji i jak patrzeć córce w oczy. Dzień jednak zbliżał się nieubłaganie, zaczynało już szarzeć. Zbierała siły, żeby usiąść na łóżku, kiedy odezwał się jej telefon. SMS? A kto, do cholery, zwraca głowę o tej porze? Nie wstając, chwyciła komórkę.

„Śpisz jeszcze? Jeśli nie, to bym zadzwonił” - napisał Jaro.

„Nie śpię. Twoje szczęście, bo bym się wściekła, że mnie budzisz tak wcześnie” - odpisała. Zadzwonił niemal od razu.

- Mam nowe informacje a propos śmierci Tymoteusza - zaczął.

Jęknęła. Jeszcze i to.

- Co się dzieje? - spytał. - Źle się czujesz?

- Tak. Nie. Nieważne. Mów.

I opowiedział jej przedziwną historię o morderczej staruszce. Ilona jak przez mgłę przypominała sobie pomarszczoną twarz sąsiadki Tymoteusza, która z poważną miną stała podczas pogrzebu nad jego grobem. Morderczynie? Naprawdę?

Półprzytomny umysł potrzebował dłuższej chwili, by poskładać obie niezbyt prawdopodobne historie - tę o MrCrabbym, usłyszaną wczoraj od Jasi, i tę o Weredzie, którą właśnie relacjonował Jaro. Wtedy to sformowała się całkiem prawdopodobna hipoteza, którą Ilona z niejakim trudem spróbowała przekazać Jarkowi. Otóż wiele wskazywało, że MrCrabb wieczorem unieruchomił podłego nauczyciela za pomocą taśmy klejącej, natomiast Wereda o

poranku dokończyła dzieła. Crabby zatem nie kłamał. Agnieszka Zaufał też nie.

Jaro westchnął przejęty.

- To ma ręce i nogi. Kto idzie na policję? Ja czy ty?

- Agnieszka Zaufał. Bo Crabby już siedzi - odpowiedziała, nie zagłębiając się w szczegóły.

Parapet okna był całkiem szeroki, Halina mogła wygodnie usiąść, a nawet oprzeć się o zimną ścianę. Całą noc analizowała to przedziwne splątanie węzłów i nadszedł czas, żeby coś z tym zrobić. Nie była oczywiście osobą, która pakuje się komuś do mieszkania przed dziewiątą rano, ale pilnowała drzwi, bo nie chciała, by ptaszek wymknął się, zanim zdoła z nim porozmawiać.

Nagle z mieszkania na piętrze dobiegł dźwięk odsuwanej zasuw. I jeszcze jednej. I kolejnej. Drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich głowa ozdobiona siwymi loczkami. Joanna Wereda rozejrzała się i jej wzrok spoczął na Halinie. Zaniepokoiła się.

- Coś się stało, Halinko?

Halina zeskoczyła z parapetu, aż chrupnęło jej w kolanach, a kijek oparty o ścianę runął na podłogę.

- Dzień dobry. Nic takiego. Po prostu nie mogłam spać po tym wszystkim.

- Napijesz się małej czarnej? - Wereda gestem zaprosiła ją do środka. - Przeżyliśmy naprawdę niezwykłą noc, prawda? - westchnęła, sypiąc kawę do rondelka (będzie po turecku, ale naprawdę po turecku, a nie plujka w szklance - obiecała). - Trochę się niepokoję, jak wam poszło z policją?

- Idealnie. Nie chwaląc się, zagrałyśmy nieźle, więc oskarżenia pana Tomka brzmiały kompletnie niewiarygodnie. I, zapewniam, nikt was nie powiąże z tą sprawą.

- Wydaje się zatem, że wybrnęłyśmy z tego z tarczą - skomentowała Wereda.

- Mam tylko jedną wątpliwość: czy naprawdę ukróciłyśmy zło, czy też tylko odsunęłyśmy je ze swojego podwórka. Boję się, że zaszło wyłącznie to drugie.

Łyknęły kawy. Nie była zła.

- A czy wnukowi udało się przejrzeć nagrania z kamery? - Wereda przerwała ciszę.

- Widzieliśmy je oboje. Ale nie znalazłam tam nic, co pozwoliłoby rzucić choć trochę światła na jego motyw. A szczerze mówiąc, to motyw interesują mnie najbardziej. Zbieram siły, by pójść do niego i wypytać, co nim kierowało.

- Sama? W jaskini lwa?

- Nie poszłabym przecież taka bezbronna.

- Wzięłabyś wnuka czy kijki? - Joanna Wereda uśmiechnęła się.

- Kijki to marna broń. Natomiast od pewnego czasu noszę z sobą gaz pieprzowy. No i biorę również... - przerwała, uznawszy, że niedomówienie zabrzmiało groźniej.

Chyba zabrzmiało, bo Wereda się zainteresowała.

- I co tamnosisz ze sobą za arsenał? - spytała.

- Zawsze coś mam, by się czuć bezpiecznie. Lecz nie o tym chciałam porozmawiać. - Halina wpatrzyła się w szarość oczu Joanny, ta jednak spokojnie wytrzymała spojrzenie. - Bardziej mnie nurtuje historia, którą opowiedział mi wnuk po powrocie od Agnieszki Zaufał.

- I co ci naopowiadał? - rzuciła niedbale Wereda.

- Dlaczego uciekła. Wiesz, dlaczego? Bo się bała. Halina czekała na pytanie „kogo?” lub „czego?”, ale się nie doczekała.

- Bała się ciebie, Joasiu. Panicznie. Do tego stopnia, że na sam dźwięk twojego nazwiska znowu zbierała się do ucieczki. Dlaczego? Cóż, w odpowiedzi mój wnuk usłyszał przedziwną historię.

Nieporuszona Wereda nadal siedziała elegancko, z nogą na nogę, jedną ręką przytrzymując spodeczek, drugą uszko filiżanki. Przysłuchiwała się Halinie z uprzejmym półuśmiechem, jakby rozmawiały o pogodzie. Halina poczuła się nagle, jakby występowała w dziwnie wyreżyserowanym serialu, w którym jeden z aktorów zapomniał zagrać zaskoczenie. Cóż, ona w każdym razie będzie dalej konsekwentnie ciągnąć swoją rolę. Rozpoczęła zatem opowieść o znalezionych zwłokach i o staruszce z żyłką w okrwawionej dłoni, bacznie obserwując reakcję Weredy, ale nie bardzo miała co obserwować, bo z jej twarzy nic nie dało się wyczytać. Nie było ani odrobiny strachu. Ani ciutki wyrzutów sumienia. Ani szczypty skruchy. Natomiast Halinie szybko zabrakło tchu, zaczęła drżeć, jakby w zastępstwie. Umilkła. Joanna też milczała.

- I czego teraz po mnie oczekujesz? - spytała, pożegnawszy się wreszcie z półuśmiechem. - Że się zacznę tłumaczyć? Nie mam z czego.

- Zatem Agnieszce Zaufał wydawało się tylko, że widzi cię z żyłką?

- Nie wiem, co jej się wydawało. Ale tak, widziała mnie.

- Z żyłką?

Wereda wsadziła do ust ciasteczko, podlała kawą, pociamkała i połknęła.

- To dość skomplikowane. Pozwolisz, że zacznę od wyjaśnień. - Zmarszczyła czoło. - Wszystkie czułyśmy wściekłość, bo zostałyśmy zranione, w różnym zresztą stopniu, i wszystkie oszukane. Najgorsza była bezradność, że nic z tym nie można zrobić. Że pan Maciejko codziennie śmieje mi się w twarz, mówiąc „dzień dobry”. I właśnie po to, żeby przerwać tę jego bezkarność, Zaufał skaptowała rehabilitanta. Po jego akcji świat miał stać się

lepszy. Rozumiesz? Lepszy. Bo Tymoteusz czynił zło, a nie było na to paragrafu, nie było kary. Pożyczałyśmy mu pieniądze, dobrowolnie, a on zawsze obiecywał, że niedługo zwróci. Bez umów, bez żadnych dowodów. Takie naiwne staruszki, mamione urokiem czterdziestolatka. Na przykład nasza Agnieszka zaangażowała się całkiem mocno. I przez jakiś czas karmiła się tą fikcją. A potem zrozumiała, że zamiast romansu słono zapłaciła za trochę czasu w towarzystwie dość uroczego mężczyzny. Wszystkie zresztą znalazłyśmy się w tej samej poniżającej sytuacji.

- Wszystkie, czyli kto?

I znowu spojrzenie w oczy, choć tym razem żadna chyba nie miała ochoty na pojedynek, więc obie szybko odwróciły wzrok.

- Niech ci wystarczy, że wszystkie. Było nas kilka. Tymoteusz szeroko zarzucał sieci. Szeroko i umiejętnie, nie miałyśmy nawet pojęcia, że tyle nas jest. Nie wiedziałyśmy, co robić, więc pomysł z rehabilitantem nam się spodobał. Chłopak miał być na procencie, dla większej motywacji. Okazało się jednak, że skrewił, i znowu znalazłyśmy się w punkcie wyjścia. Zła byłam strasznie i czułam się coraz bardziej bezradna. Postanowiłam pójść do niego, jeszcze tego samego wieczoru, sama nie wiem po co, może, żeby mu naubliżyć. On chodził spać późno, nie bałam się, że go zbudzę. Zadzwoiłam do drzwi, ale nie otwierał. Cóż, pomyślałam, pewnie wyszedł do kolejnej starszą panią. Ale nagle zauważyłam, że drzwi są niezamknięte. Tam się trudno przekreślało klucz, a jeśli się go nie przekreśliło, pojawiała się szpara. No więc szpara była. Nacisnęłam klamkę i weszłam.

Zawiesiła głos, może z przejęcia, a może dla większego efektu.

- W mieszkaniu było ciemno. Słyszałam, że szczur szaleje w klatce, w kuchni ruszało się coś jeszcze. Szeleściło. Jęczało. Włączyłam światło i poszłam tam. Tymoteusz siedział w kuchni na krześle, oklejony taśmą, łącznie z ustami, i błagał spojrzeniem o pomoc. Przeraziłam się, że zbrodniarz tu jest, zimno mi się zrobiło, cichutko przeszłam po mieszkaniu, zajrzałam wszędzie. Nikogo oprócz nas. Przekreśliłam więc zamek w drzwiach i wróciłam do niego. Odkleiłam mu taśmę z ust. Był wykończony. „Muszę do kibelka” powiedział od razu. „Do kibelka”. Nienawidzę tych trywialnych określeń, wiedział o tym doskonale, więc zdenerwowałam się, wiem, to niewłaściwe w takich okolicznościach, ale uznałam to za objaw lekceważenia. Kolejny.

Wereda aż się zarumieniła. Może z powodu emocji, a może dlatego, że mówiła wszystko na jednym oddechu.

- Najpierw pomyślałam, że to jednak akcja rehabilitanta, ale pytam dla porządku: „Kto panu to zrobił? Dlaczego?”, a on odpowiada, że chciano go obrabować. Złodziej. Znał go?

Nie znał. I nie pozna, bo był w kominiarce. Zabrałam się do rozcinania taśmy, a on skomentował, że jestem zawsze niezawodna, że zawsze można na mnie liczyć. I wtedy się zatrzymałam. Ukradł?, spytałam. Ukradł obraz? Na to Tymoteusz, że nie. Że nie znalazł. I taki zadowolony, że go przechytrzył. I żebym się pospieszyła, bo on musi do kibelka. Na to ja, że skoro obraz nadal tu jest, uważam, że należy się mnie i moim koleżankom. I niech powie, gdzie go schował. Odpowiedział, że to świetny pomysł, właśnie dlatego wyjął go z ram, żeby wynieść i sprzedać, bo chciał wreszcie uregulować swoje długi. A że teraz najważniejsze, żebym go uwolniła, bo ten facet ma wrócić. Trochę się przestraszyłam, ale poszłam do drzwi, zasunęłam zasuwę, która otwierała się tylko od środka, i wracam do niego. On znowu swoje, że jestem cudowna i że mi wszystko odda, a w oczach miał kłamstwo, widziałam wyraźnie. To kłamstwo, na które tyle razy dawałam się nabierać. „Będziesz tu siedział, póki nie powiesz, gdzie schowałeś obraz” zapowiedziałam. A on się zaczął śmiać, że wszyscy dzisiaj powariowali i że na pewno zaraz się zsika. Nie podobało mi się, że się ze mnie śmieje, nagle pomyślałam, że na pewno robił to wiele razy przedtem. I znowu poczułam bezradność, bo sytuacja była patowa. Przecież kiedyś będę musiała go uwolnić, nie zostawię go tam na wieki, a on, miałam już pewność, nic mi o obrazie nie powie. Muszę zrobić coś, co przerwie tę bezsensowną sytuację. Zaczęłam przeszukiwać mieszkanie, nie jest duże, nigdzie jednak nie widziałam tego Malczewskiego. W łazience natomiast zauważyłam żyletkę, stosował do golenia takie zwykłe maszynki z żyletką. Wzięłam maszynkę i zaczęłam ją przy nim rozkręcać, powoli, widziałam to na jakimś filmie, a on znowu się śmiał, powiedział „pani Joasiu, do rozcinania taśmy lepsze nożyczki”. Czułam się głupia i śmieszna. I wtedy zdjęłam mu skarpetki, wzięłam żyletkę z rozkręconej maszynki i cięłam go w piętę, ale żyletka się osunęła, bo skóra była zgrubiała. Więc skaleczyłam go w podbicie.

Wereda zamilkła, przełknęła ślinę. Wpatrywała się w podłogę.

- Tak go zaskoczyłam - ciągnęła - że nawet nie krzyknął. Spojrzał na mnie ze zdumieniem, a ja spytałam, gdzie jest obraz. Dam go pani, mówi. Zaraz, gdy mnie pani uwolni, już mam nagranego kupca. Specjalnie to tak zorganizowałem, ten dług leżał mi na sercu. Akurat, pomyślałam, kłam dalej. Przecież nigdy tych pieniędzy nie zobaczymy. I znowu powtórzyłam: „Uwolnię cię, kiedy dostanę obraz”. A tamten swoje. Ręce mi się trzęsły, ale cięłam drugi raz. Mocno, głęboko. Krzyknął, zaczął płakać. Zsikał się. Szkoda mi go było. Ale potem przypomniało mi się rozczarowane spojrzenia moich przyjaciółek, tego wieczoru, w kawiarni. Zakleiliśmy mu więc usta i zostawiłam go z tymi zakrwawionymi stopami. Powiedziałam, że wrócę za parę godzin, niech przemyśli, bo ja swoją ofertę podtrzymuję. Wolność za obraz. Nakarmiłam Dżeka i poszłam.

Nie spałam całą noc, przynajmniej tak mi się wydawało. Zastanawiałam się, jak to rozegrać, jak przełamać jego opór. Rano wzięłam żyletkę i poszłam do mieszkania Tymoteusza. Było otwarte, bo wieczorem nie mogłam znaleźć klucza. Słyszałam tylko szczura w klatce, żadnych innych dźwięków. Przestraszyłam się. Weszłam do kuchni i nagle widzę Tymoteusza zachłapanego krwią, z przeciętą szyją, martwego. Krew jeszcze nie zdążyła skrzepnąć, zauważyłam, i przeraziłam się, bo to znaczyło, że zabili go całkiem niedawno. Wtedy usłyszałam, że ktoś dzwoni do drzwi. Dzwoni, a potem naciska klamkę.

Pobiegłam do pokoju, schowałam się za zasłoną, w głupim miejscu, ale bałam się, bałam strasznie, że wrócił morderca, trzymałam mocno żyletkę, modliłam się, żebym nie musiała jej użyć. I nagle słyszę głos Agnieszki Zaufał. Odezwij się, nie umieraj, takie głupoty. Stałam za zasłonką, trzęsłam się, nie mogłam wyjść, bo miałam ręce całe we krwi, jeszcze by źle zrozumiała. Wreszcie wyszła, odczekawszy chwilę, wymknęłam się z mieszkania, i wtedy ją zauważyłam, stała na półpiętrze, zbladła na widok żyletki w mojej ręce. Chciałam jej wszystko wytłumaczyć, ale uciekła. Po pierwszym nie odbierała już moich telefonów, więc pojechałam do jej kawalerki, byłam tam kiedyś parę razy, ale okazało się, że już tam nie mieszka. A potem zniknęła na amen. Nie zdołałam jej więc wytłumaczyć, że to nie ja.

Wereda wyrzuciła to z siebie i odetchnęła, jak po większym wysiłku. Podniosła na Halinę szczerze szare oczy. Cała była teraz błaganiem „uwierz mi, uwierz”.

- Przerazająca historia - odezwała się po chwili Halina. - W takim razie: kto twoim zdaniem zabił Tymoteusza?

- Nie wiem, Halinko. Naprawdę nie wiem. - Wereda wyglądała na zagubioną. Zaraz potem jednak posłała Halinie spojrzenie podobne do tego, którym smagnęła ją wczoraj wieczorem. Bezmiar szarego okrucieństwa, który w mgnieniu oka przysłoniły pomarszczone powieki.

- Szkoda, że nie opowiedziałas tego wszystkiego na policji - skomentowała Halina.

I wtedy stało się coś przedziwnego, coś, o czym myślała jeszcze długo potem, nie do końca pojmując tego znaczenie. Szczęknięty drzwi salonu i w przedpokoju pojawiła się jakaś postać. Halina skuliła się i wymacała w kieszeni pojemnik z gazem pieprzowym, przypominając sobie gorączkowo wskazówki wypisane w instrukcji obsługi.

W drzwiach kuchni pokazała się Nina.

- Dzień dobry, Halinko - powiedziała. Miała na sobie tę samą kreację co wczoraj, z tą różnicą, że jedwabna bluzeczka była lekko zmięta i krzywo zapięta. - Dzień dobry, Joasiu. Wybaczcie, ale słyszałam co nieco z waszej pogawędki. Pytasz, dlaczego Joasia nie poszła na policję? Powiem ci, dlaczego.

Nina stała w progu pokoju, rozsunawszy mocne łądki, zaplótłszy na piersi silne ramiona. Halina poczuła się nieswojo.

- Otóż nie poszła na policję z kilku powodów. Po pierwsze, nie chciała, by motyw groteskowych miłości starych kobiet ujrzał światło dzienne. - Głos miała beznamiętny, jakby czytała z telepromptera. - Po drugie, nie zamierzała stawać przed sądem za torturowanie Tymoteusza. Po trzecie, bała się, że jej nie uwierzą. Tak jak ty teraz.

Halinie zakręciło się w głowie. Pochyliła się do przodu. Obie przyskoczyły do niej. Na dodatek zrobiło jej się duszno.

- Źle się czujesz? - krzyknęła Wereda.

- Połóż się, to ci przejdzie - poradziła Nina.

- Nie ma potrzeby. Pójdę już, położę się u siebie

- wyjąkała Halina, szacując, w ilu susach uda jej się dopaść drzwi wyjściowych, i usiłowała sobie przypomnieć, czy są zamknięte na klucz. - Jakoś słabo mi się zrobiło. Za dużo tego wszystkiego. Joasiu, Nino, wybaczycie?

Zaczęła się powoli podnosić. Tak, drzwi zostały zamknięte, przypomniało jej się. Na sto procent. I na dziesięć spustów.

- A ja myślę, że powinnaś zostać z nami - zdecydowała Nina. - Aż cię przekonamy, byś nam uwierzyła.

- Ależ ja wam wierzę - zapewniła gorąco Halina.

- Wierzę wam, naprawdę.

Przy wypowiedaniu pierwszego zdania myśl jej jednak odzeglowała w stronę wczorajszego wieczoru, więc szybko dodała drugie, którego ton nie brzmiał już zbyt przekonująco. Gdyby miała komórkę, mogłaby zamknąć się w toalecie i zadzwonić na policję. Gdyby miała maskę gazową, mogłaby użyć gazu pieprzowego. Gdyby...

I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Zamarły, po czym Halina zobaczyła swoją szansę.

- Ratunku! - wrzasnęła. - Ratunku!

- Babciu? - dotarło do niej zza drzwi. - Pani Joanno, co się tam dzieje?

Wereda i Nina spojrzały po sobie.

- Pani Joanno! Babciu! - Jaro znowu zadzwonił, a później załomotał w drzwi.

- Jarcu! - wrzasnęła Halina głośno jak jeszcze nigdy w życiu.

- Oj, Halinko, Halinko. - Nina z dezaprobatą pokręciła głową.

Halina pokonała paraliż i skoczyła do drzwi, odpychając Weredę, aż ta zatoczyła się na ścianę. Ani chwili dłużej tu nie posiedzi, ani chwili, w tej narastającej atmosferze grozy i

dziwności. Dostyc zabaw w śledztwo, należy natychmiast biec na policję i opowiedzieć wszystko. Nina dopadła do niej, ale wtedy Wereda jęknęła. Halina odwróciła się. Joasia siedziała pod ścianą i pojękiwała, trzymając się za głowę.

- Co ci się stało? - Nina zostawiła Halinę i przyskoczyła do przyjaciółki.

A przerażona Halina dobiegła do przedpokoju i przekręcała zasuwę po zasuwie. Chwytając kijki oraz kurtkę, wypadła na korytarz.

- Wiejemy! - rozkazała.

- Ale ja muszę porozmawiać z panią Joanną.

- Jarcu, biegnijmy. Już! Uwierz, że powinniśmy. I wybiegli.

- Ja skądś panią znam. - Oficer dyżurny zmarszczył czoło.

- Doprawdy? - zdziwiła się uprzejmie Halina. Właśnie ten policjant przyłapał ją na buszowaniu w mieszkaniu Tymoteusza, ale nie uważała za stosowne odświeżać jego pamięci. Rozmowa i tak nie była łatwa, pewnie dlatego, że to co stanowiło atut przy śledztwie, teraz stawało się zawadą. Nikt bowiem nie traktuje poważnie starszych pań, bo przecież powszechnie wiadomo, że ledwo widzą, słabo kojarzą oraz robią z igły widły. Mają też spaczony obraz rzeczywistości, są wścibskie, nadmiernie krytyczne i patologicznie podejrzliwe. Nie dość, że kobiety, to jeszcze stare. Albo lepiej: nie dość, że baby, to jeszcze stetryczale.

Opowieść o kombinowanym zabójstwie wydała się policjantowi wyjątkowo dziwna i wysoce nieprawdopodobna, słuchał jej więc z miną, z jaką w kiepskich filmach dowcipny psychiatra przytakuje pacjentowi, że jest Napoleonem.

Na szczęście mógł tę opowieść błyskawicznie skonfrontować ze świadkiem, Halina wiedziała przecież od Jarcia, że tak zwany MrCrabby (te nicki to szczyt kretyństwa) został zatrzymany w celu złożenia wyjaśnień. Policjant zatem bezceremonialnie wyszedł z pokoju w pół słowa Haliny. Kiedy wrócił, z nowym zainteresowaniem podjął rozmowę, tym razem traktując ją poważniej. Po czym wymienili wizytówki i Halina wróciła do domu z przykrym poczuciem, że stała się rasową donosicielką.

Ale potem znowu jej się przypomniała zimna szarość oczu Joanny Weredy. Niech już policjanci się tym martwią, lodowatymi szarościami, przyczynami i skutkami, prawdopodobieństwem czasowym i psychologicznym. Niech badają, kto kłamał i czy zeznania się zgadzają. I czy Wereda powinna beknąć tylko za torturowanie sąsiada, czy również za morderstwo.

Kiedy wchodzili z Jarcim do domu, Halina jeszcze się trzęsła. Siadła w przedpokoju, żeby zdjąć buty, ale zamiast tego zapadła się w bezpieczne objęcia krzesła z poręczami i

pomyślała, że chciałyby tu zostać na zawsze, choć lekki odorek moczu ciągle przebijał spod woni pasty do podłóg. Wnuk natomiast kręcił się nerwowo po kuchni, gdzie a to buchnął drzwiami od lodówki, a to stuknął drzwiczkami od kredensu. Za każdym razem Halina podskakiwała ze strachu.

- Babciu. - Wszedł wreszcie do przedpokoju. - Nie ma nic do jedzenia.

Wziął torbę, pieniądze i wyszedł z domu, a ona nadal siedziała w przedpokoju i liczyła uderzenia serca, które waliło szybko jak u myszy.

Starła się oddychać głęboko, jak to robiła zawsze po biegu przez płotki, ważny jest długi, rozluźniający wdech. I już prawie jej się udało, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Serce znowu puściło się w opętańczą gonitwę.

Trzymając rękę na piersi, żeby uspokoić rozszalały mięsień, zsunęła buty ze stóp i cichutko podeszła do wizjera.

Nina. Wpatrywała jej się prosto w oczy.

Nie, Halina nie ma zamiaru wpuszczać jej do mieszkania. Nie, zamiast tego będzie stała przy drzwiach i słuchała nawoływań i dzwonek.

- Wiem, że tam jesteś, Halinko, wiem, że tam siedzisz, wiem. Muszę z tobą porozmawiać. Nie bój się, to naprawdę ważna sprawa. Halinko, proszę cię. Otwórz!

Halina stała z drugiej strony drzwi, oparta o nie, żeby do jednej barykady dołożyć kolejną, z własnego ciała. Z każdym jednak stuknięciem, puknięciem, a z czasem uderzeniem w drzwi całe jej ciało drżało. Panika absurda, bo przecież była bezpieczna, mimo że Nina po przeciwnej stronie syczała, jęczała, błagała, groziła i co jakiś czas robiła użytek ze swoich pięści lub stóp. Oj, co to będzie z drzwiami, przecież i one nie są wieczne. Oj, co będzie z nimi wszystkimi, jeśli Nina postanowi nie odpuszczać, spać na wycieraczce, czuwać na półpiętrze, koczować na podwórku? Niech wróci Jarcio, gdzie on się podziewa, teraz, gdy jest tak bardzo potrzebny?

Poczuła, że miękną jej nogi, więc osunęła się na podłogę. Siedziała, opierając się o drzwi.

- Ruszasz się! Słyszysz! - wrzasnęła czujna jak pies Nina.

Dlaczego tych sąsiadów z piętra nigdy nie ma w domu?!

Wyglądało, że nikt jej nie wybawi.

- Nino - odezwała się wreszcie. - Nino, porozmawiajmy jak ludzie.

- O to mi właśnie chodzi! Otwórz albo wywalę te drzwi. - Zadudniła w drewno pięściami, a huk odbił się od ścian klatki i wrócił do uszu Haliny ze zdwojoną siłą.

Nina czekała na podwórku.

- Jeśli Joasia umrze w areszcie, zabiję cię - syknęła, kiedy tylko zobaczyła Halinę.

O rany.

- W areszcie? Myślałam, że pojechała tam tylko po to, by złożyć zeznanie..

- A kiedy je złożyła, zatrzymali ją na dłużej. - W głosie Niny było mnóstwo goryczy. - Niby dla bezpieczeństwa, ale ja im nie wierzę. Szukali kozła ofiarnego i znaleźli. Śledztwo rozwiązane, statystyka dobra, ktoś siedzi w więzieniu. A winny krąży na wolności. i zamilkła, przeżuując najwyraźniej jakąś myśl, czemu towarzyszyło również kląskanie sztuczną szczęką. Halina podprowadziła ją do ławki pod cisami.

- Może zatem powiedziałaś mi, co wiesz - odważyła się. - I razem zastanowimy się, co robić? Wczorajszy wieczór udowodnił, że w grupie naprawdę możemy więcej.

- Nie wiem, czy powinnaś wiedzieć więcej. Dzisiejsze przedpołudnie udowodniło, że nie tylko jesteś niebezpieczna, ale również nielojalna. - Nina błyskawicznie odbiła piłeczkę.

Halinie zrobiło się przykro.

- A może jestem po prostu uczciwa.

- Wyciągnę Joasię stamtąd - zapowiedziała uroczyście Nina. - Wyciągnę ją, żeby nie wiem co. Nie będzie tam siedziała za cudze grzechy.

- Skąd ta pewność, że ona tego nie zrobiła?

- Bo ja wiem, kto jest sprawcą.

Nie. Dość. Nie obciążaj mnie tym. Idź sama na policję i wyznaj im wszystko, niech oni się martwią - młodzi i szkoleni w tym kierunku. Nie potrzebuję tej wiedzy. Ja tylko chcę spokojnie karmić koty, gotować obiady z Dzidką i kibicować Jarciovi w poszukiwaniu pracy. Nic mi więcej nie potrzeba do szczęścia poza pasjansem od czasu do czasu.

Ale Nina już zaczęła mówić.

Halina czuła żal, żal i niesmak, że zło opanowało aż tyle osób. Kiedy będzie mogła wreszcie zamknąć to w szufladzie i zacząć żyć normalnie, jakby nikt nigdy na Żoliborzu nie zabijał zwierząt ani zdradliwych nauczycieli angielskiego?

Ruszyły z Niną, krok za krokiem, na przystanek autobusowy, bo na komendę na Żeromskiego nie było znowu tak blisko. Czekwały, milcząc, zanim wsiadły do autobusu i znalazły miejsca obok siebie, ramię w ramię, morderczyni i wspierająca ją dusza.

- Ja po prostu chciałam jej pomóc - szepnęła jej Nina do ucha. Jej oddech pachniał starością i szminką. - Tak się głupio wpakowała w tę nibyprzyjaźń z tym hochsztaplerem. I jeszcze głupiej w te tortury... To był wyraz bezsilności, ja wiem. Odradzałam jej, ostrzegałam... Nie słuchała. Miły młody człowiek i miły młody człowiek. A potem ta ich śmieszna zemsta... Poszłam do niego rano, żeby jej oszczędzić dalszego ciągu rozmowy z tym

draniem. Nie musiałam go długo namawiać, żeby powiedział mi, gdzie jest Malczewski. Okazało się, że zdążył go już wyciąć z ram i wsunąć pod ceratę na stole. Szykował się do sprzedaży, bo za dużo osób interesowało się obrazem. Obiecał, że jeśli go uwolnię, nie piśnie ani słowa o tym, co Joasia mu robiła poprzedniego wieczoru. Kłamał. Wiem, kiedy ludzie kłamią. Przecież nie chciałam, żeby oskarżono Joasię o torturowanie tego drania. No to co miałam robić? Pozwolić, żeby przez niego trafiła do więzienia? Wzięłam tę żyłkę i cięłam, raz i drugi. Krew siknęła, taka gorąca. Już nic nie dało się zrobić.

Zamilkła. I znowu zaczęła szeptem.

- Wiem, że Joasia nie powiedziała na policji o tym, co zrobiłam. Wzięła wszystko na siebie, tak mi zapowiedziała, ponieważ jest sporo ode mnie starsza i twierdzi, że jej życia mniej szkoda na zmarnowanie go w więzieniu. Ale nie dopuszczę do tego.

Nina patrzyła przez okno na szare kamienice pomazane graffiti.

- Halinko, powiedz, jak może być w więzieniu. Wytrzymam?

Co na to odpowiedzieć?

- Najgorzej, że nie będę mogła oglądać Joasi. - Otarła łzy.

- Przecież są odwiedziny.

- Odwiedziny... Ale ja bym chciała po prostu z nią być. Po co nam było to wszystko...

I zamilkła.

Gdy dojeżdżały do Żeromskiego, wstały i zaczęły się przepychać do wyjścia. Halina wysiadła pierwsza i czekała na Ninę. Jej skulona, zmarszczona twarz mignęła jej nad ramionami wysiadających. Wreszcie Nina znalazła się przy drzwiach, ale zatrzymała się, zawahała, przepuściła jakiegoś brzuchatego łysola, potem nastolatkę z podskubanymi włosami. Spojrzała z rozpaczą na Halinę i zatrzymała się na stopniu, a wtedy drzwi się zamknęły i autobus odjechał.

Halina rozumiała ją. Chyba. Ona też by się bała przyznać do zabójstwa. Ale nie mogła tego tak zostawić. Poszła więc po raz kolejny na komendę i po raz kolejny opowiedziała, o wszystkim, czego się teraz dowiedziała.

- Najtrudniej zrozumieć mi pani rolę w tej sprawie. - Policjant się zdystansował. - Widzę tu panią dzisiaj już po raz drugi i nie mam pojęcia, dlaczego składa pani sprzeczne zeznania, obciążając kolejne koleżanki.

- Ja po prostu chcę, żeby zwyciężyła prawda. - Halina zacisnęła usta.

Wychodząc z komisariatu, zauważyła Ninę. Stała naprzeciwko wyjścia, dygocąc, z czerwonym nosem i oczami. Od zimna? Od płaczu?

- Powiedziałaś? Powiedziałaś im? - W jej głosie nie było ani grama pretensji. - To

dobrze. Nie mam już teraz wyjścia. Pójdę tam, dobrze?

- Odwagi.

Nina ucałowała ją na mokro i odwróciła się.

- Zaopiekujesz się Joasią?

- Słowo harcerki.

Nina weszła na schodki komendy. Na górze jeszcze rozejrzała się przez chwilę, obejmując spojrzeniem wszystko, co zostawiała, po czym zniknęła za drzwiami.

Halina otarła ślinę z policzka i szelniej otuliła się szalem.

Znowu jej dzień wyglądał jak należy: pobudka o szóstej trzydzieści, karmienie kotów z Dziką lub Teresą (Celina już zupełnie przestała się angażować), mycie pojemniczków, kijki na Kępie Potockiej, bo grudzień nadchodził, a wcale nie było jeszcze mrozu. Halina czuła, że już całkiem odzyskała formę.

Zaś Joanna Wereda, choć pogrążona w żałobie po swej największej, jak się wyraziła, miłości (Halinie głupio było tego słuchać i podczas tych zwierzeń milczała dyplomatycznie), starała się jednak wstawać z łóżka o przyzwoitej porze, ubierać się i nawet dwa razy w tygodniu iść na kijki z Haliną, która nalegała na to gorąco, bo wiedziała, jakie ważne są rytmy w życiu człowieka. Starszego człowieka zwłaszcza. Pilnowała też, by Joasia uczęszczała regularnie na wykłady Uniwersytetu Trzeciego Wieku, by chodziła co tydzień do fryzjera, a zaraz potem na odwiedziny do aresztu. Cóż, liczyła na przyjaźń, a złapała fuchę kogoś w rodzaju trenerki osobistej, a może psychoterapeutki, tych nowych modnych zawodów, o których lubiły pisać kolorowe gazety. Gdzieś tam, w głębi duszy, czuła jednak, że jest to jej winna. A gdzieś, jeszcze głębiej, czuła, że kradnie czas, który wolałaby spędzać z Dziką.

Natomiast Dzikka rozkwitła. Randkowała. Wychodziła z domu na całe godziny, błyskała szminką, postukując butami na słupkach. Zawsze pamiętała jednak o wspólnym gotowaniu. Czasem, gdy obierały marchewkę, rozpatrywały nawet możliwość wspólnego zamieszkania, ale chyba obie bały się tego kroku: własne szaleństwa i dziwactwa, uroczę, gdy pielęgnowane w samotności, mogą stać się kolące jak opuncje, kiedy umieści się je obok siebie w jednym pomieszczeniu.

Ciągle też nie było jasne, gdzie ostatecznie zamieszka detektyw Jaro Trzaskowski, który to pojawiał się, to zniknął, z coraz lepiej wypracowanym trzydniowym zarostem, z coraz mniejszym brzuchem, a większym apetytem, z coraz bardziej wyprostowaną sylwetką i pewniejszym wejrzeniem. Jarcio, który coraz mniej należał do niej.

Nie czuł się bohaterem, choć i Kamila, i Ilona bardzo chwaliły jego skuteczność. Cóż, Agnieszkę Zaufał odnalazł sam. A co do Malczewskiego - żadna z nich nie musiała wiedzieć,

że obraz zlokalizowała babcia Halinka za pomocą sieci swoich starych współpracownic oraz, jak się okazało, również starych sprawczyń.

W każdym razie po wręczeniu Ilonie wyciętego z ram cennego płótna, które przeszło ostatnio tyle dramatycznych przygód, Jaro przyjął kopertę z honorarium. Zaraz też sprawdził w toalecie, że są tam dwa tysiące złotych oraz kartka, że kiedy sprzedadzą obraz, Jaro otrzyma dwa procent jego wartości. Gdyby udało go się sprzedać za pół miliona...

Ostatnio zwykł wpadać po Ilonę do przychodni, tak celując, żeby nie zauważyła go Kamila. Potem ruszali w drogę powrotną trasą nad Wisłą. Na ogół szli w ciszy. Dopiero gdzieś w połowie, gdy Ilona nieco zwalniała kroku, zaczęli rozmowę.

- Kamila się cieszy, że znowu u niej mieszkasz - zagaiła któregoś razu. - Naprawdę chcesz z nią być?

- Mieszkam? Raczej pomieszkuję - odparł Jarcio, który dzielił nocę niemal po równo między mieszkanie babci a mieszkanie Kamili. Ta ostatnia zapewne chciałaby mieć na niego abonament na wyłączność, ale musiałby on kosztować dużo więcej niż zdewaluowana już waluta spojrzeń pełnych zachwytu i słów pełnych podziwu, którą rozrzutnie szastała w jego obecności.

- Chcesz z nią być? - ponowiła pytanie.

- Ja wiem? Na razie wygodnie nam w ten sposób. I pewnie tak zostanie, póki jej matka nie wróci z Podlasia.

- A kiedy wróci?

- Nie chce się zdeklarować. Zdaniem Kamili wstydzi się tej historii z twoim mężem.

Ilona maszerowała wpatrzona w gęstą szarobrunatną ciecz omywającą murowane nabrzeże.

- To wszystko przeze mnie - wyznała nagle. - Ja ich poznałam ze sobą.

- Słucham?

- Ja skontaktowałam Tymoteusza z Agnieszką Zaufał. Mówiła, że chce się uczyć angielskiego. Znowu wychodzi więc, że to wszystko stało się przeze mnie.

Już wiedział, że polemizowanie z jej nałogowym poczuciem winy jest tak samo sensowne, jak boksowanie się z kangurem: wygrana niemożliwa, a obrażenia gwarantowane.

- Sypiasz z Kamilą? - odezwała się po dłuższej chwili jakimś dziwnym głosem.

To pytanie go zaskoczyło, bo szorstka przyjaźń, którą ostatnio trenowali, nie zawadzała do tej pory o takie intymności.

- A jak myślisz? - odparł, najzgrabniej jak potrafił. Nawet jeśli coś myślała na ten temat, nie odezwała się więcej. Doszli do bramy jej domu na Krasieńskiego, porządnej, kutej, z

czarnego metalu. Tam podali sobie dłonie na do widzenia, ale gdy spojrział na jej wyraźnie zmartwioną twarz, na chwilę zamarł. Zazdrosna?

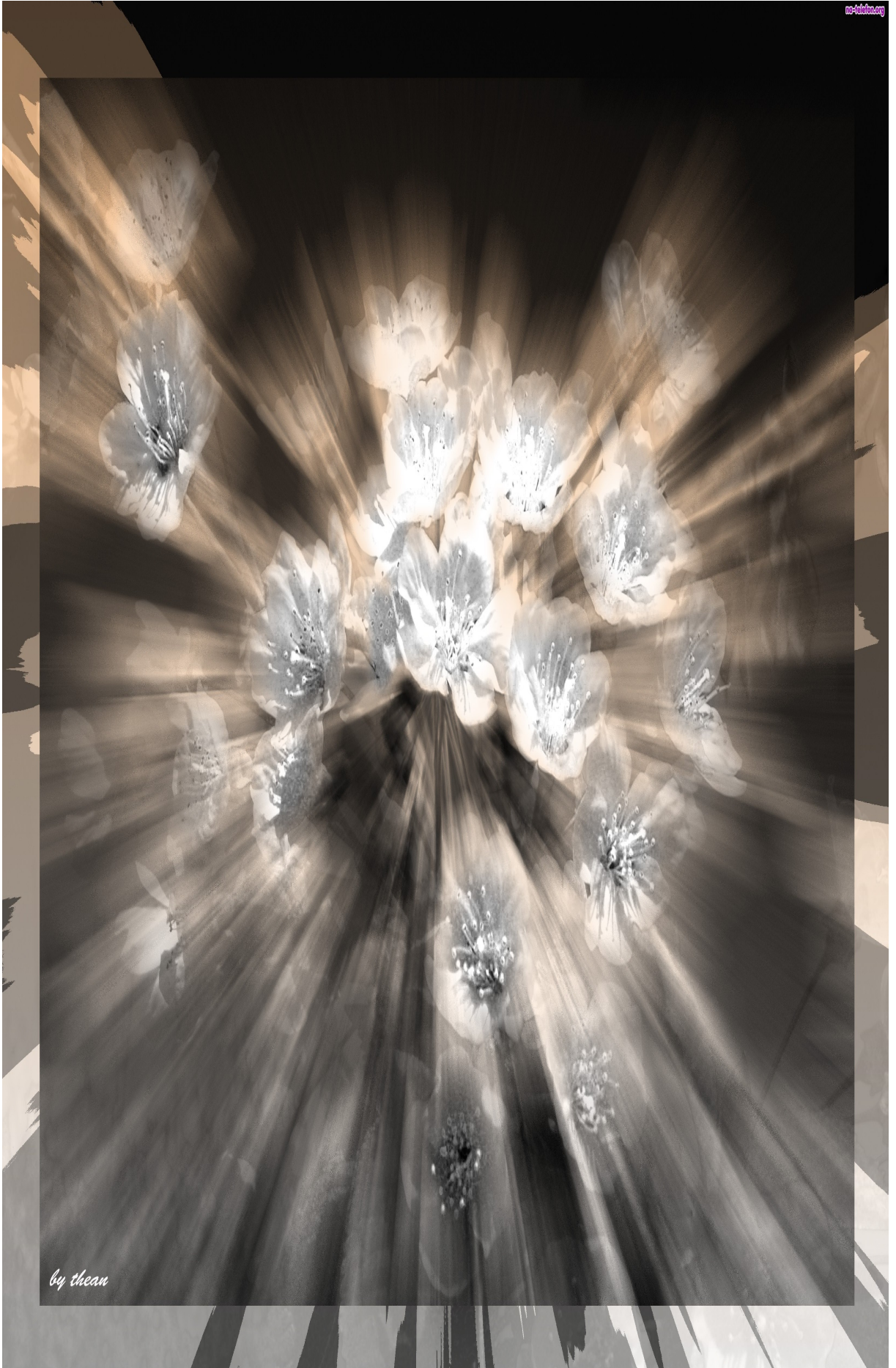
I wtedy zrobił to, o czym zawsze marzył, oglądając durne komedie romantyczne: przyciągnął do siebie tę najeżoną, wrogą kobietę i pocałował ją. Ugryzła go w wargę, by po chwili się do niego przytulić.

A więc to takie proste? - Zadumał się.

- Dzień dobry, mamó - usłyszeli nagle i odskoczyli od siebie.

Z boku uśmiechała się do nich szyderczo Jasia.

Koniec.



by thean